

Sven Hassel

Towarzysze broni

Tłumaczył z francuskiego

Juliusz Wilczur-Garztecki

Tytuł oryginału FRONT KAMERADEN

Najłżejszy ból małego palca sprawia ci więcej niewygody i niepokoju, niż zniszczenie i śmierć milionów ludzi.

Tę książkę dedykuję wszystkim zwykłym żołnierzom urodzonym w roku 1927, którzy cierpieli najbardziej podczas ostatniej Wielkiej Wojny.

Przekazano nas do głównego punktu opatrunkowego. Lekarz wrzeszczał na nas, ponieważ byliśmy tak niewiarygodnie brudni i zawszeni.

Powiedział nam, że nigdy dotychczas nie przyjmował takich świń.

Ten lekarz był bardzo młody i bardzo niewiele widział. Dotychczas ledwie liźnął medycyny w „fabryce lekarzy” w Grazu.

Mały kazał mu spadać. Obdarzył go wszelkiego rodzaju epitetami, które powinien był zachować dla siebie - wśród nich nie było ani jednego przyzwoitego słowa. Lekarz wściekł się. Skrupulatnie zanotował wszystko, co Mały powiedział, jak również jego nazwisko i jednostkę wojskową. Przysięgając na swój nowo nabyty honor wojskowy przyobiecał, że Mały na długo zapamięta karę, jakiej zostanie poddany, chyba że będzie miał tyle szczęścia, by umrzeć podczas transportu - na co miał szczerą nadzieję.

Młody lekarz wymownie okazywał przyjemność, gdy Mały wrzeszczał podczas operacji, gdy odłamki pocisku usuwano z jego mięsistego ciała.

W trzy tygodnie później lekarz został przywiązany do wierzby i zastrzelony. Miał nieszczęście operować generała ugryzionego przez odyńca. Generał zmarł pod nożem, bo główny lekarz był pijany i niezdolny do operowania. Ktoś z Korpusu Armijnego zażądał meldunku, a główny lekarz nie wahał się przed zrzuceniem odpowiedzialności na młodego doktora. Sąd polowy orzekł: niekompetencja i zaniedbanie służby.

Jego wrzaski, gdy ciągnięto go pod wierzbę, były nieprzyzwoicie głośne. Nie można było go zmusić, by sam szedł wobec czego musiało go nieść czterech ludzi. Jeden z nich trzymał głowę młodego doktora pod pachą jak w imadle. Dwóch innych nogi. Czwarty unieruchomił jego ręce na piersi. Czuł bicie serca młodego doktora. Łomotało.

Powiedzieli mu, że powinien temu stawić czoło jak mężczyzna, że mężczyzna powinien wstydzić się płaczu.

Ale człowiekowi, gdy ma dwadzieścia trzy lata, trudno być mężczyzną, gdy wierzy, że jest wyższą istotą, ponieważ został wojskowym chirurgiem rezerwy i ma dwie gwiazdki.

Jak powiedzieli ci, co go rozstrzelali - starzy piechurzy z 9. Pułku, to była paskudna egzekucja. Znali się na tym, rozstrzelali już wielu. Byli sprawnymi facetami, ci ludzie z dziewiątego.

ROZDZIAŁ I Pomocniczy, Polowy Pociąg Szpitalny

„877 Wschód”

Mróz wbijał rozpalone do czerwoności noże we wszystko, co żywe i martwe i przemiatął

puszczę z trzeszczącym odgłosem.

Parowóz, ciągnący nie kończący się pociąg z symbolem Czerwonego Krzyża, wygwizdał długą skargę. Biała para odlotowa wyglądała na tle zimowego, rosyjskiego nieba, na zimną. Saperzy mieli futrzane czapki i watowane kurtki.

W długim sznurze wagonów towarowych z namalowanymi na dachach czerwonymi krzyżami leżały setki okaleczonych żołnierzy. Gdy pociąg mknął przed siebie, śnieg na nasypie wirując unosił się w górę i przenikał przez zmrożone ściany wagonów.

Leżałem w wagonie nr 48 wraz z Małym i Legionistą. Mały leżał na brzuchu. Wybuchający pocisk trafił go z tyłu. Połowę tyłka miał oderwaną przez granat moździerzowy. Drobnego Legionistę musiał wiele razy dziennie trzymać dla niego lustro, by Mały mógł kontemplować swe straty wojenne.

- Jak myślisz, czy mogę wykukać sobie orzeczenie o zdolności wyłącznie do służby garnizonowej za ten kawał mięsa, który Iwan mi odstrzelił?

Legionista cicho się roześmiał.

- Jesteś równie naiwny, jak wielki i gruby. Naprawdę w to wierzysz? Non, mon cheri, ktoś, kto należy do batallion disciplinaire nie dostaje przeniesienia do garnizonu, jeśli nie odstrzeli mu całej głowy. Otrzymasz śliczną pieczętkę „Zdolny do służby czynnej” w dokumencie stanu służby, a po tym pogonią cię z powrotem, prościutko na front, by ci odcięło drugą połowę dupy.

- Dam ci zaraz w jadaczkę, ty ponury defetysto - zawył wściekłe Mały. Próbował wstać, ale ze zjadliwym przekleństwem na ustach padł z powrotem w słomę.

Legionista zachichotał i po przyjacielsku poklepał Małego w ramię.

- Spoko, ty brudna świnię, bo za następnym razem, gdy będziemy wyładowywać, zostaniesz wywalony wraz z martwymi bohaterami.

Huber przestał wrzeszczeć pod ścianą.

- Wyciągnął kopyta - powiedział Mały.

- Tak i będzie miał towarzystwo - szepnął Legionista, ocierając pot z czoła.

Trawiła go wysoka gorączka, a krew przesiąkła przez tymczasowy opatrunek sprzed tygodnia oplatający jego bark i szyję.

Był to siedemnasty raz, gdy Legionista został ranny. Pierwsze czternaście zawdzięczał Legii Cudzoziemskiej, w której służył przez dwanaście lat. Uważał się bardziej za Francuza, niż Niemca. Nawet wyglądał jak Francuz: miał metr sześćdziesiąt wzrostu, drobną budowę ciała i był mocno opalony. W kącie jego warg tkwił przylepiony na stałe papieros.

- Wody, wy przeklęte świnię! - Wrzasnął Huhn, podoficer z wielką, otwartą raną brzucha. Groził, przeklinał i błagał. A po tym zaczął płakać. Na drugim końcu wagonu ktoś zaśmiał się ochryple i złośliwie.

- Jeśli masz pragnienie, możesz tak jak my wszyscy zlizywać lód ze ścian.

Jakiś sierżant obok mnie, uniósł się trochę pokonując ból w brzuchu rozerwanym serią z pistoletu maszynowego.

- Towarzysze, Führer się nami zaopiekuje! - Podniósł rękę jak rekrut w sztywnym, nazistowskim pozdrowieniu. A po tym zaczął śpiewać *Horst Wessel Lied*, oficjalny hymn nazistowski: - „Do góry sztandar, zewrzeć swe szeregi, szturmówki brzmi potężny, twardy krok...”

Przeskoczył część tekstu, jakby wybierając ulubione słowa: „Żydowska krew popłynąć musi, naprzeciw nam stanęli socjaliści, naszego kraju hańba i wstyd...”. A po tym wyczerpany zwałił się na słomę.

Szyderczy śmiech odbił się od pokrytego szronem sufitu.

- Bohater się zmęczył - mruknął ktoś. - Adolfa ni cholere nie obchodzimy. W tej chwili

najprawdopodobniej łyka paszę dla królików i ślini się nad swoim kundlem.

- Za to wyślę cię przed sąd polowy! - Zawył histerycznie sierżant.

- Pilnuj się, abyśmy ci nie wyrwali języka z gardła - warknął Mały, ciskając menażkę z wywołującą mdłości kapustą prosto w twarz sierżanta.

- Załatwię cię, ty śmierdząca świnio, ty nędzna kreaturo! - Wrzasnął łkając z wściekłości i bólu, wielbiący Hitlera sierżant artylerii.

- Pomarzyć, dobra rzecz - zadrwił Mały, machając szerokim nożem bojowym, który zawsze trzymał ukryty za cholewką buta. - Wyrnę ci twój głupi mózg z czaszki i wyślę go do nazistowskiej suki, która cię zrodziła. Gdybym mógł wstać, podszedłbym i zrobił ci tę kurację natychmiast.

Pociąg zatrzymał się nagle. Wstrząs spowodował, że wszyscy jęknęliśmy z bólu.

Zimno wpełzało coraz głębiej do wagonu, Sztywniały nam stopy i palce. Jeden z chłopców zabawiał się wydrapywaniem czubkiem bagnetu sylwetek zwierząt na oszronionych ścianach. Ładnych, małych zwierzątek. Myszka, wiewiórka, oraz szczeniak, którego nazwaliśmy Oskarem. Wszystkie inne zwierzęta po jakimś czasie znikwały, ale Oskar był rysowany ciągle na nowo. Kochaliśmy Oskara i rozmawialiśmy z nim. Artysta, starszy szeregowiec saperów, powiedział nam, że szczeniak jest brązowy z trzema białymi łatkami na głowie. Oskar był bardzo ładnym szczeniakiem. Gdy lizaliśmy ściany, z największą ostrożnością omijaliśmy językami Oskara. Gdy pomyśleliśmy, że Oskar się nudzi, saper narysował kota, by pies mógł go gonić.

- Dokąd jedziemy? - Zapytał mały, siedemnastoletni piechur ze zmiażdżonymi nogami.

- Do domu, chłopcze - szepnął jego przyjaciel, ranny w głowę podoficer.

- Słyszeliście coś takiego? - Zarechotał marynarz z Morza Czarnego, gość z rozwaloną kością biodrową. - Jedziemy do domu! Co to jest dom głupia świnio? Piekło? Niebo? Zielona rajska dolina, gdzie anioły Adolfa ze swastykami na czołach grają Horst Wessel na złotych harfach? - Parsknął śmiechem drwiąc z setek sopli lodu, zwisających z sufitu. Odbłysnęły mu obojętnie.

Pociąg znów ruszył. Tymczasowy, pomocniczy polowy pociąg szpitalny, zestawiony z osiemdziesięciu sześciu lodowatych, brudnych wagonów bydłowych, wypełnionych stosami ludzkiego nieszczęścia, zwanego żołnierzami - rannych za swój kraj, bohaterów! I to jakich bohaterów! Setki kaszlących, śliniących się, przeklinających i śmiertelnie przerażonych biednych sukinsynów, wijących się z bólu i jęczących za każdym razem, gdy pociąg szarpnął. Tego rodzaju ludzkich wraków, o których nigdy nie wspominało w sprawozdaniach o heroicznym bojach ani na plakatach rekrutacyjnych.

- Posłuchaj mnie, Pustynny Włóczęgo - odezwał się głośnym szeptem Mały do Legionisty - Zaraz, gdy dojedziemy napompowani energią do tego śmierdzącego szpitala, pierwszą rzeczą jaką zrobię, to schlam się w trupa. Tak, a gdy będę już odpowiednio upierdolony zawołam pielęgniarki i zajmę się ich małymi, karbolowymi cipkami wszystkimi na raz. - Spojrzał marzycielsko na sufit i uśmiechnął się błogo, oblizując odmrożone wargi: - I załóż się, że dam im wszystko, czego jestem wart. - Oczy mu zabłyśły w pełnym zachwyty oczekiwaniu. Po raz pierwszy w życiu miał znaleźć się w szpitalu i wyobrażał go sobie jako rodzaj burdelu z bardzo wyszukanymi usługami dla klientów.

Legionista roześmiał się.

- Aż się zdziwisz, mój chłopcze. Najpierw zostaniesz pokrojony tak gruntownie, że będziesz miał zupełnie inne zmartwienia przez pierwszych parę tygodni. Będziesz pocił się stalowymi odłamkami ze wszystkich porów. Będą ci wszędzie wbijać strzykawki, abyś od nich nie wykorkował, ponieważ ciągle będzie można cię użyć jako mięso armatnie.

- Przestań! Nie chcę tego słuchać - rozdarł się Mały, biały z przerażenia. Po kilku minutach ciszy zapytał ostrożnie:

- Jak myślisz, czy to bardzo boli, gdy polowi chirurdzy cię tną?

Legionista powoli odwrócił głowę i przyjrzał się z bliska temu wielkiemu łobuzowi. Każdy rys tępej twarzy Małego wyrażał strach przed czekającym go nieznanym.

- Boli, Mały, to boli, boli jak wszyscy diabli. Oni rwą i rozszarpują ciało na szczątki, na drobne kawałki, abys dławiał się i jęczał. Ale pociesz się, to boli tak bardzo, że nie będziesz w stanie wydać dźwięku, nawet kwiknięcia. Tak to się dzieje - skinął głową Legionista.

- O, Jezusie, Mario - zasapał Mały. - Święta Matko Boża.

- Gdy mnie tylko połatają w tym szpitalu - myślałem na głos - chcę znaleźć sobie kochankę, kosztowną, pociągającą, doświadczoną kochankę w długim futrze z nerek, prawdziwe trofeum.

Legionista skinął głową.

- Wiem, co masz na myśli, świetną zdobycz. - Mlasnął językiem.

- Co to jest kochanka? - Wmieszał się Mały.

Starannie wytłumaczyliśmy mu, co to jest kochanka. Twarz rozjaśniła mu się.

- Och, to kurwa do trzymania w domu. Jedna z tych samodzielnych. O, Chryste, gdybyś tylko mógł upolować jedną z nich! - Zamknął oczy, wyobrażając sobie całe bataliony olśniewających dziewczyn. Widział je, idące prościutkim rzędem długą ulicą, kręcące zgrabnymi tyłeczkami.

- Ile taka jedna kosztuje? - By nie utracić całkowicie widoku wymarzonych dziewczyn, zdecydował się na otworzenie tylko jednego oka.

- Całoroczny żołąd - szepnąłem, zapominając o bólu w plecach na myśl o kochance w futrze z nerek, którą będę miał.

- Miałem kiedyś kochankę w Casablance - zadumał się Legionista. - To było tuż po tym, jak zostałem sierżantem w 3. Kompanii 2. Batalionu. Dobra kompania, miły szef, nie żadna śmierdząca kupa gówna.

- Do diabła z twoim szefem. Chcemy usłyszeć o twojej dupie, nie o twoim cholernym szefie.

Legionista roześmiał się.

- Była zamężna z rozpustnym armatorem prawdziwym starym capem. Jedyłą rzeczą, jaką w nim widziała, była jego forsa. A ta wyrażała się w pięknym, długim szeregu cyfr. Jej ulubioną rozrywką było kupowanie kochanków, a po tym wyrzucanie ich, gdy zostali całkiem zużyłi.

- Też zostałeś wyrzucony? - Zapytał Mały, który zaczął słuchać z uwagą.

Legionista nie odpowiedział Małemu, tylko kontynuował opowieść o żonie armatora w Casablance, która kupowała sobie miłość.

Mały uparcie wtrącał się. W końcu wydał taki ryk, że inni ranni pasażerowie wagonu zaczęli go przekrzykiwać.

- Czy ty także dostałeś kopa, Pustynny Włóczęgo? Chciałbym wiedzieć, czy zrzucano cię kopniakami po kuchennych schodach?!

- Nie, nie dostałem! - Podniósł głos mały Legionista, mając dość ciągłego przerywania.

- Gdy znalazłem coś lepszego, zmyłem się.

Wiedzieliśmy, że to kłamstwo, a Legionista wiedział, że my wiemy.

- Jej cera była żółtawo-oliwkowa - kontynuował Legionista. - Czarne włosy, zawsze upięte do góry w jakiś wyszukany sposób. A to, co miała pod spodem, mon Dieu, było taką uczką, jak butelka szampana Roderer Brut, rocznik 1926. Powinieneś był to widzieć a najlepiej dotknąć tego, mon garcon!

Ranny w głowę podoficer roześmiał się cicho.

- Musisz być wielkim epikurejczykiem. Nie miałbym nic przeciwko wyjściu z tobą do miasta pewnego wieczoru i rzuceniu okiem na te twoje dziewczyny.

Legionista nawet nie zadał sobie trudu, by na niego spojrzeć. Leżał z zamkniętymi oczami i puszką na maskę gazową pod głową.

- Kobiety już mnie nie interesują. Opowiadam tylko o dawnych doświadczeniach.

- Opowiedz mi jeszcze trochę o twoich dziewczynach z Casablanki, Pustynny Włóczęgo. Gdzie naprawdę znajduje się ten burdel, Casablanca?

Legionista zakaszłał głucho.

- Oczywiście, dla ciebie na świecie są tylko dwie ważne rzeczy: burdele i koszary. Casablanca to nie burdel, ale cudowne miasto na zachodnim wybrzeżu Afryki. Miejsce, gdzie legionieci drugiej klasy uczą się jeść piasek i pić pot i gdzie możesz sobie zamówić kompletną turecką orkiestrę. Również w Casablance te osły, które wyobrażają sobie, że będą mieli wspaniałe życie w Legii dowiadują się, że są świniami, ponieważ zrodziły ich świnię..

- ...I zrobiły ich świnię - dodał głos w ciemnościach, stopniowo zapadających w wagonie.

- Całkowita prawda - skinął głową mały Legionista, - zostali zrobieni przez świnię jak ty i ja i wszyscy inni faceci na świecie.

- Niech żyje świnia! - Ktoś wrzasnął.

- Niech żyje świnia! - Ryknęliśmy ochryłym chórem. - Niech żyje głupia świnia, nadal popychająca nazistowską kupę gówna!

- Wy szumowiny, wy parszywa hołoto! - Rozdarł się hitlerowski sierżant. Był głęboko oburzony - Niech wam Bóg dopomoże, wy szczury, gdy natarcie znów ruszy do przodu! Feldmarszałek von Mannstein wkrótce przekroczy Lewartę i przypuści szturm na Moskwę.

- W takim wypadku będzie to w pociągu towarowym na Syberię, z jeńcami - zadrwił ktoś.

- Naprzód grenadierzy, zbawcy Wielkich Niemiec! - Wrzeszczał fanatycznie sierżant.

- Hau-hau, ty Adolfie własnej roboty, czy byłeś w akcji pod Wielkimi Łukami? Zapytał Mały. - Bo tak ciepło mówisz o Lewarcie.

- A czy ty byłeś? - Zapytał starszy szeregowiec z jedną tylko ręką, ropiejącą od gangreny.

- Możesz się o to założyć. Trzech z nas siedziało w bunkrze z Dwudziestą Siódmą. Masz jakieś sprzeciwy, ty brudny skurwielu? - Nagle Mały zwierzył się całemu wagonowi. Gdy tylko wyjdę ze szpitala, wpierdolę oficerowi kwatermistrzostwa. Zajebię temu złodziejowi, tak, że nie będzie w stanie odróżnić swojej dupy od łokcia. Ciachnę go przez szczękę, aby miał na resztę życia uśmiech przyklejony do twarzy.

- Czemu jesteś taki wściekły akurat na oficerów kwatermistrzostwa? - Zapytał jednoręki szeregowiec.

- Zostawiłeś swój mózg w utraconej ręce? - Wykrzyknął Mały. - Ty ośle, nigdy nie przemokłeś do nitki pod jedną z naszych peleryn przeciwdeszczowych? Te typy z kwatermistrzostwa, uważasz, mają działkę ze wszystkiego, co my dostajemy. Każda peleryna przeciwdeszczowa jest zrobiona w taki sposób, że przemaka na deszczu. Czy nie czaisz, co to za numer? Ponieważ kwatermistrzostwo ma grube zyski z każdej peleryny, a tacy jak my, wielcy durnie, wyrzucamy pierwsze dwie w nadziei, że dostaniemy coś lepszego, łatwo zauważyć, na czym ten przekręt polega.

- Pierwszorzędny kawał - zauważył Legionista. - Gdybym tylko mógł dostać się do Służby Kwatermistrzowskiej i sprzedawać płaszcze przeciwdeszczowe tym oficerskim złodziejom! Gdyby to mi się przytrafiło, Allah zaiste byłby mądry i dobry.

- A co z tą dupą, o której nam opowiadałeś? - Zawołał Mały. Zapomniał o oficerach kwatermistrzostwa.

- Pilnij swojego nosa! - Warknął Legionista. W chwilę później powiedział do siebie: Mahomecie i wszyscy prawdziwi prorocy! Jakże ją kochałem.

Dwa razy, po tym, jak mnie odprawiła próbowałem się włamać do ogrodu Allaha.

- Ale powiedziałaś, że to ty ją rzuciłeś - parsknął Mały.

- I co z tego? - Wrzasnął Legionista. - Zwykle suki mnie nie obchodzą! To krótkonogie, dupiaste, wiecznie trajkoczące pizdy! I pomyśleć, że mężczyzna może być tak głupi, by uganiać się za czymś takim. Spójrz na nią rano - oczy zapuchnięte i rozmazane, a cała twarz nadęta i wysmarowana kredką do warg.

- Dziękuję ci - rozległ się głos z wnętrza wagonu. - To jest to, co nazywam komplementem dla płci pięknej.

- On ma rację - nadeszła riposta z jakiegoś innego miejsca w ciemności. - Traci się apetyt na widok takiej jednej z drugą z metalowymi lokówkami we włosach, w klapkach bez obcasów i pończochach majtających się koło łydek.

Przez stukot kół pociągu dosłyszeliśmy warkot samolotu. Uciszyliśmy się i zaczęliśmy słuchać, jak dzikie zwierzęta, gdy usłyszą śmiertelne echo nawoływania nagonki.

- Jabos, myśliwce bombardujące - szepnął ktoś głośno.

- Jabos - powtórzyło kilka głosów.

Drżeliśmy, i to nie z zimna, ale dlatego, że tu w wagonach była z nami śmierć. Jabos...

- Nadejdź teraz śmierci, nadejdź - nucił Legionista.

Samolot skręcał i warczał w stale narastającym crescendo. Z przeciągłym rykiem przemknął nad pociągiem. Czerwona jak krew gwiazda chłodno świeciła nad licznymi wagonami bydłęcymi, z krzyżami miłosierdzia wymalowanymi na dachach. Samolot wystrzelił świecą w górę, a po tym zawrócił i spadł jak jastrząb na młodego zajączka.

Mały wstał, opierając się na swych muskularnych ramionach i ryknął przez drzwi: no, chodźcie, wy czerwone skurwysyny, posiekajcie nas na mielonkę! Ale zróbcie to zaraz!

Pilot, jakby usłyszawszy to i chcąc ze wszystkich sił zastosować się do żądania, wystrzelił pociski, które z łoskotem przebiły ścianę wagonu i zaklekotały po jego drugiej stronie. Tuziny dziurek pojawiły się równym szeregiem w górnej partii jednej ze ścian.

Niektórzy wrzeszczeli. Inni tylko charczeli. A po tym umarli.

Parowóz zagwizdał. Wjechaliśmy do lasu. Pilot zawrócił do domu na herbatę i jajka sadzone, żółtkami do góry.

Był piękny poranek, taki z przejrzystym, mroźnym powietrzem. Pilota musiał cieszyć piękny widok, widziany z góry.

- Miałbym ochotę na kiełbasę - powiedział Legionista. Nie taką zwyczajną kiełbasę, lecz zrobioną z wieprzowiny z zapachem wędzenia i ostrą, jak czarny pieprz. Musi też nieco zalatywać żołądziami. Tak się dzieje, gdy świny wypuszcza się wolno do lasu.

- Od jedzenia surowych małży można dostać tyfusu - zawiadomił członek poczty sztandarowego piechoty, który miał rozwalone kolano. - Gdybym tylko mógł zdobyć cały koszyk zakażonych tyfusem małży, gdy wrócę na front.

Koła stuknęły po szynach. Zimno było nieustępliwe. Wcisnęło się przez dziury, pozostawione przez pociski Jabosa.

- Alfred! - Zawołałem. Od długiego czasu nie wymawiałem imienia małego Legionisty, a może nigdy tego nie robiłem.

Nie odpowiedział.

- Alfred!

Głupio to zabrzmiało.

- Alfred, czy kiedykolwiek tęskniłeś, by mieć dom? Meble i wiesz, tego rodzaju rzeczy?

- Nie, Sven. Już minął mój czas na coś takiego - odpowiedział z zamkniętymi oczami wykrzywiając pogardliwie usta.

Jakże lubiłem jego wychudłą twarz.

- Teraz stuknie mi już trzydziestka - kontynuował. - Mając szesnaście lat wstąpiłem do La Legion Etrangere. Skłamałem, że jestem o dwa lata starszy. Byłem skurwielem przez zbyt wiele lat. Kupa gówna, to mój dom. Moja chata tam, w Sididel Abbes, cuchnąca kwaśno od grubej warstwy potu tysięcy ludzi, którzy zostawili ją po sobie i której żadne wykadzanie dymem nie było w stanie usunąć, ta chata będzie moją ostatnią.

- Żałujesz tego?

- Nigdy nie powinno się niczego żałować - odpowiedział Legionista. - Życie jest dobre. Pogoda jest dobra.

- Nie sądzisz, Alfred, że jest cholernie zimno?

- Zimna pogoda też jest dobra. Każda pogoda jest dobra tak długo, jak oddychasz. Nawet więzienie jest dobre, dopóki jesteś żywy i zapominasz, jak dobrze mogłoby ci się powodzić, gdyby... Właśnie to „gdyby” doprowadza ludzi do szaleństwa. Zapomnij o tym „gdyby” i żyj!

- Czy nie jest ci przykro, że zostałeś ranny w szyję? - Zapytał człowiek z gangreną. Możesz mieć sztywną szyję i musieć nosić stalowy kołnierz, by ci podtrzymał głowę.

- Nie. Nie jest mi przykro z tego powodu. Mogę żyć nawet ze stalowym kołnierzem. Gdy to wszystko minie, wezmę robotę w ośrodku szkolenia rekrutów dla La Legion Etrangere, na dwudziestoletnim kontrakcie. Będę w stanie wypić każdego wieczoru butelkę Valpolicella i prowadzić jakiś mały handelek na czarnym rynku porzuconymi rzeczami ze składnicy. Zapomnieć o jutrze. Kopnąć księdza w portki, gdy jestem pijany. Odwiedzać dwa razy dziennie meczet i mówić, że do diabła ze wszystkim innym.

- Będę mieszkał w Wenecji, gdy Adolfa rozwalą - wmieszał się chorąży sztandaru. Widziałem ją z moim starym, gdy miałem dwanaście lat. Pierwszorządne miasto. Czy ktoś był w Wenecji?

- Ja byłem - doleciało po cichu ze słomy w kącie.

Byliśmy przerażeni odkrywszy, że to powiedział umierający lotnik. Nie miał twarzy. Wszystko przez płonące paliwo.

Piechur przycichł. Nie patrząc na umierającego, powiedział: - A więc byłeś w Wenecji? - Powiedział to po włosku, by zrobić lotnikowi przyjemność.

Długa cisza. Każdy z nas czuł, że wszyscy powinni milczeć. Usłyszeć, jak umierający człowiek opowiada o mieście, to był prawdziwy zaszczyt.

- Canale Grande najpiękniejszy jest w nocy. Wtedy gondole wyglądają jak brylanty, igrające z perłami - wyszeptał lotnik.

- Plac Świętego Marka jest zabawny, gdy podnosi się woda i zalewa go - powiedział chorąży sztandaru.

- Wenecja, to najlepsze miasto na świecie, Chciałbym tam pojechać - rzekł umierający żołnierz, doskonale wiedząc, że umrze w bydlęcym wagonie na wschód od Brześcia Litewskiego.

- Stary żołnierz jest zawsze wesoły - stwierdził Legionista, a propos niczego. - Jest wesoły, ponieważ żyje i wie, co to znaczy. - Zerkając na mnie kontynuował - Ale nie ma aż tak wielu starych żołnierzy. Wielu nazywa się żołnierzami, ale tylko dlatego, że mają na mundurach paseczki. Nie jesteś żołnierzem, póki Kostucha nie uściśnie ci dłoni.

- Gdy zamieszkał w Wenecji - marzył piechur, - będę codziennie jadał canelloni. Będą mi podawać kraby w skorupie i, jestem cholernie pewien, codziennie świeże sole.

- Merde! Małże też są dobre - orzekł Legionista.

- Ale można od nich dostać tyfusu - ostrzegł głos z drugiego końca wagonu.

- Gówno mnie obchodzi tyfus. Gdy Adolf zostanie uduszony, wszyscy będziemy uodpornieni - stwierdził z wielką pewnością chorąży sztandaru.

- Zakazuję ci mówić w taki sposób o naszym führerze! - Wrzasnął sierżant artylerii. Jesteście bandą zdrajców i zawiśnięcie!

- Och, zamknij się.

Zapisały hamulce. Pociąg poruszał się krótkimi zrywami. Następnie trochę przyspieszył i znów przyhamował. Jechał coraz wolniej, aż wreszcie zatrzymał się, kwiląc długo hamulcami. Lokomotywa wypuściła parę i odjechała, by dostać wodę i inne, potrzebne parowozowi rzeczy.

Z dobiegającego z zewnątrz hałasu mogliśmy stwierdzić, że stoimy na stacji. Tupot butów, krzyki, wrzaski. Usłyszeliśmy, że jeden człowiek się śmieje. Leżeliśmy w środku, coraz bardziej wściekli na niego. Tylko nazistowska kupa gówna mogła śmiać się w taki sposób. Żaden uczciwy, sponiewierany człowiek nie śmiałby się tak.

- Gdzie my jesteśmy? - Zapytał starszy szeregowiec saperów.

- W Rosji - nadeszła lakoniczna odpowiedź Legionisty.

- Niech cię diabli, tego nie musisz mi mówić!

- Więc czemu do cholery pytasz, głupcze?

- Chcę wiedzieć, w jakim mieście.

- A co ci za różnica?

Szarpnięciem otwarto przesuwne drzwi. Podoficer sanitariusz gapił się na nas głupawym wzrokiem.

- Heil, towarzysze - zapiał.

- Naszczaj mi w oko - wrzasnął agresywnie Mały i plunął w stronę bohatera od Eskulapa.

- Wody - jęknął z brudnej słomy głos.

- Odrobinę cierpliwości - odrzekł podoficer sanitarny, - a będziecie mieli wodę i zupę. Czy ktoś jest szczególnie chory?

- Zwariowałaś? Oczywiście nikt, jesteśmy tak zdrowi, jak nowonarodzone dzieci. Przyjechaliśmy, żeby pograć z wami w piłkę nożną - stwierdził sucho chorąży sztandaru piechoty.

Podoficer uciekł szybko, jakby go ktoś gonił.

Minął nieskończenie długi czas. Wtedy pojawiło się paru jeńców wojennych wraz z milicjantem. Przyciągnęli wiadro zupy i zaczęli ją nalewać do naszych zatłuszczonych i niewiarygodnie brudnych menażek. Jedna chochła na każdego. Zupa była letnia.

Wypiliśmy i staliśmy się jeszcze bardziej głodni. Milicjant obiecał, że przyniesie więcej, ale nie wrócił. Zamiast niego zjawiała się nowa grupa jeńców wojennych. Pod nadzorem sierżanta zaczęli wyciągać trupy. Czternaście trupów. Dziewięć z nich było robotą myśliwca bombardującego. Chcieli też zabrać ze sobą lotnika, ale zdołał ich przekonać, że jeszcze żyje. Sierżant zirytował się, ale zostawił go z nami.

Późnym popołudniem pojawił się lekarz rezerwy w towarzystwie paru podoficerów medyków. Szybko rzucili okiem tu i tam. Każdemu mówili to samo. Wszystko będzie w porządku, naprawdę nie jest źle.

Powtórzywszy tę samą formułę lotnikowi, podeszli do Małego. Zaczęła się zabawa. Nim zdołali otworzyć usta, wybuchnął.

- Wy parszywe gnojki! Popatrzcie, jak mnie urządzili! Ale to naprawdę nie jest źle, nieprawdaż? Połóż się, ty znachorze, a ja ci wydrę jeden półdupek. Wtedy będziesz mógł powiedzieć, czy jest źle! Chwyć doktora za kostkę nogi i przewróć go na śmierdzącą słomę.

- Attention! Attention! - Wrzasnął Legionista.

- Dobrze, Mały, tak należy postępować - uradował się człowiek z krwawiącą ręką i rzucił się na doktora. Reszta z nas poszła w jego ślady i w jednej chwili umazaliśmy lekarza naszą krwią. Gdy podoficerom udało się go wydobyć, miał przerażający wygląd.

- Nie tak źle - zadrwiliśmy chóralnie.

- Zapłacicie za to! - Groził wstrząśnięty doktor.

- Przyjdź tu jeszcze raz, jeśli jesteś taki odważny - roześmiał się Mały.

Lekarz i jego dwóch pomocników wyskoczyli z wagonu i zatrzasnęli drzwi.

Pociąg nie ruszył aż do następnego ranka. Ale zapomnieli przynieść nam śniadanie. Kleliśmy.

Następnego ranka lotnik był ciągle żywy, ale ktoś inny zmarł w nocy. Dwóch facetów pobiło się o jego buty. Nic dziwnego, była to para ślicznych, miękkich butów. Bez wątpienia para, którą przed wojną uszyto mu na miarę. Według przepisów były zbyt długie. Wewnątrz były wysłane mięciutkim futrem. Dostał je sierżant artylerii kolejowej. Walnął swego rywala, podoficera strzelców, z całej siły w szczękę, co spowodowało, że ten na chwilę zapomniał o butach.

- Cholernie fajna para butów - zawołał triumfalnie sierżant, podnosząc je w górę, abyśmy wszyscy mogli nacieszyć się ich widokiem. Chuchnął i wytarł je rękawem. - Chryste, jak ja będę w nich maszerował! - Rozpromienił się, pieszcząc piękne buty.

- Lepiej wsadź własne na umrzyka - ktoś go ostrzegł. - W przeciwnym razie ryzykujesz, że stracisz nowe w ekspresowym tempie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Otworzył usta ze zdumienia sierżant, chowając buty w słomie. - Chciałbym zobaczyć typa, który się ośmieli! - Miał minę psa, pilnującego kości.

- No cóż, w takim razie po prostu zapomnij o włożeniu butów na nieboszczyka, a przekonasz się, że będą tacy, którzy się ośmielą - zaśmiał się ten sam człowiek. - Łowcy głów ściągają ci tę piękną parę butów, a po tym podciągną cię na sznurku za płądrowanie. Bo to właśnie jest płądrowanie. Nazwano to nawet rabowaniem trupów. Byłem, uważasz, przy doraźnym sądzie polowym. Znam cennik.

- Och, do diabła z tym wszystkim - zaprotestował sierżant. - Te buty nie będą mu już potrzebne.

- Ani tobie, bracie - odparł trzeźwo człowiek z sądu polowego. - Armia dała ci jedną parę.

- To po prostu brednie. Te parszywe opakowania na kości nie nadają się do chodzenia.

- Powiedz to łowcom głów - zaśmiał się tamten. Miał bladą twarz z bezkrwistymi wargami i zimnymi oczami. - Będą cię bili tak długo, aż przyznasz na piśmie, że dostałeś od Adolfa najwspanialszą parę butów na świecie.

Sierżant nic już nie odpowiedział. Poszedł po rozum do głowy. Przeklinając wsunął stare buty na nogi nieboszczyka.

W godzinę później trup nie byłby w stanie rozpoznać swego wyposażenia. Zastąpiły je wszelkiego rodzaju nieznanne rzeczy.

Huhn, ranny w brzuch podoficer, znów poprosił o wodę. Legionista wsunął mu kawałek lodu. Huhn zaczął go ssać łakomie.

Stopy zaczęły mnie palić. Bóle przenikały całe moje ciało. Czuję się tak, jakby płomień pożerały moje kości. Druga faza odmrożenia. Pierwszą są bóle. Następnie bóle trochę ustępują, a jeszcze w następnej chwili stopy zaczynają palić i palą tak długo, aż tracą czucie. Brak czucia jest znakiem, że się skończyło. Gangrena jest w pełni rozwinięta i twoje stopy umierają. Bóle posuwają się do góry. W szpitalu twój kikut będzie parował pod nożem chirurga. Przerazenie chwyciło mnie w kleszcze. Amputacja! Boże, wszystko, tylko nie to! Wyszepiałem mój strach Legioniście. Obrzucił mnie spojrzaniem.

- Wtedy wojna się dla ciebie skończy. Lepiej nogi, niż głowa.

Tak, wtedy wojna się skończy. Próbowałem się pocieszać, ale przejmujący mrozem strach utkwiał mi

w gardle. Próbowalem sobie wyobrazac, ze z nogami mialem szczescie. Gorzej bylyby, gdyby to byly rece, ale przerazenie nie rozluznilo swego uscisku. Widzialem siebie o kulach. Nie, nie chcialem byc „czlowiekiem na kołkach”.

- Co sie z toba dzieje? - Zapytal zaskoczony Legionista.

Nieswiadomie zawolalem „na kołkach”.

Zasnalem. Obudzily mnie bole, ale bole mnie uszczesliwialy. Moje stopy bolaly, ale bylo w nich zycie. Nadal mialem moje cudowne, wspaniale nogi.

Pociag zatrzymywal sie jeszcze dwukrotnie. Za kazdym razem lekarz ogladal moje nogi. Za kazdym razem to samo. - „Nie tak zle”.

- Na Mahometa, co w takim razie naprawde oznacza „zle”? - Wskazalem okaleczonego lotnika, ktory wlasnie umarl. - Czy to takze nie jest zle?

Nikt nie zadal sobie trudu, by mi odpowiedziec. Tymczasowy, pomocniczy pociag szpitalny kontynuowal jazde na zachod.

Po przybyciu do Krakowa, po dwunastu dniach transportu, szescdziesiat dwa procent rannych wyladowano jako trupy.

- Jesteście stadem płaczliwych starych bab - grzmiał kapelan wojskowy, pułkownik von Zlavik, gdy jęceliśmy. Był bardzo niezadowolony, że okazywaliśmy nasz ból. - Błagacie Świętego Ojca, by wam pomógł, ale Pan nie będzie chciał mieć nic do czynienia z bandą takich nicponi, jak wy.

Rozkazał nam, abyśmy zaprzestali naszych zawodzeń. Zagroził, że zamknie nas, aż zgnijemy. Bóg jest jak najbardziej miłosierny, powiedział nam w zaufaniu, ale tylko dla przyzwoitych ludzi i dobrych żołnierzy, nie dla takiej bandy jak my, najbardziej odrażających wyrzutków społeczeństwa. Podniósł krucyfiks, gestem podobnym do pozdrowienia nazistowskiego, a potem kazał posługaczom usunąć dwa trupy owinięte w prześcieradła. W chwilę później prześcieradła przyniesiono z powrotem i przygotowano na następne ciała.

Pułkownik-kapelan splunął i opuścił nas.

Tego samego popołudnia spadł ze schodów i złamał sobie rękę. Złamał ją w trzech miejscach.

- Składany do kupy kwiczał jak każdy z was - śmiała się pielęgniarka, siostra Monika, która potrzebowała mężczyzny dwa razy na dzień, aby zachować dobry nastrój.

- Cóż, istnieją różne rodzaje ludzi - stwierdził mały Legionista. Przewrócił się na drugi bok i pochwalił Allaha. Cichym szeptem opowiedział nam o świętym człowieku, który wspiął się aż na nagą, kamienną pustynię Gór Rifu, sam jeden.

ROZDZIAŁ II Składnica śmierci

W 3. Rezerwowym Szpitalu Polowym, ulokowanym w byłym polskim seminarium duchownym w Krakowie, niemi lekarze i ich pomocnicy zabawiali się z rannymi. Sala operacyjna była kiedyś gabinetem rektora. Dobry ksiądz nie potrafiłby przewidzieć, jak wielu ma umrzeć w jego biurze. W czasach pokojowych, wypadkami śmiertelnymi w tym jednym pokoju pilnie zajęłoby się kilka wydziałów do spraw zabójstw.

Leżałem na niskich noszach, które uwierały, jakby były z blachy falistej. Pod nożem był ktoś z raną w głowie. Umarł. Na stole położono dowódcę oddziału straży pożarnej z raną brzucha. Umarł. Trzech martwych. Dwóch wyszło żywych. Wtedy nadeszła moja kolej.

- Ocalcie moje nogi - to ostatnie, co zapamiętałem, że mówię, nim podano mi narkozę. Chirurg nic nie powiedział.

Gdy się później obudziłem na jakiejś sali, moje nogi nadal były ze mną. Pierwsze godziny były

przyjemne i spokojne. Potem chwyciły mnie bóle. Niewiarygodne bóle. Innym nie było lepiej. Gdy ciemności litościwie zapadły na sali, która wydzielala ciężki smród kwasu karbolowego, noc wypełniły niejasne pomrukiwania. Były to skargi torturowanych.

Pochyliła się nade mną pielęgniarka, sprawdziła mi puls i znikła. Podnosiła mi się temperatura. Strach przed śmiercią zaczął wślizgiwać się we mnie. Pełzł jak wąż, owijając moje ciało swymi zwojami. Bredziłem. Nie było nic prócz mgły i oderwanych obrazów. Wyraźnie widziałem Kostuchę czającą się w kącie sali. Niecierpliwie machała nogą. Szara postać w czarnej pelerynie i z kosą zdawała się być bardzo zajęta.

- Miałaś dobre polowanie, nieprawdaż? Cholernie dobre polowanie. Ty kupo gówna, ty śmierdząca kupo gówna! Czy myślisz, że się ciebie boję? Widziałem rzeczy bardziej niebezpieczne, niż ty. O wiele bardziej niebezpieczne. Czy mam się ciebie bać? Ha!

Oczywiście boję się. Do diabła, drętwieję ze strachu.

Pielęgniarka znów się pojawiła.

- Spadaj, karbolowa suko. Daj mi spokój. Tylko poczekaj aż Ruscy tu przyjdą, wtedy będziesz zapracowana, ty nazistowska nosicielko nocników. Wtedy zobaczysz.

- Nie, wróc, proszę, wróc! Boże, jak się boję. - Ale poszła sobie. Istota z Kosą wyszczerzyła zęby. Poprzez jęki innych wyraźnie mogłem dosłyszeć jej ochryply rechot. Machała nogą coraz szybciej. Jej cierpliwość była chyba na wyczerpaniu.

Legionista nucił: „Przyjdź teraz, Śmierci, przyjdź.” - Zatkanem sobie uszy. Nie chciałem słuchać przeklętej pieśni, ale dołączyły się do niej całe tysiące. - Przyjdź teraz, Śmierci, przyjdź. Znów rechocze dolatujący z kąta śmiech.

Szara postać przesunęła badawczo palcami po ostrzu i uśmiechnęła się z satysfakcją. Było ostre. Ostre, jak gilotyny w więzieniach Plötzensee i Lengries. Jak nóż, który odciął głowę mojej Urszuli od jej smukłej szyi. Zastanawiam się, czy w Kołymie są gilotyny? Co jest z tobą nie tak, ty głupia świnió? Myślałem, że pożegnałeś się z tą miłostką, którą miałeś kiedyś w Berlinie, z żydowską dziewczyną, która sypiała z esesmanami, ponieważ miała poczucie humoru! Śliczna dziewczyna. Olśniewająca. Nie śliń się, ty mięczaku. Kiedyś chciałeś zostać oficerem. Chciałeś być żołnierzem, ty dupku. I czym teraz jesteś? Małym gównem, przerażonym widokiem Postaci z Kosą. Czym się martwisz? Zapomnij o wszystkim i wstawaj. O co masz się martwić, prócz siebie samego, ty tępaku? Czy to nie dziwne? Ani jedna ludzka dusza nie pomyśli o tobie, gdy walniesz w kalendarz. No to przyjdź, kurwo, zabierz mnie ze sobą przez Styks. Myślisz, że się ciebie boję?

Szara postać wyprostowała się i owinęła szarą peleryną. Stawiając starannie kroki podeszła do mnie. Wydałem długi, przenikliwy wrzask.

Pielęgniarka znów przyszła. Otarła mi czoło czymś, co było cudownie chłodne. Padał deszcz. Uspokajająco, monotonnie dzwonił o szyby. Postać z Kosą zniknęła. Zabrała ze sobą dwóch z tej sali. W siedem dni później zostałem przeniesiony na salę, na której leżeli Mały i Legionista. Mały zarobił sobie dwa tygodnie w kiciu, które miał odsiedzieć, gdy tylko wyzdrowieje. Gdy siostra przełożona i inne pielęgniarki pojawiły się w drzwiach, ryknął.

- Hurra, oto nadchodzą dziwki! Na koje, chłopcy!

Zrobiła się straszliwa awantura. Skończyła się w godzinę później, gdy oficer lekarz wymierzył mu dwa tygodnie. Mały po prostu nie mógł zrozumieć, za co. Nie zdołano mu wytłumaczyć, że szpital wojskowy nie jest burdelem. Gdziekolwiek ujrzał kobiety, Mały po prostu widział burdele.

- Tu się wszystko może zdarzyć - uśmiechnął się Legionista. - Niektóre pielęgniarki aż wzdychają za tym, by ktoś z blaszkami na piersi przespał się z nimi. Starszy kapral Hanssen, leży tu od siedemnastu miesięcy i kuma wszystko. Mówi, że siostra Liza wbiła sobie do głowy, że musi mieć chłopca, póki

jeszcze jest na to czas. Wypróbowała całe stado mężczyzn, ale jak dotąd nie ma chłopca. Ale jeszcze nie porzuciła nadziei. Robi to z takim zapałem, jak zawsze. Ona to uważa za swój patriotyczny obowiązek.

Pewnego dnia Legionistę i mnie zawinięto w jakieś koce i zanesiono w miejsce, z którego mieliśmy widok na połyskujące wody Łaby i mogliśmy obserwować holowniki, pchające się pod prąd. Wkrótce po tym dołączył do nas Mały, który również został umieszczony w fotelu. Przez całą godzinę siedzieliśmy tam, słuchając huku wbijanych nitów w stoczni Sttilckenwerft.

Pielęgniarka uczyła mnie chodzić. Nogi miałem sparaliżowane. Gdy wspinaliśmy się na urwisko, odłamek pocisku armatniego utkwił mi w kręgosłupie. Stopniowo uczyłem się chodzić. Kosztowało mnie to całe strumienie potu. Ta pielęgniarka była wyjątkowo cierpliwa. Choć stara i brzydka, była oddana swej pracy.

Zapomniałem jej imienia. Tych, którzy nam pomagają, często zapominamy, wrogów nigdy.

Mały wsadził swą wielką pięść pod nos każdemu z naszych dziesięciu współpacjentów na sali.
- *To nie jest rączka damy. Dobrze będzie, jeśli zdacie sobie z tego sprawę od samego początku.*
- *To mi przychodzi na myśl kaplicę pogrzebową - wymamrotał, marszcząc brwi, Stein.*
- *Tak, właśnie to lubię - powiedział Mały. - Twoje słowa dowodzą, że chodziłeś do szkoły. Nie obchodzi mnie, jeśli siedzicie wokół na łóżkach, ale posłuchajcie tego! Gdy powiem „Przynieść piwo!”, złożycie do kupy wasze grosze i polecicie jak błyskawice, by przynieść piwo dla Małego. I niech Bóg wam pomoże, jeśli spróbujecie je rozwodnić! Jeśli tylko będę miał dość piwa, będę gładki i miutki jak kociątko, to sobie zapamiętajcie. Ale jeśli go zabraknie... - Zrobił długą przerwę i rozejrzał się wokół złowieszczym wzrokiem - niech Bóg Wszechmogący zlituje się nad wami!*

ROZDZIAŁ III Dyktator Mały

Rosja została zapomniana. To, co wiedzieliśmy o Rosji, to był Front Wschodni. Nazwa, moi drodzy, obejmująca gorsze piekło, niż jakiegokolwiek opisywane przez księży, nawet z sekty opartej wyłącznie na ludzkim strachu przed nieznanym. Najbardziej pomysłowy kapłan tej sekty nie byłby w stanie wyczarować piekła, które mogłoby, choć odrobinę konkurować z piekłem, które poznaliśmy na Froncie Wschodnim, piekłem, zaludnionym diabłami w khaki i zieleni - mistrzami sadyzmu.

Teraz byliśmy daleko od piekła. Byliśmy ranni, chorzy, lubieżni, pijani. Nic nas, do cholery, nie obchodziło. Po prostu żyj i zapomnij. Umrzesz jutro.

W końcu znaleźliśmy się w dobrym szpitalu wojskowym w Hamburgu, ze współczującym naczelnym lekarzem oraz dobrymi i złymi pielęgniarkami. Operacje były przeszłością. Pocięli nas trochę w Krakowie, nieco więcej w Berlinie, a tu, w Hamburgu pocięli nas jeszcze trochę bardziej. Nie byliśmy przykuci do łóżek i mogliśmy spacerować poza terenem szpitala. Piliśmy, choć alkohol był zakazany. Spędzaliśmy czas chodząc na kurwy, wdając się w bójki, wpadając do barów i rżnąc dziewczyny oraz żony innych żołnierzy.

Legionista nie mógł już, niestety, zaznać przyjemności seksu, dzięki Unterscharführerowi SS w obozie koncentracyjnym Fagen, który amatorsko zabawiał się chirurgią. Ponieważ nie mógł radować się łamaniem szóstego przykazania, musiał znaleźć inny sposób na życie. Dlatego Alfred Kalb, były kapral 2. Pułku Francuskiej Legii Cudzoziemskiej, pił powoli, solidnie i nieustannie. Gdy ktokolwiek powiedział, że „Pustynny Włóczęga jest lekko wstawiony”, oznaczało to, że był bardzo pijany, tak pijany, że ktoś inny wykorkowałby od stężenia alkoholu w krwi.

Mały, gdziekolwiek poszedł, tam prowokował bójki. Dał wszystkim do zrozumienia, że przybył do

Hamburga by kogoś zabić, najchętniej jako żołnierza ze wsi. Sprzał któregoś z wykidajłów na Sankt Pauli, ponieważ podejrzewał go, że dolewa mu wody do piwa. Gdy kierownik zażądał od niego zapłacenia rachunku, Mały cisnął go w ramiona chórzynek rewiowych. Między stolikami chodził sobie koń, a goście poili go piwem. Mały zabrał konia ze sobą i zostawił go w holu pawilonu pielęgniarek gdzie wywołał dziką awanturę.

Gdy naczelny lekarz, dr Mahler, usłyszał o Małym i koniu, zachichotał.

- Co w tym złego, niech się zabawiają.

Dr Mahler, Naczelny Oficer Lekarz, był najbardziej niewojskowym chirurgiem wojskowym, jakiego można sobie wyobrazić. Przez wiele lat praktykował w koloniach brytyjskich. Jego specjalnością była medycyna tropikalna. Po zamachu z 11 lipca, władze nazistowskie go aresztowały. Krążyły plotki, że ledwie uniknął szubienicy. Był w jakiś sposób powiązany z admirałem Canarisem, przywódcą „opozycji”. W jaki sposób udało mu się pozostać przy życiu, nigdy nie wyjaśniono. Gdy go o to pytano, dr Mahler tylko wzruszał ramionami i odpowiadał: głupstwo. Nadal odbywa obchody swego spustoszonego przez gorączkę szpitala wojskowego w towarzystwie przełożonej pielęgniarek, siostry Emmy. Tysiące ludzi żyje dzisiaj dzięki oddaniu tego lekarza.

Ale w szpitalu byli także źli lekarze, bezużyteczni naziści, których główną rozrywką było tropienie „zdrajców” i symulantów. Na przykład dr Frankendorf. Nieustannie prześladował szeregowca artylerii przeciwlotniczej Georga Freytaga, który padł ofiarą dziwnej gorączki, w której nikt nie potrafił się rozeznaczyć. Nieustannie badali mu krew, lecz wyniki ciągle były negatywne. W chwili, gdy uznawali, że został wyleczony, gorączka znowu się pojawiała. Pod dowództwem dr Frankendorfa odbywały się błyskawiczne naloty dla stwierdzenia, czy George nie posiada cukru nasączonego benzyną lub podobnych, wywołujących gorączkę substancji. Nie znajdowano niczego. Frankendorf aranżował przesłuchania, przymilał się, groził, kłął, lecz za każdym razem odchodził przybity i głęboko rozczarowany.

Czy było to wygodne dla dr Frankendorfa, czy nie, gorączka szeregowca artylerii przeciwlotniczej Georga Freytaga trzymała się uporczywie.

Wraz z dr Frankendorfem wszyscy inni pacjenci na sali byli przekonani, że George oszukuje. Przez całe popołudnie i wieczór, nieprzerwanie aż do nocy, Mały robił Georgowi najbajeczniejsze propozycje w zamian za jego tajemnicę. Motywy Małego były nieco odmienne, niż Frankendorfa. Wydawało mu się, że George wynalazł chorobę doskonałą.

Ten tylko potrząsał głową.

- Wierz mi, przyjacielu, moja gorączka jest prawdziwa.

Mały nie ukrywał swego rozczarowania. Wrzeszczał i groził mu obiciem twarzy. W swej wściekłości kopniakiem wyrzucił przez okno miskę z wodą, lecz to nic nie dało. George trzymał święty sekret przy sobie.

Wziąwszy wszystko pod uwagę, George był dziwnym chłopcem. Nie pił, nie uprawiał gier hazardowych i nie okazywał zainteresowania kobietami. Wszystkim co robił było tylko pójście na spacer, gdy gorączka na to pozwalała. George był ładnym chłopcem, dobrym chłopcem. Robił różne rzeczy dla pielęgniarek, które wszystkie okazywały mu takie uczucie, jakie okazuje się dziecku - którym rzeczywiście był.

Siedzieliśmy w Numerze 72 z widokiem na Reeperbahn i Pałac Sprawiedliwości, groźnie mający na końcu Glacis Chaussee. Od Browaru Sankt Pauli zalatywał zapach piwa.

Legionista wyciągnął spod materaca butelkę. Wielką butelkę kminkówki. Przechodziła z rąk do rąk. Mały czknął rozkosznie i pociągnął dwa łyki. Rozejrzał się, by sprawdzić, czy ktokolwiek się temu sprzeciwia. Heinz Bauer był już lekko zamroczony. To zirytowało Małego, który przypadkiem był w

swym „wrażliwym” nastroju.

- Niedawno stuknięto kilka naprawdę świetnych dziewczyn - powiedział Paul Stein.

Miał na myśli trzy kobiety, zamordowane w Hamburgu w ciągu ostatnich paru tygodni.

- Morderca musi być wariatem - orzekł Mały i ponownie czknął, po długim łyku z butelki.

- Ostatnią udusił pończochą, a potem ją pociął.

Paul powiedział, że pierwsza z dziewczyn została uduszona pończochą lub sztuką bielizny, po tym jak została zgwałcona i pokaleczona nożem. Zadowolenie mordercy zdawało się zależeć od uduszenia dziewczyn intymną sztuką odzieży. Na tym etapie policja dostawała prawie rozstroju nerwowego z frustracji.

- Może dr Frankendorf jest mordercą seksualnym - podsunął Mały z rozjaśnioną twarzą. - Do diabła, chłopcy, gdyby tak dr Frankendorfowi ktoś upierdolił dyńkę!

- Mon Dieu, to by było wspaniale! - Wykrzyknął Legionista. Oczami wyobraźni ujrzał bydlęcą głowę dr Frankendorfa, spadającą do kosza.

- Widzieliście zdjęcia, wystawione za szkłem w gablocie, przy komisariacie policji na Davidstrasse?

- Zapytał Mouritz Klokyty, ochotnik z Sudetów. Nie znosiliśmy Mouritza. Powinno istnieć prawo przeciw wystawianiu takich rzeczy - ciągnął dalej.

- Gniew Boży wkrótce spadnie na nich, spadnie na nas wszystkich.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Spytał Mały i zgrabnie wypluł garść przeżutej, kapusty kiszanej. Kapustę trzymał na nagłe sytuacje w misce ukrytej w tekturowym pudełku pod łóżkiem.

Mouritz stał się uroczysty.

- Ale czy nie zdajecie sobie sprawy, że skandal doprowadzi do złego końca? Błyskawica i grom w was uderzą.

- Mogę bez trudu sobie wyobrazić, że Boga nieco rozeźli to, że jakieś kobiety są rozcinane od góry do dołu - odpowiedział dobrodusznie Mały napychając usta kapustą kiszoną, - ale to zupełnie nie powód, by miał za to karać mnie, Pustynnego Włóczęgę, Svena, czy policjantów z Davidstrasse. Żadnemu z nas nie przyszło by do głowy zarzyniecie dziwek. Wolimy traktować je na staromodny sposób.

- Wszchemogący Boże! - Zawołał oburzony Mouritz.

- Nie wzywaj imienia Pana nadaremno - pouczył go Mały, grożąc palcem.

Mouritz nie pozwolił przerwać sobie. Zwrócił się do nas, pozostałych.

- Jesteście bluźniercami, pomiotem diabelskim. Strzała Boga ugodzi was, ponieważ odmawiacie ujrzenia upadku moralności wokół was.

Jak kapłan ekskomunikujący swój zbór, skierował palec na Małego i zaintonował: jesteś kusicielem, naczyniem zła, ale dobro cię zetrze na proch.

Mały walczył akurat z kawałem wieprzowiny, która twardo opierała się przegryzieniu na dwie części. Przestał żuć. Wyciągnął z ust cały kawał i groźnie spojrzął na Mouritza.

- Czym ja jestem, jak powiedziałeś?

- Naczyniem zła - zaintonował Mouritz. - Życie jest ciernistą ścieżką, zasypaną grzechami, a ty jesteś jednym z tych kolczastych grzechów. - To spowodowało, że Mały, siedzący na podłodze po turecku, z wieprzowiną w dłoni, otworzył usta ze zdumienia. Mouritz zrobił groźny gest w jego kierunku. - Ale nie skusisz mnie, szatanie. Ty - kusiciel i uwodziciel, a ja mówię: nie ma Zbawienia dla ciebie!

Legionista przerwał Mouritzowi jego ekskomunikę:

- Voila, całkiem ponura gadka! - Zawołał ze śmiechem.

Mały powrócił do żucia swej wieprzowiny. Potem powoli wstał. Z gardła wydarło mu się warknięcie.

- Powinieneś być nieco ostrożniejszy, obrzucając obelgami Małego, ty tępy nudziarzu. Oczywiście nie zdajesz sobie sprawy, że jestem zbawiony jako osoba pobożna, która kupiła sobie rozgrzeszenie. Chcesz posłuchać, za jaką cenę, ty czeski Judaszu, co sprzedałeś swą pobożność Adolfowi? Pięć kwart wódki i dwieście papierosów machorkowych, które ryzykując życiem ukradłem sierżantowi kwatermistrzostwa 27. Pancерnej... A teraz takie nic jak ty twierdzi, że jestem bezbożny!

Znów przestał wgryzać się w wieprzowinę i wymierzył nią Mouritzowi policzek. Mouritz półleżał na brzegu swego łóżka. Twarz mu zzieleniała ze strachu.

- Wiesz z Sodomy - stwierdził Mały.

Splunął na Mouritza, który teraz leżał jak martwy, patrząc szklistymi oczami na Małego, który powrócił do swej bitwy z wieprzowiną. Mouritz otwierał i zamykał usta jak karp w skrzynce sklepu rybnego tuż przed tym, jak utną mu głowę, aby uniemożliwić nabywcy odkrycie, że karp jest już na pół nieżywy. Małemu odbiło się poprzez wieprzowinę, która uparcie pozostawała w jednym kawałku.

- Wynos się stąd, ty nazistowski szpiclu i spróbuj przejść przez Elsterę ze śliczną, małą modlitewką, dokładnie tak jak Mojżesz, gdy przechodził przez Kanał Sueski. - Pojęcie Małego o historii biblijnej było nieco zagmatwane. Znów uderzył Mouritza prosto w twarz twardym kawałkiem wieprzowiny. Mouritz z wrzaskiem spadł pod łóżko. Nie zdejmując butów Mały rzucił się na własne łóżko i kontynuował wysiłki, by pokonać uparty kawał mięsa.

Pomocnica pielęgniarki wsadziła głowę do sali szpitalnej, dostrzegając tylko jedno: Małego na jego łóżku w nałożonych na stopy butach. Uradowana pogalopowała, by zameldować o niesłychanym naruszeniu regulaminu powszechnie budzącej strach siostrze przełożonej Emmie, która miała ksywę „Pancernik”.

Legionista bez słowa rzucił butelkę kminkówki Małemu, który bez wstawania pochwycił ją w locie. Ostrożnie wlał sobie napój do gardła, leżąc na plecach z kawałkiem wieprzowiny w ręce. Takiego zastała go siostra przełożona. Na pół minuty odebrało jej mowę. Szklistym wzrokiem wpatrywała się w ludzkiego goryla, rozpierającego się na łóżku, na czystej kołdrze w niebiesko-białą szachownicę trzymającego nogi obute w parę butów piechoty.

- Czyś ty rozum stracił? - Zapytała, pokazując grubym palcem czarne, wyczyszczone do połysku buty. Mały wyjął butelkę z ust, splunął nad krawędzią łóżka i trafił do stojącej o parę metrów dalej miski. Pomocnica pielęgniarki ledwie uniknęła śliny. Mały oczyścił sobie nos, wciągając przez niego powietrze głośno i z wysiłkiem.

- Czego chcesz, tłusta macioro?

Wstrzymaliśmy oddech. Wcześniej nie zauważyliśmy, że Mały jest pijany, a w takim stanie wszystko mogło mu strzelić do głowy. Niedawno pokłócił się z dziewczyną w apartamencie na trzecim piętrze. Na znak protestu wyrzucił przez okno wannę. Hałas był taki, że pobliscy ludzie myśleli, iż na podwórze spadła bomba i ruszyli do piwnicy. Oczy Pancernika znikły w jej tłustej twarzy.

- Jak śmiesz? - Syknęła, pochylając się nad Małym, który spoczywał na łóżku równie spokojnie, jak poprzednio. - Nazwałeś mnie maciorą?

Mały nie odpowiedział i nadal żuł wieprzowinę.

- Wstawaj, wieprzu, albo przekonasz się, z kim masz do czynienia - warknęła złowieszczo olbrzymia kobieta. Gdy pochylili się jeszcze niżej nad przeżuwającym Małym, jej suknia podjechała do góry, ukazując jej ogromne kolana.

- Oszczędzaj proch, grubasko. Znam cię. Jesteś przełożoną pielęgniarek w tej instytucji i powiedziano mi, że nazywają cię Pancernikiem, ponieważ jesteś taka gruba i brzydka. Ja cię nazywam „Beka Sadła”. To wszystko! A teraz spadaj.

Rumieniec, jak chmura gradowa nad słoneczną wioską, rozplątał się na okrągłych policzkach kobiety.

- Wstawaj, ty syfiasty śmieciarzu - syknęła, chwyciła Małego za ramiona i ku naszemu zdumieniu podniosła go z łóżka. W następnym momencie cisnęła go na podłogę, gdzie wylądował z trzaskiem. Patrzył na nią z głębokim zachwytem. Aż do tej chwili nikt i nigdy nie wyrzucił go z łóżka.

Pancernik wygładziła łóżko, wyrzuciła butelkę kminkówki i wielki kawał wieprzowiny do kosza na śmieci i odpłynęła z sali bez słowa.

- Święta Matko Boska, to kobieta dla mnie - mamrotał Mały, rozcierając ramię. Niech mnie diabli wezmą, jeśli nie spiknę się z nią. Po prostu wyobraźcie sobie akcję bezpośrednią.

- Udusi cię jak kaczuszkę - zauważył Heinz Bauer.

Mały chwycił szklankę do wody, roztrzaskał ją o ścianę i ryknął: zgwałcę tę świnię, załóżcie się, że tak!

Drzwi otwały się ponownie. Pancernik wypełniała je całkowicie. Stała ssąc cukierka. Groźnie popatrzyła na Małego, ale jej spojrzenie odbiło się od niego.

- Przestań się popisywać, ty wole. - Wypluła te słowa swym niskim, męskim głosem. Twoje wrzaski przeszkadzają innym pacjentom. Jesteś teraz w szpitalu, a nie w twoich koszarach. Jeśli sprawisz jeszcze trochę kłopotu, będziesz odpowiadał przede mną.

Z hukiem zatrzęsnęła drzwi, zupełnie nie okazując troski o spokój tych innych pacjentów, którzy ją przed chwilą tak obchodził.

- Co za mała łotrzyca! - Wykrzyknął triumfalnie Mały. Z kosza na śmieci wyłowił butelkę, dokończył ją i wyrzucił przez okno do ogrodu Instytutu Meteorologicznego. Następnie wyruszył na polowanie na wieprzowinę w tymże koszu - zaplątała się wśród innych delikatesów - wyciągnął ją, nieco otrzepał i znów usadowił się na miejscu, by dokończyć jej żucia.

- Wspaniała sztuka - czknął i znów uwalil się na łóżku, chociaż, co dziwne, najpierw zdjął buty i zaczął ryczeć pieśń wojskową, której tekst nieznani żołnierze ulepszyli.

Wir sind die Panzerjager, die Hungerkünstler der Nation, für Dorr gemuse und für Kundüse.

Wymachując wieprzowiną w dłoni, podniósł swój głos do fantastycznego wrzasku.

Vorwärts, dumme Schweine, im Kampfe sind wir stets alleine, denn die Scheisshausbingste fahren mit dem Autos hintendrein, dann uerleiben Euch was die Nazis.

- Piwa - oświadczył, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

- Wyobrażasz sobie, że jesteś w barze? - Zapytał Paul Stein.

Jednym skokiem Mały stanął na nogach, pochwycił Steina i machnął nim nad głową.

- Ty nędzny kawałku gluta - zagruchał pieszczotliwie, stopniowo zaciskając chwyt na swej ofercie. - Więc wyobrażasz sobie, że możesz dokuczać Małemu? Ośmielasz się zakazywać mi ugaszenia mego pragnienia! Teraz możesz pójść i przynieść piwo. Za każdy złamany grosz, jaki posiadasz. I to natychmiast, ty pasożycie!

Cisnął przerażonego Steina o ścianę, jak wyrzucony kapsel od butelki, plunął za nim i zaryczał.

- Na jednej nodze! Spiesz mi się, mam pragnienie.

Wstawszy, Stein wybełkotał coś pod nosem i spojrzał wilkiem na Małego, który znów rozłożył się na łóżku, obojętnie żując swój niezniszczalny kawałek wieprzowiny.

- Pewnego dnia przez twą gburowatość złamiesz sobie kark - powiedział Legionista łagodnym, prawie delikatnym tonem. Zajmował łóżko przy oknie, najlepsze łóżko na sali. Dzięki swemu strategicznemu spojrzeniu przywłaszczył sobie to łóżko natychmiast, gdy wszedł na oddział. Wedle przepisów należało ono do Mouritza, sudeckiego Czecha. Naturalnie Mouritz zrobił z tego aferę.

- To moje łóżko, przyjacielu. Musiałeś się pomylić.

W formie odpowiedzi Legionista ledwie obdarzył go przelotnym spojrzeniem. Mouritz powtórzył swój protest. Legionista odłożył swą gazetę i powoli uniósł się na łóżku.

- Merde, ce est, mon camarade.

- Co ty powiedziałeś? - Mouritz popatrzył tępym wzrokiem na Legionistę, który powrócił do czytania gazety. W kąciку warg zwiślał mu papieros.

- Nic, zupełnie nic, mon camarade. - Zrobił pożegnalny gest, jakby odpychał coś natrętnego. Nagle skoczył do góry jak napięta sprężyna i ryknął: Allez!

Mouritz nie znał francuskiego. Po prostu stał w miejscu, groźnie spoglądając. Po prostu nie mógł pojąć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Reszta z nas nic nie powiedziała. Wiedzieliśmy, co się zbliża. Bójka, podniecająca nerwy bójka!

Mały wstał na nogi. Podsunął się do Mouritza jak niedźwiedź, który zwęszył miód. Mouritz, który stał tyłem do niego, nie widział oznak zbierającego się huraganu, huraganu, który go zetrze. Legionista pokazał skierowany w dół kciuk i szepnął z uśmiechem: Cest bien ca - sygnał dla Małego. Wtłoczenie tego sygnału do grubej czaszki Małego zajęło Legioniście godziny cierpliwego trudu.

Nagle Mouritz znalazł się w uchwycie żelaznej łapy. Został poderwany do góry i zanieiony przez całą salę do łóżka przy drzwiach. Zajmujący je musiał nieustannie włączać i wyłączać światło i stale mu przeszkadzano. Mały bardzo ostrożnie złożył na nim Mouritza, jakby ten był zrobiony z kruchego szkła. Następnie cofnął się o krok i przyjrzał mu się uważnie.

- Jesteś świnią - zwierzył się Mouritzowi, - pospolitą, głupią świnią, która całuje w dupę nazistowskie kupy gówna. A teraz powiedz mi, czym jesteś.

Mały dał mu klapsa wierzchem dłoni. Całkiem przyjaźnie, jak sądził. Dla nas zabrzmiało to jak wybuch wulkanu.

- Teraz powiedz nam, czym jesteś, kojcu na kurczaki.

- Jestem świnią - wyjąkał Mouritz.

Kolejny klaps.

- Nie chodziłeś do szkoły, ciemniaku? Nie potrafisz nauczyć się niczego na pamięć?

- Głupią świnią - zakwicział Mouritz, - która całuje w dupę nazistowskie kupy gówna.

- Całkiem dobra odpowiedź - potwierdził Mały. Pokazał palcem łóżko, na którym leżał Mouritz. - Prosiłeś o to łóżko, prawda?

- Prosiłem - powiedział, kapitulując, Mouritz.

Mały uniósł brew.

- Do diabła, co ja usłyszałem?

Mouritz pospiesznie dodał „panie kapralu”.

Goryl skinął głową z satysfakcją.

Wszyscy byli świadkami tej sceny. Uczyniła ona z Małego absolutnego dyktatora sali, dyktatora, który brutalnie i bez skrupułów eksploatował swych poddanych. Adolfa w miniaturze.

To była przyczyna, dla której Paul Stein teraz posłuchał rozkazu Małego i szybko przyniósł trochę piwa z browaru Sankt Pauli. Bez słowa umieścił wszystkie dziesięć butelek w tekturowym pudełku pod łóżkiem Małego.

Mały kazał Mouritzowi, by mu zaśpiewał. Zabrzmiał hymn, smutny hymn o zbawieniu świata. Mały chwilowo przerwał picie piwa i uprzejmie wysłuchał wszystkich dziewięciu zwrotek. Jego jedynym komentarzem było wysłanie za Mouritzem porcji śliny. Kazał mu pójść do łóżka i odpoczywać, ale nie wcześniej, nim odmówi modlitwę za duszę Małego.

Gdy wszystkie rozkazy zostały należycie wykonane, Mały przez chwilę pił w milczeniu. W końcu minął fazę bycia po prostu „bardzo pijanym”. Zaczął wyrzaskiwać piosenkę. Melodia nie została

jeszcze zatwierdzona przez historyków muzyki, a tekst był taki, jaki mógł zwalić mu na głowę oskarżenie o zdradę główną.

An der Strasse nach Moskau marschiert eine Kompagnie, das sind die Reste von Adolfs ganzem Heer, Sie komitent schon Josef sehen, und mussten wieder stiften gehen, wie einst Napoleon.

Przez chwilę milczał. A po tym, z nowym wigorem, zaczął na tę samą melodię.

Hurra, wir haben den Krieg verloren.

- Czy kogoś tutaj świerzbą ręce do bójki? - Zapytał w ciemnościach. Minęła sekunda czy dwie, i dodał: jeśli tak, rad będę wygarbować wam dobrze skóry.

Żadnej odpowiedzi.

Rzucił butelką przez otwarte okno. Rozbiła się na ulicy. Zgrzytliwy głos odbił się od ścian skrzyżowania Zirkusweg. Widzieliśmy zachwyconą minę Małego, gdy tego słuchał. Zataczając się podszedł do okna i zarżał w przewidywaniu triumfu.

- Zamknijcie gęby, osły! Czy nie dostrzeżliście, że płynie koło szpitala wojskowego? Musimy tu mieć ciszę. Jesteśmy ludźmi chorymi. Bohaterami! Nie zakłócajcie spokoju chorym! Bo jeśli nie, zejść i wam wpierdolę!

Męski głos gniewnie podjął wyzwanie i zaczął go zachęcać. Niósł się echem w ciszy bezsennej nocy.

- Kurwa! - Zawył Mały, szykując się do skoku przez okno.

W chwilę później rzuciło się na niego trzech czy czterech z nas. Mocno przycisnęliśmy go do podłogi.

- Ale on mnie wyzwał, czy nie słyszycie? - Mały był oburzony. Wrzasnął przez jedno z okien.

- Tylko poczekaj, skurwielu, aż będę wolny. My tu jesteśmy bojownikami. Obrońcami naszego kraju. Jesteśmy bohaterami. Co myśleć może taki... Taki...

Legionista musiał stołkiem pozbawić go przytomności.

Nadeszła noc i na sali było cicho.

Ciotka Dora myślała o wszystkim pod kątem pieniędzy. Stała za swym kontuarem barowym z wypchaną rybą-mieczem i zaprawiała Akwawit Angosturą. Oczami oceniała każdego wchodzącego przez obrotowe drzwi.

Legionista siedział naprzeciwko niej na wysokim stołku barowym, popijając Pernoda. Ten napój, wyglądający nader niewinnie smakuje jak lukrecja, jest jadowicie zielony, a zmieszany z wodą bieleje.

- Pernoda wynalazł diabeł - oświadczył - ale tego się nie wie aż do ósmego kieliszka. Śmiejąc się wręczył dziewiąty dziewczynie.

Rozebrała się w jednej z małych łóż, jej bielizna była czarna jak noc, zupełnie przezroczysta. Tylko majteczki, których zdjęcia odmówiła, były czerwone, koralowo czerwone. Gdy zdjęła je na górze, oglądali to tylko Stein i Ewald, nadworny alfons Ciotki Dory.

ROZDZIAŁ IV Ciotka Dora

Często odwiedzaliśmy „11 w Skali Beauforta” za Dworcem Centralnym. Ściślej mówiąc zawsze chodziliśmy do „11 w Skali Beauforta” za Dworcem Centralnym.

Ciotka Dora, gospodyni tego wytwornego lokalu była brzydką, pozbawioną uczuć kobietą. Wszystko mierzyła w pieniądzech. Niektórzy, może nawet większość ludzi, uważali, że jest odrażająca. Dla nas, narzeczonych Śmierci, wyglądało to mądrze. Za pieniądze dostać można wszystko.

- Za pieniądze możesz otrzymać wieczne życie w siedzibie Allaha w błękitnych dolinach - powiedział Legionista i nabożnie skłonił głowę ku południowemu wschodowi.

- Za pieniądze można kupić dowolną ilość kobiecego mięsa - rzekł Bauer.
- Za pieniądze kupić można burdel - stwierdził Mały. Wzrokiem rozbierał dziewczynę, wdzięczącą się na wysokim stołku barowym.
- Za pieniądze możesz zostać przyjęty u Ciotki Dory - roześmiałem się i posłałem jej całusa.
- I pozwoli ci zamroczyć się towarem, którego nie dostaniesz nigdzie indziej w Trzeciej Rzeszy - uśmiechnął się Stein. Połknął jednym haustem wielką szklankę dżinu i zażądał powtórki.
- Jesteście stadem brudnych świń - stwierdziła Ciotka Dora, - ale tak długo, jak możecie płacić, jesteście mile widziani w „11 w Skali Beauforta”.

Mieliśmy mnóstwo pieniędzy. Byliśmy na odległym froncie bardzo długo. Większość z nas miała żyłkę do interesów i wiedziała, jak zdobyć coś na sprzedaż. Mały Legionista ocenił, że czarny rynek w Hamburgu jest najlepszy na świecie. Wszystko można tu było kupić i sprzedać, nawet trupa.

Światło w barze Ciotki Dory było czerwone, bardzo przyćmione. Przynajmniej od trzech lat tańczenie było prawnie zabronione. Ale u Ciotki Dory pomimo tego tańczono. Policja i jej kapusie pojawiali się nader często, ale Ciotka Dora, demon w spódnicy, mawiała.

- Najlepszym sposobem zachowania przyjaciół jest wiedzieć coś o nich. - I zawsze udawało jej się czegoś o nich dowiedzieć, dość, by zmusić ich do przemykania oczu na wszystko niezgodne z prawem w „11 w Skali Beauforta”. W meldunkach o nastrojach ludności, sporządzanych przez tajną policję, „11 w Skali Beauforta” figurowała jako miłe miejsce ze stałą klientelą, pozbawione znaczenia politycznego.

W „11 w Skali Beauforta” łamano więcej praw i zarządzeń, niż gdziekolwiek indziej. Panie przychodziły tutaj, by doświadczyć zakazanego, choć w ostatniej minucie mogły stchórzyć. Inni ludzie przychodzili tutaj, by się upić, a potem zastrzelić - albo mieć podejrzięte gardło i zostać wrzuconym do Łaby. Od czasu do czasu wyławiał ich bosakiem statek celników przy Landungbrücke.

Dziewczyna w sukience do kolan poprosiła Legionistę do tańca. Nawet nie zadał sobie trudu, by na nią spojrzeć. Sącył wódkę, głęboko zaciągnął się papierosem, a potem powoli wypuścił dym nosem.

- Chcesz zatańczyć, mały? - Zapytała dziewczyna po raz drugi. Głodnym wzrokiem oceniła żyłastą postać i brutalną twarz z długą blizną od noża, połyskującą płomienną czerwienią.

- Idź do diabła - warknął półgębkiem Legionista.

Dziewczyna wybuchła. Obraziła się straszliwie.

Wychudzony młody gość podszedł, przysuwając się do stołka Legionisty. Sięgnął ręką do gardła małego żołnierza, ale w następnym momencie leżał na podłodze. Kopnięcie w twarz i morderczy cios w gardło. I znów zapanowała cisza. Legionista usiadł na miejsce i zamówił następną wódkę. Ciotka Dora dała znak odźwiernemu, ogromnemu Belgowi. Ten chwycił nieruchomą postać jak wielki worek mąki i wyrzucił go przez drzwi wejściowe. Stamtąd inni kontynuowali transport do jakiegoś miejsca, wystarczająco odległego od „11 w Skali Beauforta”.

Dziewczyna została zdrowo wychłostana w małym pokoiku za kuchnią. Nie krzyczała. Owinięto jej głowę brudną kołdrą, podobnie jak wielu innym kobietom, brutalnie ukaranym w tym pokoju za kuchnię. Kołdra stłumiła jej krzyki. Osoba, do której należały te sprawy, była to prawa ręka Ciotki Dory, były alfons. Położył dziewczynę na stole specjalnie zrobionym do tego celu. Bił ją krótką kozacką nahajką, dawno temu kupioną od esesmana, który miał dwie takie na sprzedaż. Ewald, wykonawca wyroków Ciotki Dory kupił jedną, policyjny detektyw drugą. Detektyw sądził, że może ona dopomóc w uzyskiwaniu zeznań.

Pod wszystkimi innymi względami detektyw policyjny zachowywał się w swej pracy bardzo poprawnie. Ale nie uzyskiwał wystarczającej liczby zeznań. Jego przełożeni używali między sobą powiedzenie, że bardzo by zyskał na wycieczce do Rosji. Z tego właśnie powodu kupił kozacki bicz.

Natychmiast został sierżantem policji, niektórzy mówili, że nawet był lepiej widzianym. Teraz nie był już poprawny i uzyskiwał mnóstwo zeznań. Dyktatura nie używa ludzi poprawnych. To czego żąda, to wyniki.

Ewald wychłostał dziewczynę dwukrotnie a potem z nią spał. Wtajemniczeni mówili, że Zawsze tak robił.

Następnego wieczoru dziewczyna wróciła do pracy u Ciotki Dory. Zabierała do domu trzydzieści pięć procent swych zarobków. Już nigdy więcej nie zaprosiła Legionisty do tańca.

Dwie panie usiadły obok Legionisty. Były to dobrze ubrane, eleganckie panie, a nie jakieś zwykłe barówki. Jedna z nich obdarzyła Legionistę szybkim spojrzeniem. Założyła nogę na nogę, a jej spódnica podjechała ponad kolana. Mignęła jaskrawo biała halka. Dwie panie piły szampana. Najlepszego, jaki mogły zamówić. Legionista odpalił nowego papierosa od niedopałka starego i zerknął na butelkę. Wskazując pełne szklanki zapytał:

- Chateauf, est-il le meilleur?

Panie udały, że nie słyszą.

Z twarzą skrzywioną w wyniosłej minie i oczekując zwycięstwa, Legionista pochylił się nad ciemnowłosą panią, zwaną przez swą przyjaciółkę Lizą. Druga miała na imię Gizela.

- A może by tak rzut kostkami za sto marek?

Pani nie odpowiedziała, ale na jej policzki wypełził rumieniec. To mogło być od szampana. Legionista zaśmiał się. Ciotka Dora stała tyłem do kontuaru, ale wszystko widziała w małym lusterku, stojącym wśród kieliszków. Roześmiała się. Ja się zaśmiałem. Bauer się zaśmiał. Mały pił, przeklinał i gorączkowo paplał na temat dziewczyn.

- Czy chcesz pójść na górę i pograć trochę? Dam ci dwieście marek i nowe majteczki powiedział półgłosem Legionista.

Ciotka Dora śmiała się nad swoimi gorzkimi kroplami. Do duńskiego sznapsa używała tylko Angostury. Zwykła mawiać, że to oczyszcza duszę. Pewien pastor powiedział jej kiedyś, że jej duszę będzie trudno umyć do czysta. Właśnie dlatego piła ten ostry napój.

- Powinieneś się wstydzić za siebie - rzekła Liza, odrzucając propozycję Legionisty. Opróżniła swą szklankę prawie jednym łykiem. Musiała to zrobić przez omyłkę, jej przyjaciółka Gizela swój tylko sęczyła.

Śmiejąc się cicho Legionista zażądał od Trudy, kelnerki z Berlina, pomagającej Ciotce Dorze przy barze, by ponownie napełniła szklankę Lizy. Mrugnął do kelnerki. Zrozumiała.

Szklanka Madame Lizy otrzymała parę kropli ze specjalnej butelki. Tylko Ciotka Dora wiedziała, co ta butelka zawiera. Cokolwiek to było, nawet odrobina domieszana do napoju dziewczyny zawsze dawała wyniki. Liza absolutnie niczego nie podejrzewała i wzięła swą szklankę. Odwracając się od swych kieliszków Ciotka Dora naląła drinka Legioniście i powiedziała mu, podkreślając każde słowo.

- Jesteś brudną świnią. Ale życzę szczęścia. Brud robi pieniądze, mój chłopcze.

Legionista roześmiał się.

- Madame, czterysta zaliczki i nowe figi z Francji - wdziękzył się, a potem powrócił do robienia kólek z dymu.

Truda zwilżyła absolutnie czysty kieliszek swym oddechem i zaczęła polerować, jakby chciała go całkiem zetrzeć. Na ustach igrał jej uśmiech. Była podniecona jak my wszyscy, ponieważ wiedziała, że Legionista nie może mieć nic do czynienia z kobietami, a na dobitkę tego nie chciał.

- Jesteś odrażający - oświadczyła Liza, demonstracyjnie odwracając się plecami do Legionisty siedzącego w czarnym mundurze czołgisty z małymi, srebrnymi trupimi główkami na wyłogach.

- Sacre nom de Dieu! - Zawołał Legionista, udając zaskoczenie.

Ciotka Dora wetknęła sobie w usta długie cygaro i zwróciła się do Legionisty.

- Podaj mi ogień, ty afrykański skurwielu.

Legionista usłuchał i podrapał się w nos.

- Jak myślisz, czy powinienem wynająć tę panią na jedną turę w łóżku?

- Teraz zamknij się, świnió i daj spokój tej pani. Ona nie chce niczego od ciebie, ani ty od niej.

Wiesz o tym bardzo dobrze.

Usiadła na wysokim krześle naprzeciw Legionisty, który znów zwrócił się do Lizy.

- Masz piękne nogi, madame. Mon Dieu, masz cholernie piękne nogi. Nie zrobiłoby mi przykrości rozebranie ciebie. Sześćset gotówką, jeśli pozwolisz mi się rozebrać. A może zatańczymy, madame?

- Nie i daj mi spokój. Nie jestem tym, co sobie o mnie myślisz.

Legionista uniósł brwi.

- No, nie mów! Co za wstyd.

Ciotka Dora dmuchnęła Legioniście dymem w twarz. Jej brutalne usta uśmiechnęły się.

- Za co ty bierzesz tę panią? - Zapytał Bauer.

Legionista uśmiechnął się, pociągnął się za nos i upił łyk ze swojej szklanki.

- Dystyngowana pani szukająca przygody, nie tania dziwka, która wyszła na spacer w sukni swej pani.

Liza skoczyła z miejsca. W następnej chwili rozległo się uderzenie w policzek Legionisty. Z szybkością błyskawicy chwycił ją za nadgarstki. Wykrzywił wargi w warknięciu, ukazując szereg białych jak perły zębów.

- Merde, więc ta mała pokazuje pazurki? Mah cést bien ca. Madame chciałyby zatańczyć.

Mały ześlizgnął się ciężko ze swego stołka barowego i podszedł do nich ociężale jak goryl.

- Bezczelny typie, ja nie chcę tańczyć - prychnęła Liza.

- Oczywiście chcesz - zdecydował Legionista. Skinął głową do Małego.

Próbowała się uwolnić, ale żyłaste palce Legionisty trzymały jej nadgarstki jak stalowa pułapka. Ciężka, połyskująca złotem bransoleta lekko zadźwięczała, jak małe dzwoneczki. Mały bez słów chwycił ją w pól i pchnął na podłogę. Wrzasnął do pianisty.

- Alois, zaczynaj młócić, poganiaczu klawiszy. Mały ma zabawić się z tą kurewką.

Przy małych stolikach w lożach goście zaczęli parskać śmiechem. Dziewczyny kwiczały, rozkoszując się widokiem eleganckiej pani, która wpadła w tarapaty. Uważały „11 w Skali Beauforta” za swoje największe dobro, należące wyłącznie do nich. Wszystkie obce kobiety działały na nie jak czerwona płachta na byka.

Na fortepianie zagrano dziką melodię. Pozostali goście zeszli na mały parkiet za zasłoną. Mały wrzucił wyższy bieg i poturlał się po podłodze. Nagle zahamował, wślizgnął się bokiem po wąskich schodkach, zatrzymał się i zawył, podniósł sobie Lizę nad głowę i zakręcił nią. Następnie włączył sprzęgło i zaczął się ślizgać po podłodze w rytmie walca, w ogóle nie zwracając uwagi na muzykę. Nagle poczuł się jak apasz, cisnął swą panią do kąta i splunął na drzwi. Ale już znów miał ją w uścisku, zanim jeszcze zdała sobie sprawę, że przed chwilą rzucono ją przez całą salę. Wydał głośny ryk i zatańczył solo wokół partnerki, która stopniowo zaczęła popadać w obłęd. Wziąwszy pięści na biodra okrążał ją kołyszając się jak kogut w tańcu godowym i podśpiewywał:

- To szybko się skończy, Wszystko ma swój koniec.

Pianista Alois przestał grać. Chwyciwszy Lizę Mały przemknął obok fortepianu, ale udało mu się w przelocie stuknąć Aloisa w czoło.

- Rusz się, dupku, jak sobie wyobrażasz, po co jesteś?

Z wzorowym zapalem Alois zaczął tłuc w klawisze. Zagrał ognisty walc węgierski, a tymczasem Mały przeskoczył na tango. Ani jednemu ani drugiemu nie przeszkadzały niezgodne rytmy. Zupełnie nie zwracając uwagi na muzykę Mały robił, co mu się podobało, co chwila kręcąc bezradną Lizą w powietrzu jak śmigłem. Zgubiła pantofel. Leżał na środku podłogi, niebieski i opuszczony. Liza już nie tańczyła. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa podczas rumby. Mały nadal tańczył solo, w międzyczasie obracając nią w koło na swych barkach. Nagle zatrzymał się i groźnym wzrokiem rozejrzał się po sali.

- Czy komukolwiek zachciało się bójki?

Brak odpowiedzi. Mały kiwnął głową z zadowoleniem.

- Mam nadzieję, że nie, dla waszego własnego dobra.

Legionista zachichotał.

- Chodź, połóż swoją panią na kontuarze.

Nadymając się dumą, Mały rzucił półprzytomną Lizę na kontuar. Usiadł koło jej przyjaciółki Gizeli.

Legionista spojrział na ciężko dyszącą kobietę leżącą przed nim, na kontuarze.

- Trudo - odezwał się bez widocznego powodu - madame potrzebuje czegoś na wzmocnienie.

Kolejna szklanka z odrobiną z butelki Ciotki Dory.

Teraz nieszczęsna Liza znów stała na nogach. Po chwili zupełnie zapomniała swej pełnej godności arogancji. Tańczyła z Bauerem. Tańczyła ze Steinem Tańczyła z sierżantem piechoty.

Sierżantowi nie udało się dokończyć tańca. Mały znokautował go, a Belg wyrzucił go na tyły lokalu, gdzie inni zajęli się dalszym transportem.

Jeszcze raz zatańczyła z Małym. Piła z Legionistą. Upiła się zupełnie. Cisnęła swe suknie do jednej z małych, oddzielonych zasłonami łóż.

Chytre kropelki Ciotki Dory powodowały, że ludzie zapominali o przepisach. Ruszała lawina.

Liza zapytała Legionistę, czy odprowadzi ją do domu.

- Jesteś szmatą - powiedział i wziął kolejny łyk wódki.

Popłakała trochę. Legionista już nie zwracał na nią uwagi. Powiedział Ciotce Dorze, że kobiety przychodzące do jej spelunki w poszukiwaniu przygody są łajdaczkami. Opowiedział jej o kobietach w Casablance i Rabacie. O kobietach, które kochały i umierały. O ludziach bezszelestnie mordowanych w wąskich zaułkach między białymi domami. Opowiadał o tym z przerwami, cichym półszepem.

Ciotka Dora słuchała, mrużąc oczy. Drażnił go dym z jej długiego cygara.

Gizela spróbowała wyjść. Nagle dopadło ją nieprzeparowane pragnienie świeżego powietrza. Belg przy drzwiach obrotowych, uśmiechnął się przyjaźnie, ale potrząsnął głową.

- Nie opuszcza się przyjęcia w taki sposób, madame!

Zaprowadził ją z powrotem do baru. Przenikliwy śmiech Lizy odbił się od lamp na suficie. Znów pociągnęła ze swej szklanki. Paliła, czując, że jest jej bardzo gorąco. Usiadła obok mnie. Zaproponowałem jej wspólny spacer na górę. Ja też byłem lekko podpity i miałem ochotę rywalizować z Legionistą. Bardzo dobrze wiedziałem, że nie zachowuję się przyzwoicie, i co z tego? Jutro możemy umrzeć.

Potrząsnęła głową i machnęła stopą w małym, różowym pantofelku.

- Musi być bardzo bogata - pomyślałem.

- Och, idź do diabła - powiedziałem.

Udała, że nie słyszy. Mały wrzeszczał o kurwy. Nikt nie zwracał na to uwagi, gdyż zawsze to robił. Chciał bić się z odźwiernym, który był zawodowym zapaśnikiem, ale Belg nie miał ochoty bić się z Małym. Pewnego dnia bili się. Trwało to ponad godzinę. Gdy się wreszcie skończyło, Mały

wyglądał okropnie. Belg wyglądał okropnie. Mały powiedział dr Mahlerowi, że w porcie przejechał go wóz. Dr Mahler udał, że mu wierzy. Trzeba udawać, że wierzy się w wiele rzeczy, gdy ludzie z pułku karnego przybywają po długim pobycie na froncie do wielkiego miasta, gdzie są dziewczyny i woda. Narzeczeni śmierci muszą żyć tak, jak uważają, że powinni. Śmierć może nadejść jutro.

Gizela znikła, ale miałem jej torebkę. Był w środku jej dowód osobisty z adresem. Legionista starannie zbadał zawartość. Następnie zwrócił mi torebkę, przed tym wzięwszy sobie sto marek. Jej nazwisko było czymś z „von” i mieszkała nad Elsterą. Była więc bogata.

- Powinna zostać wychłostana - oświadczył Ewald. Obliznął się.

- A ty powinieneś mieć bagnet w brzuchu - rzekł Legionista z przyjaznym uśmiechem.

Ewald już miał coś odpowiedzieć, lecz Ciotka Dora wyjęła cygaro z ust i warknęła ostrzegawczo

- Zamknij jadaczkę, chamie!

Ewald zamilkł. Legionista nucił: przyjdź teraz śmierci, przyjdź!

Ewald zatrząsł się, jakby mu było zimno. Ciotka Dora poczuła, że od cygara zbiera jej się na mdłości i kątem oka zerknęła na Legionistę. Blizna od rany zadanej nożem, biegnąca od skroni do jego szyi, teraz pobłyskiwała jasnoniebiesko.

- Och, daj spokój tej cholernej piosence - szepnęła swym ochrypłym głosem.

- Boisz się śmierci, dziewczyno? Śmierć jest moją przyjaciółką.

Zaśmiał się chrypliwie i zaczął się bawić swym nożem bojowym.

Mały przestraszył się. Nie próbując tego ukrywać, sięgnął po własny nóż, schowany w tajnej kieszonce buta.

- Czy ktoś ma ochotę zostać posiekany? - Uśmiechnął się, wysuwając usta w stronę Ewalda, który pospiesznie zaczął się oddalać. Brutalne uderzenie pięścią odrzuciło go plecami na kontuar barowy.

- Tu zostajesz - ostrzegł go Mały. Może mi przyjść ochota, by zrobić ci kilka cięć. Jesteś brudnym skurwysynem. A teraz powiedz mi, kim jesteś.

Ewald zaśmiał się z przymusem. Jego małe, chytre oczka skierowały spojrzenie w górę.

Mały wbił nóż w bar między palcami Ewalda, nawet go nie zadrasnąwszy.

- Kim jesteś, ty sutenerze?

- Brudnym skurwysynem - wyjąkał Ewald, patrząc szklistym wzrokiem na drgający nóż.

Kiedyś ten nóż należał do pewnego Sybiraka. Człowiek ten został załuczony kopniakami w Czerkasach za wydłubanie oczu porucznikowi z 104. Pułku Strzelców. Mały wyciągnął nóż z cholewki jego buta. Nóż został wykonany specjalnie do podcinania gardeł innym ludziom. Był to dobry nóż, a Mały nauczył się zadziwiająco sprawnie go używać.

Pewnego razu na Wschodzie szliśmy na rozpoznanie na drugi koniec mostu. Był to stary i zniszczony most, ponieważ nikomu nie warto było zawracać głowy, aby się nim zajął. Mostami z drewna i żelaza trzeba się opiekować, aby ładnie wyglądały.

Pospiesznie szliśmy przez most. Nasze buty grzmiały na żelazie. Poprzez podkłady rzeka uśmiechała się do nas. Chichotała zduszonym śmiechem, ponieważ wiedziała coś, czego myśmy nie wiedzieli. Chowala dla nas niespodziankę.

Jak zwykle gadaliśmy między sobą. Mały siedł na samym końcu. Był zirytowany, ponieważ od trzech dni byliśmy bez jedzenia i był absolutnie zdecydowany, by otrzymać zezwolenie zgwałcenia jednej z kobiet, które służyły w tamtym wojsku jako zwykli żołnierze i zostały przez nas wzięte do niewoli ubiegłej nocy.

- Ona nawet nie miauknie - obiecywał. - Nikt się o tym nie dowie. Taki żołnierz w majteczkach, czy to będzie miało jakieś znaczenie?

- Zastrzelę cię jak psa, jeśli zrobisz krzywdę którejś z tych kobiet - zagroził Stary.

Właśnie z tego powodu Mały szedł przez most trochę z tyłu za pozostałymi. Kopnął pogardliwie kawał gliny, który rozwścieczył go, przywarłszy do czubka jego buta. Machał nogą wielokrotnie, a glina trzymała się. Czerwony z wściekłości schylił się, oderwał glinę i cisnął ją daleko w uśmiechniętą rzekę. Teraz został jeszcze bardziej z tyłu. Ponury pełen nienawiści i krwiożerczy, włókł się za patrolem, który znikł we mgle i dawał się słyszeć tylko dzięki przyjemnemu brzęczeniu wymrukiwanych słów.

Nagle Mały zatrzymał się i otworzył usta. Z mgły, przez barierkę mostu, pojawiła się gibka postać. Ze zrećznością kota posuwała się za patrolem. Mały przyspieszył. Wyglądał na zupełnie odmienionego. Goryl zmienił się w czarną panterę. Obaj znikli we mgle.

Gardłowy wrzask poniósł się w wilgotnym powietrzu i spowodował, że patrol rzucił się za osłonę. Gwar ich pogaduszek umilkł.

Przez mgłę słyhać było jęki i uderzenia. A potem po żelazie zadźwięczały kroki. Mocno chwyciliśmy nasze pistolety maszynowe. Stary zmrużył oczy. Legionista odciągnął kurek pistoletu. Porta wyciągnął zawleczkę z jajowatego granatu. Jak zawsze, gdy coś szczególnego się szykowało, Stege lekko zadrzał.

Gdy szara zasłona rozdarła się, ukazał się Mały, ciągnąc za sobą martwą postać. Rzucił ją przed nas na środek mostu, jak wędkarz, chcący się trochę pochwalić schwytaniem wyjątkowo dużego szczupaka. Uśmiechnął się.

- Widzieliście kiedy coś podobnego, he?

Gardło martwego Sybiraka ziało czerwienią i wykonywało ruchy podobne do ssania, jak skrzela wielkiej ryby. Krew zabarwiła żelazo mostu.

Mały rękawem otarł nieco czarnej krwi ze swej twarzy. Była to krew obcego żołnierza, która spryskała Małego, gdy podrzynał gardło tamtego od ucha do ucha.

Mały uśmiechnął się przepraszająco.

- Popatrzcie, jak ta świnia mnie upaprała, gdy go wykańczałem.

Stary głęboko zaczerpnął powietrza.

- Jak go znalazłeś?

- Wyszedł z rzeki i chciał wam splatać figła, chłopcy. Ha, ha, byłem dla niego zbyt bystry i zrobiłem lekkie cięcie temu stalinowskiemu nędznikowi.

- Ocaliłeś nas - powiedział Stary, podnosząc do góry kilka lasek materiału wybuchowego, znalezionych pod nieprzemakalnym mundurem nieprzyjacielskiego żołnierza.

- Strzelec-samobójca. - Stege zadrzał i pogładził swój pistolet maszynowy.

Porta zagwizdał długo i przenikliwie.

- Mały - powtórzył Stary, - ocaliłeś nam życie. Gdyby ten typek nas zaskoczył, wylecielibyśmy w powietrze jak dobrze naoliwiona rakietka.

Mały wił się z zakłopotania. Nie był przyzwyczajony do pochwał.

- Wepchnąłem mu nóż prosto w twarz i tylko pociągnąłem. Wszedł całkiem łatwo i łagodnie i wtedy on był martwy. Wrzasnął tylko raz.

I wiecie, połowa tego wrzasku wyszła przez dziurę, którą wyciąłem mu w gardle.

- Jesteś dobry z nożem. - Legionista z dumą kiwnął głową. To on uczył Małego używać właściwie tego narzędzia.

Mały nadał się z dumy i radości. Popatrzył na Starego, lekko zmrużył oczy i pochylił głowę prosząco.

- Czy teraz będę mógł przelecieć tę żołnierkę z tłustym tyłkiem?

Stary potrząsnął głową, wziął pistolet maszynowy na ramię i poszedł dalej mostem. Reszta z nas podążyła za nim w milczeniu. Mały krzyknął głośniejszy niż było trzeba. Jego głos przeniknął daleko

przez mgłę i był słyszany zarówno przez Rosjan, jak przez nasze własne oddziały na przeciwległym brzegu.

- Chryste, zrobię to i tak. Ocaliłem was, a ona nie jest aż taka łagodna, sami wiecie.

Stary zatrzymał się, podsunął Małemu pod nos pistolet maszynowy i powiedział bardzo cicho, ale z takim naciskiem, że nikt nie mógł się co do niego pomylić.

- Trzymaj się z dala od dziewczyn, od karabinów, i tej, na którą masz taką ochotę. W przeciwnym razie pójdziesz prosto do piekła, a mnie będzie bardzo przykro z tego powodu. Mówię poważnie, Mały.

- Gówno - mruknął Mały i znów spochmurniał jak obrażone dziecko. Nie zdołał dotknąć tych żołnierek. Ale za to jeszcze sprawniej używał noża. Legionista był dumny.

Ani Mały ani Legionista nie używali garrotty. Używali tylko noża. Reszta z nas wołała stalową pętlę, była bezgłówna. Ale Małemu zupełnie nie przeszkadzały ich wrzaski. Mawiał, że wyglądają na bardziej martwych, jeśli najpierw wrzasną.

Ewald dobrze wiedział, jak Mały sprawnie operuje długim nożem bojowym. Ale Ewald również był dobry w tej sztuce. Jego własną bronią był nóż sprężynowy, typu ulubionego przez Portugalczyków oraz alfonsów w Marsylii. Marynarze przyplływający do Marsylii z Porto i Lizbony robili dobre interesy na tych nożach sprężynowych. Ewald dostał swój od marynarza, który bardzo się upił. Z powodu tego właśnie marynarza Ewald odsiedział swój dwudziesty pierwszy wyrok. Coś - nigdy nie udało się stwierdzić z pewnością i dokładnie, co - ocaliło Ewalda od obozu śmierci dla zawodowych przestępców kryminalnych. Wypytywany o to, Ewald rozsądnie milczał i niedbale wzruszał ramionami.

Sekretarz Kryminalny Nauer z Komendy Policji, Stadthausbrücke 8, oderwał Ewaldowi jedno ucho i połamał mu palce u nóg. Nie z powodu zamordowania tego marynarza. To miało niewielkie znaczenie. Kaplica pogrzebowa dla osób niezidentyfikowanych miała miejsce dla wielu ciał i dopóki nie trzeba było ich układać jednego na drugim, nie było powodu, by robić z tego jakieś historie. Ale Herr Nauer z Komendy Policji wierzył, że Ewald mógłby coś powiedzieć na temat Rote Kapelle, wielkiej, podziemnej organizacji komunistycznej. Marzeniem Herr Nauera było uzyskanie przeniesienia do Wydziału Komunistycznego Gestapo, Tajnej Policji Państwowej. Szefem tego wydziału był Kriminalrat Kraus, największy kryminalista, jaki kiedykolwiek zajmował stanowisko państwowe. Ale Kraus był doskonałym oficerem policji, przynajmniej wedle standardów Trzeciej Rzeszy, a nawet takich standardów gdziekolwiek.

Kraus został powieszony w roku 1946 w celi więzienia Fulhsbüttel. Padał deszcz. Pogoda tego dnia był naprawdę przygnębiająca. Piszczął jak tonąca mysz, a także jak ona wyglądał. Trzeba go było zanieść do konopnego sznura, który przyjemnie pachniał nowością

- to znaczy, jeśli potraficie wytrzymać zapach sznura.

Gdy stał na stołku pod stalową rurą na suficie, do której umocowano sznur, podtrzymywało go dwóch młodych ludzi. Podskakiwał w górę i w dół na stołku jak gumowa piłka, łkając. - Nie, nie! - Ale przeznaczenie powiedziało. - Tak, o tak! - Kopnięciem usunięto stołek spod jego grubych nóg.

Odrobinę zagulgotał. Trochę tak, jak zsiadłe mleko, które nie potrafi się przedostać przez szyjkę butelki, długo i głucho. Szyja mu się wyciągnęła, a oczy wyszły z oczodołów.

Jeden z młodych ludzi powiedział tylko w swym ojczystym języku. - Do diabła! - I odszedł. Drugi został z tyłu, by zrobić zdjęcie. Ponieważ prawo tego zabraniało, musiał się spieszyć, ale to była „cholernie dobra pamiątka”, jak później powiedział swej dziewczynie w Hamburgu. Była to miła dziewczyna, która przypadkiem lubiła tego typu fotografie. Jej ojciec został zabity strzałem z Nagana w tył głowy gdzieś na Wschodzie. Nie dlatego, by coś zrobił, ale dlatego, że trzeba było kogoś

zastrzelić z Nagana w tył głowy teraz, gdy wojna się skończyła. Ale wówczas dziewczyna o tym nie wiedziała.

Zdjęcie wyraźnie ukazywało język Kriminalrata Krausa, zwisający mu z ust. Wielki, dziwnie spuchnięty.

Młody człowiek powiedział ze śmiechem do dziewczyny z Hamburga.

- Nie chciał w ogóle nic mieć z nami do czynienia. Pokazał nam język.

Młody człowiek nie wiedział, że Kriminalrat Kraus, z Wydziału 6C Gestapo, tak zwanego Wydziału Komunistycznego, sprzedałby własną matkę, żonę i dzieci, by dostać się do tajnej policji jego kraju. Gadał i uśmiechał się z afektacją każdego dnia przez okrągły rok, a teraz wystawił język, jak każdy wąż.

Ewald, alfons, morderca, sadysta i kobieciarz, zdołał wydostać się z Komendy Policji nie zawarłszy znajomości z Kriminalratem Krausem. Przysadkowatym Krausem. Jak? Mówiono, że opowiadał mnóstwo i długo, tak prawdę, jak kłamstwa.

Ciotka Dora pociągnęła niezwykle mocno ze swego cygara i oświadczyła.

- Nie moja sprawa. Ale jeśli ta świnią zacznie gadać do „Długiego Nauera”, o czymkolwiek, co mnie dotyczy, wtedy... - Uśmiechnęła się i mrugnęła. Czy owo mrugnięcie spowodował dym z jej nieodstępnego cygara, czy konieczność zasygnalizowania czegoś komuś w półmroku otaczającym małe stoliki, tego nie dało się stwierdzić z pewnością.

Teraz Ewald stał wciśnięty między dwa stołki barowe, bojąc się tego, co może nastąpić.

Wszystko, co dotyczyło Ewalda, przypominało szakala. Przede wszystkim pełen był, jak każdy szakal, tchórzostwa.

Mały uśmiechał się, bawiąc się nożem. Rzucił go w powietrze i łapał. Robił to w kółko. Twarz Ewalda podskakiwała do góry i w dół, gdy śledził nóż wzrokiem.

Mały spojrzał na niego.

- Czy chciałbyś, moje jagniątko, bić się z Małym?

Ewald potrząsnął głową.

Mały odchylił się do tyłu i zachichotał.

- Jesteś łajnem, Ewald. A nikt nie bije się z łajnem. Ono nadaje się tylko do tego, by na nie napluć.

Mały splunął na Ewalda. Ewald otarł ślinę z twarzy wierzchem dłoni, a po tym otarł dłoń do czysta o spodnie.

Ciotka Dora dłużyła w zębach widelcem i patrzyła to na jednego, to drugiego.

- Żadnej rozróby, chłopcy. Jeśli chcesz zabić tę świnię, zrób to na zewnątrz. Ale żadnych figli tutaj.

Ewald znów spróbował odejść, ale Mały przewrócił go. Ewald zwałił się na podłogę i ślizgał się kawałek wzdłuż drzwi. Gdy wstał i szykował się do biegu, nóż świsnął tuż przy jego głowie. Wbił się w drzwi pokoju, w którym Ewald zwykł był chłostać dziewczyny.

Wstał przerażony i wyszeptał ochryple.

- Nie zrobiłem ci nic złego.

- Mamy cholernie wielką nadzieję, że tak było... Dla twego dobra - powiedział z uśmiechem Stein.

Mały gestem wskazał Steinowi, by się nie mieszał i zawołał całkiem głośno.

- Chodź tutaj, ty wszo, wprost palimy się do rozmówki z tobą! Chodź!

Ewald powoli podszedł do baru, śledzony przez wszystkie oczy. Dziewczyny kiwały głowami w miłym oczekiwaniu, rozkoszując się nieszczęsnym położeniem Ewalda.

Mały poklepał go lekko po policzku, lecz zakończył to strasliwym uderzeniem w twarz, od którego Ewald padł.

- Ależ wielkie nieba, co ty robisz temu małemu chłopczykowi? - Zapytał Stein, udając, że jest

wstrząśnięty.

Zrobił ruch, jakby chciał pomóc Ewaldowi wstać z podłogi, ale nagle śmiertelnie przerażony Ewald pofrunął w powietrze, rzucony chwytem judo. Zwalił się na podłogę i leżał na niej bez przytomności. Mały pomyślał, że jest mu winien ostatnie pozdrowienie. Wstał, wielki i ciężki i pochylił się nad zwiniętą w kłębek postacią. Zerknął na Legionistę, który odpowiedział mu tajnym znakiem głową w chwili, gdy popijał ze swej szklanki. Mały mrugnął i wymierzył Ewaldowi kopniaka w krocze. Ten złożył się w pół, jak kanapka, która zbyt długo leżała na bufecie.

Opuściliśmy „11 w Skali Beauforta” dumni z naszej roboty.

- Jesteście towarem na sprzedaż - oświadczył Brandt, kierowca terenowej ciężarówki.

- Każdy Żyd w obozach Himmlera staje się pierwszorzędnym przedmiotem handlu.

- To nieprawda! - Zawołał stary Żyd w pasiastym więziennym mundurze.

Brandt roześmiał się. Heide się śmiał. Śmieliśmy się wszyscy, ale niewesoło.

- Ty i wy wszyscy Żydzi nigdy nie zostaniecie tym, czym nie jesteście teraz... I byliście przez tysiące lat: zwykłym towarem, atutem trzymanym przez rządzących, gdy grają lub nie grają, zależnie od potrzeb ich hałaśliwego rynku - ciągnął dalej Brandt.

Stęgi kiwnął głową.

- Coś jest w tym, co mówisz. W tej chwili jesteśmy ważnymi facetami. Później, gdy wojna się skończy, będziecie nimi wy. Cała ta rzecz działa jak stary barometr, z napisami „słońce” albo „deszcz”. Dziś my jesteśmy na słońcu, a wy w cieniu. Ale wkrótce sytuacja się odwróci. W tej chwili Żydzi są najlepszym towarem na rynku politycznym.

Stary Żyd słuchał z otwartymi ustami. Z jego zapadniętych oczu wyglądała rozpacz.

- To nie może być prawda - wyszeptał. - Łańcuchy wkrótce zostaną zerwane, jak wówczas, gdy Mojżesz wyprowadził nas z niewoli w Egipcie.

Stary więzień zaśmiał się z wysiłkiem.

- To było możliwe parę tysięcy lat temu, a nie jest dziś. Niektórzy z was umkną przed bandami Himmlera i będą wiedzieli, jak was używać dla własnej korzyści, jesteście i dalej będziecie zwykłym przedmiotem.

- Nie - powiedział stary Żyd. - Nadejdą nowe czasy.

Schyliwszy się nad nim Porta wręczył mu dwieście marek.

- To zapewni ci start w nowych czasach, o których mówisz. Gdy się o tym przekonasz, koniecznie wyślij nam pocztówkę.

Głośny śmiech.

Żyd ostrożnie przesunął dłoń po banknotach. Popatrzył na Portę ze słabym uśmiechem.

- Pod jakim adresem mam wysłać pocztówkę?

Porta wzruszył ramionami.

- Kto wie? - Przyciszył głos aż do poufnego szeptu. - Jeśli zauważysz na ziemi zardzewiały stalowy hełm, zapukaj weń i zapytaj: kto tu gnije? - Gdy dotrzesz do mojego, odpowiem: jedna z najgłupszych świń w całej Armii Niemieckiej! - Wtedy po prostu połóż swoją pocztówkę pod hełmem, a ja ją zabiorę podczas pełni.

ROZDZIAŁ V Żyd

- Kocham cię - powiedziałem jej i równocześnie pomyślałem: tyle razy to powtarzałem. Zastanawiam się, czy tym razem mówię serio.

ZAŚMIAŁA SIĘ CICHU. Zmarszczki mimiczne wokół jej oczu były cieniutkie.

- Nie wydaje się prawdopodobne, by nam to przyniosło wiele szczęścia - powiedziała, obejmując mnie za szyję i całując.

Siedzieliśmy na sofie i wyglądaliśmy przez okno na Elsterę. Płynął tam statek, stary statek, wyładowany ludźmi. Przesunęła palcem po moim złamanym nosie.

- Czy bardzo bolało, gdy złamali ci nos w Torgau?

Niespecjalnie, ale krew tryskała jak z fontanny.

- Czy w ogóle nie bolało?

- Być może odrobinę... No cóż, tak, później całkiem nieźle bolało.

- Masz zimne oczy, Sven, nawet gdy się śmiejesz. Są twarde. Postaraj się zrobić tak, by były łagodne. Wzruszyłem ramionami.

- To moje oczy. Czy ktoś może zmienić oczy? Twoje są brązowe i łagodne. Moje są szare i złe. Jestem zły, ponieważ moja praca tego wymaga.

- Nie, nie zły. Ty nie jesteś zły.

- Ależ tak, jestem. Jestem jednym z żołnierzy Hitlera i muszę być zły.

- Nonsens. Nie jesteś żołnierzem, a szczególnie nie Hitlera. Jesteś chłopcem, którego wsadzono w paskudny mundur z blaszką na piersi. Wojna jest zła. Nie ludzie. Pocałuj mnie jeszcze raz. Przytul mnie. Mocniej. Mocniej! Och, właśnie. Teraz mi dobrze. To tak cudowne, czuć się bezpiecznie. Gdyby tylko można było zawsze być bezpieczną...

Zamiast odpowiedzi pocałowałem ją. Leżeliśmy na sofie i wpatrywaliśmy się w rozetę na suficie. Jacyś ludzie kłócili się na ulicy. Trolejbus zahamował ze zgrzytliwym hałasem.

- Jak wyglądasz po cywilnemu?

- Och, idź do diabła. Gorzej, niż głupio.

- Używasz brzydkich wyrażań.

- Wiem, ale to należy do mojego zawodu.

Uniosła się, opierając się na łokciu i popatrzyła mi w oczy, jakby próbowała zajrzeć na dno studni. Patrzyła na mnie długą chwilę.

- Boisz się samego siebie - oświadczyła i przycisnęła wargi do moich. Jej wargi, elastyczne ciało na chwilę zapaliły we mnie coś podobnego do czułości. Żołnierz na wojnie nie jest przyzwyczajony do tego, by być kochanym dla samego siebie, a tylko dla swego ciała i munduru i ponieważ nie ma tu nikogo innego.

- Kpiny - pomyślałem i znów spojrzałem obojętnie na sufit. Znów leżeliśmy na plecach, kierując wzrok na rozetę na suficie i pozwalając naszym myślom błądzić.

- Wiesz, chciałbym pójść na polowanie, tak dla relaksu - przerwałem milczenie. - Na kaczkę - dodałem po chwili. - O tej porze roku kaczki są śliczne. Przybywają ze wschodu, wielkie i tłuste.

- Mój mąż i ja często polujemy na kaczki - powiedziała obojętnie. A po tym zacisnęła usta, ponieważ powiedziała coś o mężu.

- Gdzie twój mąż jest teraz? - Zapytałem, choć całkiem mnie nie interesowało, gdzie jest.

- Ze swą dywizją w Rosji.

- Chryste, a co mnie to obchodzi - pomyślałem i nadal słuchałem jej uspokajającego szeptu.

- Mój mąż jest pułkownikiem. Dostał liście dębowe do Krzyża Rycerskiego.

Uśmiechnąłem się.

- My nazywamy je jarzynami. Czy twój mąż jest bohaterem? Wyobrażam sobie, że tak, mając żelazo i jarzyny!

- Wyśmiewasz się, Sven. I jesteś teraz okrutny.

- Nie, nie jestem. Czy twój mąż, pułkownik, jest bohaterem?

- Nie, jest oficerem rezerwy jak ty.

- Do diabła, nie jestem oficerem rezerwy. Dobry Boże, nie! - Wyrzuciłem te słowa z grymasem, jakbym połknął coś mdlącego.

- Chcę powiedzieć, że jest taki, jak ty. Nie może znieść wojny ani Führera.

- Jest dla mnie niepojęte, czemu spotyka się tak mało ludzi, którzy lubią Adolfa. Jak u diabła przylepił się do nas?

- Czy nigdy nie popierałeś Hitlera? - Zapytała, podpierając się na łokciu. Przyjrzała mi się z bliska. Odwróciłem głowę i patrzyłem na Elsterę, równocześnie badając kręte ścieżki mego umysłu.

- Czy nigdy nie byłeś za Adolfem Hitlerem? - Powtórzyła.

- Tak, Gizelo, bardzo dawno temu byłem za nim i w niego wierzyłem. - Zaśmiałem się chrapliwie. - Wielki Boże, co za pomysł wierzyć w tę absurdalną postać!

- Czy powiedziałaś absurdalną? - Zapytała niedowierzając. - Czy naprawdę widzisz w nim coś absurdalnego?

- Nie, gdy się zastanowić, on jest całkowitym przeciwieństwem absurdu. Tak czy inaczej, już w niego nie wierzę. I co z tego? Mały mówi po prostu: Hitler jest głupią świnią. Czy twój mąż pułkownik też był kiedyś za nim?

- Tak, wierzył, że on uratuje Niemcy.

- Od czego miał Niemcy uratować? - Zapytałem.

- Nie wiem, ale powszechnie uważano, że uratuje Niemcy. Wszyscy to mówili. Czy ty też wierzyłeś, że on uratuje Niemcy?

- Nie, nigdy. Wierzyłem, że da nam jedzenie i pracę.

- Cóż, Sven, czy tego nie dostałeś?

- Prawda, ale w miarę upływu czasu żywność stopniowo racjonowano, a praca, sama wiesz, niebyła całkiem tym, czego oczekiwaliśmy. A teraz zamknij się, suko, nie mogę dłużej wytrzymać gadania na ten temat.

- Sven, jesteś niemożliwy, Nigdy nie będziesz się nadawał do przyzwoitego towarzystwa. Po prostu nie używa się słowa „suka” wobec kogoś, kogo się kocha. Słowa „suka” w ogóle się nie używa.

- Doprawdy? Wszystkie kobiety są sukami i niczym innym. Są także kurwami, co do jednej. Czy nie przyszedł do „11 W Skali Beauforta”, by zabawić się w bycie kurwą?

- To nieprawda, Sven.

- Pieprzysz głupoty! Chciałaś popatrzeć na kurwy. Chciałaś widzieć mężczyzn szalejących za seksem. Chciałaś widzieć seks, czuć seks, słyszeć go Dlatego przyszedł do „11 w Skali Beauforta” wraz z Lizą. Liza dostała to, czego chciała. Ty stchórzyłaś, jak amatorka, którą jesteś.

- Jesteś obrzydliwy.

- Być może jestem. Czy oczekiwałaś czegoś innego? Może myślisz, że w koszarach Hitlera i na Froncie Wschodnim uczono nas dobrych manier?

Jesteśmy najparszywszą bandą najemnych morderców, jaka kiedykolwiek istniała. Żałuję społeczeństwa, które kiedyś będzie musiało przyjąć nas z powrotem!

Zarzuciła mi ręce na szyję i pocałowała mnie tak mocno, że na jej wargach poczułem krew. A potem znów się odprężyła.

- Myślę, że nadchodzi burza z piorunami - powiedziała sennym głosem.

Było bardzo parno. Gizela leżała tylko w figach w kolorze bzu, wykończonych szeroką koronką. Kurewskie figi - powiedziałem. - I to kosztownej kurwy.

Z ulicy dolatywało echo hałasującego tłumu i zatrzymujących się tramwajów. Szczególnie zgrzytały wozy linii 12. Numer 12 w ogóle był głupim tramwajem.

Cisnąłem moją kurtkę na podłogę. Wyglądała na porzuconą. Czarna i brzydka. Jedna z trupich główek głupkowato szczyrzyła zęby na sufit. Co za osioł wymyślił te trupie główki, Bóg jeden raczy wiedzieć!

Z dała zagwizdała syrena. Jej głos rósł aż do piekielnego wycia. Wyjrzelśmy przez okno. Pani w bżowych figach i żołnierz ze złamanym nosem.

- Alarm lotniczy - powiedziała i spojrzała na bezchmurne niebo, które zachód słońca zabarwił na czerwono.

- Do diabła z alarmem. Chodź tutaj i spędźmy ten czas najlepiej, jak potrafimy.

- Jesteś okropny.

Pociągnąłem ją na sofę i zmusiłem, by położyła się na plecach.

Gdy śmierć spadała na ulicę poniżej nas, nasze dwa ciała spotkały się i na parę chwil zapomnieliśmy o wszystkim innym. Dwoje bezużytecznych pozbawionych celu istnienia ludzi, którzy nie wiedzieli, co innego mogliby ze sobą zrobić. Jej figi w kolorze bzu w końcu się rozdarły. To tylko jeszcze bardziej nas podnieciło. Wrzeszczała. Zapomnieliśmy o całym świecie.

Wysoko w górze wielkie bombowce rysowały białe linie.

- Jesteś kurwą. Jedną z tych kosztownych - szepnąłem.

- Tak myślisz? - Zaśmiała się.

- I kocham cię. Zostanę tu z tobą. Do diabła ze wszystkim innym.

- I wszystkimi innymi? - Zapytała.

Bomby padały, ale daleko. Zapewne gdzieś w okolicy Kaiser Wilhelm Strasse.

Westchnęła i mocno przytuliła się do mnie. Czuję, jak jej szczupłe ciało pręży się od dotyku z moim. Było gładkie i gibkie, pachniało świeżością. Nie stęchłym i plugawym smrodem żołdaka, tym szczególnym i zastarzałym zapachem, który przywiera do wszystkich żołnierzy. Boże jakąż nienawiścią mnie przenikał przez te wszystkie lata. Nigdy nie mogłem się do niego przyzwyczać. Paznokcie Gizeli polakierowane były kolorem krwawej czerwieni. Uniosła do góry nogę i zobaczyłem przez cienkie pończochy, że paznokcie stóp też ma czerwone. Nogi miała długie i zgrabne.

Dłonią podążyłem za kształtem jej nogi, od kostki przez kolano aż do krągłości biodra.

- Jeśli twój mąż teraz przyjdzie, zastrzeli nas - powiedziałem.

- Mój mąż teraz nie przyjdzie, jest przy swojej dywizji. Dywizji szturmowej.

- W której dywizji służy bohaterski pułkownik?

- Daj spokój, dobrze? Horst jest w 28. Dywizji Strzelców.

- Znam tę dywizję. Ma jako godło sokoła. Nazywamy ją Dywizją Sokołów. Walczyliśmy z nią ramię w ramię w Homlu i Nikopolu. Prawdziwa dywizja rzeźników. Nigdy już nie zobaczysz twego męża.

- Nie mów takich rzeczy.

- Czy teraz o nim myślisz?

- Być może - odrzekła, z nieobecny wyrazem oczu. - Czy to możliwe, by kochać dwóch mężczyzn naraz? - Zapytała w chwilę później.

- Tak przypuszczam. Nie wiem.

Zaczęła płakać w milczeniu, cicho. Łzy nie przestawały jej płynąć.

Głaskałem jej nagie ciało, nie wiedząc, co powiedzieć. Pogłaskałem jej włosy, tak, jak głaszcze się kota.

- Wszystkiemu winna jest wojna - powiedziała.

Zabrzmiało odwołanie alarmu. Znów doleciały do nas hałasy uliczne ciepłego wieczoru. Ludzie znów śmiali się, z ulgą. Był to tylko słaby nalot. Ledwie paruset zabitych i rannych.

Piliśmy herbatę z rumem, a potem razem wspięliśmy się na górę. Wiecznie młodą i śliczną górę, gdzie wszystko jest nowe, a na szczycie leży, czekając, zapomnienie.

Byliśmy wytrawnymi wspinaczami, znającymi każdy krater i szczyt, a przecież dążyliśmy naszą górą w zachwycie. Byliśmy odkrywcami z prawdziwie orientalnym zapałem. Wreszcie poczuliśmy zmęczenie i zapadliśmy w cudowny, lekki sen. Pełen spokoju.

- Opowiedz mi coś o tym, co tam się dzieje - powiedziała nagle.

Próbowałem to zignorować, ale ona ciągle nalegała. Nie mogłem zrozumieć, czemu chce mówić o tym, co tam się dzieje.

- Czy to prawda, że ludzie są zabijani, ponieważ należą do innej rasy? Mam na myśli Żydów.

- Możesz mi wierzyć na słowo, że to prawda. Zabijanie ludzi, to tylko część tej sprawy. Można kupić worek Żydów albo Cyganów jako sztuczny nawóz.

Nadgryzłem jabłko.

- Kto wie? Może w tej chwili gryzę żydowskie dziecko. Ponieważ popioły używane są również do nawożenia drzew owocowych.

- W to nie wierzę.

- Nie? A to jeszcze nie wszystko. Nie masz pojęcia...

- Czemu ludzie tak bardzo nienawidzą Żydów? - Zapytała.

- Nie mam pojęcia. Osobiście nie mam nic przeciw Żydom czy innym rasom, ale często spotykałem ludzi, którzy ich nienawidzili. I nie byli nawet nazistami. Wręcz przeciwnie.

- Muszą być szaleni - oświadczyła.

- Oczywiście, są szaleni. Kompletni wariaci. A ci, którzy nie są szaleni, są zamykani za drutem kolczastym i murami więzień. Świat stanął na głowie i tylko szaleńcy mają prawo do istnienia. Widziałem, niestety, wiele rzeczy, których nie mogę zapomnieć. Jak wówczas, gdy wpadliśmy na Żyda polując na partyzantów.

- Opowiedz mi - powiedziała i przeciągnęła się sennie.

- To długa historia. Jesteś pewna, że chcesz jej wysłuchać?

- Czemu nie. Opowiedz.

- Polowaliśmy na partyzantów w czeskich górach. Miła robota, naprawdę, ponieważ mieliśmy swobodę dawania sobie rady sami i włóczyliśmy się po okolicy małymi patrolami, z niewielką, albo w ogóle bez kontroli. Od czasu do czasu strzelaliśmy w powietrze, by robić wrażenie. Jak oczekiwaliśmy, ogromny wzrost rozchodu amunicji spowodował, że nasze meldunki o wielkich bitwach z partyzantami, w które angażowaliśmy się nieustannie, były uznane za wiarygodne. Prawdę mówiąc, rzadko kiedy w ogóle widzieliśmy czy słyszeliśmy, cokolwiek o partyzantach. Oni unikali nas, a my ich.

Zawsze udawało nam się znaleźć coś do jedzenia i picia, a jeśli nie mieliśmy nic, Mały i Porta wyruszali na polowanie na samce kozic, w meloniku i cylindrze i uzbrojeni w pistolety maszynowe.

- Czy Porta nosił cylinder?

- Nosił. Kiedyś wygrał jedwabny cylinder, grając w karty w Rumunii. To było zanim wyruszyliśmy do Rosji. Nosił go zawsze, dokładnie tak, jak Mały zawsze nosił melonik, znaleziony w domu starców.

- To musiało komicznie wyglądać - zaśmiała się.

- To nie jest właściwe określenie, ale zawsze sprawia ulgę, gdy można być zdolnym do zmienienia przekłętej wojny Adolfa w żart. Nie był szczęśliwy widząc, jak fantastyczne ilości amunicji te wyprawy łowieckie kosztowały Niemieckie Siły Zbrojne. Rzadko kiedy wracali z samcem kozy albo jeleniem. Częściej była to świnia albo cielak, łatwiejsze do zastrzelenia, ponieważ były spętane.

Pewnego wieczoru, wkrótce po zachodzie słońca, dotarliśmy do opuszczonego górskiego domu i zdecydowaliśmy, że zatrzymamy się tam na noc.

- Co to znaczy „myśmy zdecydowali”? - Zapytała.

- Nie znasz ich. Banda beztróskich, zawodowych zabójców w jednym z tych pułków, permanentnie stojących jedną nogą w grobie.

Oczywiście było, że mieszkańcy przygotowywali się do dobrego posiłku, zanim rzucili się do ucieczki. Na stole nadal stały smakowite rzeczy. Wyglądało to jak luksusowy hotel w jakimś miejscu, gdzie wojna była nieznaną. Wieprzowina, pieczona gęś.

Cieszylibyśmy się posiłkiem jeszcze bardziej gdybyśmy wchodząc do domu nie poczuli dziwnego, słodkawego zapachu, i to od pierwszej chwili. Gdy jedliśmy, smród stawał się coraz silniejszy. I Porta poszedł na górę, by sprawdzić czy smród rozchodzi się stamtąd. Po małej chwili usłyszeliśmy jego wołanie. Gdy pojawił się na podeście schodów, wycierał cylinder rękawem.

- Tam na górze jest facet, który wyciągnął kopyta w łóżku - oznajmił. - To stamtąd dochodzi smród.

Heide wyszczerzył zęby.

- Wyobraźcie go sobie, jak tam leży i kopie w kalendarz w łóżku. To jest obraza dla wojny i dla wezwania Hitlera do bohaterstwa.

Gizela stopniowo zapadła w sen. Ja też poczułem się senny, przemawiając do głuchych uszu. Drzemaliśmy trochę, ale nie potrafiłem pozbyć się myśli o nocy w starym domku narciarskim.

Całą naszą dwunastką weszliśmy na górę, by obejrzeć tego człowieka. Był to starzec, elegancko tam spoczywający w białej koszuli.

- Ta świnia ma gówno w łóżku - zawiadomił Porta, który uniósł grubą, pikowaną, chłopską kołdrę. - Co za stara świnia. Takie ładne łóżko, w którym mieliśmy spać.

- Faj, jak on śmierdzi - stwierdził Stege, marszcząc nos.

- Czyżby nasz student nie potrafił znieść odoru? - Spytał Porta. - Szturchnął trupa bagnetem.

- Uważaj, aby mu nie zrobić przecieku, przez który wydobywałby się trupi gaz ostrzegł Stary. - Wtedy dłużej tu nie wytrzymamy. - Obejrząwszy pokój i pociągnawszy się za nos, co miał w zwyczaju, gdy stawał wobec jakiegoś problemu, kontynuował. - Raczej powinniśmy go pochować.

Mały i Porta chwycili dwa końce prześcieradła i wynieśli trupa. Ale nie dało się wykopać grobu, ziemia była zbyt twarda. Wobec tego pogrzebali go w stosie nawozu. Było to znacznie łatwiejsze do wykonania.

Gdy pogrzeb się skończył, wróciliśmy do jedzenia, picia i gry w oko.

- W tym cholernym domku słychać jakieś stukanie - stwierdził Heide, rozglądając się po pokoju, w którym siedzieliśmy.

Lampa naftowa kopciła i rzucała na nas mdłe światło.

- Skończ z tymi bzdurami - syknął niecierpliwie Porta. - Albo graj, albo spadaj i dołącz do tego starego na stosie gówna, gdzie twoje właściwe miejsce.

- Co u diabła chcesz przez to powiedzieć, ty bydlaku? - Zaczął podniecać się Heide. Odepchnął swoje krzesło.

Mały wstał, wielki i gruby, zsunął melonik na tył głowy i wytarł nos w palce. Następnie chwycił ciężki, dębowy stół z talerzami, mięsem, butelkami, puszkami, bronią i wszystkim innym i odstawił go na bok, robiąc miejsce dla Heidego, który stał blady i wściekły w drugim końcu. Warknąwszy uśmiechnięty Mały podsunął się przez pokój do muskularnego Heidego.

- Czemu wsadzasz w to swój nos? - Wrzasnął Heide. - To sprawa między Juliusem Heidem i Josephem Portą. Wcale cię to nie dotyczy, ty głupi gorylu.

Mały mruknął coś, zamachnął się szeroko i posłał Heidego na podłogę jednym potężnym uderzeniem.

Stół znów postawiono na miejscu i gra trwała dalej, ale trudno było się na niej skupić. Wysiłaliśmy wszystkie zmysły, by coś usłyszeć. Heide tylko głośno powiedział o czymś, co nas wszystkich podświadomie niepokoiło. Nasze prymitywne instynkty obudziły się. W tej chacie coś było nie tak. Graliśmy może przez około pół godziny, gdy nagle Stary cisnął karty na stół i wrzasnął w stronę sufitu. - Jeśli ktoś tam jest, niech wyjdzie!

Cisza. Mroczna cisza. Ani dźwięku. A przecież coś było.

Heide, który już wrócił do siebie, poprosił znów o karty i zaczął grać. Siedział tam, przymrużywszy oczy, obmacując swój karabinek szturmowy.

- Co u diabła jest nie tak? - Szepnął.

- Ktoś się ukrywa - mruknął Stege, odsuwając się pod ścianę z pistoletem maszynowym przy biodrze. Wargi drżały mu nerwowo.

- Może wylądowaliśmy w gnieździe partyzantów? - Wymamrotał Stary. - Wtedy dobranoc, dziewczyny!

Mały wyciągnął jedną z tych bomb magnetycznych, którymi zawsze napychał sobie kieszenie i ciskał w najbardziej nieprawdopodobne miejsca.

- Czy nie powinniśmy wysłać tego całego parszywego chlewu do nieba? - Zapytał, gotów przygotować ładunek.

- Po prostu opanuj się - powiedział Stary. - Przeszukajmy tę stajnię, abyśmy mogli spokojnie grać. Jeśli nie, dostaniemy kompletnego fioła.

Trzymając się blisko siebie poszliśmy gromadą po schodach. Całą broń trzymaliśmy odbezpieczoną, gotowi skosić wszystko, co stanie nam na drodze.

Porta z traskiem otworzył drzwi kopniakiem, a po tym szybko skoczył za osłonę, podczas gdy Legionista opróżnił cały magazynek w ciemny jak noc pokój. Heide wrzucił do sąsiedniego pokoju granat ręczny.

- Do ataku! - Ryknął Porta, pomknąwszy wzdłuż balkonu, biegnącego wokół całego domu. Karabinki szturmowe i pistolety maszynowe rzucały w ciemność złośliwe, niebieskie błyski. Było to podobne do walki z wiatrakami.

- Vive la Legion! - Zawył Legionista, machając nad głową pistoletem maszynowym. Tygrysim skokiem runął do pokoju, w którym już przedtem poprzestawiał meble granatem ręcznym. Wybuchła tam niebywała awantura, jakby walczył z kilkoma partyzantami, ale wystarczyło nam tylko kilka sekund, by zrozumieć, o co chodzi z tą całą bitwą. Legionista wskoczył prosto do szafy ubraniowej, a ona zwała się na niego, chwytając go w pułapkę. Wył i darł się, żeby go wydostać. Po kwadransie górne piętro było tak gruntownie zrujnowane, że w porównaniu z tym skutki przejścia tajfunu to drobnostka.

Puch i pióra z grubych, chłopskich kołder, które porozdzieraliśmy ze strachu i wściekłości, wszędzie opadały powoli jak lekki śnieg.

Cichutko jak myszki staliśmy, nasłuchując, na podeście. Wszędzie ciemności. Z niższego piętra doleciał do nas cichy szmer.

- Mon Dieu - odezwał się po cichu Legionista. Strach przeszedł nam ciarkami po kręgosłupach. Heide pierwszy stracił głowę.

- Kto tam? Trzymamy was na muszce, skurwysyny! - Zaryczał tak głośno, że spokojny dom zadrżał.

Po jego ryku nastąpiła głęboka cisza. Znów staliśmy milcząc, przez parę chwil nasłuchując spokojnie, przekonani, że nie jesteśmy tutaj jedynymi żywymi istotami.

- Czy nie powinniśmy wyjść na dwór? - Zapytał Mały, przysuwając się do jednego z okien. Znów szmer na dole.

- Stój! - Zawołał Porta i posłał w ciemności na parterze deszcz pocisków ze swego pistoletu maszynowego.

Mały zawył i wyskoczył przez okno. Koło jego uszu poleciały odłamki potłuczonego szkła.

Wybuchła powszechna panika. Już dłużej nie mogliśmy wytrzymać niepewności. Każdy próbował się stąd wydostać. Było to tak, jakby Mały zabrał ze sobą naszą odwagę.

Zaciął się układ ładowania w pistolecie maszynowym Heidego. Cisnął bronią w nieznaną rzecz w ciemności.

W jakiś sposób wszyscy, z wyjątkiem Stege'a, wydostaliśmy się z przeklętego domu.

- Hugo, gdzie jesteś? - Zawołał cicho Stary. Potarł zapalną i na stole zaświeciła lampa naftowa.

W zadymionym świetle ujrzelśmy wysoką, chudą postać w pasiastym kostiumie więźnia obozu koncentracyjnego. Stary pierwszy otrząsnął się z zaskoczenia.

Straszliwie wychudzona postać wyprostowała się po wojskowemu i wyszczekała meldunek, patrząc nieruchomym wzrokiem na Starego.

- Herr Feldwebel! Więzień bezpieczeństwa 36789508A melduje, że został odcięty od swej jednostki, Obozowego Oddziału Budowy Linii Kolejowej 4356 Wschód!

- Święta Ludmiło! - Wykrzyknął Porta. - Co za gadka! Nie nauczyłeś się tego w szkółce niedzielnej.

- Czy jest tu ktoś prócz ciebie, zebro? - Zapytał Mały.

- Nie, Herr Stabsgefreiter - odpowiedział człowiek-zebra.

- Daj sobie z tym spokój! - Zawołał znudzony Stary.

- O, doprawdy? - Rzekł Mały, dumny z tego, że zwrócono się do niego wymieniając stopień i mówiąc „Herr”. Nigdy dotychczas to mu się nie zdarzyło.

- Zamknij się - rozkazał Stary. - Znajdź Stege'a, abyśmy mogli kontynuować naszą grę. - Zwracając się do więźnia z Konzentrationslager, kontynuował. - A ty znajdź sobie coś do włożenia do gęby.

Wyglądasz, jakbyś tego potrzebował.

Stary człowiek, ubrany jak zebra, rozejrzał się nerwowo. Nadal stał sztywno na baczność na środku podłogi, z palcami przylepionymi do szwu spodni.

- Siadaj, dziadku - rzekł z uśmiechem Porta, wskazując zapraszająco do stołu. - Weź sobie kromkę chleba i trochę mięsa. Jest tego mnóstwo. Możesz też znaleźć trochę gorzały, by sobie przepłukać gardło.

Stary więzień konwulsyjnie poruszył szczękami.

- Herr Unteroffizier, więzień bezpieczeństwa numer 36789508A prosi o pozwolenie na złożenie oświadczenia.

- Wypluj to, bracie - warknął Mały, opuszczając swój jasnoszary melonik na czoło.

Stary Żyd nic nie powiedział. Wydawało się, że szuka właściwych słów. Wiedział, że jeśli powie coś, co nie sprawi przyjemności, znajdzie się w niebezpieczeństwie. Źle użyte słowo mogło oznaczać śmierć. Pomimo naszych opasek z trupimi głowami i skrzyżowanymi kośćmi oraz wymownym napisem Strafteilung, uważał nas za bogów.

- Hej, zebro! Co chcesz nam wyszeptać? - Szczeknął Porta. Brudnym palcem szturchnął wysoką, wychudłą postać z szarozółtą twarzą, oblepioną starym na miesiąc brudem.

Człowiek ostrożnie przeniósł spojrzenie swych przekrwionych oczu z jednego na drugiego ze sponsorowanych przez rząd zabójców.

- A więc, co chcesz powiedzieć? - Uśmiechnął się Brandt, były kierowca ciężarówki terenowej. Wściekle posadził dziurę w zębie, która zawsze przerażająco śmierdziała. Nie ośmielił się pójść do dentysty, wolał cierpieć ból. Do końca wkładał coś do tego zęba, od prochu strzelniczego do kwasu solnego. Nawet suche ptasie łajno tam się dostało. To był pomysł Porty.

- Powiedz coś - odezwałem się, uśmiechając się do człowieka w pasiastych szmatach.

- Czy nie potraficie raz się zamknąć, głupcy? - Warknął Stary. - Czy nie widzicie, że doprowadzacie waszymi głupimi pytaniami człowieka do obłędu? Czy tylko patrząc na niego nie widzicie, że jest półmartwy ze strachu? Gdybyście popatrzyli na siebie w lustrze, też dostalibyście szoku. W porównaniu z wami diabeł jest pięknosią.

Podszedł do starego Żyda i objął go ręką za ramiona. Podrapawszy się w brwi końcem swej fajki odezwał się we właściwy sobie sposób.

- Nie powinienes się nas bać, przyjacielu. Nie jesteśmy tak źli jak wyglądamy. Co to było, co chciałeś powiedzieć po prostu to wypluj! Jeśli uważasz, że jesteśmy stadem głupich świń, powiedz to. Bo tym naprawdę jesteśmy.

Więzień głęboko zaczerpnął powietrza i spojrzał na niską, krępą postać Starego, robotnika z brodą, dobrotliwą twarzą pod czarną czapką polową czołgisty. Spotkały się ich spojrzenia. Prawie czarnych oczu więźnia i jasnoniebieskich Starego. Poczuliśmy, że ci dwaj odnajdują się nawzajem.

- Herr Feldwebel! Branie tu czegokolwiek to plądrowanie. Ukrywałem się w tym domu przez trzy dni, ale niczego nie dotknąłem.

Stary ze śmiechem potrząsnął głową.

- Zapomnij o tych bzdurach. Siadaj do stołu i napychaj się. Czym jest dziś plądrowanie? Czym jest dziś gwałcenie? Żartem, po prostu żartem i to wszystko. - Zwrócił się do Heidego. - Przynieś trochę jedzenia i gorzały.

Heide stał gapiąc się na więźnia, jakby nagle ujrzał coś nienaturalnego, coś daleko wykraczającego poza możliwość pojmowania.

Mały pochylił się nad nim i wydał wrzask, który można było usłyszeć o całe mile.

- Idź i przynieś coś do żarcia, ty żuku gnojowy, albo pięść przeleci ci przez zęby!

Heide wstrząsnął się. Niechętnie poszedł do kuchni, by wykonać rozkaz Starego.

Porta i Legionista poszli na górę poszukać Stege'a. Znaleźli go leżącego bez przytomności w korytarzu. Gdyśmy go ocucili, odkryliśmy, że gdy pobiegł jak szalony, by wydostać się z domku, walnął głową w otwarte drzwi.

- Gdzie spałeś przez te trzy dni, od kiedy tutaj jesteś? - Zapytał Stary więźnia obozu koncentracyjnego.

- Na podłodze w kuchni, Herr Feldwebel.

- Skończ z tym gównem na temat stopni! Nie rozumiem, dlaczego nie położyłeś się na którymś z wielu łóżek, które wszędzie stoją.

- Ponieważ mam robactwo, a poza tym nie chciałem zabrudzić tych ładnych łóżek.

- Święta Mario! - Wykrzyknął Porta, wybuchając rykiem śmiechu. - Każdy powinien być tak delikatny. Wtedy wojna byłaby balem.

Stary pokręcił głową i roześmiał się.

- Ależ z ciebie anioł, bracie. Parę robaczków, które masz, nie zrobiłoby wielkiej różnicy gdybyś się tu przespał, nie mówiąc już o tym, co zrobią nasi bracia z przeciwnej strony, gdy tu przyjdą. Oni i my wcale nie jesteśmy tak delikatni jak wy, których oni nazywają szumowiną planety.

Wszedł Heide z rękami pełnymi sznapsa i wędzonej słoniny, które hałaśliwie cisnął na stół.

Stegi wyciągnął z regału książkę i podał ją Staremu.

- Nasi gospodarze są ludźmi przewidującymi - zaśmiał się. - Wyraźnie przygotowują się do wyskoczenia z wagonu z orkiestrą we właściwym momencie.

Spojrzeliliśmy na książkę: Karol Marks.

- To będzie w sam raz coś dla Gestapo - mruknął Heide.

- Zatkaj jadaczkę, ty dupolizie! - Warknął Porta - Jeśli nie, wyrzniemy ci fonograf z gardła i będziesz trąbił w przestrzeń po raz ostatni. Nie zapomnieliśmy, że kapowałeś.

Heide skrzywił się ze złością pod adresem wysokiego, niezdarnego Porty i jego cylindra, ale pistolet maszynowy, niby przypadkiem pochylony w ręce rudowłosego żołnierza spowodował, że zamilkł. Nadal pamiętał wycieczkę przez puszcę.

- Przykro mi z powodu tego ładnego stołu - rzekł więzień, gdy Legionista zaczął kroić słoninę na blacie.

- To nie twój stół - złajał go Brandt. Zaczął w ten sam sposób kroić chleb na kromki nożem bojowym.

- Rzeczy trzeba szanować - upierał się więzień.

- Przestań trzaskać dziobem, Żydłaku! - Rozdarł się Heide z pianą na ustach.

Czekaliśmy w napięciu, co nastąpi. Znając Heidego węszyliśmy kłopoty.

Porta czyścił rękawem swój cylinder. Uśmiech miał diabelski. Stege bawił się granatem ręcznym. Stary patrzył w sufit i w milczeniu tasował karty. Mały hałaśliwie ssał gęsią nogę. Brandt wycierał słoik dżemu kawałkiem chleba. Krause, były esesman, który przybył do nas z powodu tchórzostwa i niepewności politycznej, dłubał w zębach bagnetem. Swe małe, zielone, złośliwe psie oczka skierował na Heidego, który ośmielił się wkroczyć na jeden z najniebezpieczniejszych terenów wedle prawa pułku karnego: zaatakował jeńca.

Heide pociągnął łyk z butelki sznapsa. Trzymał ją w niewielkiej odległości od ust i odrzucił głowę daleko do tyłu by przezroczysty płyn lał mu się do gardła długą strugą. Jego jabłko Adama podskakiwało zgodnie z łykami w górę i w dół. Część sznapsa wypływała mu z kącików ust i lała się po szyi. Z głośnym traskiem cisnął butelkę na stół. Sznapś zaczął się wylewać. Pochylony do przodu, przysunął twarz blisko do starego więźnia. Jego oczy, nabiegłe krwią od picia, patrzyły z nieustępliwą złośliwością. Czknął konwulsyjnie.

- Hej, zebro! Ja, Julius Heide, podoficer 27. Karnego Pułku Pancernego, mówię ci, że jesteś śmierdzącą, zawszoną żydowską świnią!

Heide triumfalnie rozejrzał się w koło.

- Co na to powiesz, Żydłaku?

Stary Żyd siedział przy stole na stołku. Patrzył obojętnie na pijanego Heidego. Zdawało się, że nie rozumie, iż jest traktowany w taki sposób jak błoto. Wszystkie kierowane do niego brudne obelgi były zmarnowane. Słyszał je aż nazbyt często. Już nie trafiały do jego umysłu. Stał się uodporniony na nieprzyzwoite słowa.

Heide potrzęsnał głową jak byk, który właśnie ma przebić rogiem matadora.

- O tobie mówię, ty zgniły trupie - syknął kątem ust. - Jesteś żydowską wszą! Kawałem śmierdzącego, żydowskiego gówna! - Odrzucił głowę do tyłu i ryknął śmiechem z własnego dowcipu. Zagdakał, powtarzając. - Żydowskie gówno!

Powtarzał to w kółko, na zmianę ze „sraczem”, „kupą gnoju” i wielu innymi słowami wypisywanymi w latrynach, których nawet na moment nie przestawał łączyć z „Żydem”. Temat go rozgrzał. Nacisnął na gaz. Poniósł go własny język. Wrzeszczał i wył.

Reszta z nas siedziała w milczeniu. Stary więzień jadł i nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Wyglądał, jakby siedział w pokoju zupełnie sam, nie słysząc potoku brudnych słów.

Porta szczyrzył zęby w oczekiwaniu. Mały dłubał w nosie. Legionista gwizdał. Przyjdź teraz, przyjdź teraz, śmierci.

Stary rozdał karty, powoli i z namysłem. Stege żuł wykałaczkę. Krause łapał wszy.

Nagle w dłoni Heidego znalazł się pistolet kalibru 7,65 milimetra. Z traskiem zwolnił bezpiecznik,

co dla nas zabrzmiało jak grzmot.

- Teraz, Żydzie, przestrzelę ci twój gówniany mózg!

Uśmiechnął się szatańsko, powoli podniósł pistolet i dokładnie wycelował w głowę starego Żyda.

Przez chwilę panowało złowieszcze milczenie. A potem stary Żyd podniósł głowę i popatrzył na Heidego dziwnie martwymi oczami.

- Chcesz mnie zastrzelić, Herr Unteroffizier? Z tym nic nie da się zrobić. Czy zastrzelisz mnie, czy psa, to bez znaczenia. Jedyna różnica polega na tym, że pies boi się śmierci, jeśli wie, co go czeka. Ja nie. Przez całe lata oczekiwałem jej każdego dnia. Rusz się i zastrzel mnie, jeśli masz ochotę, ale wyjdźmy na zewnątrz. W przeciwnym razie zrobimy w tym pokoju nieporządek.

- Skończ z tym gównem - syknął Heide. Ujrzeliśmy, jak zgina palec i zaczyna naciskać język spustowy.

Tylko Stary nie podniósł oczu. Odwrócił karty swego pasjansa i oświadczył.

- Dama Pikowa. - Odłóż ten pistolet! - Rozległo się jego syknięcie jak uderzenie biczem. Heide siedział na miejscu jak odrętwiały.

- Nienawidzę tych przeklętych Żydów i zawsze chciałem jakiegoś ukatrupić.

- Odłóż to żelastwo, i to natychmiast!

Mały wstał i otworzył swój nóż bojowy.

Stary podniósł wzrok.

- Juliusie Heide, odłóż tę broń!

Legionista nucił. - Przyjdź teraz, śmierci!

Powoli, niezauważalnie, Heide opuścił rękę. Pistolet zaklekotał na podłodze. W oczach Heidego zabłysło przerażenie. Superman, który właśnie przed chwilą pokazywał swój wielki ryj, zmienił się w płaszczącego się kundla, ogarniętego strachem.

Heide wydał długi, ochryply kwik. Jak szczur zapędzony do kąta, który widzi obnażone kły foksteriera błyskające nad nim. Chciał się rzucić do ucieczki, ale Legionista podstawił mu nogę.

Heide upadł i potoczył się po podłodze.

Mały chwycił go za nogi i zaczął wesoło kręcić nim w kółko. Heide z trzaskiem uderzył głową o ścianę. Mały, który teraz podniecił się aż do gorączki, ryknął, wyciągnął nóż i gotów był wbić go Heidemu w plecy. Ale powstrzymał go stary Żyd, chwytając go za rękę.

- Nie, nie, towarzyszu, nie zabijaj go!

Zdumiało nas wystąpienie ofiary Heidego w roli jego obrońcy, a jeszcze bardziej zdumiewające było usłyszane słowo „towarzyszu”, wypowiedziane przez kogoś, kto do tej chwili zwracał się do nas tak, jakbyśmy byli bogami.

Mały odrzucił nieprzytomnego Heidego i zagapił się na Żyda, który przyczepił się do jego ręki, śmiertelnie blady i trzęsący się.

- Co u diabła? - Powiedział zakłopotany. - Czemu nie mam sprzątnąć tego skunksa? On ci nadepnął na odcisk, wiesz o tym.

Stary więzień potrząsnął głową.

- Nie towarzyszu, on mnie nie obraził. Ostatecznie jestem Żydem. Tych innych rzeczy on w ogóle nie mówił poważnie. On jest chory. To przejdzie, gdy świat wyzdrowieje.

- Chory? - Zadrwił Porta. - To, do cholery, przewyższa wszystko, co do tej pory słyszałem. Heide jest najzdrowszym na świecie, parszywym skurwysynem. Zasługuje, by go zarżnąć.

Mały skinął głową z zachwytem i odtrącił Żyda

- Masz rację, Josephie Porto. Być może Mały powinien sprawdzić, jak głęboko może wbić mu ten nóż w gardło?

Więzień chwycił dłoń Małego, pocałował ją i zaczął błagać.

- Nie, nie, daj mu spokój! Przecież to Ja jestem głównym zainteresowanym!

Stary zamachał ręką, protestując.

- Nie bądź taki krwiożerczy. Niech ta świnia leży tam, gdzie jest, i siadajcie, abyśmy mogli grać dalej.

Usiedliśmy, choć trochę niechętnie. Stary rozdawał.

- Czy chciałbyś wziąć udział w partyjce oczka?

- Nie, dziękuję, Herr Feldwebel.

Stary rozpaczliwie potrząsnął głową i uniósł ręce do góry.

- Wszchemogący Boże! Czy nie potrafisz nawet powiedzieć do mnie „towarzyszu”? Zrobiłeś to do Małego, tego wielkiego głupca o byczym karku!

Stary więzień skinął głową i otworzył usta. Minęła chwila, zanim pojawiły się słowa.

- Spróbuję mówić „towarzyszu”, ale to jest trochę trudne.

Przez krótki czas graliśmy w milczeniu. Potem Brandt rzucił karty.

- Już straciłem cierpliwość. Czy może ktoś ma do opowiedzenia jakąś historyjkę?

- Jesteś głupią świnia - orzekł Porta, również rzucając karty.

- I czymś jeszcze? - Spytał Brandt, nastawiając głowę jak byk, zamierzający kogoś obalić.

- Rozwalę twą paskudną facjatę - wybuchnął Porta. Cisnął butelką w Brandta, który błyskawicznie uchylił głowę, a butelka rozbiła się o ścianę na deszcz kawałków.

- Jaka szkoda, że w taki sposób zaśmiecacie dom - szepnął stary Żyd.

- A co cię to obchodzi? To nie twój dom! - Wrzasnął ze złością Brandt.

- Dokładnie dlatego - odparł starzec. Gdyby był mój, nie miałyby to znaczenia. Ale przykro mi ze względu na ludzi, którzy są jego właścicielami. Mają dwoje dzieci, którym go przekażą.

- Skąd wiesz? - Zapytał Brandt.

- W garderobie są dziecinnie ubranka - odpowiedział Żyd.

- A ty sam, czy masz dom? - Zapytał znów Brandt.

- Tak, miałem. Teraz nie mam nic. Dom został zabrany dawno temu.

- Przez kogo? Komornika? - Zapytał naiwnie esesman Krause.

Śmialiśmy się, aż zaczęliśmy kaszlać. Stary Żyd kiwnął głową.

- Komornika? Można by ich tak nazwać.

- Przypuszczam, że wyrwałeś komuś ten dom w okresie weimarskim - rzekł Krause.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odrzekł bardzo ostro stary więzień.

- Jak dostałeś się do klatki, zebro? - Zapytał Porta, ssąc swój jedyny ząb cmokając i strzykając śliną, równocześnie wycierając swój cylinder kawałkiem starej gazety. Nagłówki nadal mówiły o zwycięskim posuwaniu się Armii Niemieckiej naprzód. Gdy skończył z kapeluszem, wytarł nos w zwycięską armię i cisnął tysiące bohaterów w ciemny kąt koło starego piecyka.

Stary Żyd wziął jeszcze jeden kawałek mięsa i włożył go do ust. Nadal wyglądał na głodnego.

- Nie jedz tak szybko - ostrzegł Stary. - Przejedzenie się zabiera mniej czasu, niż śmierć z głodu. Tłuste jedzenie nie nadaje się dla ciebie.

- Stary uprzejmie rzucił więźniowi przez stół kawałek chudego mięsa.

- Jak dopadli cię przyjaciele Krausego? - Zapytał Porta, drapiąc czubkiem noża czerwoną dżunglę swej gęstej czupryny.

- To nie są moi przyjaciele - wybuchnął Krause

- Zamknij dziób, śmieciu - warknął Mały, rozgniatając wesz. - Gdy Porta mówi, że to twoi przyjaciele, to oni są twoimi przyjaciółmi! Nie zapomniał zaznaczyć śmierci wszy na stole. Trzymał z

Portą zakład, który ma ich więcej.

Heide jęknął i wstał przy drzwiach. Twarz miał oblepioną skrzepniętą krwią. Jedna powieka była zamknięta i straszliwie spuchnięta. Wypluł ząb i otarł usta wierzchem dłoni, ciągle płynęła z nich cienka strużka krwi.

Porta spojrział na niego kątem oka. Wepchnął pęknięty monokl w oczodół i mlasnął językiem.

- Obiełeś sobie trochę globus, he, Juliusie-żydożerco? Mały chłopczyk jakby wdał się w swego imiennika, Stretchera, he, ty podmiejski ćwoku?

Heide nie odpowiedział.

Opierając podbródek na dłoni stary Żyd zaczął opowiadać. Brzmiało to tak, jakby mówił do siebie. Mówił, jak to potrafią robić tylko ci, których na bardzo długi czas zamknięto w piekle milczenia. Oni w rzeczywistości nie mówią. Kaszlą i charczą poszczególne słowa. Śnią na jawie, że są przeziębieni.

- To w trzydziestym ósmym nas złapali. Ja uciekłem, ponieważ miałem kontakty.

- Wy pustynne wielbłądy z „Ziemi Świętej” zawsze macie kontakty - zakpił z podłogi Heide. Wypluł słowa „Ziemia Święta” z pogardą. Jego pogarda była tak wielka, że nie wahał się nawet zaryzykować życia, by sobie ulżyć. Warczał jak zły pies, z podwiniętymi wargami i wyszczerzonymi zębami.

- Powinieneś tam zawisnąć, Żydłaku!

Stary Żyd mówił dalej niewzruszenie. Wcielony diabeł, siedzący u jego stóp i głośno szczekający, w ogóle dla niego nie istniał.

- Mieszkałem w Hamburgu, przy Hoch Allee koło Rothenbaum, w pięknym miejscu marzył i głośno westchnął z tęsknoty za rozświetlonym Hamburgiem, kiedy pachnie solą, morzem i dymem ze statków i gdzie z małych łódek na Elsterze dobiega śmiech. - Byłem chirurgiem szczękowym, miałem wielu przyjaciół i miłych pacjentów.

- Założę się, że mieli haczykowate nosy jak ty - krzyknął Heide.

Mały cisnął mu w głowę wielkim kawałkiem wieprzowiny. Ten przewrócił się, ale wstał znowu, choć z pewną trudnością. Warknął pogardliwie

- Siedzieć przy stole z żydowskim psem - wyseplenił, tryskając na więźnia strumykiem krwi i śliny.

- Miałem wiele szczęścia, uzyskując na mym paszporcie pieczętkę Partii i opuściłem Hamburg parowcem. Planowałem, że pojedę do Chin, trasą przez Związek Radziecki. Pokręcił głową. - Trasą przez Związek Radziecki... Co za przeklęty pomysł

- Ale oni są twoimi przyjaciółmi - zakpił Heide - Żydowscy przyjaciele w Moskwie. Diabłu tylko wiadomo, czemu nie zostałeś komisarzem, z Naganem do likwidowania strzałem w potylicę.

Żyd podniósł wzrok.

- Jest wiele tego, czego ty ani diabeł nie wiecie - Spojrział na Heidego z nieprzeniknionym wyrazem oczu. - Tam, my Żydzi, też jesteśmy zwierzyną łowną.

Stary zaśmiał się z wysiłkiem.

- Tak, na was poluje się także w Związku Radzieckim. Polowałem kiedyś we Francji, Hiszpanii, w Polsce. Poluje się prawie wszędzie na świecie. Diabłu wiadomo, czemu. Zwróciwszy się do Heidego, kontynuował - Heide, ty powinieneś wiedzieć czemu, ty, tak wiernie naśladowający twego imiennika!

- Żydzi to świnię i oszuści - warknął Heide. - Dowodem jest Talmud.

Julius Heide nienawidził Żydów, ponieważ najbardziej utalentowany chłopiec w jego klasie szkolnej był Żydem i nazywał się Mouritz. Mały Mouritz pomagał wielkiemu Juliusowi. Podpowiadał mu szeptem i pisał dla niego na małych karteluszkach. W miarę upływu lat Julius odczuwał każde wyszeptane słowo i każdą zapisaną kartkę jako piekącą porażkę. Jego nienawiść nabrzmiewała,

przenikała go. Podczas Nocy Kryształowej z entuzjazmem uczestniczył w wybijaniu szyb. Wraz z innymi młodymi, obiecującymi nazistami i temu podobnymi mętami, pędził gwiżdżąc i wyjąc przez żydowską dzielnicę Berlina. Wszystko to było cudownie bezpieczne dla tej bandy, znajdującej się pod bezpośrednią ochroną władz. Poza tym Julius Heide nie rozumiał nienawiści rasowej ani trochę lepiej, niż reszta naszej dwunastki. Nauczył się na pamięć długich zdań z podżegającego czasopisma Juliusa Stretchera.

Przez chwilę graliśmy w milczeniu, ale gra nas znudziła. Porta wyciągnął swój instrument, wytarł nos w palce, splunął ponad głową Małego i zaczął grać. Rozpoczął szereg razy, jakby szukając zadawalającego go utworu i w końcu wybrał Eine kleine Nachtmusik. W miarę upływu czasu grał coraz lepiej i w końcu swą grą rzucił na nas czar. Do ciemnej górskiej chaty przywołał piękno wiosny w szczebiocie tysięcy ptaków, - daleki, beztroski świat. Zmienił domek w kryształową kulę, gdzie panie i panowie w jedwabnych szatach tańczyli menueta. Odchylił głowę do tyłu i skierował flet w niebo. Brzmiał on jak pełna orkiestra dwuchsetletnich instrumentów, pod dyktando dworskiego dyrygenta.

Stary Żyd zaczął nucić melodię. Nucił ją niskim, ochrypłym głosem. A potem zatopił się w marzeniach. Wesole, bezpieczne pokoje z czasów odległych o setki lat, sprzed 1935, gdy świat nagle wywrócił się i stał się zły i okrutny. Kobieta w jasnym błękicie, fascynująca kobieta, cicha i łagodna. Kobieta, którą kochał. Jego Anna. Jak ona potrafiła się śmiać! Z taką prawdziwą serdecznością, mając otwarte usta i białe zęby połyskujące, jak świeżo złowiona rybka, migocąca w sierpniowym słońcu. Na wszystko miała miłą odpowiedź. Anna, jego ukochana Anna, którą zabito w bramie, ponieważ dopuściła się zbrodni „obrazy rasowej”. Zabójcami byli roześmiani młodzi ludzie w brunatnych mundurach. Pamiętał to, jakby to było wczoraj. Byli razem w teatrze na przedstawieniu Wilhelma Tella. Gdy szli do domu, była dopiero dziesiąta wieczór. Chciał kupić w automacie paczkę papierosów. Ona poszła nieco przodem, powoli, na stukających, wysokich obcasach. Nagle stuki zostały zagłuszone przez tupot podkutych butów. Krzyknęła dwa razy. Pierwszy krzyk był długi i pełen przerażenia. Drugi urwał się z rżeniem. Stał sparaliżowany, patrząc jak ją masakrują. Raz po raz padały ich twarde, śmiertelne uderzenia. Przysadzisty hitlerowski szturmowiec, platynowy blondyn z tego rodzaju otwartą, śmiejącą się twarzą, którą każda matka po prostu musi kochać, roztrzaskał jej głowę deską. Nastąpiło to 23. czerwca 1935, na ukos i naprzeciw Dammtor.

Przed tym dniem często miewali wieczory muzyczne. On grał na fagocie lub skrzypcach, ona na pianinie. Niemal zawsze Mozarta. Anna grała z takim samym, głębokim natchnieniem, jak brudny, rudowłosy kapral ze sterczącym wysoko kapeluszem.

Mały Legionista wyciągnął swą harmonijkę i przyłączył się do koncertu, grając utwór prawie nam nie znany. Ale spowodował, że zaczęliśmy marzyć. Nagle obaj muzycy przeskoczyli na zamasztyego kozaka. To spowodowało, że wszystkie nasze melancholijne myśli zostały zmiecione. Staliśmy się dzicy, podobnie jak muszą wpadać w dzikość Kozacy w swych wioskach, gdy zabrzmiała ta melodia.

Stęga, wybijający rytm na stole, reprezentował perkusję. Mały i Brandt skoczyli na nogi i wydali przeciągły, tatarski okrzyk. Skakali wysoko w górę i klaskali dłońmi o cholewy swych butów. Ich nogi, gdy wirowali po podłodze, poruszały się jak pałeczki grające werbel. Reszta z nas wstała i przyłączyła się do nich. Cały dom się trząsał. W przerwach piliśmy jak opętani.

Stary Żyd śmiał się. On też się upił. Zapomniał o żonie, którą zabito w bramie. Mocna wódka przesłoniła obraz domu, który został skonfiskowany. Zapomniał o tysiącach uderzeń, otrzymanych od młodych ludzi w eleganckich, wzorowo utrzymanych mundurach z trupimi głowami na czapkach. Zapomniany też został sznur, zwisający ze spróchniałej belki. Chciał tańczyć. Tańczył z Heidem. Wrzeszczeli. Pili. Śpiewali.

- Kto zapłaci ten rachunek?

Wrzeszczeli ze wszystkich sił.

- Kto może sobie na to pozwolić?

Przy akompaniamencie śmiejącego się fletu Porty, wznieśliśmy zachwyconym chórem starą pieśń biesiadną.

- Kto ma stos pieniędzy?

- Ja nie mam ani szylinga - ryknął stary Żyd wykonując najbardziej niedorzeczne figury, gdy tańczył wraz z Heidem, który zapomniał, że nienawidzi Żydów. Poklepywali się nawzajem i kołysali biodrami.

Heide owinał się kocem, uformowawszy go kokieteryjnie jak suknię.

Porta zmienił melodię na hiszpański taniec wiejski. Zamiast kastanietów Stege zderzał dwa talerze. Tańczyliśmy coś, co w naszej wyobraźni miało być flamenco.

Legionista ryczał w ekstazie. - Ca, c'est I Legion!

Padliśmy wyczerpani na krzesła. Napiliśmy się jeszcze. Graliśmy. Znow napiliśmy się. Gadaliśmy bez wytchnienia, zaczerwienieni i półprzytomni z pijaństwa. Opowiadane pijackie brednie płynęły jak jakaś niewiadomej treści kasza, której składników nikt nie potrafiłby określić. Ale to nas nie obchodziło.

Jutro musimy umrzeć.

O, przyjdź teraz, śmierci!

Heide płakał na ramieniu Żyda i otrzymywał jedno długie przebaczenie po drugim. Przysięgał na wielu dziwnych świętych, że poderżnie gardło każdego esesmana, na którego się natknie. Szeptem zwierzył się staremu Żydowi, że on, Julius Heide, jest siorbiącą świnią. Zażądał, by ten walnął go pięścią w ucho. Okazało się to leciutkim kłapsem, ledwie muśnięciem.

- Mocniej - czknął Julius, nastawiając policzek.

Mały w milczeniu obserwował lekkie usiłowania starego Żyda. Wreszcie stracił cierpliwość, wstał i łupnął Heidego po głowie drewnianą warząchwią.

Ten zagulgotał i zwałił się na ziemię. Ostatnią rzeczą, jaką zdołał wypowiedzieć, nim stracił świadomość, było.

- Dzięki, kumplu. Dostać prawdziwe lanie, to było coś wspaniałego.

Nastąpiła przerwa. Przez krótką chwilę piliśmy w milczeniu. A potem, zupełnie z własnej inicjatywy, stary więzień wrócił do opowiadania. Trochę czekał czasami.

- W tej małej, brudnej wiosce została przerwana moja podróż do Chin. - Podniósł kubek. - Wasze zdrowie! - Połowa tego co pił, wylała mu się kątem ust. - Nazywam się Gerhard Stief, a obecnie, ponieważ jesteśmy w wojsku, ex-Leutnant piechoty Gerhard Stief. Zachichotał i zmrużył jedno oko, jakby powiedział nam niewiarygodnie zabawny żart.

Śmiałyśmy się. Klepaliśmy się po udach i ryczeliśmy ze śmiechu. Mały udawał, że spadł z krzesła i wije się w konwulsjach ze śmiechu. Wyrzygał się i wytarzał w swych rzygowinach. Brandt wylał na niego wiadro wody. Nie dla dobra Małego, lecz z powodu smrodu.

Stary Żyd kontynuował spokojnie. Służyłem w 76. Pułku Piechoty w Altonie. Chcieli, abym wstąpił do Gwardii w Poczdamie. Kichnąłem na Gwardię. Grenadierzy Gwardii z białymi odznakami! Nie, dziękuję, wolę ludzi z 76. w Altonie. Chodziłem do domu co wieczór, by jeść pulpety mięsne. Kocham pulpety mięsne i placki kartoflane.

Porta, który czyścił ucho końcem bagnetu, spojrział na Żyda.

- Gdy tylko trochę odpoczniemy, zrobię dla ciebie cały stos placków kartoflanych obiecał.

- Pomogę ci - powiedział Mały i pociągnął się za nos.

Heide obrócił się na podłodze i wymamrotał.

- Precz z Adolfem. Niech żyją Żydzi!

- Porta opluł go.

- Zostałem zdemobilizowany w roku 1919 - kontynuował Stief. - Wtedy powróciłem do studiów. W Getyndze. Wspaniałe czasy - dodał i napił się jeszcze trochę.

- Tak, w Getyndze jest ładnie - potwierdził Stary. Byłem tam uczniem mistrza stolarskiego Radajsaka na Bergstrasse. Czy znasz Bergstrasse, zebr... - Powstrzymał się, mrugnął z zażenowaniem i poprawił na „Gerhard”. - Zaśmiał się. - Znasz ją, Gerhard? Nie przeszkadza ci, że nazywam cię Gerhardem?

- Nie przeszkadza, Herr Leutnant?

Roześmialiśmy się. Śmiał się też Gerhard. Stary walił się po udach i śmiał się bardzo głośno. Nabił swą starą fajkę. Ta fajka miała wieczko. Sam je zrobił

- Czy znasz Bergstrasse - mówił znów Stary.

- Jest tam świetna knajpa na rogu. Nazywa się Holzauge.

- Znam ją. Była tam dziewczyna imieniem Berta - wykrzyknął Gerhard głosem łamiącym się z entuzjazmu na myśl o dziewczynie imieniem Berta.

- Czy była gruba? - Zapytał z zainteresowaniem Porta. Oblizął wargi na myśl o „dziewczynie, którą można obmacać”.

- Nie - powiedział Gerhard. - Była szczupła jak węgorz.

- Tfu, co za nędzny towar - rzekł Porta. - Te wąskie dziewczyny mnie nie interesują. Uwielbiam tonąć w fałdach tłuszczu. Trzeba czegoś, co można wziąć do ręki, chłopcy. Poczuc mięso swymi łapami, nie ma nic lepszego, chłopcy!

- Co się wydarzyło w tym miejscu podróży, gdzie cię złapano? - Spytał Brandt. Splunął na chrapiącego Heidego, który przez sen głośno zaprotestował. Musiał śnić, że stał się kaczką, ponieważ wydawał głos kwakania.

- Zostałem wezwany do stołu, za którym siedzieli ludzie z NKWD. Jakiś miły człowieczek wziął mnie do swego gabinetu, gdzie powiedział mi z uśmiechem, że jestem zatrzymany z powodu podejrzenia o szpiegostwo.

- Lecz wszystko będzie w porządku - rzekł śmiejąc się, jakby to było kolosalnym dowcipem.

Oczywiście miał na myśli, że czy zostanę zastrzelony czy żywcem pogrzebany w Kołymie, w każdym wypadku będzie ze mną w porządku, oczywiście pod warunkiem, że zawsze jest sposób, aby było z kimś w porządku. Po co te wszystkie zawracania głowy z przewlekłymi procesami? Drukowany formularz, który potrafi wypełnić jeden człowiek, to znacznie prostsze, wiecie. Widziałem wielką część Związku Radzieckiego, niewiarygodnie wiele widziałem, ale przez druty kolczaste. Pierwsze rosyjskie słowo, którego się nauczyłem, było dawaj, prędzej. Pamiętam, ponieważ wbito je we mnie kolbami karabinów. Towarzysze, są dwa kolory, które znieawidziłem: granatowy z malinowym żołnierzy NKWD i czarny esesmański.

Stary skinął głową, wyjął fajkę z ust i wypuścił chmurę dymu.

- Gerhard, przyjacielu, rozumiemy cię. Futrzana czapa enkawudzisty też może wywołać w nas dreszcze.

Stary oparł się plecami o krzesło, położył nogi na stole, zamknął oczy i dalej palił w milczeniu.

Stief kontynuował.

- W Borysowie, jak uważano sami mieliśmy zadbać o naszą żywność. W przepływającej przez obóz rzecze było mnóstwo ryb.

- Gdzie jest Borysów? - Zainteresował się Stege - Daleko na wschodzie, koło Chiwy gdzie słońce wstaje. - Gerhard pomyślał chwilę i przecesał palcami zmierzwioną brodę.

- To jest w Chiwie małej, nędznej republice radzieckiej.

- Jeśli było dość żywności, nie mogło być tak źle. - Powiedział Brandt. Odgryzł wielki kęs salami. Stief długo na niego patrzył. Wziął wielki łyk z butelki sznapsa.

- A więc tak myślisz? Czy znasz ryby karmazyny?

Mały Legionista pochylił się naprzód przez stół i popatrzył z napięciem na Stiefa.

- Te, od których dostaje się robaków?

- Tak, te od których dostaje się pasożytów wątroby.

Legionista zagwizdał długo i przenikliwie.

- W tym Borysowie są cholernie wyrafinowani. A więc, Leutnant, masz pasożyty wątroby?

Stief potwierdził skinieniem głowy.

- Tak, i to boli. Człowiek jest powoli zjadany od środka. Te pigułki, które się dostaje, tylko przedłużają ból.

Po tych karmazynach dostaliśmy się do kopalń soli w Jazłanowie. Wicie, tych wielkich kopalń, jeszcze dalej w Azji. Stamtąd zostaliśmy wysłani na Ural, do fabryki lokomotyw w Matrosowie. Nagle pewnego dnia Niemcy, Austriacy, Czesi, Polacy i wiele innych dzieci Hitlera zostało zebranych i wysłanych do obozu rozdzielczego w Gorki. Po kilkudniowym pobycie nastąpiła dalsza podróż na zachód. We Lwowie nastąpiła największa niespodzianka w naszym życiu. Było tam SS, a NKWD urządziło pierwszorzędnny handel wymienny ludźmi. Z wrzaskami i pogardliwym śmiechem my wszyscy ze Wschodu zostaliśmy przekazani SS, a ci z Zachodu dla NKWD. Przyjaciele, czy kiedykolwiek doświadczyliście siedzenia w kucki przez całe godziny bez przerwy?

Wziął papierosa, który Brandt mu podsunął. Wessał dym głęboko do płuc. Widać było, jaką mu to sprawia przyjemność. Na chwilę zamknął oczy, a po tym kontynuował.

- Czy zapakowano was do stalowych wagonów tak ciasno, że połowa z was udusiła się? Czy doświadczyliście, jak miękki jest trup, gdy stoi się na nim przez całe godziny? To jest nowoczesna metoda przechowywania żywego mięsa.

Potwierdziliśmy skinieniem. Byliśmy z tym zaznajomieni i wiedzieliśmy, że dr Gerhard Stief z Hamburga, ex-Leutnant piechoty, nie przesadza. Torgau... O tak, było nam dobrze znane. Lengries, Fort Plive. My też doświadczyliśmy metod wychowawczych dyktatury.

Stief znów się napił. Piliśmy wszyscy.

- Do diabła! - Zawołał. - Miałem Krzyż Żelazny z 1914 r. i Order Rodziny Hohenzollernów. Hauptsturmführer SS wyśmiał mnie i powiedział, że mogę sobie podetrzeć tyłek śmieciem cesarza Wilhelma. Pomimo tego, że on sam nosił oba ordery.

- Musiał być osłem - zauważył Stary.

- Oczywiście był - potwierdził Legionista. - Inaczej nie byłby w SS.

- Spędziłem długi czas w Stutthofie i Majdanku - kontynuował Żyd. - A teraz jestem tu z wami.

- Czy na Majdanku źle cię traktowano? - Zapytał Krause, jakby tego nie wiedział.

- Na Majdanku są okrutni. Są tacy w większości więzień i obozów.

- Czy w Związku Radzieckim nie są gorsi? - Chciał się dowiedzieć były esesman.

- Nie całkiem. Tak naprawdę, w obu miejscach strażnicy i więźniowie są tacy sami. W Obozie 4 na Uralu dostawaliśmy bałandę, zupełny obozów więziennych. Taką samą, jaką ludzie dostawali w obozach więziennych setki lat temu. Stęchła, słona śmierdząca. Rybą tiulką, która nawet żywa śmierdzi. Ta ryba już się rodzi zgniła. Na Majdanku dawano nam chleb pełen robaków, opiłków żelaza i drzazg drewna. Wielu więźniów dławiło się na śmierć tym, co znajdowało się w chlebie. NKWD biło nas kolbami karabinów, kłuło bagnetami lub używało nahajek. SS batożyło nas kotami-o-dziewięciu-ogonach i pałkami gumowymi. Jedni i drudzy używali do odbijania nerek stalowych

łańcuchów. NKWD dokonywało głównie egzekucji strzałem z Nagana w potylicę. SS bardziej lubiło posługiwać się kawałkiem sznura na haku rzeźnickim, z palcami nóg ledwie dotykającymi ziemi. Jak widzisz, esesmanie, nie robi to wielkiej różnicy.

Powiedział to z uśmiechem, zdradzającym wytwornego lekarza, którym kiedyś był.

- Nie jestem w SS - zaprotestował Krause.

W pełen godności uśmiech dr Stiefa wmieszała się odrobina sarkazmu.

- Wielu to powie, gdy teraz lub w przyszłości rachunki będą wyrównywane.

Porta warknął złowieszczo.

- Wszyscy esesmani i enkawudziści byli ochotnikami. Fakt, że później stchórzyli, nie jest żadnym usprawiedliwieniem. - Pokazał palcem Krausego. - Zawsze będziesz szczurem z SS. Jedynym powodem, dla którego nie ukatrupiliśmy cię od razu jest to, że chcemy dać ci spokój aż do chwili gdy ujrzymy, jak będziesz łamany kołem, gdy już będziemy mieli naszą rewolucję. Raz na zawsze powiedzieliśmy ci, że jesteś świnią, tolerowaną wśród przyzwoitych ludzi tylko dlatego, że musimy cię tolerować.

Stief potrząsnął głową.

- Po co taka krwiożerczość? Z całą pewnością, gdy się kiedyś zestarzeje, będą go nawiedzały koszmary...

- Jeśli się zestarzeje - wtrącił Porta, obrzucając Krausego pogardliwym spojrzeniem - i będzie siedział samotnie. To o wiele gorsze, niż zostać powieszonym.

- Allah jest mądry. Allah robi to, co jest słuszne - zaintonował Legionista, skłaniając głowę ku południowemu wschodowi.

- Voos is baschjot - wymamrotał jak echo dr Stief.

- W Forcie Plive musieliśmy srać siedząc na długiej desce - powiedział Brandt. Każdy kto spadł, tonął we własnym i cudzym gównie. Utonęło wielu. Esesmani i łowcy głów zakładali się między sobą, ile można wytrzymać, nim się spadnie.

- Na Majdanku też jest taka deska - stwierdził stary Żyd. - Wielu udusiło się też na śmierć w tym dole. Człowiek, który do niego wpada, topi się powoli, jak w bagnie. Znika z bełkotliwym dźwiękiem małych baniek powietrza. Gdy znika, wygląda to jak gotująca się kasza.

Mały wypluł część gęsiej nogi i wziął łyk z butelki praskiego piwa.

- W Brückenkopf 3 koło Torgau jeśli nasraliśmy w spodnie, musieliśmy na siebie wzajemnie szczać. Ciemne piwo wywoływało u nas rozwolnienie.

Zdziwieni spojrzeliśmy na Małego. Pierwszy raz usłyszeliśmy, jak powiedział coś o swym pobycie w więzieniu. Nie mieliśmy pojęcia co zrobił, ani gdzie był.

Ugryzł kawał salami, wypluł go szybko, zanurzył w wazie z winem i znów wsadził sobie do ust. Mówił dalej z pełnymi ustami, przez co trudno było zrozumieć, co ma do powiedzenia.

- Unterscharführer SS złamał mi rękę w trzech miejscach.

Zaczął dłubać w zębach końcem bagnetu i wypluwał resztki we wszystkie strony. A po tym napił się trochę z wazy, w której zanurzył salami

- Wyrwał mi mały palec u nogi kleszczami, nowiutkim egzemplarzem.

Mały wypił jeszcze trochę praskiego piwa. Wstał, wziął wielki fotel, podniósł go nad głowę i walił nim w podłogę cztery czy pięć razy, póki nie rozwalił go na kawałki. Kopnął połamane szczątki.

- To właśnie zrobię temu Unterscharführerowi SS, gdy go znajdę. Wiem, że odbywa służbę w obozie nad Wezerą.

Uśmiechnął się szeroko w sposób, nie zapowiadający niczego dobrego dla esesmana z Totenkopfverband.

- W Lengries robili nam bastinadę - powiedziałem. - W wigilię Bożego Narodzenia, dawno temu, gdy topole stały nagie, a wrony krakały, zaś Obersturmführer SS Schendrich rozkazywał „Raz, dwa, raz, dwa” piskliwym głosem, przerywanym zachwytem, gdy ktoś zemdłał. Nie powiedziałem, co zrobię Schendrichowi gdy się spotkamy. Mam nadzieję, że nie spotkamy się nigdy.

- W Fagen niektórych z nas dla zabawy kastrowano - powiedział mały Legionista, zaciskając pięść na rączce granatu i błyskając oczami jak Maur, gdy zemsta czeka tuż za rogiem.

- W Gross Rosen powieszono 367 Żydów głowami w dół - stwierdził Stege. - Jednemu z nich odcięto nos i dano go psu Maxowi. Ten pies po prostu uwielbiał ludzkie mięso. Gdy jadł nos, my musieliśmy śpiewać. - Kochanie, już cię nie ujrę.

- Gdy wróciłem do domu z Fortu Zinna próbowałem się powiesić - powiedział Stary. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Już dawniej wiedzieliśmy, że Stary próbował się powiesić. Jego żonie udało się odciąć go na czas. Zajął się nim przyjaciel, ksiądz. Stary już nie próbował odbierać sobie życia.

- Gdy wojna się skończy - rzekł Gerhard Stief - zaproszę was na piwo do „Pół Koguta” na Hausplatz.

- Wspaniale! - Zawołał Brandt. - Spotkamy się pod „Pół Kogutem” i wszyscy sobie postawimy piwo.

- Dortmünder Export, baryłka na każdego - zaśmiał się Stege. - Cała baryłka - dodał z podnieceniem. Prawie poczuliśmy zapach piwa. Klepaliśmy się wzajemnie po ramionach i wybuchliśmy ekstatycznym wrzaskiem na temat Dortmünder Export pod „Pół Kogutem”.

- Czy znacie „Zielonego Kozła” na Albert Rolfgasse w Hamburgu? - Zawołał radośnie Stief, przekrzykując nasze wrzaski. - Można tam dostać najlepsze pulpety mięsne i najlepszą na świecie pieczeń marynowaną.

- Nie, nie znamy tego lokalu - roześmiał się Stege - ale jeśli obiecasz nam go pokazać, ja ci pokażę bar u Lili, najlepszy kurwidolek w całym Hamburgu. Jedna z dziewczyn potrafi zrobić wszystko po prostu jak damski fahir. Mówi się, że studiowała kurestwo w pagodzie Punjab w Raipurze.

- Na koniec znajdziemy się u Lili - zdecydował Stary.

- Są tam jakieś kurwy? - Zapytał Mały wśród hałasu.

- Całe oceany - stwierdził Stege.

- Ach, gdybyż tylko wojna się skończyła - westchnął Mały - moglibyśmy natychmiast wyruszyć

- Następnie pójdziemy w miasto i zaczniemy dziką awanturę - wykrzyknął triumfalnie Porta.

- Będziemy się bić z każdym parszywym łobuzem, którego spotkamy i poderwiemy wszystkie dziewczyny.

- Będziemy tylko musieli się pilnować, aby nie ugrzęznąć pod „Pół Kogutem” powiedział Stief.

- Tam jest tak skandalicznie przyjemnie, a po dwóch Dortmünderach czujesz dopiero, że masz pragnienie.

- Zagrajmy sobie w mariasza albo w oko - zaproponował Bauer, wielki rzeźnik z Hanoweru, który zawsze bał się przed natarciem. Mówił, że należy starannie unikać podejmowania ryzyka. Ryzyko było głupią świnia. Twierdził, że zostawszy żołnierzem stracił mnóstwo rzeczy.

- Nie chcę żadnego krzyża - powtarzał. - Złotego, żelaznego ani drewnianego. Dziesięć godzin pracy w fabryce kiełbas pod rozsądnym brygadzystą, kawał dobrej dupy na noc, partyjka mariasza albo piwo z kumplami po capstrzyku, tyle tylko chcę.

Graliśmy przez jakieś pół godziny. Gerhard Stief wygrał kilkaset marek. Zrobiliśmy tak, żeby wygrał. Udał, że tego nie widzi.

- Jesteś z pewnością twardzielem, Gerhard - zaśmiał się Porta. - Wszystkich nas nalałeś. Aby cała czternastka mogła uczestniczyć, przeszliśmy na bakarata. Za każdym razem, gdy Gerhard wyświęcał właściwą kartę, nasz entuzjazm nie miał granic.

- Do diabła, Gerhard, będziesz bogaty. Może zostaniesz naszym szefem, gdy już nie będziemy zajęci przy tej wojnie - rzekł Brandt.

- Tak, ale upewnijmy się, że nie zapomnimy, że trzeba będzie załatwić naszą rewolucję,” zanim zamkniemy sklepik i pójdziemy do domu - ostrzegł Porta. Wytarł nos w palce. Kawał smarka spadł na panel podłogowy, gdzie szereg innych smarków świadczył o zręcznym użyciu palców jako chusteczki.

Brandt popchnął butelkę do Gerharda.

- Jeszcze łyk, Herr Leutnant.

Gerhard napił się i odstawił butelkę ze zdecydowanym trzaskiem, tak jak my to robiliśmy. Ten trzask był bardzo ważny. Dowodził, że jesteś z butelką w przyjacielskich stosunkach. Nie należy po prostu stawiać butelki na stół, jak to robi pani domu, gdy wylała parę kropli octu na salceson. Uderzasz dnem butelki, jak byś mówił: „Posłuchaj, tutaj masz stać, Towarzyszko Zielona! Do wszystkich diabłów, ja i ty możemy się pochwalić paru rzeczami, o których nie wie Bóg ani Szatan”. Kelnerka stawia butelkę. Smarkacze, chcący się popisać, walą butelką w stół, podczas gdy mężczyźni z portu i z frontu, z wielkich ciężarówek i fabryk, stawiają butelkę dokładnie z takim stukiem, co oznacza, że przychodzą ze stoczni z jej blachami i stalą. Oznacza to, że są dorośli. Należą do gatunku ludzi, którzy uśmiechają się, gdy inni się gapią z rozdziawionymi gębami, a butelka mówi. - Cześć, stary opoju!

Unteroffizier Heide znów podniósł się na nogi Bezczelnie i prowokacyjnie wepchnął się między Krausego i Gerharda. Przez chwilę sytuacja była wybuchowa. Krzyki i wrzaski. Po szeregu jadowitych przekleństw posadzono Heidego obok Gerharda, na miejscu dotychczas zajmowanym przez Krausego. Uśmiechnął się, wypił kilka szklanek sznapsa i mlasnął językiem.

- Karty dla Juliusa Heide! - Spojrzał z ukosa na Gerharda. - Roznieśmy tych śmierdzieli!

Gerhard kiwnął głową. Graliśmy w milczeniu, Gerhard za każdym razem wygrywał. Heide udawał obrażonego.

- Ty szczęśliwa świni! - Wołał. - Zaraz skończy mi się kasa. Jak tak dalej pójdzie, gdy wojna się skończy będę musiał przyjąć posadę żigolaka.

- To nie będzie wielka zmiana - zauważył niedbale Porta. - Już nim byłeś przed wojną.

Heide powiedział z rezygnacją.

- Zbankrutowałem.

Gerhard zaśmiał się cicho.

- Mogę ci udzielić kredytu.

- Na jaki procent? - Zadrwił Heide.

- Zgodnie ze stopą, żadaną przez sześćdziesięcioprocentowców, gdy strona zainteresowana jest postacią podejrzaną - zdecydował za Gerharda Legionista.

- To będzie 250 procent! - Wrzasnął Porta, ciskając na stół asa pikowego.

Porta wziął całą pulę. Trzysta siedemdziesiąt marek i cztery pałeczki opium.

Rzuciliśmy się wszyscy na asa pikowego Porty i zbadaliśmy go gruntownie. W oczywisty sposób oszukiwał, Heide i Brandt zaciągnęli pożyczki na warunkach sześćdziesięcioprocentowców.

- Spryciarz z ciebie - zakpił Legionista. Pociągnąwszy się za nos, rzucił gniewne spojrzenie Porcie, który usiadł na swoich wszystkich pieniądzach.

- A ty będziesz łaskaw zamknąć dziób, Pustynny Włóczęgo - zagroził Porta. Znów zgarnął wielką wygraną. Pożyczył ją Krausemu na 275 procent. Zainwestowanie jej w Krausego było zrobieniem bardzo kiepskiego użytku z pieniędzy, ponieważ był on esesmanem, skazanym za tchórzostwo. Czekały na niego dwa różne obozy, a los mógł go dopaść w każdej chwili.

- Zorganizujemy w Hamburgu pierwszorzędną walkę kogutów! - Zawołał w podnieceniu Bauer, - ty

będziesz naszym szefem, Leutnant.

- Taaa, wynajmiemy Planten en Blomen - zaśmiał się Stege.

- Chryste, jakież walki kogutów możemy tam wystawić! - Ryknął Mały. W wyobraźni widział, jak koguty zabijają się nawzajem... Podczas gdy my będziemy oszukiwać graczy.

Na zewnątrz świecił wielki, okrągły księżyc. Zdawało się, że śmieje się z nas, ze wszystkich czterestu kandydatów do grobu.

Legionista zrzucił karty ze stołu i kopniakiem przewrócił swe krzesło.

- Znudziłem się. Zamiast tego lepiej zacznijmy jakąś bójkę.

W jednej chwili wszystko przygotowano. Mały i Heide mieli stoczyć mecz bokserski. Obszycia sof i foteli zostały skręcone w sznury, by wydzielić ring. Stało tam w gotowości dwóch krzepkich chłopów, ubranych w slipy i buty piechoty. Opatrunków użyto jako bandażu dłoni. Nie mieliśmy żadnych rękawic bokserskich.

- Stłukę cię na miazgę! - Powiedział Mały, rozgrzewając się.

- Pomarzyć dobra rzecz! - Zawołał Heide.

- To będzie dobra walka - solennie przyrzekł Porta.

Legionista potwierdził skinieniem głowy. Mały wyszczerzył zęby i zaczął wymachiwać ramionami.

- Jezu, jakże tęsknię, by cię uziemić.

Legionista przytrzymał go.

- Żadnych uderzeń, póki nie dam sygnału. I będziecie bić się tak długo, aż jeden z was zostanie znokautowany.

- Całkiem w porządku! - Krzyknął Mały. - Chodził dumnie po pokoju w swych butach piechoty.

Heide przymrużył oczy i ze złością spojrział na Małego.

- Zapamiętaj, ty skurwielu, że mam mistrzostwo miasta. Będziesz skomlał.

Legionista uderzył w pustą puszkę od maski gazowej granatem ręcznym, dając sygnał do rozpoczęcia walki.

Obaj bokserzy podskoczyli i zaczęli podkradać się i tańczyć wokół siebie. Obaj zachowywali się profesjonalnie, ale wiedzieliśmy z doświadczenia, że ten profesjonalizm wkrótce się zużyje. Gdy tylko jednemu z nich uda się wyprowadzić mocny cios, nastąpi zwyczajna bójka ze wszystkimi brudnymi chwytami rodem z bijatyk ulicznych. Tego właśnie oczekiwaliśmy.

Przez cały czas Heide gonił Małego z podbródkiem przyciśniętym do piersi. Wyglądał, jak młody byk, który postanowił wygonić wszystkie inne byki na koniec świata.

Mały cofał się i pomrukiwał jak niedźwiedź polarny, zagrożony pozbawieniem swej porcji mięsa. Obaj mężczyźni warcząc obrzucali się obelgami.

Nagle Heide uniósł prawą pięść i trafił nią trzy czy cztery razy Małego w twarz. Głowa Małego odskoczyła do tyłu jak rozkręcona sprężyna. Zawył z wściekłości i jak szalony uderzył oburącz, nie trafiając jednak uśmiechniętego Heidego, który robił uniki przed każdym morderczym ciosem. Był znakomity w obronie i znał sztukę wysokiego trzymania gardy.

Po trzech rundach twarz Małego wyglądała brzydko. Heide nabrał zarozumiałości. Po dziesięciu wbił lewą pięść Małemu w żebra. Ukazała się krwawoczerwona plama.

Mały charknął krwią i przeraźliwie ryknął.

- Teraz Mały oszalał! - Zawołał radośnie Stege - Jeśli złapie Juliusa, zabije go.

- To przewyższa wszystkie walki byków w Hiszpanii - dał się słyszeć zafascynowany szept Legionisty, gdy żelazna pięść Heidego wylądowała z głuchym odgłosem na brzuchu Małego, zmuszając go do chwytania z trudem powietrza.

- Na niego, Mały! - Krzyknął Porta. - Powiedział, że potrafi cię zbić tak łatwo, jak małą sukę z

Harlemu.

Mały zatrzymał się i groźnie popatrzył na Portę

- Czy ta świnia to powiedziała?

Porta z uśmiechem kiwnął głową.

- O, tak, i jeszcze więcej.

Heide natychmiast wykorzystał okazję i walną Małego w przeponę. Równocześnie kopnął go w nadgarstek.

Mały zawył z bólu i kipiącej wściekłości. Pochylił głowę jak baran i zaszarżował przed siebie. Z rozpędem wyrzucił z ringu Legionistę, porwał sznury na kawałki i cisnął stołkiem w Heidego, który ukrył się za nami.

Z głębi Małego dobiegały dziwne, zwierzęce dźwięki. Był prawie zupełnie ślepy, ponieważ ciało wokół oczu straszliwie mu spuchło. Heide kopnął go w żołądek i uderzył bykiem w twarz: duński pocałunek.

Zaczęli się gonić w koło. Heide zamachnął się lewym ramieniem i wymierzył Małemu złośliwe uderzenie w kark. To zważyło go na kolana.

Heide rzucił się na niego jak łasica. Gryzli, warczeli, kopali i pluli. A potem obaj stali na nogach. Po wszystkich ciosach i uderzeniach wymierzonych przez Heidego, twarz Małego była dwukrotnie większa, niż normalnie.

- Mój nóż! - Zawył Mały. - Dajcie mi mój nóż! Szukał go na oślep.

Heide wymierzył mu kopniaka, po którym Mały padł na twarz. Na jedną sekundę Heide zapomniał się pilnować. To zadecydowało o jego losie, jak to bywało w niezliczonych poprzednich bójkach. Mały chwycił go za kostkę, wstał z rykiem rannego nosorożca, chwycił obie nogi kopiającego Heidego i walił jego głową o podłogę, aż ten zwiśł mu w dłoniach jak podarta ścierka. Następnie cisnął bezwładne ciało w kąt, zainkasował swą nagrodę za utarczkę, padł na podłogę i zasnął.

Wkrótce reszta z nas poszła spać, tuląc się do siebie jak szczenięta w zimnej stajni.

Na niebie wisiał księżyc, świecąc w dół przez bezlistne, zmrożone drzewa. Złowieszczą ciszą gór ogarnęła czterestu kandydatów do grobu, w chacie, gdzie niegdyś weseli turyści odpoczywali po nartach.

Pierwszy ujrzał ich Mały. Szli gęsiego. Szybko schodzili po zboczach góry, gdzie obalona skała leżała jak naturalne wrota.

Pomruk Małego obudził nas wszystkich. Było nam zimno. Tamci byli znacznie liczniejsi, niż my. Mieli miotacze ognia, trzy ciężkie karabiny maszynowe i jedną z tych nowych wyrzutni rakiet przeciwpancernych.

Słońce, które obdarzyło góry pocałunkiem na dzień dobry, świeciło z niepojętą wesołością na ich srebrne trupy głowy.

Przez lornetę polową Starego dostrzegliśmy, że na ich czele idzie Obersturmführer SS. Prawdopodobnie Stege miał rację twierdząc, że jest ich cała kompania.

- Ten facet na czele wygląda jak przeziębiony pies gończy - powiedział Legionista i splunął ponad kamiennym krawężnikiem.

Stary opuścił lornetę. Nie patrząc wokoło, szepnął.

- Niech Gerhard zniknie!

- Gdzie? - Zapytał Gerhard Stief, stojąc we drzwiach i wyglądając nad ramieniem Porty.

Tak, gdzie? Popatrzyliśmy na siebie rozpaczliwym wzrokiem. Gdzie?

Mały i Heide zwrócili swe pokiereszowane twarze ku słońcu i zamrugali oczami. To był zły poranek. Wysoko nad nami ktoś się potknął na wąskiej ścieżce. Mogliśmy słabo dosłyszeć, jak ruga go

Oberscharführer SS, machający pistoletem maszynowym i biegający jak owczarek wokół swej kompanii.

- Ten facet w górze jest kupą gówna - mruknął Heide, obmacując swe spuchnięte oko.

- Ustawmy nasz lekki karabin maszynowy i połóżmy plackiem całą watahę - rzekł z uśmiechem Porta, wykrzywiając wąskie wargi jak pies, gotów ugryźć.

- Wspaniały pomysł, a potem poderżniemy im gardła - zaproponował Mały, rzucając w powietrze swój długi, syberyjski nóż. Błyskał wirując i w końcu ukończył lot w jego dłoni, jakby był przywiązany gumową taśmą.

- Zamknijcie się, durnie - zawołał rozzłoszczony Stary. - Jeśli zaczniemy strzelać, jesteśmy skończeni. Dwudziestu na jednego. Musimy ich wprowadzić w błąd.

- Sam w to nie wierzysz - mruknął Stege. - Położą nas plackiem, gdy tylko zobaczą resztki naszej wielkiej uczyty i znajdą Gerharda. Da się słyszeć czternaście puknięć, a wtedy cholerne kruki znów czymś się pożywią.

- Zgadza się, Hugo - potwierdził Legionista, a ten facet, ten Oberscharführer zajmie się zamarynowaniem nas.

Pokazał w górę palcem na wysokiego typa, który znów rugał któregoś z szeregowców SS.

Kompania SS powoli znikła za grupą jodeł. Za jakiś kwadrans wynurzą się po drugiej stronie i wtedy wkrótce na nas wpadną.

Wyskoczyli jak pocisk armatni. Stege zaczął żuć i odbezpieczył swój pistolet maszynowy.

Stary uniósł brwi i dał nam znak ostrzegawczy. Mały stał, przestępując z nogi na nogę.

Broń kompanii SS ostro szczękała, jak instrumenty okrętowego dentysty tuż na chwilę przed wrywaniem zębów palaczowi w brudnych robociarskich spodniach i podartym podkoszulku.

Esesman Krause, który znalazł się wśród nas z powodu tchórzostwa, głucho zakaszał.

- Wynośmy się stąd!

- Boisz się twych braci? - Spytał słodkim głosem Porta.

Esesman drgnął nerwowo i nie odpowiedział. Legionista gwizdnął.

- Mon Dieu, teraz naprawdę coś zobaczymy.

Obersturmführer idący na czele szybko maszerował. Rękawy miał podwinięte, ukazując gęste czarne włosy na jego przedramionach.

Przeczuwaliśmy śmierć. Nasze nozdrza rozdymały się, jak u zwierzyny, płoszonej przez daleką nagonkę.

Gerhard wszedł do domu. Mały i Bauer wraz z nim.

Gdy do nas dotarli, byli spoceni, podobnie jak Obersturmführer SS na ich czele. Wszyscy byli bardzo młodzi. Świetni chłopcy w dobrym stanie.

- Kompania, stój! Do nogi broń! W lewo zwrot! Spoczniej!

Komendy były zimne i niemiłe, jak cały ten poranek.

Stary mrugnął na oficera SS z trupią głową na czapce i długimi, czarnymi włosami na rękach. Ich spojrzenia spotkały się. Stary powoli poszedł po wspaniale zielonej trawie, trawie, którą stary Żyd tak bardzo kochał.

Legionista powlókł się za nim. Jakby przypadkowo przesunął swój pistolet maszynowy na pozycję do strzału i skrył się za stosem drewna opałowego.

Porta zakradł się do domu. W małym, zakratowanym okienku można było podejrzewać za krokwią obecność niebieskawo-czarnej lufy. Starego ubezpieczało dwóch najlepszych na całym froncie zabójców.

Oficer SS podsunął do góry swój szeroki pas, obciążony wagą jego Mauzera.

W domu brzęczały talerze i butelki. Esesmani wyciągnęli szyje. Butelki wydawały jakże przyjemny, znajomy dźwięk.

Meldunek, złożony przez Starego był krótki i nie zachęcający. Podał numer patrolu i jednostki. Trzynastu ludzi, nie licząc człowieka w pasiaku. Ten zrozumiał fałszywą wiadomość, usłyszawszy wypowiedziane wyjątkowo głośno: nic szczególnego do zameldowania!

Szklanki i talerze znów zadźwięczały, jakby protestując przeciw meldunkowi Starego. Zdawało się, że wołają: chodź do środka, Obersturmführerze SS, a spotka cię niespodzianka!

Szczupły oficer SS patrzył uniósłszy brwi na otwarte drzwi. Wolnymi krokami poszedł w stronę domu, niesłuchanie wolno, Jego nowe buty z cholewami i skórzane części wyposażenia głośno skrzypiały. Zatrzymał się na chwilę przy pniu do rąbania drzewa, podniósł siekierę i jednym uderzeniem przeciął na dwoje ciężkie polano. Siekierę naostrzył specjalista. Kopnął rozcięte polano i zaśmiał się łagodnie. Jego twarz przybrała twardy wyraz. Zwrócił się do Starego.

- Feldwebel, zbierz swych ludzi i szybko się stąd wynoście!

Gdy podniósł ramię w niedbałym esesowskim salucie, na jego nadgarstku błysnął ciężki złoty zegarek.

Stary wydał nam rozkaz zbiórki.

Pojawił się Porta. Legionista wstał, nieco zaskakując oficera SS. Zepchnął na tył głowy swą pogniecioną czapkę i zagwizdał przez zęby.

Ze Starego wylaź Feldwebel. Zawołał bardzo głośno.

- Biegiem, wy skurwiele!

Ponuro i niechętnie stanęliśmy na zbiórkę. Popychaliśmy się wzajemnie i kłócili. Mały, Heide i Bauer wyszli z domu spacerowym krokiem. Mały ze swym długim, syberyjskim nożem w ręce.

- Na ramię broń! Równy krok, naprzód marsz! - Zakomenderował Stary tonem tak donośnym, że aż głos mu się łamał.

Przeszliśmy tuż przed esesmanami, którzy śmieli się i pluli na nas z pogardą.

- Gówniarstwo - zakrakał jeden z nich triumfalnie.

Mały już miał coś powiedzieć, ale Legionista i Stary szli obok niego, pilnując, by był cicho.

Tego ranka było zdumiewająco dużo gzów końskich. Cięły nas złośliwie, zawsze na samym brzegu kołnierzyka.

Szliśmy wśród jodeł nie oglądając się. Zatrzymaliśmy się dopiero po dotarciu daleko w dół, do starego mostu przez wyschniętą rzekę. Bez słów, zapadliśmy w krzaki i spojrzeliśmy do góry w stronę górskiej chaty, skąpanej w jasnym, porannym słońcu.

Obersturmführer SS wszedł do domu, mając za sobą dwóch esesmanów. Jednym z nich był wysoki Oberscharführer, który niósł swój pistolet maszynowy jakby to był harap na konia.

Byli w środku długo, ale nie usłyszeliśmy nic. Niektórzy esesmani rozłożyli się na zielonej trawie, gdzie grali w kości i w karty. Wyglądali, jakby czekali na spóźniony pociąg.

- Nasz przyjaciel Leutnant Stief z 76. dobrze się ukrył - oświadczył Porta.

- Miejmy nadzieję, że wystarczająco dobrze - odezwał się nerwowo Stary. Gryzł swoją fajkę z wieczkiem.

- Wkrótce zobaczymy - rzekł mały Legionista. - Allah wie. Allah wie wszystko.

Mały puścił w koło swą manierkę. Był wystarczająco przewidujący, by napełnić ją sznapsem. Piliśmy wielkimi łykami. Porta i Legionista też napełnili swe butelki. Osuszyliśmy je wszystkie.

Staliśmy się odważniejsi. Chcieliśmy ujrzeć krew. Mały splunął na liść.

- Psy, śmierdzące gówna! - Zaklął. - Ukatrupmy ich. - Postukał w magazynek swego pistoletu maszynowego.

Stege zaczął żuć.

- Zróbmy to, Stary - rzekł ochryple.

Stary ssał swoją fajkę.

Mglisty poranek rozdarł długi, zawodzący krzyk. Odruchowo popełziliśmy do bezpieczniejszych miejsc. Mały oblizywał pustą manierkę.

- Stary Żyd niezbyt dobrze się ukrył - westchnął Stege.

Rozległ się następny wrzask. Wszyscy znaliśmy ten wrzask, rozlegający się w więzieniach i obozach.

- Zastanawiam się, co oni robią - szepnął Brandt.

- Zabijają go powoli - nadeszła brutalna odpowiedź Legionisty, który ustawił miotacz ognia na pozycję i zaczął regulować rozpylenie. - W górach Rifu zawsze mściliśmy się, gdy czarni pocięli naszych chłopców. - Spojrzał badawczo na Starego, leżącego za krzakiem i przyglądającego się chacie.

Legionista chciał powiedzieć coś więcej, ale udało mu się to tylko z pierwszą sylabą.

Wyszli wraz z Gerhardem Stiefem. Pełzł na czworakach w swym pasiaku. Cały czas jęczał. Kopali go. Tak mroźnego ranka wszystkie dźwięki rozlegają się głośnie. Zawdzięczają swą donośność energii rześkiego poranka i słyszać je wyraźnie, bez przeszkód ze strony innych odgłosów. Bardzo wyraźnie słyszeliśmy głucho ciosy, gdy go kopali i słyszeliśmy, jak łamią mu rękę po raz pierwszy i drugi. A potem trzeci. Za każdym razem słyszeliśmy tylko taki dźwięk, jaki wydaje gałąź pękająca zimową nocą i przyciszone, lecz przenikliwe jęki torturowanego człowieka.

Każdy szczegół zapadł nam na zawsze w serce. Za każdą nową torturą przybliżaliśmy się odrobinę do obłędu.

W końcu kolbą zmiażdżyli mu twarz. Wtedy runął na ziemię.

Nad milczącym Gerhardem Stiefem pochylił się wysoki Oberscharführer. W jego dłoni błysnął nóż.

Wiedzieliśmy, co nastąpi. Widzieliśmy to już wcześniej, ale coś zawsze nas obezwładniało: wrzask. Ten długi, nieopisany dźwięk, gdy ciało wygina się łukiem do góry. Prawie martwe ciało skacze wrzeszcząc po ścieżce.

Położyli mu głowę na pniaku do rąbania drzewa. Obersturmführer SS uderzył tylko dwukrotnie, krew polała się długimi strugami.

Cichy ranek plugawiły tylko ich śmiechy i ich żarty.

A potem wykopali dziurę w stosie gnoju i wrzucili do niej trupa i odrąbaną głowę.

Stanęli na zbiórce. Komenda, i znikli wśród jodeł, śpiewając: „Żydowska krew musi płynąć”.

Stege głośno łkał. Mały warczał, podczas gdy Stary prawie błagał.

- Bądźcie rozsądni!

Ale Legionista syknął.

- Ca, ćest la Legion! Będziemy szaleni, jak ludzie z Rifu.

Jego wybuch furii rozpalił się, jak pożar lasu. To, co nastąpiło, zajęło ledwie sekundy.

Wilkom stawia czoło jeszcze większe wilki, prowadzone przez marokańskiego psa-wilka.

Zabicie człowieka może mieć skutek oczyszczający.

Nie wierzyliśmy w to, ale spróbowaliśmy i zostaliśmy przekonani.

Ten co miał umrzeć, upadł. Drapał ziemię rękami, i nogami.

Krew zmieszana z ziemią i brudem splywała mu po twarzy. Bełkotał. Oczy miał zamknięte.

Legionista kopnął go w usta, ponieważ wyjąkał „Heil”

Światło słoneczne wspinało się po zboczu góry, by stać się widzem długotrwałego morderstwa odwetowego.

Nim przywiązaliśmy go do brzozy, Brandt oderwał mu ucho.

Więżniowie Oświęcimia byliby zachwyceni, gdyby dowiedzieli się, jak ten człowiek umierał. Jego martwe ciało stoczyło się w dół po zboczu. Na chwilę zatrzymało się na półce skalnej. By je uwolnić rzucaliśmy kamienie i gałęzie. Potoczyło się niżej. Wyglądało, jakby fikało koziołki Ścigały się z nim kawały darni i kamyki. Przypadkiem zatrzymało się w pozycji, która utrudni krukowi dobranie się do jego oczu. Na jakiś czas.

ROZDZIAŁ VI Odwet

Okopaliśmy się i czekaliśmy na morderców Gerharda. Zabrzmiało to jak paradoks, ale cieszyliśmy się, że ich zabijemy. Podobne to było do wigilii Bożego Narodzenia, tuż przed otwarciem drzwi, za którymi ukaże się wielka choinka. Z tą różnicą, że byliśmy jak okrutne wilki.

Stegę płakał. Był pośród nas jedyną niewinną istotą. Porta dziko przeklinał. Mały opisywał obrazowo i szerokimi gestami, co robi esesmanom, gdy ich schwyta. Przy okazji łamał suche gałązki, wrywał rośliny, kopał drzewa.

Mały Legionista mamrotał mahometańskie klątwy. Miejsce, w którym okopaliśmy się, było naturalną fortecą, idealną śmiertelną pułapką dla esesmanów, gdy tu dotrą. Wystarczy, gdy zaczniemy naciskać języki spustowe i bawić się w strzelnicę.

- To będzie orgia - stwierdził Brandt, kierowca ciężarówki terenowej, który zawsze ssał swą dziurę w zębie.

- Chcę oskalpować to wielkie super-gównno z SS - odezwał się ze swego drzewa Julius Heide. Miał nas ostrzec, gdy tylko kompania SS wynurzy się spośród jodeł.

- Nie, bracie Juliusie, to moja robota - postanowił Porta, całując swój długi nóż bojowy.

- Zwariowaliście do reszty! - Krzyknął Stary. - Czy nie zdajecie sobie sprawy z konsekwencji tego, co zamierzacie zrobić?

- Jesteś bladym gównem - stwierdził Porta. Splunął na biegnącą daleko w dole ścieżkę.

- Ani jeden z tych typków nie wróci do domu do swej mamy, by opowiadać. Nim noc zapadnie, kruki będą leżały na plecach ciężko oddychając, a brzuchy będą im pękać z przejedzenia.

- Będziemy ich zabijać powoli, nieprawdaż, chłopcy? - Zawołał cynicznie Mały, ustawiając celownik ciężkiego karabinu maszynowego.

- Osły! - Zawołał ze złością Stary. - Do cholery, czy nie widzicie, że to, co planujemy, to morderstwo?

Ze zdumienia otworzyliśmy usta.

- Czy powiedziałeś „morderstwo”? - Wrzasnął Porta, zapominając, że w górach dźwięk niesie się daleko. - Jak w takim razie nazwiesz to, co robimy od czterech lat? Może potrafisz nam to wytłumaczyć, czcigodny Herr Feldwebel? - Zakpił i splunął pogardliwie.

- Imbecyl - parsknął Stary. - Do tej pory mordowaliśmy tylko nieprzyjaciół, nie naszych rodaków.

- Nieprzyjaciół, powiedziałeś? - Ryknął Porta.

- Być może twoich nieprzyjaciół. Ja nie mam nieprzyjaciół prócz skurwysynów z SS.

- O, nie, bynajmniej, nieprawdaż, ty głupi osle? - Krzyknął z oburzeniem Stary, wynurzając się z dziury, którą wykopał wraz ze mną i Stegem. Skierował swój pistolet maszynowy na Portę, leżącego na półce skalnej powyżej nas i patrzącego na dół.

- Jesteś bardzo zapominalski, mój chłopcze. Gdybym ja mógł założyć sobie końskie okulary w taki sposób. Trochę dopomogę twej pamięci. Czy pamiętasz enkawudzistów, których zmasakrowaliśmy w

Bobrujsku? Czy pamiętasz ten czas, gdy ty, Mały i Legionista podrzynaliście własnoręcznie w Kijowie gardła ludziom z oddziałów samobójczych? Czy zapomniałeś Bośniaków lub kobiety z jednostki miotaczy ognia? Może powiesz mi nawet, że zapomniałeś partyzanta Borysa i jego bandę? Ale być może oni byli twymi przyjaciółmi! W takim razie masz bardzo dziwny sposób okazywania przyjaźni! Nie wspominając już o piechurach ze wzgórza 754 pod Monte Cassino, których wszystkich wysłaliśmy do piekła miotaczami ognia i ładunkami wybuchowymi. A co powiesz o cywilach w kanale ściekowym w Kijowie? Załodze więzienia w Połtawie? Wszyscy oni byli twymi przyjaciółmi, jak przypuszczam? Czy chcesz, bym kontynuował? - Twarz Starego była rozpalona do czerwoności.

- Boże, jak ty potrafisz gadać jednym ciągiem! - Zadrwił Porta. - On powinien być zostać karawaniarzem w oddziałach szturmowych Armii Zbawienia. - Zwracając się do Heidego, wskazał Starego kciukiem.

- Zamknij twą brudną berlińską gębę, albo natychmiast cię zastrzelę - wrzasnął wyprowadzony z równowagi Stary.

Trzymał pistolet maszynowy przyciśnięty do biodra i wycelowany w Portę.

Milczenie. Przez trzy lata Porta, Stege i ja byliśmy związani ze Starym, a to był pierwszy raz, gdy zagroził komuś, że go zastrzeli.

Zaskoczeni patrzyliśmy na Starego, naszego Starego, naszego Williego Beiera. Oddychał ciężko, jakby się dławił. A po tym zaczął mówić jękając się. Słowa wypowiadał niepewnie, jakby każde z nich musiało przedostawać się przez przeszkodę z drutem kolczastym na szczycie.

- Te typy z SS są mordercami, piekielnymi bestiami. Każdy z nich zasługuje na to wszystko, co jak mówicie, zrobicie z nimi. Jeśli ktokolwiek was rozumie, to tym kimś jestem ja.

Chwycił się za szyję, usiadł na skraju wykopanej dziury i spojrzał wysoko, w stronę gór, skąd dolatywał nas śpiew esesmanów.

Bo tak daleko, jak sięga brązowe wrzosowisko, wszystko to należy do mnie...

- Ale nie zwalcza się morderstwa morderstwem, nie zapomnijcie o tym - prawie niedosłyszalnie dodał Stary.

Porta chciał coś powiedzieć, ale Stary gestem nakazał mu milczenie.

- Czy pamiętacie ten moment, gdy Leutnant łowców głów został zastrzelony we Lwowie?

Stary popatrzył na nas kolejno swymi przenikliwymi, niebieskimi oczami i kontynuował. - Czy pamiętacie?

Powtórzył pytanie cztery czy pięć razy, nim otrzymał odpowiedź. Ale pamiętaliśmy to tak dokładnie, jakby to było wczoraj. Leutnant żandarmerii został postrzelony w głowę i zabity. Wydarzyło się to na ulicy Pahlavi we Lwowie. Nastąpiła łapanka, w wyniku której sześćdziesiąt osób zostało spędzonych i zastrzelonych przed domem, przed którym Leutnanta dosięgło jego przeznaczenie. Wśród tych sześćdziesięciu było dziewiętnaścioro dzieci poniżej dwunastu lat. Wszystkie meble w tamtym domu zostały porąbane na kawałki. Kobieta z dzieckiem przy piersi została zatłuczona kolbami karabinowymi przez esesmanów.

Zastanawiam się, czy osoba, która ubiła parszywego Leutnanta łowców głów żałowała tego? Pośrednio była odpowiedzialna za śmierć tych wszystkich ludzi - kontynuował półgłosem Stary.

Zrzucił hełm z głowy. Ten potoczył się wzdłuż żlebu aż do ścieżki i dalej doliną, jak wesola piłka. Garstki piargu toczyły się za hełmem, jakby grając z nim w berka.

- Czy pamiętacie dwóch esesmanów, których zakłuliście na śmierć w Stalino? Kontynuował uporczywie Stary. W odwecie zostało zmasakrowane całe miasteczko Brigadenhof. Albo gdy znaleziono na szosie Blitzmadel, tę telefonistkę z lotnictwa i uznano, że została zgwałcona przez

cywilnych Ruskich? W ciągu pięciu minut wywleczono z mieszkań trzydzieści kobiet i dzieci, by harowały w obozach pracy niewolniczej w Rzeszy?

O tak, pamiętaliśmy. Później dziewczyna z lotnictwa przyznała się, że w ogóle nie została zgwałcona. To była taka komedia. Wzruszyli ramionami, wsadzili ją do kicia na dziesięć dni za zrobienie pośmiewiska z tajnej żandarmerii. A tymczasem we wsi dzieci umierały z głodu, a ich matki zaharowywały się na śmierć w Niemczech.

Z zamkniętymi oczami Stary opowiadał o jednym wypadku po drugim, podczas gdy z daleka słychać było porykiwanie esesmanów.

Czerwoni huzarzy kłusują w dal jakże szybko.

Nie dogonisz ich, nawet najpiękniejsza dziewczynko.

Porta zamrugał swymi świńskimi oczkami. Stege westchnął. Heide splunął. Legionista nucił: - Przyjdź teraz, śmierci, przyjdź! - Tylko Mały miał minę, jakby to wszystko w ogóle nie zrobiło na nim wrażenia.

- Jeśli urządzicie masakrę tych esesmanów tam na górze - ostrzegł Stary - powinniście mieć pełną świadomość że nastąpi akcja odwetowa wobec ludności tego terenu. Oraz w więzieniach - ciągnął dalej po chwili. - A wy będziecie winni wszystkich tych morderstw, co do jednego. Każdy ich strzał będzie waszym. Gdy to się skończy, będziecie największymi mordercami. Masowymi mordercami.

Stary znów spojrzał na każdego z nas po kolei. Wzrok miał nieugięty wlepiony w nasze oczy. A po tym wyrzucił z siebie ostro, jak serię karabinu maszynowego.

- Strzelajcie, jeśli się ośmielicie. Ale nie zapomnijcie, że za każdym razem, gdy esesman padnie od waszych pocisków, równocześnie zabijacie dwudziestu cywilów, wśród nich zapewne wiele kobiet i dzieci. Dzieci szkolnych. Małych, głodujących berbeci, które w tej chwili oddają się niewinnym zabawom. Strzelajcie, chłopcy, do diabła z tym, strzelajcie! Odbezpieczcie broń! Walcie z całej siły i pomścijcie Gerharda, Żyda, który nie zgadzał się spać w łóżku, ponieważ spaskudziłby je robactwem. Gdyby mógł widzieć, co zamierzacie zrobić, naplułby prosto w wasze brudne twarze. Jeśli chcecie go pomścić, zabierajcie wasz złom i odejdźmy stąd. Opowiedzmy wszystkim o tym, co widzieliśmy. Wykrzyczmy to! Nigdy o tym nie zapomnijmy! Śpiewajmy o tym nieustannie! Musicie przeżyć tę wojnę, by wszędzie o tym trąbić. Narysujcie to. Zapiszcie to, aby za dwadzieścia lat, gdy Ziemia znów będzie się spokojnie obracać nikt nie zapomniał, co zdarzyło się innym rasom, tym którzy odważyli się inaczej myśleć, oraz kobietom i dzieciom. To będzie wasza zemsta za tysiące Gerhardów, których tamci torturowali.

Mały Legionista wstał ze śmiertelnie zmęczoną miną.

- Masz rację jak zwykle, Stary. Masz rację.

Nagle, w napadzie wściekłości, odrzucił ciężki zbiornik paliwa miotacza ognia, kopnął go, walił weń jak szalony obu pięściami, wrzeszcząc rozpaczliwie.

- Do diabła z tym wszystkim! Nasza wolność znikła, a nasza odwaga jest bezużyteczna. Każde użycie broni, nawet przez nas, głupie, brudne świnię, będzie na rękę tym cholernym skurwysynom!

Padł na kolana, wyciągnął swój dywanik modlitewny, skłonił się w kierunku wschodu i wymamrotał długą modlitwę do swego orientalnego Proroka.

W milczeniu patrzyliśmy na człowieka-wilka z gór Maroka, który mógł tylko szczyrzyć zęby do noża, którym miał zmasakrować zwyrodnialców.

Wstawaliśmy po kolei. Stary ruszył w dół zbocza. Z wahaniem poszliśmy za nim. Kątemi oczu posyłaliśmy do tyłu jadowite spojrzenia, na wykopane przez nas pozycje bojowe. Porta splunął, ze złością wziął swój kapelusz i wcisnął na głowę, zarzucił swą ciężką broń na ramię i pomaszerował za niskim i barczystym Starym, który skierował się do doliny, ani razu nie spojrzawszy za siebie.

Esesmani śpiewali.

Grete und der Hans gehen an Sonntag gem zum Tanz, weil das Tanzen Freude macht, und das Herz im Liebe lacht.

Bezsilnie zaciskaliśmy pięści. Heide syczał przez zęby.

- Mogliśmy ich położyć, co do jednego!

- I zabrałoby to ledwie pięć minut - mruknął Brandt.

Porta przełożył ciężki karabin maszynowy na drugie ramię. - Tak bardzo cieszyłem się, że ich ukatrupimy.

- Do cholery, mój nóż zardzewieje - mruczał Mały.

Dopiero gdy dotarliśmy na dno doliny, dostrzegliśmy czarny, duszący dym, unoszący się nad lasem.

Zdumieni zatrzymaliśmy się, by popatrzeć na wymowny dym.

- Co to może być za pożar? - Zapytał z namysłem Stary.

- To musi być pożar lasu - podsunął Porta - Ale jest za daleko - dodał po chwili. Zsunął swój cylinder na tył głowy. - Nie zdziwiłbym się, gdyby tu były Katowcy - Ale czemu u diabła miałyby się palić?

Stega wyciągnął mapę i wziął namiar miejsca

- To Tekolovici się palą - stwierdził krótko.

Spoceni, z wysiłkiem pięliśmy się przez skały i górskie pastwiska jak dzicy, którymi uczyniła nas wojna, oczywiście poszliśmy na skróty.

Legionista krzyknął, wskazując południowy wschód. Nowy dym kłębił się ciężki i duszący na tle błękitnego nieba.

Stega znacząco kiwnął głową i popatrzył na swą mapę. - Tym razem to Branovici. Czy wiecie, co to oznacza?

- Akcję odwetową - odrzekł Stary - ale za co?

Brandt przerzucił wyrzutnię raket przez ramię.

- Ruszmy się, abyśmy mogli to obejrzeć. Może zdołamy wsadzić im kij w szprychy.

Porta wybuchnął pogardliwym śmiechem.

- Taaa, zadzwoń do biura podróży i zamów sobie bilet trzeciej klasy do Berlina! Albo sypialny z jebankiem, jeśli to ci lepiej pasuje. Zupełnie wystarczy, jeśli tam pojedziesz i aresztujesz Henryka od SS.

- No, no, nie bądź takim cwaniaczkiem, ty głupolu z uszami - krzyknął Brandt, ciskając swą wyrzutnię, by skoczyć na Portę. Ale Mały, stojący za nim, podniósł wolną dłoń i opuścił ją jak młot na głowę Brandta, który padł bez słowa.

Porta plunął na nieprzytomnego Brandta, kopnął go w tyłek i spojrzął z ukosa na Małego.

- Bardzo dobrze. Zajmuj się utrzymywaniem dyscypliny, mój chłopcze. Dostaniesz coś słodkiego, gdy pójde do sklepu.

Reszta z nas prawie nie zauważyła tego codziennego, drobnego wydarzenia. Odkryliśmy nowy dym, tym razem na południu.

- Zastanawiam się, co się wydarzyło. Użyli bardzo poważnych środków - rzekł Heide.

- Właśnie to, o czym mówiłem - odparł Stary. - Jakaś garść straceńców łupnęła paru bandytów Henryczka Himmlera, a teraz pół okolicy musi za to płacić.

Pies zbiegł galopem po zboczach. Porta go złapał. Był to pół-wilk, jeden z tych psów, które są trzymane w zagrodach w tych górach. Zerwany pierścień smyczy dowodził, że był uwiązany. W wielu miejscach jego sierść była zupełnie spalona. Pies szalał ze strachu i bólu. Musiał przejść przez coś potwornego.

Podczas gdy Porta próbował uspokoić psa, mrucząc do niego cichym, pieszczotliwym głosem, Stary popatrzył na niego, z namysłem ssąc fajkę. Wyjąwszy ją z ust, wskazał nią psa, który teraz leżał, skomląc i skowycząc.

- Ten pies jest z jednego z górskich gospodarstw. Nie z żadnej z trzech palących się wsi - oświadczył Stary z taką pewnością siebie, że nikt nawet nie pomyślał, by zapytać skąd wie.

Legionista podrapał psa za uchem.

- Innymi słowy oznacza to, że oni likwidują także gospodarstwa chłopskie. Co znaczy, że musiało się wydarzyć coś wielkiego.

Otworzył zamek swego lekkiego karabinu maszynowego, spojrzął przez lufę z niemal niewiarygodną starannością zaczął sprawdzać swą broń.

Reszta z nas, siedząc na trawie, przyglądała się manewrom małego żołnierza pustynnego z rosnącym zainteresowaniem. Co się działo w mózgu tego małego, naznaczonego blizną zabójcy?

Stary wstał i chciał kontynuować marsz, ale Legionista poprosił go, by zaczekał chwilę. Ostrożnie odłożył na bok lekki karabin maszynowy, skłonił głowę twarzą na wschód, usiadł po turecku pośrodku grupy i poprosił Portę o papierosa. Krztusił się i pluł od marnego tytoniu. W tym czasie Porta miał tylko machorkę.

- Chłopcy, Stary wygłosił do nas długie kazanie - powiedział w końcu. - Słuchaliśmy go, byliśmy rozsądni, ponieważ istniały dobre powody ku temu. Ale teraz pali się wszędzie wokół nas. Spowodowali to bez wątpienia, ponieważ jacyś przyjaciele po przeciwnej stronie nie byli tak rozsądni, jak my. Więc nie widzę żadnego powodu, abyśmy byli rozsądni nadal.

- Zamknij jadaczkę! - Wrzasnął wściekle Stary. - Bierzcie broń. Musimy ruszać.

- Pół sekundy! Posłuchajmy, co Pustynny Włóczęga ma do powiedzenia zaproponował Porta. Kopnął pień wielkiej jodły.

Legionista uśmiechnął się złośliwie. W jego oczach błyszczała nienawiść.

- Na Allaha, rozłożmy tych skurwysynów z SS.

- Nie! - Krzyknął Stary. - Nie będziemy się zachowywać jak pospolicci mordercy.

- Wściekle psy się zabija - zawołał mały Legionista, - a kundle Henryka od SS nie są niczym innym. Kto pójdzie? Podnieście ręce.

Porta, Mały, Heide i Brandt podnieśli je natychmiast. Reszta z nas poszła ich wzorem z pewną niechęcią. Stege był ostatni. Robiąc to spojrzął na Starego przepaszająco.

Tylko Stary nie podniósł ręki.

- Na Allaha, jakież to będzie święto - syknął Legionista, wstając z miejsca. Położył dłoń na ramieniu Starego. - Rozumiemy cię, Stary, ale ty też musisz nas zrozumieć. SS nie wolno dokonywać żadnych dalszych represji. Już palą miasta. Czy nas poprowadzisz, jak to zawsze robiłeś na froncie?

Stary pokręcił głową. Pójdę z wami, bo muszę, ale odmawiam kierowania morderstwem!

Legionista wzruszył ramionami.

- Dobrze, chłopcy, idźcie za mną!

Przecisnęliśmy się przez działki leśne i zaczęliśmy się wspinać na niezliczone przeszkody. Wiele z nich spowodowałyby, że chasseurs alpins cofnęliby się, ale nas poganiała zemsta.

Godzinę za godziną szliśmy przed siebie. Wycinaliśmy ścieżki przez zarośla głogu naszymi łopatkami o wyostrzonych krawędziach i motykami. Wiążąc ze sobą sznury i skórzane rzemienie wciągaliśmy się na niebezpieczne skalne krawędzie. Klęliśmy, wybuchaliśmy gniewem, biliśmy się i kłóciliśmy się między sobą. Pot spływał nam po twarzach. Dłonie mieliśmy w krwawych strzępach, ale Legionista popędzał nas naprzód, bardziej fanatycznie niż kiedykolwiek. Groziliśmy mu bronią, ale tylko uśmiechał się pogardliwie i słał błękitnym szczytom gór swój marokański okrzyk bitewny.

A potem stanęliśmy przy pierwszym gospodarstwie. Dymiąca ruina z trzema zwęglonymi ciałami. Dwie kobiety i dziecko. Nie powiedzieliśmy nic. Tylko patrzyliśmy. Stary zmrużył oczy. Twarz miał białą jak kreda.

Nie byliśmy ulubionymi dziećmi Boga. Byliśmy bojowymi świniami i wielu położyliśmy trupem. Mocniej zacisnęliśmy ręce na naszej śmiercionośnej broni i znów pomknęliśmy przed siebie, za przeklinającym i bluzgającym Legionistą. W godzinę później znaleźliśmy dwa dalsze ciała. Dwóch mężczyzn, zabitych strzałami w potylicę. Legionista je odwrócił.

- Walther P 38 - orzekł Porta, badając palcem punkt wlotu. Przy ciałach nie znaleźliśmy żadnych papierów. Wszystkie usunięto.

- Czy nie uważacie, że mogli to zrobić partyzanci? - Spytał esesman, który znalazł się wśród nas z powodu tchórzostwa.

- Z pewnością - parsknął Bauer.

Wszyscy roześmieliśmy się z powodu tej fantastycznej naiwności.

Stary spojrział ironicznie na esesmana, równocześnie mocniej pykając swą fajkę z pokrywką. Wyjął ją z ust i wycelował ją w esesmana.

- Mogę ci powiedzieć prawie dosłownie, co gazety napiszą jutro lub pojutrze. Pokojowo nastawieni wieśniacy, kobiety i dzieci, zostali zamordowani przez bandytów. W bestialski sposób ci terroryści spalili trzy wsie i szereg gospodarstw chłopskich. W najbliższym czasie nastąpią surowe represje. - A ten cały stos kłamstw będzie podpisany: Reichsführer SS Heinrich Himmler. Następnie Standartenführer SS Blobel otrzyma rozkaz od swego przełożonego, Führera SS i Policji Bracha, by dokonać paru egzekucji zakładników. Dla ostrożności czytelnicy zostaną również powiadomieni, że bandyci byli ubrani w niemieckie mundury. O tak, o tak, oni tam w Centrali Bezpieczeństwa są przemysłni.

Porta obmacał brzegi rany jednego z zamordowanych. Mały patrzył na niego z zainteresowaniem. Porta powąchał swój lekko zakrwawiony palec.

- Czym on pachnie? - Spytał Mały, schylając się nad trupem.

- Czymś dziwnie słodkawym, czymś jakby zgniłym - odrzekł Porta i ponownie powąchał. - Coś jakby pierwsze stadium gangreny.

- Masz na myśli tak, jak te żółte trupy w Dobrowinie? - Wtrącił Legionista.

Porta kiwnął głową i ponownie powąchał palec.

- Drugi z nich ma gówno w spodniach - powiedział Mały, trącając drugiego trupa kolbą swego pistoletu maszynowego.

- Gdy gazowaliśmy ich w Brzezince, w Oświęcimiu, zawsze to robili - rzekł esesman.

Miało to efekt wybuchu dynamitu. Zupełnie zapomnieliśmy o dwóch ciałach. Coś nowego, coś diabelnie interesującego padło pomiędzy nami. Jakbyśmy byli gotowi skoczyć na niego, groźnie patrzyliśmy na wielkiego, tęgiego esesmana, człowieka, który został wyrzucony z ich szeregów przez swych kolegów o tych samych poglądach i zdegradowany do niehonorowej służby w jednym z setek karnych pułków Armii Lądowej.

- Co jeszcze się zdarzało, gdy ich gazowałeś w Oświęcimiu? - Zapytał podstępnie Porta.

Esesman zbladł, zrobił się niemal siny. To, co trzymał w tajemnicy przez trzy długie lata, wymknęło mu się przypadkiem. Przeżywał niespokojne noce, bojąc się, że ktoś czy coś go wyda. Ktoś z urzędu, jak Unteroffizier Julius Heide, który w tym czasie od roku był w plutonie. Jaki szok przeżył, gdy Heide został wykopany z kancelarii kompanii i wyładował tu, w 2. plutonie. Kilka razy bliski był poproszenia Heidego, by nie mówił. Zapłaciłby mu dowolną kwotę za dochowanie tajemnicy. Ale może Heide nie czytał jego papierów. Nie było prawdopodobne, aby Heide milczał tak długo, gdyby

o tym wiedział. Próbował wydostać się z kompanii. Ale Hauptmann von Barring wzruszył ramionami z uwagą. - Wykluczone! Barring był głupią świnią. Dokładnie tak, jak każdy w tym parszywym plutonie był głupią świnią. To byli zdrajcy i powinno się ich zlikwidować.

Wtedy nastąpiło coś niewiarygodnego. Nikt go nie wydał. On sam się wydał. Wzniósł milczącą modlitwę do Boga, którego wyrzekł się w 1936 roku, gdy wstąpił do Totenkopfverband SS, okrutnej formacji strażników obozów koncentracyjnych Eickego. Jak dumny czuł się, mogąc spacerować po ulicach w kraju w swym mundurze SS z wyhaftowaną srebrną trupią główką na lewej klapie kurtki mundurowej, zamiast run „SS” zwykłych esesmanów. Z jakąż miłością naszył na lewym rękawie munduru czarną, jedwabną wstążką ze srebrnymi literami TOTENKOPFVERBAND. Śmiał się z całego serca z przerażenia swej matki, gdy po raz pierwszy zjawił się w budzącym strach mundurze z trupią czaszką i puszczelami. Gdy jego ojciec plótł o karze boskiej za to, że on, Ingerd, zgłosił się do załóg obozów koncentracyjnych Gruppenführera SS Eickego, on zagroził ojcu uwięzieniem i zakuciem w łańcuchy. Jak wspaniale się czuł, gdy w domu łobuzy uliczne patrzyły za nim z przerażeniem. Wszyscy, którzy dawniej traktowali go bezczelnie, teraz szukali jego przyjaźni. Gdy właściciel knajpy odmówił mu kredytu wstał i cisnął marki na stół. A gdy zawołał do niego. - Wkrótce przyjdiesz i zatańczysz dla mnie - w przepelnionej sali zapadła cisza.

Następnego dnia wsunął notatkę do skrzynki pocztowej obozu. Pudełka, które osobiście opróżniał Eicke. Napisał nazwisko i adres knajpiarza i czerwonymi literami słowo: ZDRAJCA.

Obserwował Gestapo wywlekające go, patrząc z drzwi wejściowych jego sąsiadów. W trzy tygodnie później właściciel knajpy przybył do obozu. Tego samego dnia zwiślał na koźle, otrzymując swe pierwsze dziesięć uderzeń.

Prawda, że komendant Eicke zrobił mu głośną awanturę za to, że nie złożył przepisowego meldunku jak powinien, zanim więzień dostał lanie.

Ale ten knajpiarz był łajnem. Pewnego dnia w styczniu 1938 rzucił się na druty. Został pochowany wraz z pięćdziesięcioma Żydami, zastrzelonymi za stajnią.

Dzień, w którym przybył do Gross Rosen jako Unterscharführer był największym dniem jego życia i często przypominał sobie o nim z nostalgią. Stał się kierownikiem zespołu psów. Po prostu kochał te psy. Ale Hauptsturmführer SS Streicher, który prowadził akta, był osłem, który zrobił wielką aferę z tego, że jeden z tych zdrajców został trochę pogryziony. Prawda, że wykorkował, ale do cholery, tamten facet też by to tak czy inaczej zrobił: był ministrem w czasach Weimarskich, jak mówiono. I starym robakiem, który padał nieprzytomny za każdym razem, gdy dostał kijem po głowie.

Hauptsturmführer zarządził dochodzenie w sprawie psów. Nic by z tego nie było, gdyby przed tym nie było awantury w sprawie „Hula hop”. Hula hop być może było odrobinę ostre. Był gotów to przyznać, chociaż stosowano je tylko przeciw parszywym zdrajcom. Oberscharführer Steinmüller z 7. bloku je rozpoczął. Wynajdywano coraz więcej rzeczy, których można było używać do Hula hop. Paru więźniów ustawiano na wielkim placu za starą owczarnią. Na ich głowach stawiano puszkę, a więźniom grozono chłostą, jeśli te spadną. Następnie strażnicy zestrzeliwali puste puszkę z ich głów. Naturalnie, niektórzy więźniowie dostawali kulą w mózg lub zostawali ranieni. Ale to było wspaniałe ćwiczenie strzeleckie i doskonała zabawa.

Więźniowie wybierani do Hula hop byli także zmuszani do wyścigów przez latryny z tym, że wyrywano spod nich deski, gdy znajdowali się po środku nad dołem. Jakże śmiesznie wyglądało, gdy pasiaści miotali się tam w gównie na dole. Zdarzało się też, że paru z nich się udusiło. Ale to byli tylko zdrajcy i nie zasługiwali na nic lepszego.

Jakże zabawiali się w batalionie! Nie mówiąc już o meczach bokserskich pomiędzy ludzkimi szkieletami. W Hula hop było wiele, wiele innych spraw, należących do Hula hop. Ale na

nieszczęście Steinmüllerowi odbiło. Przywiązał trzech więźniów nago do grzejników w bunkrze więziennym by przekonać się, czy są prawdziwymi mężczyznami.

Głupia świnia Streicher dowiedział się o tym. Gdybyż tylko wykryli, który więzień zakapował! Boże, jakaż awantura wybuchła! Ale załatwili tę bestię, Streichera. Został postawiony przed sądem wojennym SS, oskarżony o bronienie zdrajców i wrogów Rzeszy. Został wyrzucony z SS i przeniesiony do lotnictwa. Krążyła pogłoska, że został zastrzelony w Polsce.

Z Gross Rosen przeszedł do Ravensbrück. Nic, tylko dziwki. To były dni! Stabscharführer, z Orderem Krwi za rok 1923, miał kompletnie kota w tym obozie na punkcie pokazów seksu. Czegóż on nie wymyślił, by robić z tymi dziewczynami! Po takim pokazie dosłownie wychodziło się ze skóry.

Komendant Ravensbrück zarządził dochodzenie. Dobrze wiedział, jak należy traktować taką hołotę. Jakaż zabawą było chłostanie tych kobiet! Czasami biło się je, aż czuło się bóle w całym ciele ze zmęczenia. Ale choć komendant był całkiem miły, i tak ledwie mu się upiekło. Jedna z tych wiedźm próbowała donieść na niego, ponieważ zrobił jej mały żarcik i zaszła w ciążę. Ale zanim wszystko wyszło na światło dzienne podjął właściwe kroki, by usunąć ją ze swej drogi. A ponieważ był w dobrych stosunkach z sanitariuszem w izbie chorych, udało się zatrzeć przyczynę jej śmierci.

Jak niewiarygodnie trudno było udusić takie stworzenie! Nawet, gdy używało się cienkiego sznurka, który, jakoby, miał być szczególnie skuteczny, tak powiedział Ernest. Ernest wypróbował go szereg razy. Nie, zawsze dawajcie mi strzykawkę z benzyną. Jest o wiele lepsza. Miał okazję wypróbować to wielokrotnie po przybyciu do Brzezinki. Choć komendantem był tam Hoss, decyzje podejmował Lorentz. To był twardziel. Trzykrotnie zdejmowany z komend za okrucieństwo.

Przez trzy miesiące był w drużynie likwidacyjnej. Prawda, że na początku czuł się lekko skrepowany, gdy zaganiano stado około tysiąca Żydów, by dać im dawkę Cyklonu B. Ale do wszystkiego można się przyzwyczaić. Całkiem stracił rachubę tych wszystkich Żydówek, które musiał stuknąć pod ścianą z małokalibrowego pistoletu. To były te, które odmawiały zabierania swych dzieci ze sobą do komór gazowych.

Najczarniejszym dniem jego życia, w każdym razie do chwili sprzed kilku miesięcy, był ten, w którym wyrzucono go ze służby w załogach obozów koncentracyjnych. To zrobił Untersturmführer SS Rochner.

To się nazywało fraternizacją. Wziął udział w zgwałceniu kobiety z Bukaresztu. To był ich cholerny pech, że on i jego trzech kumple zostali schwytani na gorącym uczynku.

Najpierw został wysłany do jednostki szkolenia polowego SS w Krakowie. Ale tam udało mu się dostać do izby chorych ze stanem zapalnym stopy. Zapalenie kosztowało go tysiąc marek. Myślał wtedy, że wojna się dla niego skończyła, ale miał pecha. Z izby chorych wysłano go prosto do Klagenfurtu, gdzie miał wstąpić do pułku SS Der Führer, zbioru imbecyli, których najgorętszym życzeniem było, aby polec śmiercią bohatera. Miesiące wylewania potu, rozpachy i strachu, aż do jego ucieczki w Charkowie, pierwszego dnia gdy znalazł się na linii ognia.

Wtedy nastąpił sąd polowy SS. Degradacja. Areszt i Torgau. Później drżał na samą myśl o Torgau, parszywym więzieniu Sił Zbrojnych. Co za straszliwa rzecz zostać wyrzuconym ze wspaniałego SS, z Gwardii!

A od tego czasu dni spędzone z najgorszego rodzaju kryminalistami, w tym obrzydliwym pułku karnym Wehrmachtu.

A teraz takie podrzędne typy chciały przesłuchiwać jego. Żołnierza führera, weterana załóg obozów koncentracyjnych. Zaczął się nadymać, ale gdy spojrział na Portę, Małego i Legionistę, jego odwaga uciekła z niego jak powietrze z przekłutego balonika.

Nigdy nie wiadomo, co tacy psychopaci mogą sobie wbić do głowy. Odczuwali taką przeraźliwą niższość, stając twarzą w twarz z kimś z wyższej sfery. Byli zwierzętami. Mogli wpaść na cokolwiek.

Pamiętał Hauptmanna Meiera, Obersturmführera Gratwohla. I co ta banda zrobiła z Sonderführerem Hansenem!?

Lodowate krople potu wystąpiły mu na czoło Czy powinien zawołać o pomoc? Może jacyś z jego przyjaciół z SS byli blisko i usłyszą go. Ach, gdyby tylko byli o parę kroków bliżej. Wtedy te stojące tu świny zatańczyłyby, świny z batalionu karnego Opowie żołnierzom SS wszystko, co tamci zamierzali zrobić i wszystko, co mówili. Sama ta myśl podniosła go na duchu.

Ale co to u diabła było? Porta wstał i zaczął do niego podchodzić, szedł bardzo wolno. Wyglądał jakby grał w zabawę przeskakiwania z płyty chodnikowej na płytę bez trafiania na styki.

- Nie dotykaj mnie, ty... - Chciał powiedzieć. Ale jego usta nie wydały żadnego dźwięku. Już nie był zdolny do przerwania ciszy, która oznaczała śmierć. ŚMIERĆ. Czuł, jak jego język staje się gruby, suchy i nabrzmiały. Zrobiło mu się bardzo gorąco.

Legionista, marokański potwór, ta mała, wstrętna, bliznowata, nieludzka istota, podchodziła do niego z uśmiechem na twarzy.

Ciągle ta paraliżująca cisza. Boże, jak ohydna potrafi być cisza! A potem Mały, ten goryl i Julius Heide, chuligan. Szli lekko pochyleni, jakby zamierzali kogoś uderzyć. Ten pospolity złodziej Brand wyciągnął swój nóż bojowy.

Ale przecież niemożliwe było, aby go zabili. Oni tak, zwyczajnie. Bardzo łatwo. Nie, nie, nie mogą. Stary powiedział, że to będzie morderstwo.

A przecież to oni powoli zabili Sonderführera Hansena. To było morderstwo. I powiesili Gratwohla. To było morderstwo. I zastrzelili Hauptmanna Meiera. To też było morderstwo.

Diabelskie bestie! Zdrajcy! Będzie walczył. Strzelał ze swego karabinu szturmowego.

Brzękliwy odgłos. Spojrzał w dół i najpierw nie zrozumiał. Chryste! Porta wytrącił mu karabin z ręki. Teraz zostanie bezbronny wobec ich noży i automatycznej broni szturmowej.

Uśmiechali się bezdźwięcznie. Z wyszczerzonymi zębami i powarkiwaniem. Czy on naprawdę teraz umrze? Nie chciał umierać. Ach, jakże cudowne jest życie! Przecież tylko wykonywał obowiązek wobec swego kraju. Nic więcej. Ale czy ci kryminaliści coś z tego rozumieją?

Stary patrzył na niego w milczeniu. Oczy Starego pociemniały. To już nie był Stary. Był jego wrogiem. Stary nie powiedział. - To morderstwo!

Koło zacieśniło się. Stali blisko wokół niego. On był pośrodku jak centrum tarczy strzelniczej.

Uderzali. Kłuli nożami. Piekielny ból rozdzierał mu ciało od stóp do głowy. Wrzeszczał, jak wrzeszczał Gerhard.

- Jezu Chryste, pomóż mi! Pomóż mi! Święta Dziewico, pomóż mi! - Upadł. - O, Święta Dziewico, pomóż mi! - Zawołał, ale rozległo się tylko sapnięcie. - Przez resztę mego życia będę księdzem! Dobry Boże, będę ci służył i już nigdy cię nie odrzucę. O, pomóż mi przeciw tym diablom!

Góry przewróciły się. Niebo się rozdarło.

Związali go wrzynającymi się w ciało rzemieniami. Pozwolili mu leżeć i cierpieć, podczas gdy sami milcząco i obojętnie palili.

A potem brzoza pochyliła się nad ziemią jak katapulta. Wiedział, co nastąpi. Wydał dziki, ochryply krzyk. Czy mógł tracić zmysły?

Bóg go nie słyszał. Słyszał go tylko Szatan i radował się.

Umarł z każdą kończyną, każdą kością wyrwaną ze stawów.

Wrzeszczał przez całą minutę zanim skonał. Porta uważał, że to nie było dostatecznie długo.

Stary powiedział.

- Świnia!

Legionista splunął na niego, zanim zatoczyliśmy go do wąskiej, głębokiej rozpadliny. Został zapomniany.

Patrol poszedł dalej. Koło okopconej ruiny nadal dymiącej, wpadliśmy na oddział esesmanów Nie krzyczeliśmy. Długi okrzyk bojowy małego Legionisty Allah el Akbar nie rozbrzmiewał już wśród gór. Naszą żądzę krwi zaspokoił ten nieznany esesman.

Gizela spała. Pocałowałem ją. Obudziła się i przeciągnęła. Otoczyła mnie swymi jeszcze sennymi ramionami i ucałowała mnie namiętnie. Spała długo.

- Ten Żyd, którego spotkałeś, czy on umarł?

Pocałowałem ją znowu, Nie zadałem sobie trudu, by odpowiedzieć.

Tramwaj numer 12 zadzwonił na ulicy. Żołnierz broni pancernej i dziewczyna w majteczkach koloru bzu znów się spotkali na starym łożu z baldachimem, podczas gdy Gerhard Stief gnił w swym grobie.

Burdel został wysprzątnany. Nie było już kurzu na belkowaniu.

Przybyły nowe dziewczyny. Znikła wielka, wypchana ryba, wisząca nad stołem Madame. Zamiast niej powieszono na ścianie głowę byka. Na jednym z rogów ktoś powiesił przezroczystą pończochę i jasnoniebieskie majteczki. Pozostawiono je tam, jako coś w rodzaju znaku firmowego.

Oczywiście Legionista nie chciał wziąć udziału w zabawie. Gdy reszta z nas poszła z dziewczynami, usadowił się przy stole z pięcioma butelkami wina i miską Pein-Peon z chińskiego baru w piwnicy.

Dwie dziewczyny, które były w Afryce, zostały z tyłu, by go zabawiać. Można było prawie poczuć zapach wielbłądów.

Naprawdę można było czuć Kabilah.

Całkiem naga dziewczyna tańczyła na stojących rzędem stolikach. Podczas tańca wiła się i wykręcała, wypinała brzuch do przodu i kręciła się jak fryga. Kolorowe punktowce grały światłem na jej ciele, a czerwony zatrzymywał się zawsze na jej najintymniejszych miejscach.

Małego ledwie można było powstrzymać.

W końcu Legionista musiał pozbawić go przytomności butelką.

ROZDZIAŁ VII Zaręczyny Małego

Wróciłem do szpitala po mej nocnej wycieczce tuż przed obchodem. Moi towarzysze osłonili mnie, ale jak zwykle Pancernik była tam, gdzie nie powinna. Zobaczyła mnie, jak wchodziłem. Obdarzyła mnie morderczym spojrzeniem, zaś jej męski głos zabrzmiał jak trąba wśród klasztornych korytarzy.

- Idź na swą salę natychmiast, ty mała świniu!

- Oczywiście, siostrzo przełożona - cicho wymamrotałem.

Wyrażenia, rozlegające się za mną jak cichnący odgłos piorunu, nie były bynajmniej macierzyńskie.

- Czy było miło? - Spytał ciekawie Mały. Nie czekając na odpowiedź wyszczerzył zęby. - Ja też właśnie wróciłem z bajzlu. Trzy naraz. Czy próbowaliście tego kiedykolwiek, chłopcy? To tak, jakby polecieć prosto do nieba, do nieba, o którym czeska świnia Mouritz opowiada, by tam zostać powitany przez muzykę harf i śpiewy młodych anielic w liliowych pokrowcach na dupki i wstążkach jako miseczkach na cycki, oraz czerwonych kokardach w dolince.

Mlasnął językiem i oblizał swe mięsiste wargi Miał zamiar dalej rozwodzić się na temat

doświadczeń tej nocy bardziej szczegółowo, lecz przeszkodził mu obchód.

Dr Mahler zatrzymał się przy łóżku Mouritza, oglądając jego kartę choroby, którą wręczyła mu Pancernik. Jak zwykle pomrukiwał sobie, lecz robił to jakby samymi wargami. Przeczytał coś z karty i zamruczał znowu niskim głosem, przyglądając się uważnie Mouritzowi, ochotnikowi z Sudetów.

- Jak się czuje dziś nasz awanturnik?

- Niezbyt dobrze, Herr Oberstabsarzt - wywrzeszczał Mouritz, dokładnie tak, jak nauczył go robić Feldwebel podczas okresu rekruckiego.

Na pomrukujących wargach dr Mahlera pojawił się lekki uśmiezek.

- Doprawdy? Drogi przyjacielu, daleko ci do bycia tak chorym, jak sobie wyobrażasz.

Odwrócił się i spojrzał na Małego, który leżał w łóżku na baczność, z rękami wyprostowanymi wzdłuż boków. Wyglądał fantastycznie głupio.

- Pacjent czuje się lepiej?

Mały wydał przerażone westchnienie, ale dr Mahler tego nie usłyszał. Uśmiechnął się i znowu zamruczał wargami.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, stan pacjenta jest doskonały. Pacjent wymaga wypisania do polowego batalionu rekonwalescentów swej dywizji.

Mały uniósł się oparty na jednym łokciu i wpatrzył się w dr Mahlera w absolutnym zdumieniu. Doktor spojrzał na wielkiego chuligana i uśmiechnął się.

- Ponieważ możliwe jest uwzględnienie życzenia pacjenta, zostanie wypisany dnia... Dr Mahler zaczął liczyć na palcach...

- We wtorek siódmego - pomogła mu Pancernik.

Dr Mahler uśmiechnął się swym delikatnym bladym uśmiezkiem i przyjacielsko skinął jej głową.

- Doskonale, siostrzo przełożona, wtorek siódmego.

Mały otworzył usta ze zdumienia. W jego oczach odmalowało się przerażenie. Zrozumiał równie dobrze jak reszta z nas, co dr Mahler zamierza.

Pancernik zapisała podyktowane słowa wiecznym piórem, które skrzypiało protestując. Jej okrągłe policzki błyszczały.

Mały rzucił jej rozdzierające, błagalne spojrzenie.

Dr Mahler zwrócił się szybko do łóżka Mouritza. Wziął chłopca z Sudetów za nadgarstek i ku naszej uldze powiedział.

- Życzę zdrowia! Mam nadzieję, że wspaniale u nas wypocząłeś.

Mały z ulgą opadł na swą poduszkę.

- Pacjent blado wygląda - powiedział dr Mahler, patrząc na Małego.

Pancernik parsknęła i wręczyła naczelnemu chirurgowi grubą kartę choroby Małego, która więcej mówiła o karach dyscyplinarnych, niż chorobie. Popukał w wielką bliznę Małego i posłuchał jego serca. Następnie przyłożył stetoskop w okolicę jego płuc.

- Pacjent ma zdecydowane trudności w oddychaniu. Zapalenie oskrzeli - podyktował.

Pancernik zapisała to niechętnie swym skrzypiącym wiecznym piórem.

Twarz Małego przybrała wyraz bezgranicznego cierpienia.

- Wyraźnie śmierzący oddech, a język bardzo obłożony.

Język Małego wisiał, daleko wystawiony z jego ust. Wielki kawał grubego mięsa, prawie doszczętnie zniszczony przez tytoń i alkohol.

- Co poza tym, przyjacielu? - Zapytał sarkastycznym tonem dr Mahler, patrząc na głęboko cierpiącą twarz Małego.

- Herr Oberstabsarzt, gdy tak leżę, czuję się doprawdy bardzo dobrze - wyszeptał Mały umierającym

głosem. - Ale gdy tylko wstaję, już jest mi niedobrze. - Machnął ręką w geście pełnym wyrazu. - Wtedy czuję się oszołomiony, Herr Oberstabsarzt, jakbym miał zawroty głowy. Moje łapy zmieniają się w galaretę, jak wtedy, gdy o czwartej rano wraca się do śpiwora, po odwiedzeniu wszystkich knajp w mieście. Parszywie, Herr Oberstabsarzt, doprawdy parszywie. Tylko pozycja pozioma dobrze mi robi.

- Hm. - Dr Mahler skinął głową, w zamyśleniu pomrukując Marsz Radetzkiego.

Przez chwilę patrzył na Małego tak, jakby ten miał się przyłączyć do nucenia, lecz nim udało mu się zacząć, dr Mahler skinął głową.

- Rozumiem, brak apetytu, tylko pragnienie?

- Tak, całkowity brak - wyjąkał słabym głosem Mały, nie mając do końca pewności, co oznacza słowo apetyt.

Dr Mahler kiwnął głową z uśmiechem i dyktował dalej.

- Pacjenta na dietę dla gorączkujących przez tydzień. Bezwzględny zakaz opuszczania łóżka. Gorące okłady. Ciepłe kompresy. Kąpiele kontrastowe. Lewatywy. Również dobrze będzie zbadać treść żołądka, przy karmieniu przez gumową rurę.

Pancernik uśmiechnęła się złośliwie, pokazując żółte zęby. Dr Mahler kiwnął głową Małemu i pożeglował do innych pacjentów.

Mały nie zdawał sobie sprawy z całej okropności tego, co się stało, aż do ukończenia obchodu. Klął i bluzgał, ale wiedział, że nie będzie zwłoki w realizacji jego przeznaczenia.

Pancernik osobiście zajmowała się lewatywą i nie traktowała go w aksamitnych rękawiczkach.

Oboje wrzeszczeli, warczeli i miotali groźby Oboje zajęci byli tylko sobą oraz zbiornikiem do lewatyw. Mały musiał trzymać rurę. Siostra przełożona wściekała się, ale nie chciała ustąpić. Mały groził, że ją obsra i dokładnie to miał na myśli.

- Wezwę żandarmów, by cię zabrali i postawili przed sądem wojennym - krzyczała Pancernik, kołysząc zbiornikiem. Twarz miała czerwoną i spuchniętą.

- Nie ma ani jednego sądu wojennego na świecie, którego by obeszło, czy cię obsram, czy nie! - Wywrzaskiwał Mały.

Pancernik wrzeszczała, Mały syczał. Ale dostał swą lewatywę, do ostatniej kropli, choć potrwało to pewien czas.

- A teraz jej nie wypuść! - Zagrzmiała przełożona, nim wymaszerowała z sali z pustym zbiornikiem.

Wiedząc doskonale, że przełożona wróci, by ponownie dać mu lewatywę, Mały trzymał ją przez całą godzinę, równocześnie wykrzykując nieprzerwany potok bluźnierstw. Mały był jedynym pacjentem, któremu siostra przełożona dawała lewatywę osobiście. Używała najstarszej i najgrubszej końcówki, jaką potrafiła znaleźć i wpychała ją nadzwyczaj powoli, aby móc usłyszeć jego ryki. Dla niej była to najśłodsza muzyka.

Ledwie się pochyliła nad Małym i wepchnęła mu końcówkę do włochatego tyłka, gdy to się zdarzyło. Półpłynne wyładowanie i kilka detonacji. W porównaniu z nimi wybuch Wezuwiusza podobny był do trzasku petard, rzucanych latem dla zabawy w ogródkach działkowych. Ale nie ustąpiła, choć jej fartuch już straszliwie śmierdział. Następnie wulkan wybuchnął całą siłą. Przełożona wydała ryk przerażenia i kaszłąc zaczęła się cofać, podczas gdy Mały śmiał się tak, że aż całe łóżko się trzęsło. Wyciągnął końcówkę lewatywy i roztrzaskał ją o ścianę.

- Odrażająca świnia - syknęła pokonana Pancernik. - Będziesz za to odpowiadał przed sądem wojennym. Każe cię zamknąć, aż zgnijesz.

- To pomysł gówno wart - orzekł Mały i przez otwarte okno strzyknął strumieniem soku tytoniowego. Warcząc jak zwierzę Pancernik rzuciła się na Małego, chwyciła go za uszy i zaczęła tłuc tyłem jego

głowy o krawędź łóżka.

- Merde - rzekł lakonicznie Legionista i powrócił do lektury Koranu.

Pancernik nie była jedyną osobą, którą dotknęły skutki wybuchu wulkanicznego. Wszędzie na sali leżała lawa. Nawet zegar ścienny szedł nieregularnie przez kilka następnych dni, oczywisty dowód, że jego mechanizm został trafiony.

Mały nie dostawał już więcej lewatyw.

W osiem dni później upoił się cudownie i wdarł się do Pancernika, która siedziała w swym pokoju czytając ulubiony romans *Żona dwóch mężów*.

Nastąpiła fantastyczna kotłowanina, do której nikt nie chciał się mieszać. Dyżurny lekarz, który był nowy, został w ostatniej chwili ostrzeżony przez pielęgniarkę naszej sali. Był na tyle bystry, by zastosować się do jej rady i uniknął wmieszania się do bitwy gigantów.

Po godzinie nastąpiła zupełna cisza.

Doszliśmy do wniosku, że jedno z nich zostało zabite. Gdy cisza trwała już dwie i pół godziny, zaczęliśmy się zastanawiać, czy by nie sprawdzić, co się stało. Ale nagle zauważyliśmy ich schodzących po schodach, idących pod rękę, Mały z podbitym okiem i niewiarygodnie dokładnie wyszczotkowanym mundurem. Jego buty i pas błyszczały, jak nigdy dotąd.

Pancernik ubrana była w czerwony kostium, tak dopasowany, jak pęknięty worek kartofli. Na głowie miała niebieski kapelusz z bażancim piórem z tyłu. Nawet nie zadając sobie trudu, by rzucić na nas okiem, zeszli z łoskotem po schodach i zniknęli na Zirkusweg w kierunku Reeperbahn.

Wrócili wczesnym rankiem. Mały był nieprawdopodobnie pijany. Pancernik chichotała jak nastolatka. Miała przy nadgarstku czerwony balon przywiązany złocistą wstążką.

Mały bełkocząc zwałił się na cudze łóżko. Gdy właściciel zaczął się sprzeciwiać, został ciśnięty na drugi koniec sali. Mały uśmiechał się przez sen i oblizywał wargi jak obzarty niedźwiedź. Zapach baru wypełnił całą salę.

Mouritz, Niemiec sudecki, modlił się. Co pewien czas przerywał modlitwę i przeklinał tego łajdaka Małego.

Mały zakochał się. Zachowywał się dziwnie. Gdybyśmy się ośmielili, wyśmielibyśmy go, ale nie mieliśmy takiej śmiałości.

Bardzo zabawnie było przyglądać mu się, gdy się przygotowywał do wyjścia. Do tej pory uważał wszelkiego rodzaju mydło za zwykłe łajno, używane jedynie przez głupców i zniewieściałych. Grzebień był oznaką daleko posuniętej degeneracji. W taki sam sposób oceniał perfumy i odżywki do włosów.

W tej chwili stał po środku sali, próbując umieścić część swych włosów na tyle głowy. Ale to się zupełnie nie udawało. Mimo wszystkich jego wysiłków, kosmyk nadal stał sztorcem.

- Dajcie mi trochę perfum, czy tego, co się u diabła używa - mruknął i zwrócił twarz do lustra z wyrazem bezsilności w oczach.

- Tonik do włosów - pomógł mu Legionista i rzucił mu ćwierćlitrową butelkę.

Mały szybko wylał całą zawartość butelki na głowę. Dla miłości wszystko. Splunął na szczotkę do ubrań i próbował ułożyć sterczący kosmyk, masując go szczotką, ale bezskutecznie. Rozejrzał się rozpaczliwym wzrokiem, chwycił nożyce i odciął najeżony pęczek włosów.

Wyglądał niebezpiecznie, nawet bardziej, niż zwykle.

Zmusiwszy jednego z kolegów, by wyczyścił mu buty, innego do wyprasowania i wyszczotkowania mu munduru, stanął naprzeciw małego Legionisty. Wyglądał na nieco przerośniętego chłopca, umytego i ubranego przez swą matkę, a potem wysłanego na przyjęcie bożonarodzeniowe do szkółki niedzielnej.

- Czy teraz dobrze wyglądam, Pustynny Włóczęgo?

Legionista wydał wargi i powoli opuścił swe nogi z łóżka. Obszedł Małego spoglądając badawczo, jakby dokonywał gruntownego przeglądu.

- Do diabła, wyglądasz wspaniale - orzekł Legionista, z zadowoleniem skinąwszy głową. - Może spodnie są nieco luźne na twych pośladkach.

- Tak myślisz? - Zapytał z niepokojem Mały, przyglądając dłonią wielką masę zbędnego materiału na siedzeniu swych spodni.

- Ale to jest, do cholery, niewidoczne - uspokoił go Legionista. - Po prostu ruszaj i zrobisz wielkie wrażenie. Naprawdę wyglądasz wspaniale. I zapewniam cię, że wydajesz bardzo obfity zapach.

Rzucił się z powrotem na łóżko, wyciągnął spod materaca butelkę i pił z niej wielkimi łykami.

- Wobec tego biegnę do Emmy. - Mały uśmiechnął się i jeszcze raz obciągnął mundur.

Zatrzymał się przy łóżku Mouritza i rozkazująco wyciągnął palec wskazujący do ogarniętego przerażeniem ochotnika z Sudetów.

- Ty, wszawy alfonsie, zmówisz za mnie piękną modlitwę, albo złamię ci kark, ty mała świnió.

By podkreślić powagę swego rozkazu uderzył Mouritza w twarz swą furazerką.

W parę minut później wrócił na salę jak wściekły byk, wyciągnął Mouritza z łóżka i cisnął nim z jednego końca pomieszczenia na drugi. Trzech innych odbyło taką samą podróż, zanim się wyładował.

Usiadł na łóżku Legionisty, skrzywiony, rozglądając się po sali nienawistnym wzrokiem.

- Wszy, zarazki świerzbu - warczał. - Taka świnió ze zrujnowanej obory wyrzuca mnie, Małego, mówiąc, że śmierdzą jak zbankrutowany burdel.

- I ty jej na to pozwoliłeś? - Zapytał zdumiony Legionista.

- Tylko dlatego, że zostałem zaskoczony. Niech mnie diabli wezmą, jeśli pozwolę na to za drugim razem - powiedział Mały, przekonując samego siebie. - Taka spasiona wesz roślinna! Wyrzucić mnie, ponieważ pachnę jak dżentelmen... Tego już trochę za wiele.

Mały skurczył się trochę, oparł głowę na rękach i spojrzał na Legionistę, swego idola, który śledził wzrokiem jego pantomimę, leżąc brzuchem na łóżku.

- Złapię ją za gardło i zrzucę z trzeciego piętra, aż wyląduje w piwnicy jak bomba. Prawdziwy mężczyzna musi pokazać, do czego jest zdolny wobec kogoś takiego, nie uważasz? Po prostu sprawa dyscypliny. Zgadzasz się? - Dodał, z pewną nutą niepewności.

Legionista skinął głową.

- Absolutnie. Musisz sam stawić czoło we własnej sprawie, inaczej będzie ci robić psikusy, na przykład brać do łóżka innych łobuzów i tego rodzaju świństwa.

- Gównu mnie to obchodzi, Pustynny Włóczęgo. To nic takiego, żeby to sobie brać do serca. Każdy ma prawo zabawiać się i korzystać z małych przyjemności z innymi. A Emma nie wygląda na taką, co się aż tak łatwo zużyje. Ale być nadętym zerem i używać paskudnych słów - zaczął się podniecać - do diabła, tego już za wiele. Jakie podłe małe łajno! Uprzejmie zapukałem do jej drzwi i mówiłem do niej, jak dobrze wychowany, godny szacunku człowiek:

- Moja ukochana Emmo! Wiesz, dokładnie jak w tej książce, którą mi czytałeś, o tym, jak się zachowywać, jeśli jest się kimś kulturalnym, jak ty i ja. A wiesz co ta stara torba odpowiedziała? -

Wynoś się, ty świnió! Ależ śmierdzisz jak trup. - Cóż, nadal zachowuję zimną krew i mówię, jak mnie uczyłeś: - Czy pozwolisz mi usiąść koło siebie, moja ukochana Emmo? - Tłusty krab funduje sobie uśmiech i pyta, czy mi się we łbie pomieszało. Wtedy spalił mi się pod czaszką bezpiecznik i zapomniałem o wszystkim, co mi czytałeś na temat uprzejmego zachowania. Nachalnie raz ją walnąłem, a ona nadal chodzi sobie w kółko, kichając od tego. Ale jest kobietą nietaktowną,

prawdziwym kawałkiem szmergla i nie można oczekiwać, że utrze jej się nosa po prostu waląc ją w zęby. - Co u diabła, jesteś chodzące cliché, - tak powiedziała. Co to jest cliché, Pustynny Włóczęgo? A potem kopnęła mnie właśnie tu w najwrażliwsze miejsce, uważasz, więc musiałem się skręcić. Potem chwyciła mnie za włosy i rąbnęła kolanem w twarz. Następnym co wiedziałem było to, że siedzę na schodach. Dzięki Bogu nie spadłem z nich. Mogłem coś sobie straszliwie uszkodzić.

Mały przerwał, by pomyśleć, co przełożona mogłaby sobie uszkodzić, gdyby to on ją zrzucił na dół.

- Zrezygnuj z niej - postawił wniosek Legionista. - Ona przysparza ci stanowczo zbyt wiele zmartwień. Kobiety są nieprzewidywalne. Pójdź do bajzlu i znajdź dla siebie kurwę. To znacznie lepsze. Ona na ciebie nie zasługuje. W kurwidołku płacisz i to koniec kłopotów. Oczywiście rozumie się, że płacisz tyle, ile się należy i z własnych pieniędzy.

- Nie, najpierw pójdę do najjaśniejszego piekła - zaklął się Mały. - Nie rzucę tej klaczy. Do diabła, ona jest pełna ognia. Ale tłusta świnia przekona się, kim naprawdę jestem. Nie ustąpię ani na cal. Przecież jestem wojownikiem.

- Jesteś osłem - rzekł łagodnie Legionista. - I z pewnością wcześniej czy później sam się o tym przekonasz.

- Kto jest osłem? - Wybuchł Mały i przybrał groźną postawę.

- Ty - odpowiedział z uśmiechem Legionista, - a ja, Alfred Kalb, były kapral 2. Pułku Cudzoziemskiego, mam pełne prawo, by to ci powiedzieć.

Mały zgrzytał zębami i na zmianę czerwieniał i bladł. Pięści miał zaciśnięte, gotowe by uderzyć. Jego małe, złośliwe, rybie oczka błyskały ostrzegawczo. A potem nagle oklapł.

- I tym ja jestem?

Wstrząsnął się i padł obok łóżka Legionisty, a obiema pięściami zaczął walić w podłogę. Musiał coś uderzyć.

- Ona jest jełopą, przysięgam, że jest - orzekł z namysłem.

Po krótkiej przerwie mówił dalej:

- Gdy się tu zjawi, by mnie zaprosić do pewnej spoconej nocnej roboty, powiem: Emmo, ty spasiona kurwo. - A może lepiej „przekwitła kurwo”? - Możesz dać mi potężny pocałunek w dupę, nie mam nic więcej wspólnego z tobą, ty zgrzybiała nudziaro.

- Naprawdę jej to powiesz? - Spytał sceptycznie mały Legionista.

Klnąc i bluzgając Mały kiwnął głową. Przetoczył się po podłodze, kopnął miednicę, dla pewności trzasnął Mouritza w twarz i groził, że uderzy Steina. Następnie z okna ryknął na cyklistę idącego przez Zirkusweg niczego nie podejrzewając i wlokącego parę opon, które musiał zdjąć z jakiegoś roweru.

- Czy próbujesz się popisywać, ty barania głowo?

Mały z zadowoleniem zauważył, że jego ryk kompletnie przeraził cyklistę. Splunął i zaczął wygwizdywać melodię, odległe przypominającą coś z „Wesołej wdówki”. Gdy już wszystko mu się poplątało, Mouritz otrzymał rozkaz zaśpiewania jakiegoś hymnu. Pierwsze trzy zostały odrzucone.

- Pieśń skończona! Następna pieśń! Raz, dwa trzy, cztery! Wybijał rytm kopiąc nogą łóżko Mouritza. Gdy Mouritzowi nie udało się w pełni zaspokoić apetytu estetycznego, który nagle ogarnął Małego, został trzy czy cztery razy przegoniony pod wszystkimi łózkami. Skończył we własnym, skąd wyrzeszczał swój hymn głosem śpiewaka katedralnego. Wyglądał jak chrześcijanin, który ma być zaraz rzucony lwom.

Mały sapiąc podstawił głowę pod kran z wodą i wytarł ją pierwszym prześcieradłem, które wpadło mu w ręce. Zarówno pacjent jak i pościel została ściągnięta na podłogę.

- Stein, Bauer, wy dwaj pójdziecie ze mną bić tych łobuzów w kurwidołku zdecydował.

- Tak wcześniej? - Zapytał zdziwiony Stein, zaś Bauer bez słowa zaczął wciągać mundur.

Legionista zachichotał.

- Bon, ruszajmy. Potrzeba nam trochę gimnastyki.

Mały cisnął butem w głowę Mouritza.

- Głośniej, ty wikary rezerwy. Nie słyszę twej boskiej pieśni marszowej.

Piskliwym dyszkantem nieszczęsny ochotnik z Sudetów maltretował ewangeliczny hymn.

Wymaszerowaliśmy. Schodząc po schodach Mały kopnął wiadro z wodą, która rozchlapała się we wszystkie strony.

Gdziekolwiek szedł, tam rozrabiał.

- Ty brudna intrygantko! - Wrzasnął na sprzątaczkę błyszczącą od tłuszczu, zadowoloną z siebie narodową socjalistkę. - Postawiłaś to wiadro właśnie tutaj, abym skręcił sobie kark. Każę cię zamknąć za sabotowanie oddziałów bojowych Rzeszy.

Kobieta rzuciła mu złe spojrzenie. Czerwonymi pięściami podparła się w tłuste boki i zasyczała:

- Zrobiłeś to naumyślnie, ty parszywy chuliganie! Szumowino! Zaciągnę cię przed sąd wojenny i zadyndasz.

- Zamknij się, ty hitlerowska wiedźmo - zadrwił Mały i ponownie kopnął wiadro, które lecąc rozbiło szybę w dwuskrzydłowych drzwiach.

Kobieta ryknęła i w gorączce wściekłości zakryła twarz dłońmi.

Ubrany w hełm i z pistoletem u pasa, jak tego wymagają przepisy, pojawił się biegiem podoficer służbowy, wyznaczony na ten dzień.

- On kopnął moje wiadro - wyrecytowała kobieta. - Obraził Führera. Nazwał mnie hitlerowską wiedźmą.

Podoficer służbowy był młody i niedoświadczony. Dziko błysnął niebieskimi oczami, jak to mieli w zwyczaju młodzi podoficerowie. Spojrzał na przewrócone, na wyłożoną płytkami podłogę, wiadro. Spojrzał na rozbitą szybę w dwuskrzydłowych drzwiach. Zauważył ścierkę, uśmiechając się do niego wesoło na środku podłogi.

- Bacność! - Zakomenderował, starając się podniecić do właściwego poziomu złości.

Z niezwykłą powolnością posunęliśmy nasze obcasy aż się zetknęły i przyjęliśmy pozycje, które być może omyłkowo można by uznać za postawę na bacność.

Sprzątaczką ożywiła się. Wytarła ręce o swój brudny fartuch z wyblakłym orłem na środku brzucha i z oskarżycielską miną poszła korytarzem. Mały gapił się przed siebie z miną, wyrażającą kompletną głupotę i obojętność. Próbował przesyłabizować napis na tablicy podającej obowiązki pacjentów, przybywających na swe pierwsze badanie.

Podoficer służbowy stanął nadęty przed nim, wypiął pierś i wrzasnął:

- Zajmę się tobą, ty świńskie ucho!

Mały przekrzywił głowę i przyjrzał się badawczo gorliwemu podoficerowi sanitarnemu w o wiele za dużym hełmie, jakby zauważył u niego oznaki postępującej choroby umysłowej.

- Do ciebie mówię, ty leniwa łajzo.

- Do mnie? - Zapytał Mały udając zdziwienie, wskazując na siebie palcem.

- O Boże, dopomóż nam! - Podoficer sanitarny próbował wrzasnąć z całej siły, ale wyszło mu tylko załamujące się skrzeczenie.

- Widzi pan, proszę pana - Mały uśmiechnął się familiarnie - zgodnie z przepisami należy się do mnie zwracać moim stopniem. Nawet, jeśli jestem zatrzymany za jakąś bzdurę. Podsunął swój mankiet tuż pod nos podoficera sanitarnego, który musiał odskoczyć o krok, by nie zostać odepchnięty. - Jak to Herr Unteroffizier zauważył, jestem Stabsgefreiterem i należy się do mnie zwracać Herr

Stabsgefreiter.

Nasze twarze głęboko poczerwieniały z entuzjazmu. Nikt nie przypuszczał, że Mały potrafi się odezwać w sposób godny Porty.

- Czy taki śmierzący burak jak ty chce mnie pouczać? - Wrzasnął podoficer. Odpowiadaj, kiedy do ciebie mówię!

- Jesteś dupa z uszami! - Rzekł Mały miłym, cichym głosem.

Podoficer sanitarny skoczył do góry jak pocisk moździerzowy, który trafił na skalisty teren. Nie chciał wierzyć swoim zmysłom i groźnie patrzył na uśmiechniętego Małego, który z wielką ochotą oczekiwał, co nastąpi.

- Powtórz to, co właśnie powiedziałeś - wyjąkał podoficer, otwierając usta ze zdumienia.

- Czy masz brudne uszy? - Zapytał poufałym tonem Mały.

Podoficer zająknął się, niezdolny wypowiedzieć jednego wyraźnego słowa. Z wysiłkiem wziął się w garść, pokazał na nas palcem i miauknął:

- Jesteście wszyscy świadkami tego, co ta świnią powiedziała.

Legionista zaśmiał się cicho, co spowodowało, że podoficer całkowicie stracił panowanie nad sobą.

- Z czego się śmiejesz, ty włóczęgo, nie martw się, zajmę się tobą, ty wykastrowany czarnuchu.

Z pokiereszowanej twarzy Legionisty znikł uśmiech. Oczy miał zimne jak kobra. Podoficer sanitarny w swej wściekłości zrobił sobie śmiertelnego wroga.

Stein szybko zawołał:

- Meldujemy, Herr Unteroffizier, że nie możemy o niczym świadczyć. Nie słyszeliśmy nic, nie widzieliśmy nic.

Niski podoficer skoczył do Steina jak kogut odepchnięty podczas krycia kury. Stein stał wielki i tęgi, jakby wykuty z granitu.

- A więc rozpoczynacie bunt. Warta pod broń! - Zapiał.

Hałasując jak kompania ruszających z miejsca samochodów pancernych, dziesięciu żołnierzy służby sanitarnej wytoczyło się z wartowni. Popychając się i popędzając, stanęli gromadą przed bladym podoficerem służbowym, który z satysfakcją dokonał przeglądu swej armii. Pokazując nas palcem wrzasnął do swych nadwornych pacholków

- Aresztować ich!

Nikt nie zareagował. Skierował palec na strażników.

- Kazałem wam ich aresztować!

- Nie możemy - odpowiedział stary Stabsgefreiter z przeciągłym, hamburskim akcentem.

Podoficer sanitarny wstrząsnął się jakby dostał pałką w głowę. Upłynął pewien czas zanim się otrząsnął na tyle, by powtórzyć swój rozkaz.

- Aresztować ich! Zamknąć ich!

- Nie możemy - odpowiedział natychmiast stary Stabsgefreiter, który wyglądał, jakby był przed wojną dokerem.

- Bunt, bunt! - Darł się podoficer służbowy, teraz już absolutnie zdumiony. Biegał w kółko, jak kot, który wskoczył na rozpaloną do czerwoności blachę kuchenną.

Stary Stabsgefreiter mrugnął do nas. Staliśmy sobie, śledząc wzrokiem rozwój sytuacji ze słabo skrywanym entuzjazmem, mając nadzieję na najgorsze.

Wydawszy szereg bełkotliwych dźwięków podoficer sanitarny przyszedł do siebie. Zwrócił się do umundurowanego kółka wokół siebie, sycząc: Pomyślcie, coście zrobili! Oprzytomnijcie! Możecie za to zapłacić waszymi głowami! - Dłonią w rękawiczce przecinał ze świstem powietrze wydając dźwięki jak gilotyna w Plotzensee.

- Jestem führerem Hitlerjugend, moje słowa się liczą!

- Myśleliśmy, że jesteś Sanitarsunterofizier w Armii Lądowej - zauważył wesoło Stein.

- Jeśli jesteś Führerem Hitlerjugend, wobec tego ci nie podlegamy.

Miał już odejść, ale podoficer skoczył na niego jak dzikie zwierzę, wyrwał swego ciężkiego Walthera P 38 z kabury, odciągnął kurek i kwiknął zapłutymi ustami:

- W wypadku usiłowania ucieczki użyję broni! W imieniu Führera jesteście wszyscy aresztowani i zostaniecie ścięci!

- Mieć tego rodzaju władzę, to rzeczywiście coś - rzekł ze śmiechem Bauer. Aresztowanie, oskarżenie, skazanie, egzekucja. Cała muzyka w ciągu dwóch minut.

- Nie uśmiechaj się! - Zawył podoficer służbowy, doprowadzony do punktu wybuchu.

- Zakołyszysz się, ty wszo! Wszyscy będziecie się kołysać - groził, machając nad głową pistoletem.

Wtedy wydarzyło się coś, co zawsze się zdarza podczas zaburzeń atmosferycznych tego rodzaju. Pistolet wystrzelił. Nie ledwie jeden raz, ale dwa. Mały szczył w stalowym hełmie tak się przestraszył pierwszego strzału, że dostał kurczu dłoni i ponownie nacisnął spust. Kolejny gromowy strzał wstrząsnął cichymi korytarzami o wielu drzwiach. Podoficer rzucił pistolet na ziemię. Mały uprzejmie podniósł go i wręczył właścicielowi, ale nie prędzej, nim dmuchnął teksańską manierą w wylot lufy i poinformował podoficera, że zostało mu jeszcze sześć strzałów.

Sprzątaczką wymknęła się w przerażeniu ze sceny awantury, którą spowodowała nie zapomniawszy swego wiadra ani ścierki.

Hauptfeldwebel Domas wkroczył do korytarza mając usta jeszcze zatłuszczone od jedzonego śniadania. Błyskawicznie ocenił sytuację. Pistolet w dłoni Małego właśnie był w drodze do podoficera służbowego. Przez dwie wyraźne dziury w drzwiach laboratorium wyglądało parę czyściutkich młodych dziewczyn, przekonanych, że fala odwetu Rewolucji dotarła do ich progu. Domas zauważył też wartowników, stojących nierówną kolumną i ubranych niezgodnie z regulaminem: niektórzy w stalowych hełmach, inni bez nich, trzeci z karabinami, jeden z pistoletem maszynowym, reszta bez broni i w nie zapiętych mundurach. Dostrzegł wodę na podłodze i wybitą szybę w drzwiach. A przede wszystkim zauważył nas, starą bandę w dziwnej postawie na baczność.

Spojrzał z wyrzutem na swego podoficera służbowego, któremu udało się opanować na tyle, by złożyć meldunek, bardzo długi meldunek, w którym słowa takie, jak „bunt”, „egzekucja”, „sabotaż” oraz „niesubordynacja” powtarzały się wielokrotnie. Hauptfeldwebel szpitala wojskowego nadal lekko pożywiał się tłuszczem błyszczącym na wargach, pozostałościami kradzionej wieprzowiny, którą odstawił pięć minut temu.

- Czy jesteś pewien, że ten meldunek jest zgodny z prawdą? - Zapytał, stukając w drugi od góry guzik kurtki mundurowej podoficera służbowego, podczas gdy ten stał prosto jak słup.

Nie czekał na odpowiedź, lecz szczechnął ostro:

- Kto strzelał?

- To ja, Herr Hauptfeldwebel - odkrzyknął przepisowo mały człowieczek w za dużym stalowym hełmie.

- No, niech mnie diabli - powiedział Hauptfeldwebel i znów oblizał grube wargi. - A kto był zamierzonym celem? - Rozejrzał się wokół badawczo, aby raz jeszcze się upewnić, że nie leży nigdzie parę trupów na błyszczącej, terakotowej podłodze. To by uraziło jego zmysł porządku jako Hauptfeldwebla szpitala wojskowego.

- Ja byłem zamierzonym celem - wyrzeszczał głośno Mały. - Podoficer służbowy otworzył usta by coś powiedzieć, ale przełożony protekcyjnie dał mu znak, by siedział cicho.

- No cóż, w takim razie celowanie nie powinno było sprawiać żadnej trudności mruknął. - A tak się

dzieje, gdy leniwi próżniacy biorą się do strzelania. - Zaczął zapinać swą kurtkę. Sytuacja była zbyt poważna, pomyślał, by rozprawić się z nią w rozpiętym mundurze. Przyciszonym, groźnym tonem przesłuchał służbowego, który przypominał zmokłą kurę, stojąc tam z pistoletem w dłoni.

- Czemu strzelałeś, Herr Unterofizier?

Dziwnie podkreślił Herr oraz Unterofizier, by okazać swą pogardę.

Nie było żadnej odpowiedzi od gorliwego Führera Hitlerjugend, który z własnego wyboru służył ojczyźnie nosząc nocniki dla pielęgniarek.

- Wobec tego, Unterofizier - rzekł z wymuszonym uśmiechem Hauptfeldwebel służby medycznej, pełen morderczej słodyczy - po cóż ten ogień artyleryjski? Nie widzę ani jednego zabitego a przecież słyszałem groźną zaporę ogniową... Chyba, że mój dobrze rozwinięty zmysł słuchu doznał uszkodzenia.

Szpitalny Hauptfeldwebel podziwiał sam siebie. Wskazał oskarżycielsko palcem dwie dziury kalibru 9 mm w płycie drzwi wiodących do laboratorium, skąd teraz pojawiły się w całości płowowłose, teutońskie dziewczęta. Ich sterczące piersi znów pełne były odwagi.

Hauptfeldwebel chodził z radości dumny jak paw. Rozsmakowywał się w poczuciu bycia ośrodkiem zainteresowania. Był panem sytuacji. Mógł zmiażdżyć tego wszawego podoficera. Oblizwał ze smakiem wargi, przymrużył oczy i przybrał krwiożerczą minę. Miał już na końcu języka sąd wojenny, uwięzienie oraz łowców głów, ale zdecydował powstrzymać te zachwycające słowa jeszcze przez chwilę.

- Co powiedziałaś na temat sabotażu, Herr Unterofizier?

Podoficer dyżurny ponownie wybełkotał swój meldunek, z jego punktu widzenia równie ważny, jak próba zamordowania führera, ale Hauptfeldwebel przerwał mu brutalnie, nim zdołał skończyć.

- Musisz być chory umysłowo, człowieku takie rzeczy nie zdarzają się w moim szpitalu. Po prostu nie mogą się zdarzyć. Czy widzisz jakieś dziwne rzeczy? Słyszysz je? Czy miewasz omdlenia, co, Unterofizier? Czy, może, chcesz dostać bilet w jedną stronę na front?

- Nie, Herr Hauptfeldwebel - odparł podoficer w nagłym napadzie szczerości.

- Co masz na myśli, mówiąc „nie”? - Zapytał Hauptfeldwebel. Wziął się pięściami pod boki w pruskim stylu i stanął w rozkroku. - Czy wobec tego zgodziliśmy się, że nonsens tego rodzaju, który próbujesz mi wcisnąć, nie mógł się wydarzyć w moim szpitalu? - Specjalnie podkreślił „moim”. - Ponieważ nie wyobrażam sobie, abyś mógł się nie zgodzić ze mną, Herr Unterofizier? No, odpowiadaj i nie patrz na mnie takim głupim wzrokiem.

- Herr Hauptfeldwebel - zaczął zbity z pantałyku podoficer, niezdolny dotrzymać kroku taktyce doświadczonego Hauptfeldwebela.

- Tak albo nie, koniec z twoimi długimi przemowami, ty gaduło. - Oblizwał swe nadal trochę tłuste wargi i ze smakiem obracał w ustach słowo „gaduła”.

- Z pewnością, Herr Hauptfeldwebel.

- Z pewnością co, ty komiczny robaku? - Wybuchnął Hauptfeldwebel.

Ku jego głębokiemu smutkowi pojawił się wówczas dr Mahler, główny chirurg. Wymachując rękami, ubrany w powiewający biały kitel, nadszedł z opuszczonymi ramionami, w swój całkowicie niewojskowy sposób. Zatrzymał się na schodach przed całym zamieszaniem. Nonszalancko machając rękami, odezwał się ze spokojną pewnością posiadanej władzy:

- To miejsce wymaga uporządkowania, Hauptfeldwebelu. Doprawdy okropnie wygląda. Jak zbombardowane schronisko dla uciekinierów - Spojrzał na naszą piątkę. - Jeśli macie zezwolenia na wyjście, znikajcie, dobrze?

Pokazał palcem podwójne drzwi.

- Tę szklaną płytę trzeba wymienić. Nie możemy mieć tu takiego nieporządku. Gdy wartownicy nie mają służby powinni pozostawać na wartowni, a nie dawać przedstawień baletowych w korytarzach. To jest szpital, nie arena cyrkowa! Ku wielkiemu niezadowoleniu militarystów, dr Mahler zawsze mówi „szpital”, a nie „szpital polowy”.

Rzucił niezadowolone spojrzenie na liczną grupę kobiet, zebranych na schodach i na korytarzu

- Ośmielam się zauważyć, że moje żeńskie współpracowniczki mają coś innego do roboty, niż wysłuchiwanie żołnierskich opowiadań z podestu.

Mahler kiwnął głową i odszedł swym nierównym krokiem. Pielęgniarki, sprzątaczk i recepcjonistki natychmiast popędziły do swej pracy. Strażnicy hałaśliwie oddalili się do wartowni. Reszta z nas znikła przez drzwi obrotowe. Mały demonstracyjnie deptał kawałki rozbitego szkła, robiąc tyle hałasu ile tylko możliwe, równocześnie otwarcie śmiejąc się z podoficera służbowego.

Hauptfeldwebel warknął na pokonanego podoficera.

- My dwaj uregulujemy to później. Sąd wojenny aż świerzbi mnie by dać ci lekcję, ty chudy skurwielu. Wkrótce postaram się, by cię zamknięto.

Wrzasnął „zamknięto” tak głośno, że dr Mahler na drugim końcu korytarza odwrócił się i zapytał:

- Czy coś powiedziałaś, Hauptfeldwebelu?

Głośny, koszarowy ryk:

- Nie, Herr Oberstabsarzt.

Gdy tylko dotarliśmy do burdelu. Mały zaczął, zgodnie ze zwyczajem, wywracać cały lokal do góry nogami, odmawiając dwóm lotnikom wejścia do przedpokoju. By zadowolić kontrolę musieliśmy pokazać nasze papiery i zarejestrować się w tym pokoju.

Naturalnie lotnicy nie mogli zostać ot tak odprawieni ze ślicznego kurwidołka. Byli lotnikami bojowymi i dawno temu nauczyli się, że jeśli chce się wygrać z chuliganami, trzeba samemu stać się chuliganem. Cała Trzecia Rzesza składała się z chuliganów. Brutale z okresu Wojny Trzydziestoletniej byli w porównaniu z nami dziećmi ze szkółki niedzielnej.

Zmrużyli oczy i wysunęli szczęki. Dali Małemu pięścią w gardło i równocześnie wymierzili kopniaka w brzuch. Mały wydał głuchy pomruk. A potem nabrał pary i z całą bezwzględnością rzucił się na pilotów, wyłączwszy hamulce. Morderczym uderzeniem jednemu złamał szczękę, a drugiemu dołożył ciosem bagnetu.

Rycząc ze śmiechu popędził tak szybko, jak poniosły nogi, do przedpokoju, gdzie brzydka tłusta kobieta siedziała za kontuarem, oczekując klientów dla swych dziewczyn. Za nią na ścianie wisiała żółta tablica, na której napisano wielkimi gotyckimi literami, że z żandarmerią wojskową oraz lotną brygadą można się skontaktować pod numerem 00 (ale w nagłych wypadkach należy dzwonić pod 60) Sam widok twarzy Małego, wyglądającego jak kryminalista, wystarczył by rozlazła baba natychmiast zdecydowała, że wybierze 0060.

Mały groźnie przechylił się ponad wysokim kontuarem. Obiema pięściami zastukał w rejestr klientów, zostawiając na nim dwie wielkie, tłuste plamy.

- Czy mówisz po niemiecku? - Zapytał kobietę.

- Oczywiście - odpowiedziała zdumiona, ponieważ niemiecki był jedynym językiem jaki znała i nigdy nawet jej się nie marzyło, by mogła nauczyć się innego.

- Świetnie, wobec tego posłuchaj mnie, ty tłusta, brzuchata świni.

- Kogo nazywasz świnią? - Wrzasnęła paniusia.

- Ciebie, ty stara, potrójna kurwo - odpowiedział natychmiast Mały. - Weź do kupy twoje dupsko i nastaw uszy! - Jego głos wzniósł się do niebywalej siły. - Zbierz twój towar, każ żeby stanęły do przeglądu i każ im zrzucić ich szmaty. I nie trać na to czasu, bo Mały gotów jest na wielką bitwę

łóżkową. Ta wiejska suka Emma oszukała mnie, a twoje stado będzie musiało przyjąć główny atak. Uśmiechnął się, wyprostował na całą swą ogromną wysokość, wierzchem dłoni otarł usta, wytarł nos w palce i mrugnął w oczekiwaniu.

Wielka i tłusta madam wstała. Jej piersi rozpaczliwie walczyły o ucieczkę ponad skrajem ciężkiego biustonosza, w którym były uwięzione, a bladoniebieskie oczy błyskały głęboko w fałdach tłuszczu jej twarzy. Trzy czy cztery sterczące włosy na podbródku drżały złowieszczo jak wąsy wściekłego kota.

- Precz z mojego domu, ty przeklęta świni, albo zawołam żandarmów! Naczelnny oficer Radajschak rozwali twoją pijacką twarz, aż będziesz kaszlał krwią. Będziesz przeklinał dzień, w którym mnie spotkałeś!

Podczas swego wściekłego potoku słów pluła na całą naszą piątkę. Ze skrytki pod kontuarem wyciągnęła długą pałkę policyjną i uderzyła nią Małego prosto w twarz.

Mały ryknął i następną rzeczą jaką ujrzeliśmy było to, że z tłustej burdelmamy zostały tylko pantofle. Reszta fruwała, dziwnie przypadkowo, po całej recepcji, gdzie stadko na pół ubranych lub całkiem nagich dziewczyn kryło się po kątach. Wyglądało to, jakby myślały, że bomba V-2 zmyliła swój kurs na Londyn i uderzyła w sam środek hamburskiego burdelu.

Promieniejąc radością Mały przestąpił ponad nieprzytomną kobietą i pozdrowił dziewczyny.

- Cześć, dziewczęta, już wróciłem. Napalony jak diabli. W jajach mii się gotuje. Kocham was. Moi przyjaciele też was kochają. Mamy zupełnego kota na waszym punkcie. Napijmy się czegoś szybko a potem pójdziemy do łóżek zgodnie z dobrym zwyczajem, gdy się spotykają przyzwoici ludzie.

- Nie możemy przynieść niczego do picia - odpowiedziała Elfryda. - Madam ma klucze.

- Doprawdy? - Powiedział Mały i pochylił się nad górą tłuszczu na podłodze. Znalazł klucze między jej ogromnymi piersiami.

Elfryda krzyknęła nie posiadając się z radości i pomknęła po drinki.

Piliśmy długo. Następnie Legionista chciał nauczyć dziewczyny marokańskiego tańca brzucha. Dziewczyny też były pijane. Początkowo próbowały cichaczem wylewać napoje, ale na to byliśmy zbyt sprytni. Mały trzymał je jedną po drugiej, a my wlewaliśmy im drinki do gardeł, prosto z butelek.

Próbował też wlewać je w inne miejsca. Protest można było łatwo rozpoznać po długich śladach paznokci na jego twarzy.

Stein wypisał atramentem „Dla naszej wspólnej radości” na tyłku jednej z dziewczyn.

Bauer leżał na blacie fortepianu, zabawiając się z tłustą Trudą. Bez zmęczenia opowiadała nam w kółko, że jej ojciec posiadał majątek ziemski na Litwie. Zgodnie z jej opisem majątek ów miał wielkość Pomorza wraz z połową Meklemburgii. Zrozumieliśmy z tego, że Litwa musi mieć powierzchnię z grubsza odpowiadającą obszarowi Chin.

- Czy w waszym majątku mieliście też świnię - zapytał Mały.

Truda skinęła ponuro głową. Leżała z jedną nogą zarzuconą na ramię Bauera.

- I kurki oraz kaczki? - Dopytywał się Mały.

Truda znów skinęła głową. Na myśl o tych wszystkich kurach, kaczkach i gęsiach które stracili, była bliska ataku płaczu.

- Ale jedyną kurwą w waszym pałacu byłaś ty. - Mały uśmiechnął się błogo i klepnął ją w tyłek.

W miarę upływu czasu byliśmy coraz bardziej pijani. Niektóre dziewczyny stłoczyły się przy małych stolikach, pełnych szklanek, butelek i rzygowin. Mały zaczął pracować nad Ilzą. Oboje byli zbyt zmęczeni, by pójść na górę. W chwilę później grał w oko z innymi, mając na sobie tylko koszulę.

- Ponieważ - powiedział do Birte, jednej z dziewczyn - wkrótce znów się do tego weźmiemy.

Z czasem pojawiało się całkiem niemało nowych gości, zarówno wojskowych jak cywilnych. Raczej dla porządku niż czegokolwiek innego umieściliśmy Madam w kącie na fotelu. Mruczała coś na temat żandarmerii, na co Mały wrzasnął „świnia” i szybko poprawił to na „suka”.

Kobieta, zupełnie oklapła i śliniaca się, leżała przewieszona przez szeroką poręcz fotela. Mały, przechodząc koło niej w drodze do kolejnej dziewczyny, wymierzył jej w twarz trzy policzki różowym, puchowym nocnym pantoflem.

Gdy skręcaliśmy za róg, opuściwszy burdel, nadjechali pospiesznie żandarmi. Mieli długie pałki, wydobyte pistolety i zacięte twarze pełne energii.

- Tam w środku będzie teraz trochę kotłowaniny - stwierdził Stein, oglądając się przez ramię. Z rogu Davidstrasse i Taubenstrasse usłyszeliśmy wrzaski i krzyki, zmieszane z wysokimi, histerycznymi piskami kobiet.

- Teraz kurwy dostają lanie - wybełkotał Mały. Był gruntownie pijany. Ale bez żadnego powodu zatrzymał się, przyłożył dłonie do ust i zawołał:

- Stój! Haiti.

Zdawało się, że miasto na chwilę zamarło, a potem obudziło się do jeszcze żywszej aktywności. Trzech żandarmów, stojących na posterunku przy ich samochodzie, przeszukiwało ulicę reflektorem i pochwyciło nas w stożek swego światła. Mały stał na środku jezdni, wymachując rękami. Palił się do bójki, obojętnie z kim.

Buty zatupały, broń zagrzecotała, wielki silnik zapalił, a dyferencjał wesoło zapiszczał. Żandarmi spuścili personelowi i gościom w burdelu gruntowne lanie. Teraz, dzięki „Stój!” Małego węszyli grubszą zwierzynę.

- Chodźcie tu, wszarze, a ja was posiekam!

- Mały wrzeszczał do krwiożerczych łowców głów, których zadanie polegało na poniewieraniu żołnierzami własnego kraju.

Żadna instytucja wojskowa na świecie, choćby nie wiem jak podła, nie posiadała policji polowej czy żandarmerii, równającej się sadystom z niemieckiego Wehrmachtu, noszącym półksiężycowate ryngrafy łowców głów na piersiach swych mundurów. Oni wprost uwielbiali łamać rękę jakiemuś nic nie znaczącemu, małemu piechurowi. Potrafili całymi godzinami chłostać żołnierza, nie powodując u niego utraty przytomności. Wcześniej postradał zmysły. Byli profesjonalistami. Wielu żołnierzy ze stalowych cel żandarmerii poszło do gumowych cel wariatkowa, które opuszczali tylko w trumnach.

- Allah jest mądry - wyszeptał Legionista. Pomacał swój mosiężny kastet i wsunął go na palce. Był hiszpańskiej roboty, ze stalowymi kolcami.

Mały stał na rozstawionych nogach pośrodku szyn tramwajowych. Piękna przynęta dla łowców głów, żadnych torturowania.

Stein zaklął dziko i wymamrotał coś na temat „rozwalanych czaszek”. Bauer śmiał się ochryple, owijając pasem nadgarstek, aby pochwa bagnetu zwisała na drugim końcu, koło stalowej klamry pasa. Mordercza broń dla kogoś, kto potrafił i ośmielał się jej użyć. Tak jak Bauer.

Stabsfeldwebel żandarmerii Braun był bykiem w ludzkiej skórze, który uwielbiał bić człowieka w krocze tak długo, aż zmieniło się w kawał krwawego mięsa. Teraz powoli zbliżał się po Davidstrasse na czele swych bandytów. Na jego wielkiej głowie stalowy hełm wyglądał na mały.

Stabsfeldwebel Braun w żandarmerii 3. Korpusu Armijnego był największym z bandytów, którzy do obecnej chwili nosili policyjne mundury. Podlizywał się wszystkim przełożonym i był parszywym skurwielem dla wszystkich swych podwładnych.

Terminował w oddziale wypadowym policji hamburskiej. Zbił na galaretę wielu marynarzy. Gdy w

latach dwudziestych nastąpiły strajki, wielu robotników zostało inwalidami po potraktowaniu ich przez Brauna. Otrzymał specjalne traktowanie w 7. Komisariacie Policji na rogu Davidstrasse i Reeperbahn, wiele dziewczyn z SanktPauli zaprzysięło Hansowi Braunowi zemstę, który wówczas był Hauptfeldwebel policji. W końcu asfalt ulic Hamburga zaczął mu nazbyt parzyć stopy zgodził się więc na przeniesienie do Berlina.

Z chwilą wybuchu wojny wstąpił do żandarmerii i znów znalazł się w Hamburgu, tym razem jako dowódca oddziału specjalnego. Przez krótki czas działał w Paryżu, ale ponieważ bał się francuskich maquis, uzyskał dla siebie ponowne przeniesienie do Hamburga.

Teraz, zbliżając się do Małego na czele swych łowców głów, wyglądał jak diabeł wcielony. Na jego twarzy pojawił się pożądlivy, zły uśmieszek Stukał się po butach długą, czarną gumową pałką. Opowiadano, że dwa razy zabił żołnierzy tą pałką jednym uderzeniem. Wśród żołnierzy nazywany był „Małpią Gębą”, przezwiskiem, którego nienawidził. Sam jego dźwięk wystarczył, by wprawić go w dziką furję.

Teraz Mały wywrzeszczał znieawidzone przezwisko stojąc tuż przed nim. Huknęło jak grom w cichej nocy i ulicach, słabo oświetlonych niebieskimi, zaciemnionymi z powodu nalotów latarniami.

- Małpia Gębo, ty tłusty jolopie, podejdź tu, a ja ci zrobię remont kapitalny! Co ty na to?

Rozkaz Stabsfeldwebela Brauna zabrzmiał jak trzask bicia

- Brać go! Ale złapcie go żywcem!

Siedmiu żandarmów rzuciło się w stronę ogromnego Małego, stojącego jak skała na środku jezdni. Świszczały pałki, a głucho kroki rozbrzmiewały wśród nocy. Jeden z żandarmów szczęknął bronią, a Mały zaryczał jak łoś w sezonie godowym. Gromy rozkazów Brauna przetoczyły się ulicami.

Nie upłynęło nawet pięć minut, a Mały leżał w ich samochodzie, który nadjechał za żandarmami.

- Allah el Akbar! - Wrzasnął Legionista i skoczył naprzód, wbijając morderczy mosiężny kastet w kark krótko ostrzyżonego żandarma. Pasy gwizdały w powietrzu, błysnęło ostrze noża, rozległ się wystrzał. Wzdłuż domów można było dostrzec niewyraźne cienie, ale nikt nie przyszedł na pomoc znieawidzonym łowcom głów. Legionista skoczył na plecy mierzącemu metr dziewięćdziesiąt siedem żandarmowi i zaciskał swe stalowe palce na jego gardle, póki ten nie zwałił się, wydając bełkotliwy dźwięk. Wybuchnąwszy śmiechem szaleńca Stein kantem dłoni prawie złamał kark żandarmowi, który wyciągnął pistolet.

Rozległy się gwizdki policyjne. Głośne wołania o pomoc odbijały się echem od ciemnych ścian.

Jakaś kobieta krzyknęła ostrzegawczo:

- Nadjeżdża oddział pościgowy! Spadajcie, chłopcy!

Od strony Reeperbahn dała się słyszeć przenikliwa syrena alarmowa. Zielone reflektory zabłysły za rogiem. Podkute buty stukotały po ulicy w ciężkim truchcie.

Zmylił się, ciągnąc ze sobą nieprzytomnego Małego. Pistolet maszynowy warknął złośliwie.

Nocny dozorca browaru Sankt Pauli wciągnął nas do bramy, gdzie pochłonęła nas ciemność.

Umyto nas. Mały był najbardziej poszkodowany. Dwa wielkie cięcia na jego twarzy krwawiły paskudnie. Przeprowadzono medyka ze szpitala wojskowego i z niewielkimi problemami Mały został zszyty. Za każdym razem, gdy Obergefreiter służby medycznej Peters wbijał mu igłę w ciało, Mały groził i wył z bólu, ale skutki kajdankami nie mógł się opierać.

Dziwną, krętą drogą Peters zdołał zaprowadzić nas do szpitala.

Złapali Małego w trzy dni później. Było ich dziesięciu, w stalowych hełmach i odznakach łowców głów. Dowodził Stabsfeldwebel Braun. Klasnął w dłonie w czarnych rękawiczkach wymownym gestem, gdy rozpoznał Małego. Nigdy nie odnaleziono reszty z nas.

Po dwóch dniach Mały został zwolniony - ale tylko dlatego, że Pancernik zdołała wprowadzić do

akcji swego znajomego generała.

W dniu, w którym ruszyła do boju zdumiała wszystkich opuszczając szpital o godzinie 11.15 dokładnie w czasie największej pracy, rzecz zupełnie niesłychana. Ubrana była w żółty płaszcz i czerwony kapelusz, pod pachą trzymała zieloną parasolkę. Wyglądała jak flaga Brazylii, powiewając z ciężkiego krążownika, gotowego do ataku na nieprzyjaciela.

Ludzie wyglądali z okien i śledzili wzrokiem ciężki krążownik, gdy wzięła kurs przez Zirkusweg całą parą naprzód. Znikła na schodach stacji kolei podziemnej Sankt Pauli. O 17.08 powróciła prowadząc Małego za rękę. Oczywiście mogliśmy tylko zgadywać, co się wydarzyło. Ale pewien żandarm, który był po naszej stronie, opowiedział nam fantastyczną historię.

Pancernik wdarła się do komisariatu jak czołg typu Józef Stalin, jadący z maksymalną prędkością, Za nią podążał generał artylerii, trzech oficerów sztabowych oraz Gruppenführer SA. Odpowiedzią Gruppenführera na wszelkie zadawane mu pytania było: - No, tak.

Natychmiast po wejściu do komisariatu generał ryknął do nieco zaskoczonych żandarmów:

- Baczość, łajdaki! Dyscyplina jest tutaj nieco zaniedbana! Front Wschodni umiera za was, byki!

Powtórzył to dwukrotnie, z przerwą dokładnie trzydziestu sekund.

Herbert Freiherr von Senne, Oberstleutnant Sztabu Generalnego, oraz artylerzysta podobnie jak generał, wyraził życzenie ujrzenia Stabsfeldwebela Brauna, Hansa.

Przeciągnął imię chrzestne „Hans” jak sędzia, orzekający wyrok śmierci, który poprawia „rozstrzelanie” na „ścięcie”, ponieważ znudziło mu się słowo „rozstrzelanie”. Dwaj pozostali oficerowie sztabowi, obaj w stopniu majora, postukiwali w swe kabury w miłym oczekiwaniu.

Wbrew przepisom przesunęli je do przodu. Jeden z nich, w okularach bez oprawek, syknął przez zęby: Stado szcurów! - Równocześnie wpatrując się zimnymi, szarymi oczami w zakłopotanych żandarmów, stojących na baczość we wspianym, pruskim stylu.

Drugi major ssał wargi jak mała, zajadająca przejrzałego banana.

Generał poprawił monokl i kopnął Biblię, leżącą porzuconą na podłodze.

Pancernik walnęła w kontuar swą zieloną parasolką, podnosząc kurz oraz stos dokumentów do lotu wokół ich uszu.

Feldwebel policji pisnął:

- 7. Komisariat, nic szczególnego do zameldowania.

- Skurwysyn - odpowiedziała Pancernik, szturchając go w brzuch piwosza swą parasolką.

- Oczywiście, Madame - zgodził się Feldwebel. Strzelił obcasami jeszcze raz na dokładkę. Po raz pierwszy w życiu był tak blisko prawdziwego generała, do tego generała artylerii. Kompletnie go to oszołomiło.

Stabsfeldwebel Braun nadszedł z hałasem ze swej klatki za korytarzem z celami, nadał się na pruski sposób i wyszczał bezsensowny meldunek, którego nie miał okazji dokończyć. Major syknął: - Padnij, Stabsfeldwebel!

Braun, niezdolny zrozumieć, potrząsnął swą głową byka. Ta komenda z pewnością nie mogła mieć z nim nic wspólnego. Upłynęło co najmniej dziesięć lat od chwili, gdy ćwiczył „Padnij” i „Skokami naprzód”.

Major zmarszczył nos, poprawił swą czapkę artylerzysty z płomiennie czerwonym otokiem i stuknął szpicrutą w cholewy swych błyszczących, czarnych butów.

- Doprawdy, ten typ odmawia wykonywania rozkazów!

Generał kiwnął głową i wpatrzył się ostro w Brauna, poprawiwszy swój monokl. Czego jeszcze można się spodziewać po parszywym piechocińcu? Jego duszę artylerzysty wypełniła pogarda.

Pancernik kiwnęła głową, zmrużyła oczy w wąskie szparki, złowieszczo wysunęła do przodu swój

podwójny podbródek i wrzasnęła na cały komisariat:

- Padnij, ty świńskie ucho!

Braun rzucił się na podłogę jak góra, waląca się po wybuchu dynamitu.

- Pełzać naprzód! - Zakomenderował Major.

Posuwając się na łokciach Stabsfeldwebel Braun pełzał w kółko po podłodze. Musiał wykonać wszystkie ćwiczenia z regulaminu musztry polowej, nim Major uznał je za zadawalające.

Posuwając się w przysiadzie wpadł na fotel obrotowy. Potoczył się wśród leżącego od tygodni brudu. Zakwilił jak kot ugryziony w tyłek przez buldoga. Podskoczył jak sroka i dokonywał absurdalnych prób stawania na rękach. Robiąc to rozbił trzy krzesła, zwałił na podłogę maszynę do pisania, kopnął swego Feldwebela w kolana i uderzył się we własny nos, który zaczął krwawić.

- Gimnastyka, tego właśnie ta banda potrzebuje! - Ryknął generał artylerii i splunął na fotografię słynnego dowódcy piechoty, generała Ludendorffa. Z nieustającą energią ganiał cały personel komisariatu dokoła pokoju, aż ich płuca gotowe były popękać. Całej bandzie zagroził sądem polowym, Frontem Wschodnim i nieuniknioną śmiercią bohaterów.

Ostatnie wywrzeszczane przez niego słowa, zanim zażądał uwolnienia Małego, zostały znakomicie dobrane tak, by wprowadzić do skrajnego przerażenia członka SS: Ten bałagan zostanie przedstawiony Führerowi! Natychmiast zarządę wasze bliskie przeniesienie do jednostki bojowej!

Słabe „Jawohl, Herr General” dało się słyszeć od do głębi wstrząśniętych żandarmów.

Do Małego ryknął: Porozmawiamy z tobą później!

Zauważywszy opaskę pułku karnego zarumienił się i spuścił z tonu. Poprawił swój szeroki pas z małym Mauserem, strzepnął parę drobin kurzu z krwawoczerwonych wyłogów i głęboko zaczerpnął powietrza.

- Odbędziesz wycieczkę na saniach, tylko poczekaj! Front Wschodni cię oczekuje! Mrugnął na Pancernika i walnął Małego, stojącego tam z głupią miną. - W przypadku próby ucieczki, ta pani nie zawaha się użyć swej broni!

Po tym wyszli.

Ale przedtem Oberstleutnant odebrał papiery Małego klepnął nimi Feldwebela policji w ramię i zapewnił go:

- Nigdy tego nie zapomnisz, Feldwebelu! - Mały zamrugał swymi podbitymi oczami. Z jego spuchniętych ust wydobyły się dźwięk warczenia. Oberstleutnant obejrzał go krytycznym wzrokiem, ponownie klepnął go w bok dokumentami i powiedział: - Nie zapomnę cię, żołnierzu będę cię miał na oku. Wykonuj swe obowiązki a radośnie padniesz za Ojczyznę!

Mały stanął jakby na baczność i gapił się głupio na Oberstleutnanta, który poszedł za innymi dziwnym krokiem w rytmie walca.

Mały plunął na podłogę i powiedział:

- Chodź Emma, spadamy.

Wzięła go za rękę i pociągnęła za sobą, jak małego chłopczyka, który upadł na ulicy, a teraz idzie do domu, by zostać ukojony przez matkę.

Mały został położony do łóżka na diecie z mleka i sucharków. Później dostał domowe ciasteczka i kakao.

Pancernik i siostra Anneliza opatulili go w łóżku kocami, by go chronić przed zimmem. Późno w nocy, gdy wokół było cicho, on i Legionista upili się. Godzinami szeptali do siebie. Od czasu do czasu dochodziły do nas słowa takie, jak „łowcy głów” i „Małpia Gęba”.

W sobotę było już całkiem późno, gdy zdecydowali się złożyć wizytę Małpiej Gębie, by przedyskutować z nim prywatnie jego zachowanie. Wyruszając byli w bardzo podniosłym nastroju i

dzięki butelce wódki, którą Legionista zabrał ze sobą, ich nastrój jeszcze się poprawiał w miarę zbliżania się do celu.

Zastali Brauna w kałesonach. Minę miał skrajnie zdumioną, być może z powodu późnej, nie zapowiedzianej wizyty. Oczywiście rozpoznanie Małego zabrało mu nieco czasu, lecz gdy to nastąpiło, radość ze spotkania należała wyłącznie do Małego. Mały był bajecznie towarzyski. Łaskotał nieuzbrojonego Brauna pod brodą swym nożem bojowym, kokieteryjnie szczypał go w policzki a potem obiecał, że poderżnie mu gardło.

Stabsfeldwebel Braun zdołał tylko wydać przytłumiony krzyk nim stalowe palce Legionisty zamknęły się na jego gardle i wycisnęły z niego powietrze.

- Chcę go wyprawić w podróż osobiście - zaprotestował Mały, gdy Braun zaczął sinieć.

Pani Braun była gorliwą członkinią Narodowo-Socjalistycznej Organizacji Kobiet i na taką właśnie wyglądała. Ukazała się w drzwiach do małżeńskiej sypialni i nim zdała sobie sprawę, co się w tej chwili dzieje, rozkazała ostrym głosem:

- Żądam natychmiast ciszy!

Mimo słabego oświetlenia, spowodowanego zaciemnieniem, można było zobaczyć, że wiotkie włosy ma owinięte papierowymi papilotami. By zabezpieczyć się przed nadciągającym chłodem, owinęła szyję niebieskimi, wełnianymi, damskimi majtkami. Jej flanelowa, różowawa nocna koszula była prawie nowa. Na stopach miała skarpety Wehrmachtu. Jak wszystko inne, nocna koszula należała do byłej właścicielki mieszkania, żydowskiej wdowy, która umarła w obozie Neuengamme.

Przejęcie tego mieszkania było dla pani Braun wypełnieniem długo hodowanego marzenia. Trzy lata upłynęły od chwili, gdy wdowa i jej troje dzieci zostało zabrane przez SS. Aresztowanie było tak nagłe, że matka i dzieci nie zdołały zabrać niczego ze sobą, prócz tego, co miały na sobie, a nie było tego wiele, ponieważ zatrzymanie nastąpiło o godzinie piątej rano.

Pani Braun brała udział w tej akcji, ubrana w wysokie buty i skórzaną kurtkę. Na schodach najmłodsze dziecko, trzyletni chłopiec, zgubił pantofelek. Gdy dotarł na ulicę, mokry od deszczu, płakał i mówił, że mu zimno. Unterscharführer SS uderzył go w twarz i powiedział:

- Oto jest ciepło dla ciebie, ty nędzny żydowski szczeniaku!

Pani Braun napłuła matce w twarz i kopnęła ją w goleń.

- Nie martw się, zajmiemy się tobą i twymi dziećmi, gdy dotrzemy do obozu.

Następnie weszła do środka i zaczęła przestawiać meble żydowskiej rodziny. Chciała mieć je uporządkowane według własnego gustu, zanim Stabsfeldwebel wróci z komisariatu.

Żydowska matka i dwoje najmłodszych dzieci zostały wysłane do komory gazowej. Najstarsze dziecko, piętnastoletnia dziewczynka, skończyła w obozowym burdelu.

Mały wykrył to wszystko wieloma dziwnymi kanałami, znanymi tylko tym, którzy mają porachunki ze społeczeństwem.

Mały spojrzał z ukosa na panią Braun. Z jego gardła wydobyły się jakieś bulgoczące, zwierzęce dźwięki. Wyciągnął włochatą rękę i chwycił kościstego, jadowitego, ludzkiego węża za włosy.

Wrzasnęła, ale tylko krótko. Uderzył jej głową w futrynę drzwi. Potem wypuścił martwe już ciało na podłogę.

- Ona była diabłem, możesz mi wierzyć - oświadczył Legioniście i ciężkimi butami zdeptał twarz kobiety.

Brauna udusił kawałkiem stalowego drutu. Gdy upewnił się, że tamten nie żyje, mruknął ponuro:

- Et cum spiritu tuo - jedyną rzecz, którą zapamiętał z katolickiego domu poprawczego w Minden.

Wychodząc sprawdzili skrupulatnie, czy drzwi są należycie zamknięte.

- Mogą przyjść złodzieje - powiedział Mały.

- Wszelkiego rodzaju hołota włóczy się wokoło, sami wiecie. - Następnie podciągnął spodnie i poszedł za Legionistą.

Gdy wrócili do Ciotki Dory, ta wystawiła dla nich dwie szklanki i powiedziała:

- A może jeszcze szklanekę, chłopaki? - Powiedziała to tak, jakby właśnie przed chwilą poszli sobie potańczyć.

- A więc napijmy się za wielkiego szczura - rzekł Legionista, gdy podnosili szklanki.

Ciotka Dora wzięła dla siebie drinka z gorzkimi kroplami i wydała długie, z głębi serca płynące westchnienie.

- Czy złapaliście ich? - Zapytała, pykając swe jasne cygareto.

Legionista spojrział na nią i mrugnął, mlasnął językiem i wzniósł ponownie napełnioną szklanekę.

- Twoje zdrowie, Ciotko Doro!

Uśmiechnęła się.

- I za śmierć wszystkich, z którymi będziecie wyrównywać rachunki! Opróżnili szklanki jednym haustem.

- Niech mnie diabli - czknął cicho Legionista, - ale nie ma nic lepszego niż to. Za wszystko, co wam sprawia kłopoty.

Gdyby trafił się ktoś tak naiwny, by pytać Ciotkę Dorę, czy byli u niej przez całą noc, przysięgnie na własne zbawienie, że ani na chwilę nie opuścili baru.

Ale nikt nie pytał. Ciemność zapomnienia opadła na Małpią Gębę.

Następnego ranka Kanadyjczycy zrobili nalot na Hamburg i ta część miasta, gdzie tamci mieszkali, stała się morzem ognia.

Mały spojrział na Legionistę i oświadczył:

- Dzięki niech będą Niebiosom, że zdecydowaliśmy się pójść tam wczoraj! Inaczej przyszlibyśmy za późno, a wtedy nigdy nie dostalibyśmy się do ogrodu Allaha, gdzie kwitną wieczne kwiaty, Pustynny Włóczęgo!

- Nie powinieneś drwić z poważnych spraw - zganił go łagodnie Legionista.

- Trzeba mieć kontakty - oświadczyła Ciotka Dora. - To niezbędne, jak witaminy.

„Przystojny Paul” był dobrym kontaktem. Wysyłał ludzi na szafot lub zwalniał ich z obowiązku służby wojskowej ot tak sobie, jak to odpowiadało jego intencjom. Nie robił nic dla nikogo, jeśli się to nie opłacało. Nie opłacało się zaniedbanie zrobienia czegoś dla Ciotki Dory. Gdy zawołała, przychodził.

„Przystojny Paul” był jednym z najmniejbezpieczniejszych żmij Trzeciej Rzeszy, ale Ciotka Dora posiadała surowicę przeciw jego ukąszeniu.

Śmiała się i drapała korkociągiem w udo, śledząc wzrokiem odwrót ludzi z Policji Bezpieczeństwa Rzeszy.

Gin powąchany przez „Przystojnego Paula” wylała do zlewu, jakby to był żrący kwas.

Mały żałował ginu. Stein i Feldwebel piechoty odczuwali to samo.

ROZDZIAŁ VIII ”11 w Skali Beauforta”

Ze szpitala wojskowego wypisano nas w środę. Jego szef, Oberstabsarzt dr Mahler pomrukiwał, chodząc i wymachując rękami. Ściskając nam dłonie patrzył nam głęboko w oczy, a każdemu powiedział coś miłego.

Pożegnanie pochłonęło nam trzy dni. Mały przekroczył sam siebie w zakresie świńskich ekscesów w burdelu. Dziewczyny nie zapomną go do końca życia.

Legionista i ja upiliśmy się w trupa u Ciotki Dory, w „11 w Skali Beauforta”. Ciotka Dora piła wraz z nami. Co pewien czas mruczała coś pod nosem i patrzyła na Legionistę. Bez przerwy odpalała kolejne cygaro od poprzedniego. Popielniczka wypełniona była po brzegi.

Siedzieliśmy w wąskiej wnęce, osłaniani przyćmionym czerwonym światłem.

- Twój absynt smakuje jak zgniła lukrecja oświadczył Legionista.

- A ty jesteś marokańskim alfonsem - odpowiedziała zjadliwie Ciotka Dora.

- Co będziecie robić gdy wojna się skończy - zapytałem tylko po to, by powiedzieć cokolwiek. Po prostu w tym momencie nic innego nie przyszło mi do głowy.

Legionista wypił ze swej szklanki i pstryknął palcami na Trudę, dziewczynę z Berlina, która znów mu dołała. Właśnie miała zabrać butelkę, a Ciotka Dora chwyciła ją za nadgarstek i warknęła:

- Zostaw ten nocnik!

Truda drgnęła poczuwszy mocny chwyt i już miała coś powiedzieć, ale ostre „Spadaj, krowo! Spowodowało, że znikła za ladą baru tak szybko jak tylko zdołała.

- Co ja będę robił gdy wojna się skończy? - Mruknął mały Legionista, jakby zwracając się do samego siebie.

Widać było, że usilnie rozmyśla. Upił trochę i posmakował płyn językiem.

- Po pierwsze rąbnę cię kilka razy za zadawanie takich głupich pytań. - Napił się jeszcze trochę, obrócił szklankę w ręce i w napięciu wpatrywał się w bezbarwne odblaski. Pierwsze dwa tygodnie będę pijany w trupa od rana do nocy. Następnie będę musiał poderznąć gardła paru moim znajomym. Jeśli się na to zdobędę - dodał po chwili. - Może wejść w jakiś szybki handelek.

- Kobietami, jak przypuszczam? - Wtrąciła Ciotka Dora.

- Cóż, czemu nie? - Zapytał Legionista i unióśł brwi. - Wszystko jedno. W pewnych miejscach istnieje niedobór kobiet, a rzadkość towaru powoduje wysokie ceny. Gdybyśmy się spotkali dwadzieścia lat temu, przyniosłabyś grzeczną sumkę, ty suko z tłustym tyłkiem. Za pieniądze zarobione na tobie nawaliłbym się jak stodoła, a ty byś miała zabawę z całym batalionem w burdelu w Algierze.

Jedynym komentarzem Ciotki Dory było: Świnia.

- Może jeszcze piwa? - zaproponowałem. Napiliśmy się, a do każdej szklanki domieszaliśmy podwójny absynt.

- To oczyszcza nerki - stwierdziła Ciotka Dora.

- Po schlaniu się i sprzedaniu dziwek - ciągnął Legionista - i po poderżnięciu gardeł paru facetom, których krawaty mi się nie podobają, równie spokojnie wycofam się i będę żył jak bogacz po drugiej stronie oceanu. W jakimś miejscu, w którym nie ma śmierdzącej policji.

Uśmiechnął się do tej myśli.

- Nawet nie zdołasz zmusić się, byś w to uwierzył - orzekła Ciotka Dora. - Odpaliła nowe cygaro od tego, które właśnie skończyła.

- Merde, co ty o tym wiesz? Czemu nie miałbym w to wierzyć? - Legionista nabierał rozpędu. - Sacre nom de Dieu, czemu miałbym nie umieć sprzedawać suk? Umiałbym sprzedać nawet ciebie, chociaż przyniosłabyś ledwie miedziaka.

- Zwariowałeś - powiedziała Ciotka Dora. Ale nie obraziła się. - Czy chcesz bym ci powiedziała co będziesz robił, gdy skończysz z wojną Hitlera Dasz nura do pierwszego francuskiego biura werbunkowego które napotkasz i postawisz swój zygzak pod kontraktem na dwadzieścia cztery lata!

Legionista spojrział na nią. Przyglądał się jej przez długą chwilę. Długa blizna od noża, biegnąca od jego czoła prosto przez nos płonęła czerwienią, wyglądało to tak, jakby cienką skórę miała przerwać krew. Zdusił swego na pół wypalonego papierosa w talerzyku wypełnionym słonymi paluszkami.

Obrotowe drzwi zaszeleściły. Dźwięk dobiegł zza zasłony przed szatnią, zasłony z paciorków z nanizanymi muszelkami, jak te, które można zobaczyć w Hiszpanii i na Filipinach. Bardzo dawno temu dał ją w prezencie Ciotce Dorze pewien bosman. Później poszedł na dno z pancernikiem Bismarck na północnym Atlantyku.

Pewnej nocy ów bosman wrzasnął w twarz gestapowcowi:

- Ni cholery nie obchodzisz mnie ani ty, ani też Adolf!

Z tymi słowy cisnął szklankę w twarz łowcy głów, który wyciągnął pistolet. Ciotka Dora, która stała gdzieś w głębi, zamachnęła się pończochą napełnioną kamieniami. Głuche uderzenie. W dwa dni później gestapowca znaleziono w kanale na drugim końcu Hamburga.

Następnego dnia bosman odpłynął na swym trampie. Gdy znów wrócił do domu, przyniósł Ciotce Dorze naszyjnik z pereł oraz muszelki. Zostały zawieszony w roli zasłony przed szatnią. Gdy wieszali ją we dwoje, pod Ciotką Dorą zarwało się trzciniowe siedzenie krzesła. Śmiali się z tego do rozpuku. A potem każde z nich wypiło po kwarcie.

Bosman popłynął do Kilonii. Właśnie został tam skierowany z poboru. Był rok 1939. Ciotka Dora spotkała go jeszcze tylko raz, nim popłynął w morze na pancerniku, noszącym imię męża stanu.

Bosman zmarł klnąc i wrzeszcząc w lodowatej wodzie. Mewa wyjadła mu oczy, a jakaś makrela kawałek jego oparzonej nogi.

- Damned croiod! Przeklęta banda! - Były to ostatnie słowa, które wyrzeszczał, po angielsku.

Legionista wziął kolejny, mały łyżeczek piwa.

- Więc tak właśnie myślisz? - Zapytał dziwnie cichym głosem.

- Alfredzie - powiedziała Ciotka Dora niezwykle łagodnym głosem, który całkiem do niej nie pasował, - zostań ze mną. Możesz chrapać w łóżku cały dzień i upijać się tak często, jak zechcesz. Naprawdę, gdy tylko zrzucisz mundur, nie musisz być ani na chwilę trzeźwy do końca życia.

Czy w oczach tej brutalnej kobiety zabłyśły łzy, czy też było to tylko złudzenie optyczne? Te oczy, przezroczyste jak woda i twarde jak u kobry na chwilę przed zatopieniem zębów w króliku. Tak, Ciotka Dora płakała. Chwyciła dłoń Alfreda Kalba Odwzajemnił jej uścisk.

Tych dwoje było podobnych do siebie. Właścicielka baru i weteran, który mógł się pochwalić piętnastoma latami, spędzonymi na pustyni afrykańskiej.

Jakiś podoficer podszedł do ich stolika.

- Jakże tajemnicza jesteś - zaśmiał się pijacko i trącił łokciem Ciotkę Dorę.

Legionista podskoczył do góry i jednym uderzeniem zwałił go na podłogę. Kopnął go w twarz i wrócił na swoje miejsce.

- Doro, droga dziewczyno - wyszeptał cicho - Bądźmy dorośli i nie zaczynajmy niczego głupiego. Ty i ja, my wiemy. Żadnego dla nas nonsensu w różowym kolorze. Twoje miejsce jest tutaj wśród dziwek, łobuzów i gorzały, moje na pustyni z pistoletem maszynowym przewieszonym przez ramię. Ale gdy będziemy naprawdę starzy i zmęczeni, wyślemy sobie nawzajem pocztówki i spotkamy się. Wtedy znajdziemy małą miejscowość, gdzie będziemy mogli kupić bar z siedmioma tylko stołkami.

Ciotka Dora głęboko zaczerpnęła powietrze i spojrzała na niego wzrokiem pełnym miłości.

- Alfredzie, my dwoje nigdy nie będziemy mieć baru z siedmioma stołkami. Pewnego dnia udusisz się w czerwonym piasku, gdy cała twoja krew z ciebie wypłynie, a ja umrę na delirium tremens.

Truda, dziewczyna z Berlina, podeszła do nich i szepnęła coś Ciotce Dorze.

- Idź do diabła! - Warknęła. - Nie widzisz, że jestem zajęta?

- Tak, ale to jest czerwony Bernard - usprawiedliwiała się Truda.

- Ni cholery mnie to nie obchodzi! - Krzyknęła Ciotka Dora i cisnęła swą szklanką w Trudę, która pospiesznie się wycofała.

Legionista wstał, przyniósł kilka butelek i coś zmieszał. Nalał kufel tego dla Ciotki Dory.

- Pij, dziewczyno. My wszyscy mamy traumę wojenną. Czemu tylko ty miałabyś wyjść z tego bez szwanku?

Zawyła syrena alarmu lotniczego. Dalsze przyłączyły się do chóru.

- Alarm - powiedział któryś z gości. Jakbyśmy tego nie wiedzieli.

Kilka osób opuściło „11 w Skali Beauforta”. Pracownik biurowy, wyglądający jak drobny oszust, powiedział, że chce dotrzeć do domu, nim nadlecą. Większość z nas nie ruszyła się z miejsca i dalej piła. Żołnierze oraz cywile. Dziewczyny i panie.

Ciemnoblond pani zapytała o schron. Dobrze wyglądała, miała pantofle na wysokich obcasach i mocno dopasowaną spódniczkę do kolan. Pończochy miała lekko szarawe. Bardzo cienkie. Nie była pospolitą barówką.

Spadły pierwsze bomby. Cała seria eksplozji wstrząsnęła domem. Artyleria przeciwlotnicza zaczęła huczeć. Mogliśmy z łatwością usłyszeć dźwięki wybuchów pocisków artyleryjskich wysokiego zasięgu.

- Czy słyszycie Angoli? - Ktoś zapytał.

Wysłuchaliśmy się. Tak, mogliśmy ich usłyszeć.

Śpiewając wysokimi głosami, ciężkie bombowce krążyły nad Hamburgiem.

- Och, Angoli wsadźcie sobie w dupę - wrzasnął Obergefreiter z odznaką Frontu Wschodniego na piersi. - Powinniście zerknąć na pilotów bojowych Iwana. Wtedy byście mogli się czegoś nauczyć, wy małomiasteczkowi bohaterowie!

- Kogo nazwałeś małomiasteczkowym bohaterem? - Wrzasnął jakiś podoficer i wstał groźnie. Całą pierś miał wytapetowaną medalami bojowymi. Brakowało mu nosa. Dziurę zakrywała czarna łatka.

- Gdzie możemy znaleźć schron? - Zawołała ciemnoblond pani.

- Tutaj - zaśmiał się ktoś, przewracając pusty stółek barowy.

Nowa seria bomb spadła na domy i ulice. Marynarz ze wstążeczką za walkę na łodzi podwodnej wyszczerzył zęby.

- Założę się, że teraz sraję w majtki! - Wsadź dziewczynie rękę pod sukienkę.

Dziewczyna objęła go za szyję i szepnęła:

- Marynarzu, nie powinieneś! - Ale mimo tych słów pozwoliła mu na to.

Pani, która chciała pójść do schronu wyszła, za nią nerwowy, nieco korpulentny dżentelmen.

Gromowy huk zatrzęsł domem, który zajęczał jak ranne zwierzę. Światło elektryczne zamigotało złowieszczo.

- To była niezła ulewa! - Zaśmiał się podwodniak. Przechylił dziewczynę plecami na kontuar. Głośno zapiszczała.

Pani i korpulentny dżentelmen wrócili bez tchu Wycierając nogi przy wejściu mieli przepaszające miny.

- To okropne. Oni zrzucają bomby - dyszała pani w podnieceniu.

Wyglądała rozkosznie. Włosy miała rozczochrane, na policzkach czerwone plamy strachu. Oczywiście było, że ze śmiercią jeszcze nie zawarła bliższej znajomości.

- O, bomby, doprawdy? - Zakpiła Ciotka Dora. - Niech mnie diabli, jeśli nie myślałam, że oni zrzucają na nas kwiaty.

Pani usiadła na wolnym stoliku barowym. Nad jej szarą pończochą ukazał się pas nagiego ciała. Rozejrzała się w zdumieniu. Korpulentny mężczyzna siedział pośrodku pokoju na krześle, sapiąc z niepokojem.

Marynarz odepchnął na bok swą dziewczynę i buńczucznie podszedł do pani. Długa wstążka znikła z

jego czapki. Zapewne dziewczyna ją zerwała.

Bez słowa przesunął wielką dłoń do góry po jej nodze. Obrażona pani głośno krzyknęła i obciągnęła spódniczkę na kolana. Ale ta natychmiast znów podjechała do góry, zawinił temu wysoki stołek barowy. Marynarz zatoczył się. Śmiały mu się jego brązowe oczy.

- Zostaw moją żonę w spokoju! - Zagroził, wstając z miejsca, korpulentny dżentelmen.

My przyglądaliśmy się. Jego żona! Pomyśleć tylko: zabrał swą żonę do takiego lokalu. Musiał być imbecylem.

Marynarz go nie widział. Pochylił się nad panią jeszcze bardziej i szepnął coś, jak „łóżko”.

- Daj spokój mojej żonie, marynarzu! - Wrzasnął oburzony korpulentny pan.

- Dlaczego? - Spytał ciekawie marynarz.

- Bo jest moją żoną.

- Czy to jest twój mąż? - Zapytał sceptycznie marynarz, znów pochylając się nad panią.

- Tak, to mój mąż. A teraz daj mi spokój. Zupełnie mnie nie interesujesz.

- Zainteresowanie pojawi się, gdy poznamy się troszkę bliżej. Jestem zwariowany na punkcie mężatek!

Korpulentny pan chwycił marynarza za rękę

- Czy ci nie powiedziałem, że to moja żona?!

- Dobra, no i co? - Roześmiał się marynarz, który był zupełnie pijany. - Postanowiłem

pójść do łóżka z twoją żoną. Nie kumasz tego, bracie? - Przesunął rękę wyżej pod suknią pani.

Uderzyła go z wściekłością. Parsknął śmiechem, pociągnął długi łyk piwa i wrzasnął: Dokładnie mi pasujesz! Nic bardziej interesującego, jak lekki opór a jutro ja płynę na morze w U-189! - Zrobił gest jakby brał ją w objęcia i szepnął tonem zwierzenia - To moja ostatnia podróż.

Kolejny łomot spowodował, że tynk z sufitu posypał się na nas jak śnieg.

Marynarz z łodzi podwodnej spojrział w górę Przygarbił ramiona. Uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Ten cukiereczek nie był daleko. Ale mnie nie trafi. Wkrótce wyruszę na moją ostatnią podróż Wróżka powiedziała mi, że uduszę się w przednim przedziale torpedowym. U-189 to sterta złomu A dowódca, Leutnant von Grawitz, jest kupą gówna. - Spojrział przez salę na Legionistę. - Hej, ty pancerny kulisie ze zgniecioną twarzą, czy znasz tą kupę gówna, von Grawitza? Człowieka, który nosi Krzyż Rycerski na swej strusiej szyi na znak wdzięczności za tych wszystkich, których spuścił na dno północnego Atlantyku.

- Zamknij się - powiedział Legionista i kontynuował swą mamrotaną rozmowę z Ciotką Dorą. Był w środku przydługiego opisu zupy z płetw rekina, jaką podają w Damaszku.

Gdy bomba wybuchła, korpulentny pan zwałił się na krzesło. Teraz wstał i małymi kroczkami podskakiwał do swej żony i marynarza. Stał przed nim nadęty, starając się wyglądać przerażająco. Marynarz, który stał z pełnym kuflem piwa w dłoni, spojrział ciekawie na niezdrowo wyglądającą twarz człowieka.

- Rozkazuję ci dać spokój mojej żonie - zagdakał. - I natychmiast przeprosić. Zacisnął pięści.

- Merde, est-ce-que est possible? Ten imbecyl chce się rzucić na marynarza - rzekł ze śmiechem Legionista.

- Co nas to obchodzi? - Zapytała Ciotka Dora i wydmuchnęła gęstą chmurę dymu. Trudo, następna baryłka!

Marynarz wylał swe piwo na głowę korpulentnego pana, pochylił się nad kobietą i pocałował ją namiętnie. Oblany zachwiał się. A potem wymierzył marynarzowi cios w szczękę, równocześnie

miotając cały sznur obelg, których nikt nie potrafił zrozumieć.

Jego żona wrzasnęła. Wziął ręką zamach i ponownie uderzył marynarza, wytrącając mu nowe piwo, podwójne piwo imbirowe, trudne do znalezienia. To rozwścieczyło marynarza. Zawołał: „sabotaż!” i kopniakiem w brzuch posłał korpulentnego dżentelmena na podłogę.

Dostał następny kufel piwa, ale nie imbirowego. Wtedy brutalnie objął panią, przechylił ją do tyłu i hałaśliwie pocałował. Kopała, a jej spódniczka podjechała do góry.

- Wspaniałe nogi - zawołał Feldwebel piechoty i klasnął w ręce. - Marynarzu, ciśnij ją na kontuar i weź, czego chcesz! Zobaczysz, ona ci zaciśnie łapy na biodrach jak dziewczyny w Trypolisie!

Mąż znów był na nogach. Pienił się z wściekłości. Chwycił krzesło i próbował je roztrzaskać na głowie podwodniaka, ale zamiast tego trafił swą żonę, która padła bez dźwięku i zsunęła się na podłogę jak gumowa lalka.

Marynarz zrobił krok nad nią i obciągnął w dół brzegi swej granatowej, ciasno dopasowanej bluzy. Rozpędził się i wystrzelił w stronę korpulentnego pana jak kuter torpedowy.

- Niech to cholera, człowieku, teraz dostaniesz lanie - powiedział marynarz i wymierzył korpulentnemu facetowi zamaszyste uderzenie za uchem. Tamten padł twarzą na podłogę.

Belg wyrzucił go na ulicę.

- Doprawdy, co za głupia świnią - powiedział marynarz z łodzi podwodnej. - Podniósł kobietę na kontuar. - Uderzyć panią!

Jedna jej noga zwisała nad brzegiem lady.

- Teraz możesz ją wziąć! - Zawołał Feldwebel piechoty. - Przekonajmy się, co jesteś wart!

- Och, zamknij się, ty świnió! - Rozeźliła się Ciotka Dora.

- Czy on nie może jej wziąć? - Zapytał Feldwebel, zaglądając do naszej wnęki z sąsiedniej, w której siedział. Był bez kurtki. Wszystko co miał na sobie, zwisało. Wokół głowy miał wielki bandaż, bardzo biały. Pachniał szpitalem wojskowym i piwem.

Przez drzwi wszedł potykając się policjant.

Belg spojrział z daleka na Ciotkę Dorę, ale ponieważ nie dała żadnego sygnału niebezpieczeństwa, siedział dalej, udając, że śpi. Pod krzesłem miał pończochę napełnioną piaskiem.

- Cała Kirchenallee stoi w ogniu - powiedział policjant. - Nie zostanie żywej duszy.

Zdjął hełm. Był bardzo blady, a na twarzy miał czarne smugi. Jego mundur pachniał dymem.

- Dobry Boże, jak to się pali! - Powiedział i zamówił podwójne piwo, które opróżnił jednym haustem. Otarł usta wierzchem dłoni. - Na ulicy pod domem leży jakiś tłusty, bełkoczący facet. Czy to ktoś, kogo wyrzuciliście?

Nie czekał na odpowiedź, lecz wskazał palcem panią leżącą na kontuarze, jęczącą i potrząsającą głową.

- Czy ona dostała po głowie?

- Więc jesteś ciekaw, he? - Zawołał Feldwebel, gramoląc się na nogi. - Chcesz się ze mną bić, gliniarzu?

- Dobry Boże, nie - odpowiedział policjant i znów otarł się wierzchem dłoni. Teraz sadzę miał równo rozsmarowaną po całej twarzy.

- Jesteś małym szczurem - orzekł Feldwebel i zamachnął się na niego, ale chybił.

- A teraz siadaj sobie, piechurze, dobrze? - Odparł cierpliwie policjant. - Chryste, jak tam się pali - powtórzył i odwrócił się. - Daj mi jeszcze piwa, Trudo. Ten cały dym wywołuje wielkie pragnienie.

Dziewczyna plunęła na podłogę przed nim.

- Ty zasańcu - powiedziała i plunęła ponownie. Policjant nie zwrócił na nią uwagi.

- Ona mówi, że jesteś zasańcem - rzekł ze śmiechem Feldwebel piechoty. - A wiesz, co ja mówię? -

Zakpił, pałac się do bójki. - Jesteś głupim wołem. Nie, jesteś czymś znacznie gorszym. - Wymachiwał wokół ramionami i z przekonaniem kiwał głową. - Jesteś prawdziwym dupolizem, pieszczącym te nazistowskie kupy gówna. A teraz będziesz się ze mną bił?

- Spadaj, piechurze. Nie biję rannego.

Feldwebel zachwiał się i zamachnął na policjanta. Stracił równowagę i oparł się na poręczy kontuaru. Truda pchnęła go i zwałił się na podłogę.

Udało mu się wstać, choć z wielką trudnością. Chwycił butelkę i trzasnął nią w głowę policjanta. Ten odskoczył rycząc, wyciągnął pistolet i zawołał z wściekłością: - co u diabła, zwariowałaś?

- Tak - parsknął śmiechem Feldwebel. - Jestem zdecydowanym furiatem.

Poszperał w kieszeniach i wyciągnął kawałek papieru, który podsunął policjantowi pod nos. Ten zawołał zdumiony: co za... - Rozsmarował krew po całej swej głowie. - Wariackie papiery! Najprawdziwsze na świecie wariackie papiery! Twoje szczęście. Gdybyś ich nie miał, byłbyś już martwy. Załatwiony! Trzasnąłbym cię prosto między oczy.

- Jesteś świnią - wybełkotał Feldwebel i zatoczył się do kąta, gdzie zajęły się nim dziewczyny.

Truda podała policjantowi ręcznik. Wytarł nim głowę.

- Co za małpa! Wiesz, on mnie naprawdę grzmotnął!

Marynarz znów wsadził rękę pod obcisłą spódniczkę leżącej pani. - Połaskoczę ją trochę, a wtedy zobaczycie, jak wróci do życia - śmiał się.

- Jak wyglądają jej gatki? - Krzyknął Feldwebel z wariackimi papierami.

Marynarz jednym szarpnięciem zerwał jej spódniczkę.

- Są różowe! - Zawołał z radością, demonstrując tyłek pani w obcisłych figach. Klepnął ją. - Obudź się teraz. Jutro wynoszę się na morze i to będzie moja ostatnia podróż. Heinz nigdy już nie wróci do Hamburga.

Kolejna seria wybuchów bomb. Szkło z trzaskiem pospadało z półek. Światła zgasły. Dziewczyna wrzasnęła. Feldwebel zaczął śpiewać:

Denn wir fahren Seit nielen Jahren mit grauen Haaren gegen Engelland...

- Dajcie nam trochę światła - zawołał jakiś mężczyzna gdzieś z drugiego końca sali.

- I trochę piwa - krzyknął drugi.

- Dam ci raz w łeb! - Wrzasnął Feldwebel.

Gdy spadły bomby, hełm policjanta potoczył się do kąta.

Marynarz pocałował panią. Uśmiechał się radośnie.

- Teraz ją weź! - Wrzeszczał Feldwebel. - Do wszystkich diabłów, człowieku, pokaż nam co potrafisz!

- Masz rację, kumplu. Już czas na to - mruknął marynarz. - To moja ostatnia podróż. Zaklął. Coś szło nie tak. - Ty świnió, teraz poznasz co to Marynarka Wojenna!

- Brawo, marynarzu. Ruszaj przed siebie i storpeduj ją, a potem wyrzuć ją na dwór do tego faceta.

Pani wrzasnęła. Wydała wrzask i jęk.

Legionista śmiał się. Ciotka Dora też.

- Kolejka piwa dla wszystkich z okazji wesela - ktoś zawołał.

Wszyscy roześmieliśmy się i wypiliśmy zdrowie marynarza i pani.

- Czy nie potrafisz być grzeczna, suko? - Doleciał z ciemności głos marynarza. Wypływam po raz ostatni. Jutrzejszej nocy U-189 pójdzie na dno.

Truda przyniosła świecę. W migotliwym świetle dostrzegliśmy coś ciemnego, leżącego na podłodze. Ktoś zaczął grać na fortepianie. Kobieta wydała długi, głośny wrzask. Policjant krzyknął:

- Ty sukinyń! Daj pani spokój!

- Wsadź to sobie, ty krawężniku! - Odpowiedział marynarz. - To moja ostatnia okazja.

Ciotka Dora wstała. Bez hałasu i z wielką pewnością znalazła sobie drogę w ciemnościach. Muzyk zagrał melodię:

Es geht alles voruber, es geht alles vorbei, zuerst unser führer, und denn die ganze Partei!

- Cisza! - Ryknął policjant, który teraz był wściekły.

Promień światła omiół podłogę i zatrzymał się na marynarzu i kobiecie. Policjant klnąc pochylił się groźnie nad marynarzem i rozdzielił oboje. Marynarz walił dziko pięściami na prawo i lewo, wyrwał się i zawył jak wariat. Rzucił się biegiem ku drzwiom. Belga odrzucił na bok.

- Halt! - Zawołał za nim policjant. - Stój, albo będę strzelał! Napiął kurek pistoletu.

Marynarz chwiejnie wspinał się po piwnicznych schodach. Słysząc było trzaski ładunków zapalających. Płyn rozlał się po asfalcie. Zapłonął ogień. Oślepiające płomienie skoczyły w górę. Blask był taki, jak z pieca hutniczego. Słysząc było wołania o piasek. Cienie wydłużyły się. Nie było już nic, prócz oślepiającego, bladożółtego blasku. Ulica stała w ogniu. Cała dzielnica Bremerreihe była w ogniu.

Ciotka Dora zapaliła jasne cygaro, czwarte od początku nalotu. Legionista nucił: Przyjdź teraz, śmierci, przyjdź!

Marynarz, człowiek z łodzi podwodnej, palił się. Powoli skurczył się w małą mumię. Osmaloną, zwęgloną laleczkę.

Kobieta, którą zgwałcił przed swą ostatnią podróżą, siedziała na podłodze, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. Chwiała się z boku na bok. Z jej gardła wyrwały się długie, przyciszone krzyki. Zaczęła bić głową o mur. Coraz to szybciej, jak przyspieszający pociąg.

Feldwebel z wariackimi papierami śmiał się.

Ciotka Dora wierzchem dłoni wymierzyła kobiecie policzek. Zrobiła to cztery razy, bardzo mocno. Kobieta uspokoiła się.

- Carl nie żyje - wyszeptwała. A potem znów zaczęła wrzeszczeć. Skakała po podłodze jak kura z odciętą głową. Zaczęła śpiewać chorał głosem, który wzniósł się do przeraźliwego falsetu. Zdawało się, jakby chciała śpiewem zagłuszyć wycie bomb.

- Dostała świra - orzekł podoficer saperów, któremu brakowało jednej ręki. Miotacz ognia spalił mu ją podczas odwrotu z Charkowa.

Ciotka Dora splunęła na podłogę i rzuciła na śpiewaczkę przelotne spojrzenie.

- Wyprowadźcie ją tylnym wyjściem - rozkazała i kiwnęła głową na Belga i alfonsa Ewalda.

Nowa fala bomb wstrząsnęła domami. Wrzaski zagłuszyła ulewa ognia, zmiatająca wszystko przed sobą po tamtej stronie Hansaplatz. Potworny odkurzacz wchłaniał wszystko, dobre i złe.

Ciotka Dora przyniosła pieczone na ruszcie kasztany. Maczaliśmy je w stojącej na środku stołu soli kuchennej.

Policjant podniósł swój hełm, włożył go i poszedł w stronę drzwi. Był wściekły z powodu sprawy z marynarzem.

W tej samej chwili wszedł do środka patrol Służby Bezpieczeństwa. Było czterech esesmanów i Oberscharführer SS. Popatrzyli na policjanta z wesołym zdumieniem. Jeden z nich bawił się magazynkiem swego pistoletu maszynowego. Uśmiechał się, ale nie był to prawdziwy uśmiech. Było to raczej zadowolone mruczenie kota, stojącego naprzeciw myszy, która zapomniała gdzie jest jej dziurka.

Oberscharführer SS gwizdnął przeciągle.

- I cóż, spójrzcie, cośmy znaleźli! Brudnego gliniarza. Grzejącego się przy piecu, he? Ośmielam się sądzić, że nasze przyjscie tutaj jest dla ciebie wielką niespodzianką. Ale takie jest życie, uważasz?

Po gardło pełne dobrych i niemiłych niespodzianek. Byłoby doprawdy miłe, wiesz, gdybyś złożył meldunek.

Policjant wstał i wybełkotał meldunek: - Feldwebel policji Krüll, 15. Komisariat, Dworzec Główny, odbywający zgodnie z rozkazem patrol. Nic szczególnego do zameldowania.

Ludzie z patrolu Sicherheitsdienst roześmiali się, Oberscharführer podrapał się w ucho małym palcem.

- Wyobraźnia z pewnością nie sprawia ci problemów, staruszk. Połowa Bremerreihe znikła, a mimo tego ty mówisz, że nie masz nic szczególnego do zameldowania. Tuż nad schodami leżą dwie małe kupki popiołu, które nie tak dawno temu były ludźmi. Nadal nie masz nic szczególnego do zameldowania?

Ludzie z patrolu Bezpieczeństwa znów się roześmiali.

Legionista wypluwał łupiny kasztanów. Ciotka Dora zapaliła następne cygaro. Feldwebel z wariackimi papierami wrzasnął.

- Powiesić go!

Oberscharführer SS z uśmiechem wyciągnął dłoń do policjanta. Ten bez słowa wręczył mu swój rozkaz służby na ten dzień oraz dokument osobisty Oberscharführer SS obojętnie przekartkował szarą książeczkę. Nie przeczytał rozkazu służby. A potem włożył jedno i drugie do kieszeni na piersi.

- Wygląda, że gorąco pragniesz dostać kulkę w mózg, hę, staruszk?

Policjant zamrugał i wyjąkał coś po cichu.

- Sąd polowy oblizuje się na ciebie - rzekł uśmiechnięty Oberscharführer, naciskając palcem koniec nosa policjanta.

- A sądem polowym jesteśmy my - stwierdził z uśmiechem esesman podobny do kota.

- On pozwala sobie siedzieć wygodnie w burdelu, podczas gdy reszta z nas wykonuje rozkaz führera o obronie i służbie. - Obszedł policjanta pełnym kołem i przyjrzał mu się dokładnie, wyciągając jego Mausera z kabury i wsadzając do własnej kieszeni. - Jesteś właśnie tym, na którego czekaliśmy. Zrobimy z ciebie piękny przykład. A teraz obróć się ryjem do ściany, i to szybko!

Człowiek wyglądający jak kot zdawał się być w cudownym nastroju. Szturchnął policjanta pistoletem maszynowym i pomachał mu lufą przed nosem. Spojrzał na niego głodnym wzrokiem.

- Będziesz wisiał, leniwy glino. I będziesz miał na piersiach małą kartkę z wypisanym tylko jednym słowem: DEZERTER.

Jego czterech kumpli ryknęło gromkim śmiechem.

- A potem owiniemy ci na szyi skradzioną kiełbasę, ty kleptomanie - wrzasnął Oberscharführer. Podszedł do Trudy przy kontuarze.

- Pięć podwójnych, i to biegiem!

Ciotka Dora odłożyła cygaro i wstała. Mrugnęła do Trudy, która znikła w pokoju na zapleczu, gdzie był telefon. Ciotka Dora zajęła miejsce Trudy za kontuarem. Wściekle pociągnęła z długiego cygara. Oberscharführer SS przyjrzał jej się badawczo. Wyglądało, że zaczyna czuć się niepewnie na widok niskiej, pulchnej kobiety z brutalnymi oczami, spoglądającymi na niego obojętnie, jakby był muchą na ścianie.

- Pięć podwójnych. - Głos miał piskliwy.

Ciotka Dora powoli wyjęła cygaro z ust i dmuchnęła mu dymem w twarz.

- Po co robisz tyle hałasu? Nie jesteśmy głusi.

- Wobec tego mamy dostać te pięć podwójnych.

- Nie.

Zabrzmiało to, jak strzał z karabinka szturmowego kalibru 9 mm.

Podnieśliśmy głowy. Legionista uśmiechnął się złowieszczo. Wstał leniwie i wślizgnął się na stołek barowy obok Oberscharführera.

- Cwany gość? - Zapytał Ciotkę Dorę, kiwnąwszy głową w stronę sąsiada.

- Nie, on nie jest cwany. Głupi.

- Kto jest głupi, ty podła dziwko? - Zawył Oberscharführer.

Ciotka Dora znów dmuchnęła mu dymem w oczy.

- Ty, mój chłopcze, gdybyś był cwany, ty i twoi pachołkowie, którzy tam stoją, byłibyście już daleko stąd.

Zjawiała się Truda. Nieostrzegalnie skinęła głową Ciotce Dorze. Patrzyła na esesmanów ze złośliwą przyjemnością.

Oberscharführer SS zaczął się podniecać.

- Czy mi grozisz, ty pokręcona kurwo? Wygląda, że nadchodzi czas, abyś zrobiła wycieczkę do Komendy Głównej. Wtedy osobiście stłukę cię na mielonkę.

Jego ludzie zarechotali hałaśliwie. Ten podobny do kota położył swój pistolet maszynowy na kontuarze. Legionista pchnął go palcem. Zwalił się na podłogę.

- Co do diabła robisz, wszarzu? - Krzyknął kot.

Legionista wyszczerzył zęby w złym uśmiechu Ciotka Dora znowu zerknęła na Trudę, która ponownie skinęła głową uspokajająco.

- Podnieś ten rozpylacz - rozkazał Oberscharführer SS swemu pachołkowi. Zwrócił się do Ciotki Dory. - A teraz weź się ostro za te podwójne zamówione przez nas, albo sami się obsłużymy.

- Nic nie dostaniecie - stwierdziła Ciotka Dora stawiając butelkę na drugiej półce od góry.

- Co to u diabła ma znaczyć? Nie jesteśmy wystarczająco dobrzy?

- Ode mnie nie dostaniecie niczego, choć jestem pewna, że robicie doskonale robotę, do której zostaliście wynajęci.

Oberscharführer położył się całym ciałem na kontuarze barowym i wyszeptał z tłumioną wściekłością: pięć podwójnych, ty obrzydliwa świni, i to NATYCHMIAST!

Kot bezgłośnie zakradł się za kontuar. - Rób co „Oberschar” ci każe, albo twoja peruka pójdzie z dymem.

Feldwebel z wariackimi papierami wstał i zataczając się pijacko podszedł do kontuaru barowego.

- Czy ktoś chce się bić? - Czknął i zabełkotał po pijacku.

Oberscharführer spojrział na niego obojętnie i zadowolony się splunięciem i syknięciem: spadaj, ty kulawcu!

Feldwebel zachwiał się jak drzewo podczas burzy. Spodziewaliśmy się wszyscy, że się przewróci, ale odzyskał równowagę. Przysunął twarz tuż do Oberscharführera.

- Widzę, że pilnie potrzebujesz trochę masażu.

Oberscharführer SS uderzył tylko raz, rękojęścią swego Walthera P 38. Feldwebel zwałił się, z krwią płynącą z nosa. Upadł jak kłoda.

- Wystarczy! - Krzyknęła Ciotka Dora, odkładając swe jasne cygaro. - Jeśli wasza piątka nie zmyje się stąd cholernie szybko, będziecie mieli większą awanturę, niż chcieliście.

Wzięła pistolet maszynowy Kota i dała mu z miną nie dopuszczającą sprzeciwu.

- Ten kontuar, to nie zbrojownia. To kontuar barowy, przeznaczony do innych celów. Zaczęła gorączkowo wycierać serwetką kurz z kontuaru, a kątem oka zerkała w stronę drzwi obrotowych.

Legionista chciał coś powiedzieć. Ale udało mu się tylko wydobyć z siebie „Merde”.

Ciotka Dora syknęła na niego jadownicie

- Zamknij się i pilnuj własnych spraw!

- Co u diabła! - Rozdarł się Oberscharführer - Ty brudna kurwo, będziemy wiedzieli jak cię załatwić, gdy do nas przyjdiesz. A ten pisuar rozwalimy tak gruntownie, że sam diabeł będzie nam zazdrościł.

Kopnął z wściekłością nieprzytomnego Feldwebela w twarz, aż wielki bandaż spadł z głowy i ukazała się długa blizna po świeżej operacji. Pękła w kilku miejscach i wypłynęła woda. Widać było czerwone ciało. Wpadł dren.

Nad nieprzytomnym mężczyzną pochyliła się dziewczyna.

- Och Hansie, biedny Hansie!

Miała trudność w odholowaniu go do wyjścia. Esesmani śmiali się. Oberscharführer wzruszył ramionami.

- Zabierzcie z nami to dziecko, gdy będzie: odchodzić. Należy mu się lanie. A teraz te pięć podwójnych!

Belg przy drzwiach kaszlnął ostrzegawczo. Ciotka Dora podniosła głowę i uśmiechnęła się radośnie. W obrotowych drzwiach stał niewysoki mężczyzna o frapującym wyrazie twarzy, ubrany w ciasno dopasowany płaszcz. Szyję miał owiniętą kilkakrotnie białym szalikiem. Na rękach miał aksamitne rękawiczki, na głowie jasnoszary filcowy kapelusz. Jego oczy zupełnie do tego nie pasowały. Były trupie i wodniste.

Ciotka Dora zapaliła następne cygaro, pstryknęła palcami i powiedziała.

- Dobry wieczór, Paul.

Niewysoki mężczyzna skinął głową i odrzekł: Heil Hitler!

Gdy zrobił parę kroków do przodu, jego czarne pantofle z ostrymi nosami zaskrzypiały. Do niezwykle długiej, srebrnej cygarniczki z ustnikiem z kości słoniowej włożył papierosa.

Esesmani i wszyscy goście patrzyli na niego zafascynowani.

Wycelował swą cygarniczkę na Oberscharführera SS, siedzącego teraz na wysokim stołku barowym i machającego jedną nogą w wysokim bucie.

- Co tu robicie?

Oberscharführer zmieształ się. Nie całkiem wiedział co robić. Zeskoczyć i wygłosić meldunek, czy tylko wrzasnąć: zamknij się, brudna świnio, wyobrażasz sobie, że jesteś czym?

- Wolałby to drugie, ale rozkazujący głos zabrzmiał znajomo. Przypomniał mu koszary i ciemne korytarze w Komendzie Policji. Coś go sparaliżowało. Doświadczenie nauczyło go, że za śmiesznymi, cywilnymi łachami mogą się kryć najbardziej niewiarygodne rzeczy.

Zsunął się ze stołka, nawet nie mając na to wielkiej ochoty. Tylko częściowo przybliżył do siebie obcasy, bez stuknięcia. A meldunek był bardzo niewojskowy. Zameldował, że wykonywał rutynową łapankę i złapał dziwnie wyglądającego policjanta, którego podejrzewa o dezercję.

Niewysoki człowiek obojętnie rzucił okiem na policjanta pod ścianą.

- Twój rozkaz zrobienia łapanki - zażądał.

Oberscharführer SS przestąpił z nogi na nogę.

Zamrugał, jak zawsze robił, gdy nie potrafił dać sobie z czymś rady.

Dłoń w białej skórzanej rękawiczce, z długimi podobnymi do węży palcami, była rozkazująco wyciągnięta.

- Rozkaz łapanki, Oberschar!

- Nie mam go, Herr...

Spojrzało na niego zdumione oko, lewe oko w chudej, bladej twarzy. Prawe, puste i wodniste wpatrywało się w pustą przestrzeń. Było porcelanowe. Nie stanowiło bardzo dobrej imitacji, ale mały człowiek je lubił. Jego ofiary zawsze robiły się takie zmieszane ujrzawszy je i dostrzegłszy jego

łodowaty chłód. Było zupełnie tak samo pozbawione uczuć i tak zimne, jak mózg i dusza małego człowieka.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Czy mam rozumieć, że nie masz żadnego rozkazu prowadzenia łapanek, Oberschar? - Pytaniu towarzyszyła mina wyrażająca udawane zaskoczenie.

- Nnnie, Herr... Wyglądało, jakby starał się znaleźć właściwy stopień służbowy. Ciągłe nie wiedział z kim ma do czynienia.

Wiedziała tylko jedna osoba: Ciotka Dora.

Podoficer SS kontynuował lekko zacinając się

- Myśleliśmy, że w tym chlewie jest ktoś, wymagający gruntownego zbadania.

Mały człowiek uśmiechnął się kątem ust, co wyglądało raczej jak obrzydliwy grymas.

- Kto to jest „my”? I co chcesz powiedzieć przez „chlew”? Bo jedyną świnia tutaj jesteś ty, Oberschar, a wszedłeś tu całkiem niedawno.

Długa przerwa. Wszyscy czekali na odpowiedź Oberscharführera. Kilka bomb spadło daleko.

- Cóż, czy straciłeś głos? Zapytał „kto to są ”my”?”

- Patrol, Herr...

Znów krzywy uśmiech.

- Czy nim dowodzisz, Oberschar?

- Oczywiście, Herr...

- Doprawdy? To oznacza, że jesteś odpowiedzialny za jego złe zachowanie, zarówno bezprawne jak niezrozumiałe. Łapanek i działania na własną rękę karane przez sąd polowy! A może jesteś przeciwnego zdania, Oberschar?

- Nie, Herr...

- Hm... Doprawdy! Ale jeszcze nie odpowiedziałeś na moje pytanie, czy jesteś za to odpowiedzialny, tak czy nie?

Oberscharführer przełknął ślinę i znów przestąpił z nogi na nogę. Teraz już całkowicie złączył swe obcaszki i wyciągnął palce wzdłuż szwów spodni. Już dawno zdał sobie sprawę, że ten mały cywil jest kimś ważniejszym, niż na to wygląda.

Ciotka Dora, polerująca szklanki na kontuarze, wyraźnie rozkoszowała się sytuacją. Legionista mruczał coś do siebie.

- Oberscharführer SS Brenner melduje, że odpowiedzialność za działania patrolu należy do mnie.

Mały mężczyzna uniósł brwi. Żywe oko lekko pociemniało. Martwe zimno spoglądało przed siebie.

- Porozmawiamy o tym później w Komendzie, Oberschar! Teraz wynoś się i zabieraj ze sobą swoich ludzi.

- Chciałbym zapytać, gdzie mam się zameldować, Herr...

Mały człowiek spacerował po lokalu i nie odpowiadał. Zajrzawszy do wielu małych, półciemnych wnęk, gdzie migotały świece, wskazał palcem policjanta, stojącego pod ścianą z rękami na karku.

- Zabierz tego typa ze sobą, Oberschar.

Oberscharführer na baczność odwrócił się na pięcie, tak aby zawsze stać twarzą do małego człowieka w obcisłym w pasie płaszczu.

- Gdzie mamy się zameldować, Herr...?

Żadnej odpowiedzi. Wyglądało, jakby mały mężczyzna w ogóle nie usłyszał pytania. Stał przy barze, spoglądając na butelki, stojące w ścisłym szeregu jak batalion na przeglądzie, na dwóch dolnych półkach poniżej lustra.

Ciotka Dora udawała, że go nie widzi. Ścierała plamy z kontuaru. Truda, dziewczyna z Berlina nałała mu duży kielich ginu. Powąchał go.

- Z Holandii - powiedział jakby do siebie.

Bawił się kieliszkiem i z namysłem patrzył na płyn, jakby spodziewając się, że wyłoni się coś dziwnego. Zanucił.

- „Żydowska krew musi popłynąć”.

Postawił pełny kieliszek na kontuarze, obrócił go kilka razy, znów powąchał i mruknął.

- Z Amsterdamu. Keizersgracht.

Jeszcze raz powąchał kieliszek, kiwnął krótko głową i wstał, nie spróbował ginu. Szybko podszedł ku drzwiom. Przechodząc położył dłoń na ramieniu Ewalda.

- Wstąp do mnie jutro o 12.10. Adresu dowiesz się od twojej szefowej.

Alfons był już śmiertelnie blady. Przeczuiwał kłopoty. Zaproszenie małego człowieka było zbyt serdeczne.

We drzwiach odwrócił się do Oberscharführera.

- Nazywam się Kriminalrat Paul Bielert, Główne Biuro Bezpieczeństwa, Wydział 4, II A.

A potem znikł.

- Takie nasze cholerne szczęście - mruknął zaskoczony Oberscharführer. - „Przystojny Paul” we własnej osobie. - Spojrzał na swych pacholców.

- To oznacza „Dobranoc, kochanie”. Następny przystanek: środkowy odcinek Frontu Wschodniego.

Skopali policjanta i zbili go kolbami karabinów, jakby to była jego wina. Pogrozili Belgowi i plunęli na Ewalda. Ale Ciotce Dorze nie powiedzieli ani słowa. Było coś, czego nie rozumieli.

Wrzasnęli na policjanta.

- W przypadku ucieczki użyjemy broni. - To był ostatni raz, kiedy słyszeliśmy o nich.

Ciotka Dora postawiła wszystkim kolejkę. Każdy mógł dostać to, co lubił. Większość z nas chciała podwójnych. Skończyliśmy następny półmisek pieczonych kasztanów.

Zabrzmiało odwołanie alarmu. Długi, wrzaskliwy dźwięk syren słychać było w całym mieście. Ulice nappełniło trąbienie i pobrząkiwanie powracającej straży pożarnej. Szalejące pożary płonęły wszędzie.

Powiew spalonego mięsa wcisnął się do „11 w Skali Beauforta”. Mógł pochodzić od płonącego bydła, ale, niestety, pochodził od ludzi.

Feldwibel z wariackimi papierami nie ocknął się. Zmarł w ramionach dziewczyny, która sprzedawała się, by mieć masło i kawę, w tej chwili większej wartości niż sztaby złota.

- Sacre nom de Dieu! - Krzyknął Legionista. - Jakiż burzliwy wieczór. - Spojrzał na Ciotkę Dorę, siedzącą obok nas i pijącą gin z gorzkimi kroplami.

- Kto to jest Bielert i jak go poznałaś?

- Ciekawy? - Ciotka Dora uśmiechnęła się - Paul Bielert jest grubą rybą w Centralnym Urzędzie Bezpieczeństwa tutaj, w Hamburgu. Kriminalrat. Jego podpis wystarczy, by odesłać człowieka do wieczności bez żadnych formułek prawnych nawet nie pytając czy to sądu, czy sędziego. Na koniec zrobili go także wielkim ważniakiem w SS Sturmbannführer czy coś takiego.

- A ty utrzymujesz stosunki z kimś takim - wykrzyknął Legionista. - Tfu!

Ciotka Dora mówiła dalej, nie zwracając uwagi, że jej przerwano.

- Dawno temu, gdy Paul jeszcze nie był nikim szczególnym, był tylko pomniejszym śledczym łajdakiem, dopomogłam mu. - Podłubała w zębach długą wykałaczką i kontynuowała - Gdyby nie to, „Przystojny Paul” straciłby głowę i nigdy nie zostałby wielkim gównem, zajmującym się tym, by je tracili inni. - Nadal pracowicie dłubała w zębach. Przeszkadzały jej kasztany. - Ale oczywiście zabezpieczyłam się. - Zaśmiała się bezgłośnie. Gdy się ma do czynienia ze zmijami, trzeba się upewnić, że masz dobrą surowicę.

Legionista wsadził sobie ołówek do ucha i drapał je wściekle.

- Sacrebleu, masz coś na to małe gówno?

- Możesz założyć się o własne życie, że mam powiedziała Ciotka Dora, ważąc każde słowo.

- Hm - mruknął z namysłem Legionista. - Mam tylko nadzieję, że to nic niebezpiecznego. A co, jeśli Przystojny Paul wbije sobie do głowy, by cię zakatrupić, jagniątko? Na jego miejscu z pewnością nie namyślałbym się długo.

Ciotka Dora dmuchnęła dymem i znów się roześmiała.

- Powiedz mi, Alfredzie, czy myślisz, że ja jestem łagodną malutką z dalekiej prowincji?

- Merde, oczywiście tak nie myślę. Nie jestem kretynem. Gdybyś była ciamajdą, dawno by cię ubili. Ale, Doro, ten facet, Bielert, czy jakkolwiek się naprawdę nazywa, wyglądał na takiego, który nie cofnie się przed niczym. Ja ze swej strony bałbym się jak wszyscy diabli, gdybym dowiedział się czegoś, co by mu mogło zaszkodzić.

Ciotka Dora zaśmiała się z całego serca. Nigdy nie słyszałem nikogo, śmiejącego się tak serdecznie.

- Gdyby ktoś był na tyle głupi, by mi nadepnąć na odcisk, wszyscy których znam wstaną z grobów. Kat byłby bardzo zajęty, musiałby pracować w nadgodzinach. Biznes ruszyłby z kopyta. Jestem absolutnie pewna, że przeżyję tę wojnę. Gdy Adolf się zesra, ja zapewne będę sobie stała na wieży kościoła świętego Michała, z kilku nędznymi, małymi kurewkami, szukając klientów.

Jednym łykiem pochłonęła szklankę ginu, a po tym przygładziła swą czarną perukę.

- Co u diabła ty naprawdę o nim wiesz? - Zapytał Legionista.

- Jeśli się dowiesz, nie wyjdzie ci to na zdrowie. - Niedbale podrapała się w jedną pierś.

- Czy to coś politycznego? - Nie ustępował Legionista.

- Naturalnie - zaśmiała się cicho Dora. - Czy myślisz, że morderstwo i tym podobne rzeczy robią na nich jakiegokolwiek wrażenie? Ale wszystko co polityczne, jest dobrym środkiem nacisku. Gdy szepnąć cokolwiek politycznego, Adolf kompletnie traci poczucie humoru.

Napiliśmy się w milczeniu. Policjant, który tu zaszedł by przepłukać dym w swym gardle, został postawiony przed sądem specjalnym, gdzie cała sprawa została załatwiona w ciągu dwudziestu minut. Sędzia, stary człowiek wydał tysiące wyroków. Został zwolniony ze stanowiska wkrótce po przejściu władzy, ponieważ w czasach Republiki Weimarskiej wykazywał niezbyt uparte trzymanie się zasad. Ale lubił być sędzią. Człowiek czuje się tak wspaniale wielki, gdy pyszni się, zasiadając za wysokim stołem. Naprzykrzał się nowym władcom w Berlinie, póki w końcu nie dali mu stanowiska. Ale jednak, gdy nadeszła wojna, miał ręce bardziej pełne roboty, niż się spodziewał. Żona czytała mu większość akt sprawy podczas posiłków. Wiele z nich podpisał nie przeczytawszy nawet jednej linijki.

Po wojnie przeszedł na emeryturę i hodował tulipany oraz goździki w swym małym domu w Aumühle. Na tabliczce na drzwiach ma napis M. Heinrich Weslar, emerytowany Sędzia. „Em” jest małe i prawie nieczytelne, ale słowo „Sędzia” wręcz wrzeszczy. Tabliczka jest mosięzna i polerowana dwa razy dziennie.

Mieszka o pięć minut drogi od stacji kolejowej blisko pomnika Bismarcka - to na wypadek, gdyby ktoś chciał złożyć mu wizytę.

W dniu, w którym wydał wyrok na nieszczęsnego policjanta, był bardzo zajęty. Obok swych tulipanów i goździków, miał również jako hobby rośliny owadożerne i właśnie przypomniał sobie, że przed godziną powinny były dostać swe muchy. Jeśli nie dotrze na czas do domu, skutkiem może być śmierć.

- W imieniu führera oskarżony straci życie za tchórzostwo i usiłowanie dezercji, ale biorąc pod uwagę długi okres jego służby w policji porządkowej, Sąd odstąpi od wykonania kary przez ścięcie i

zamiast tego skazuje go na rozstrzelanie, we właściwym miejscu, przez Armię.

Jego Heil Hitler można było dosłyszeć tylko na połowie sali sądowej.

Pięćdziesięcioletni policjant, mający za sobą trzydzieści lat służby, został wyprowadzony przez dwóch dozorców więziennych. Łkał i zemdlał w małym korytarzyku za salą sądową, musieli więc zanieść go do celi. Dano mu zastrzyk uspokajający nim zawieszono go ciężarówką do Fuhlsbüttel.

Próbowali go ustawić prosto, gdy postawili go przed pniakiem w Putlos, ale ciągle padał. Jeden z nich myślał, że skazaniec już umarł ze strachu, zanim dwanaście pocisków karabinowych przebiło mu ciało.

Jeden z policyjnych fizylierów trafił go w twarz. Nie wyglądała ładnie. Zbyt oczywiście zdradzała użycie przemocy, coś, co nie powinno mieć miejsca tam, gdzie wykonywano wyroki sądu wojennego.

Leutnant policji, dowodzący plutonem egzekucyjnym, był wściekły. Powiedział, że strzelanie w twarz to brudny chwyt, szczególnie biorąc pod uwagę, że człowiek, do którego strzelali, był ich kolegą.

Wymyślał im przez całą drogę do Hamburga. Pluton został ukarany regulaminowym okresem służby z bronią, a w dwa tygodnie później ludzi tych wysłano konwojem do Polski, gdzie rzucono ich do bitwy z partyzantami. Pewnej ciemnej nocy ich kompania wysłana została do lasów na północ od Lwowa. Dwie z ich ciężarówek ugrzęzły. Gdy zajęli się odkopywaniem ich ze wsysającego bagna, nagle z ciemnego lasu wystrzeliły płomienie z gwałtownością trzęsienia ziemi, niezliczone małe, złe, niebieskie płomyki. Najpierw nadleciały od lewej, później ukośnie z prawej strony. A na koniec z przodu.

Wszystko to trwało dokładnie czternaście minut. A później zapanowała cisza, nie licząc trzeszczenia ognia w palących się ciężarówkach i jęków kilku rannych.

Pojawiły się postacie w chłopskich ubraniach. Kopały zabitych i rannych. Tu i ówdzie trzask strzał z karabinu lub pistoletu.

Partyzanci Lejtanta Wasilija Poloniewa zniknęli w ogromnych lasach tak cicho, jak się z nich wynurzyli.

Wszyscy z unicestwionych 175 żołnierzy żandarmerii byli ludźmi podstarzałymi, którzy przez wiele lat przemierzali ulice Hamburga, Lube i Bremy jako zwykli policjanci. Nie mieli najmniejszego podejrzenia, że gdzieś na wschodzie żył młody, fanatyczny zabójca Wasilij Poloniew, Leutnant w Jednostce Armii Czerwonej X103 B, ekspert od wojny partyzanckiej.

Starcie było krótkie i gwałtowne. Wkrótce, po tym listonosz przyniesie, pozbawionym ojca czy brata, ładną kartkę.

- „Oberfeldwebel Schulze (albo Meyer) został zabity w akcji, walcząc za führera i Wielkie Niemcy. Führer wam dziękuje”.

Wielu chciałoby kazać wydrukować w gazecie. - „Z głębokim żalem”, ale Partia tego zabroniła. Niemiecka kobieta musi być dumna, gdy jej mąż zostanie zabity za führera. Podobnie dzieci muszą być dumne, gdy zabity zostanie ich ojciec. Niemiec nie jest zaledwie mężem, ojcem, synem czy bratem, ale przede wszystkim żołnierzem i bohaterem. Po to się urodził. Po to żył.

Heil Hitler!

Okazywanie żalu było antyniemieckie. Łatwo można by je zinterpretować jako sabotowanie woli obrony. Czytając nekrolog jednego z zabitych, nie można było się powstrzymać od przecierania oczu: Z dumą odebraliśmy wiadomość, że nasz syn, Leutnant Rezerwy Heinz Müller, urodzony 3 maja 1925, z 44. Pułku Grenadierów Pancernych został zabity w akcji 19 czerwca 1944, dzielnie walcząc za führera. Gudrun i Hans Müllerowie.

Wieczór za wieczorem nie zapalano światła u Müllerów. Byli dumni w ciemności.

W trzy tygodnie później nadszedł podłużny list. Biuro Personalne, Naczelne Dowództwo Armii,

Berlin. Był to przekaz na 147 marek i 25 fenigów. Podziękowanie Armii za złożoną ofiarę. Müller wściekł się i wiele mówił na temat odszkodowania za przelaną krew. Zapomniał, że jest dumny. Wartownik cywilnej obrony przeciwlotniczej dosłyszał coś z tego. Następnego wieczoru pojawiło się dwóch eleganckich dżentelmenów. Przeszli z Głównego Biura Bezpieczeństwa. Następnie był Trybunał Ludowy. Oskarżenie o wrogie wypowiedzi. Sabotowanie woli obrony Antyniemieckie zachowanie. Obraza führera i podżeganie do buntu. Później przeniesiono go do Plötzensee. Listopadowym rankiem, w drobnym deszczu, główny pomocnik kata Rzeszy uciał głowę dumnego pana Müllera. Pani Müller, mieszkająca z antyspołecznym Hansem Müllerem, została wysłana do Ravensbrück na reedukację.

Pandemonium krzyków i wrzasków, wrywających się z tysięcy zdławionych przerażeniem gardel.

Bomby padały jak grad. Ludzie, tłoczący się na ulicy, byli paleni na skwarki.

Wołali do Boga, ale Bóg milczał.

Kościół św. Mikołaja był morzem ryczących płomieni. Proboszcz parafii chciał ocalić relikwie ołtarzowe. Wielki kamienny krucyfiks spadł i złamał mu kręgosłup.

Wszystko stało w ogniu.

Hamburg ginął.

Siedzieliśmy pijąc w piwnicy szpitala wojskowego.

W podziemnej restauracji przy Baumwall ludzie z wyższej sfery i bonzowie partyjni Hamburga świętowali.

Paul Bielert szukał mordercy.

Była to dobra noc dla rabusiów zwłok i plony były bogate.

ROZDZIAŁ IX Bomby w nocy

Kilka zbłąkanych bomb spadło koło szpitala wojskowego. Zwalających całe kwartały domów. Schronisko młodzieżowe naprzeciw Landungsbrücke zostało zdmuchnięte. Wycie, ogłuszający huk, a po nim sięgająca nieba chmura kurzu - schronisko znikło. Wraz ze swymi orłami, dekoracją Hitlerjugend i wszystkimi chłopcami w suterenie. Dziewięciu dwunastoletnich chłopców, obsługujących działko przeciwlotnicze kalibru 20 mm podzieliło ich los.

Wszystko to znikło, jakby doświadczony czarownik machnął różdżką.

- Hej presto, zmień się w pył i nawóz! - Tylko nikt nie bił oklasków.

Jedno skrzydło szpitala wojskowego - to wychodzące na Bernhard Nocht Strasse

zostało zniszczone. Wszędzie leżały szczątki żelaznych łóżek Wyglądały jak skrecone rury. Była też naga noga Została oddarta w kolanie, czystym cięciem Chmura brzęczących i syczących granatowych much pożywiała się nią. Muchy były tłuste, dobrze odżywione.

Na jezdni leżała dłoń, szorstka dłoń robotnicza z czarnymi paznokciami. Na jednym ze zgiętych palców widać było zwykłą, zniszczoną obrączkę.

- Jakiś facet stracił łapę - rzekł Mały i kopnął dłoń. Pobiegły za nią dwa wychudłe psy.

- Merde, mon camarade - oświadczył Legionista - Wojna trwa. Koniec się zbliża. Rzesza stała się frontem.

W rynsztoku przed browarem Sankt Pauli siedziała płacząca niewiasta. Była cała pokryta Wapiennym pyłem. Była w majteczkach, miała nagie nogi, ramiona otuliła połówką koca.

Kiedyś był to piękny, czerwony koc. Gdy przechodziliśmy obok Mały opowiadał dowcip. Śmieliśmy się głośno.

Kobieta zgięła się w pół i wybuchła nieopanowanym łkaniem. Płakała. Płakała samotnie. Wielu było takich, którzy płakali samotnie. Śmieliśmy się z tłustego dowcipu Małego i minęliśmy ją obojętnie.

Poza obszarem Hamburga posuwała się na północ ogromna, masowa procesja. Zagraniczni robotnicy kontraktowi. Nikt nie próbował ich zatrzymać. Policja rozpadła się. Robotnicy nieśli pod pachami paczki przewiązane sznurkiem, na ramionach zwinięte koce. Przemaszerowali przez Neumünster, po moście w Rendsburgu i zbliżyli się do granicy. Mieli dość niemieckiej wojny.

Przekroczyli granicę nie zatrzymywani. Po prostu poszli przed siebie. Ciągący się bez końca, przejęty strachem wąż.

Posterunki SS stały jak zahipnotyzowane, po prostu patrzyły.

Niemcy stały w ogniu. Hamburg drżał. Stada szczerów płynęły na północ. Były ich tysiące. Jak najdalej stąd, jak najdalej. Od piekła płomieni.

Z takiego czy innego tajemniczego powodu nasze wypisanie ze szpitala wojskowego zostało odłożone.

Mały rozwalił się na całą długość na podeście schodów, na którym siedzieliśmy.

- Wygląda mi to zupełnie tak, jak jakaś polisa ubezpieczenia na życie. Nie zdziwiłbym się, gdyby Front Wschodni przyszedł do nas, zamiast my do niego. Jakiż wspaniały dzień dla Iwana. Dziewczyny zaczęły uczyć się po rosyjsku i kochać się po rosyjsku. - Podniósł nogę i „zatrąbił” jeden ze swych sygnałów specjalnych. Zabrział, jakby wezwanie na Sąd Ostateczny.

Pożądliwie chwycił pomocnicę pielęgniarki, biegnącą po schodach do góry.

- Co myślisz o tym, żebyśmy dziś w nocy sobie pocudzołożyli, katolicka cioteczko?

- Głupia świnka - syknęła, próbując kopnąć go w twarz. - Jestem zaręczona i wychodzę za mąż.

- Tym lepiej - roześmiał się Mały. - Gdy raz się spróbuje krwi, człowiek staje się krwiożerczy.

Znowu kopnęła. Mały ryknął śmiechem.

- Zrobię ci pełny program, strzykawkowa kurwo. Mały zawsze jest gotów, by cię wyobrać. Po prostu przyjdź! Zapytaj Emmę co Mały potrafi.

Puścił ją. Odbiegła pospiesznie.

Kazano nam pomagać przy usuwaniu gruzu, ale kierująca tym osoba nie miała zupełnie doświadczenia w kierowaniu weteranami wojennymi. Była świeżo przybyłą siostrą przełożoną z wielkim kokiem na głowie, koloru starego pióra Parkera. Chuda, drobnomieszczańska Teutonka. Złota odznaka partyjna na jej szarej sukni błyskała pogardliwie na jej mniej krzykliwą, lecz autentyczniejszą odznakę pielęgniarki. Głos miała jak przeziębiony wielbłąd.

- Ruszajcie się, wy czterej leniwi próżniacy Łapcie za łopatę i wynieście gruz z Oddziału!

- Tylko jedną łopatę? - Zapytał Mały.

- Bezczelny typ! - Zaszczekała chuda kobieta stukając w podłogę czarnym noskiem obuwia.

Legionista wstał nonszalancko i poszedł korytarzem.

- Voila, chodźcie chłopaki!

- Tu mówi się po niemiecku - wrzasnęła za nim

- Wsadź sobie. - Mały uśmiechnął się bezwstydnie, wstając by pójść za resztą z nas. Klnąc znikła, biegnąc w górę po schodach.

Mała pielęgniarka, która była świadkiem wydarzenia, szepnęła ostrzegawczo.

- Strzeżcie się Matyldy. Ma brata w Gestapo. Jej ojciec został zabity w 1923. Jedno jej słówko, a koniec z wami!

Legionista zwrócił się do Małego, idącego za nim jak wielka, imponująca góra.

- Przypomnij mi, abym umieścił Matyldę na liście Porty.

- Jak uważasz - uśmiechnął się Mały.

- Po co to robicie? - Zapytała ze zdziwieniem mała pielęgniarka.

Legionista wziął ją pod brodę i spojrzał jej w oczy.

- Merde. W dniu wyrównywania rachunków nie będzie dość czasu na nadmiar dochodzeń. Tak więc, za każdym razem gdy ich spotykamy, zapisujemy ich.

- Wielkie nieba! - Wykrzyknęła mała pielęgniarka. - Jesteście antyspołecznymi rewolucjonistami?!

Willy Bauer, wielki kierowca ciężarówki, wybuchnął gromkim śmiechem. Mały zarżał i kopnął nogą ziemię.

Dziewczyna potrząsnęła głową i popatrzyła za nami. Wkrótce potem powiedziała przyjaciółce. -

Uważaj co mówisz, Greto, rewolucjoniści kolekcjonują nazwiska. Już czas wyskoczyć z autobusu.

Zbliżamy się do stacji końcowej.

Siostra Greta głośno się roześmiała.

- Nigdy nie jechałam tym autobusem, kochanie. Mój stary był w obozie koncentracyjnym ponad cztery lata. Dureń należał do Niemieckiej Narodowej Partii Ludowej i nie potrafił trzymać gęby na kłódkę. Henryk od SS patrzy na nich jako na socjalistów wyższej sfery. Tak więc widzisz, ze mną wszystko będzie w porządku, dzięki głupocie szanownej głowy mojej rodziny.

- Gdybym tylko mogła powiedzieć to samo. Ale na nieszczęście mój stary jest Majorem w dywizji SA Feldherrenhalle, a dwaj moi drodzy bracia są w dywizji SS Das Reich.

Mały nadal w milczeniu czyścił igły do zastrzyków i strzykawki.

A potem mała siostra powiedziała w zamyśleniu.

- Może lepiej będzie, jeśli złożę meldunek mojej szefowej. Taki jest obowiązek, wiesz, gdy uzyskuje się kontakt z elementami antyspołecznymi, albo usłyszy wypowiedzi wywrotowe.

Hoża siostra Greta długo na nią patrzyła, zanim odpowiedziała.

- Nie rób tego, Margaret. To będzie dla ciebie oznaczało pewną śmierć w dniu, w którym Adolf odejdzie do piekła. O tego rodzaju obowiązku lepiej zapomnieć. Nie patrz, nie słuchaj, nie mów. Zawróciła na pięcie i odeszła. Na odchodnym rzuciła niedbale: jeśli to zapamiętasz, zawsze będziesz miała możliwość spaść na cztery łapy. Jedz, śpij puszczaj się i trzymaj twarz zamkniętą. Ostatnie jest najważniejsze.

Siostra Greta nadal jest w szpitalu wojskowym Przez cztery lata opiekowała się rannymi żołnierzami Wehrmachtu. Zamykała ich szkliste oczy, dawała im duże dawki morfiny - gdy napadało ich szaleństwo i zmuszało do dzikiego wycia, spała z nimi - gdy miała na to ochotę, piła - gdy jej nerwy odmawiały posłuszeństwa. Przez pewien czas nawet używała morfiny. Przynosiła ulgę.

Przez dwa lata niańczyła żołnierzy angielskich. Wbijała w nich igły strzykawek, krzyczała na nich, a pod innymi względami zachowywała się z nimi tak, jak to poprzednio robiła z żołnierzami niemieckimi.

Dr Mahler, naczelny chirurg, przez pewien czas podróżował. Przynajmniej tak mówiono. Prawda wyglądała tak, że rządzący chcieli go złamać, ponieważ był dzielnym lekarzem. Wrócił i nadal wymachuje rękami w długich korytarzach.

Po żołnierzach przyszli cywile. Do tego szpitala zgłaszano dziwne i nieznanne choroby.

Siostra Czerwonego Krzyża Greta została Krankenschwester. Nie interesowało ją objęcie oddziału. Robiła zastrzyki, opróżniała baseny i zmieniała pościel jak zawsze. Niekiedy spotykała starego pacjenta: Niemca, Norwega, Duńczyka, Anglika, Murzyna z Kongo, Araba z Algierii, Legionistę z Indochin wstrząsanego gorączką. Znowu ich spotykając śmiała się. Piła z nimi w małych, przytulnych knajpkach. Więcej niż raz podzieliła się z nimi gościnnie łóżkiem.

- Bądź co bądź jesteśmy istotami ludzkimi - mawiała. - A jest później, niż myślicie.
Siostra Greta była znakomitą pielęgniarką. Wielu patrzyło na nią z góry i drwiło.
- Niemoralna. - Ale znacznie więcej mówiło. - Wspaniała dziewczyna.
Jeśli pewnego dnia pojedziecie do miasta nad Łabą, przejdźcie się do Landungsbrücke. Patrząc do góry, w stronę Reeperbahn, zauważycie dobrze ukryty szpital na lewo od Hafenkrankehouse. To szczególnie szpital. Znajdziecie tam siostrę Gretę. Jeśli jesteście przyzwoitymi ludźmi, wypijcie z nią drinka i pozdrówcie od tysięcy nieznanym mężczyznom w zieleni i w khaki.
Mała Margaret powiesiła się łagodnego dnia majowego w 1945 roku. Umarła tak głupia, jak żyła. Była bardzo moralna. Donosiła swej przełożonej o wiele za często i zapomniiała słów Grety: nie patrz, nie słuchaj, nie mów. Ale gdzie mogła poznać wschodni symbol mądrości: trzy święte małpki? Niech spoczywa w spokoju! Wielu współcierpiało wraz z nią.
Zamiast porządkować, poszliśmy na dół do piwnicy, do Obergefreitara Korpusu Medycznego Petersa i graliśmy w oko. Graliśmy przez kilka godzin, podczas gdy ta wiedźma Matylda kierowała operacjami oczyszczającymi. Jak powiedział Legionista, gdybyśmy pomogli robić porządki, pomogliśmy tym, których nie lubimy.
Peters ze śmiechem zgarnął wygraną po raz czwarty. Z kosza na śmieci wyciągnął wielką kiełbasę i podzielił na pięć równych części. Do kiełbas piliśmy 90-procentowy alkohol etylowy, rozcieńczony wodą. Byliśmy zadowoleni. Byliśmy żywi a to w Hamburgu w roku 1944 było najważniejsze.
- Wróć dzisiaj nocy - orzekł Peters i połknął kęs kiełbasy.
- Tak myślisz? - Zapytał Mały. Wyrzwał oknem w stronę Łaby, gdzie dymy zniszczonej Stulcke werft wiły się w powietrzu.
Peters z przekonaniem kiwnął głową.
- Nadleć. Mają o wiele za dużo paliwa lotniczego, zbyt wiele bomb oraz o wiele za dużo młodych ludzi, którzy lubią latanie.
- Ale my także mamy mnóstwo idiotów, którzy lubią latanie - powiedział Mały, - do tego stopnia, że mogą otrzymać jakiś głupi kawałek magnesu, przyklepionego do kołnierza. Stare kobiety po prostu szaleją za skrzydełkami.
- Masz rację - przyznał Peters. - Różnica w tym, że nie mamy samolotów dla tych, którzy mają hopla na punkcie latania. A tamci mają.
- Miasta wkrótce w ogóle nie będzie - rzekł Legionista.
- To prawda - powiedział Peters. - Wtedy zaczną bombardować ruiny, a gdy te znikną, będą bombardować wszystko, czego tu już nie ma, aż do chwili, gdy wszystkie nędzne koty i szczury zostaną spalone. I dopiero wtedy nadleć spadochroniarze.
- Do diabła z tym wszystkim - rzekł Legionista, zagrywając królem. Bauer zaśmiał się, cisnął na stół asa i zawołał: dwadzieścia jeden!
Mały wskazał na miskę, w której pływał jakiś nieokreślony przedmiot.
- Co tam jest? - Zapytał wyciągając szyję.
Peters podniósł głowę.
- Wyrostek robaczkowy. Wyrostek z zapaleniem.
Mały wstał i z wielkim zainteresowaniem patrzył na mały kawałek wnętrza. Gwizdnął na psa, leżącego pod aparatem rentgenowskim, skąd wystawał mu tylko koniuszek żółtego nosa.
- Ty świni - rzekł po chwili Legionista, patrząc na psa łykającego wyrostek.
- Tego będzie dla niego za dużo - powiedział Peters. - On to wyrzyga.
- Dlaczego? - Zainteresował się Mały.
- Masz ochotę założyć się, że tego nie zrobi?

- Kwarta twego sznapsa przeciw trzem moim kielbasom - rzucił wyzwanie Peters.

- Chętnie - odpowiedział pewien zwycięstwa Mały. - Tak ci zależy na pozbyciu się twoich kielbas? Założyli się, a gdy po upływie pięciu minut pies nie zwrócił flaczka, Mały zażądał kielbas. Dostał je. Natychmiast wbił w nie zęby i połknął ogromny kęs każdej, jakby obawiał się, że nie będzie mógł ich zachować.

- Cholerny pies - zaklął Peters i zaczął robić groźne gesty pod adresem leżącego w kącie żółtego kundla, który śledził głodnym wzrokiem obżeranie się Małego.

Nagle pies wstał. Jego ciałem wstrząsnęły gwałtowne spazmy... I oto wyrostek był z powrotem.

- Oddaj kielbasy! - Zawołał radośnie Peters i sięgnął po to, co z nich zostało. - Nie mógł znieść patrzenia na ciebie, jak się napychasz.

Na twarz Małego wypłynął ciemnoczerwony rumieniec. Plunął na psa.

- Ty żółty skurwielu! Ty sukinsynu! Wepchnę go na powrót do gardła.

Zanim Peters zdołał wyrwać mu ostatnią kielbasę. Mały odgryzł z niej wielki kawał. Chwycił psa za skórę na karku i wtarł mu nos w rzygowiny. Pies zaczął dziko walczyć, drapiąc podłogę pazurami.

Legionista zaklął i powiedział Małemu, by natychmiast przestał.

W napadzie wielkoduszności Peters pozwolił Małemu zachować jedną kielbasę. Powiedział mu w zaufaniu, że na Sali Numer 7 jest artylerzysta, który potrafi jeść wszelkiego rodzaju robactwo.

- Co??? Chciałbym to zobaczyć - rzekł Bauer.

- Pójdźmy tam i przyjrzyjmy się bliżej temu robaczywemu skurwielowi zaproponował Mały.

- Czy on potrafi jeść żaby? - Zapytałem. - Widziałem Rosjanina, który robił to za wódkę.

- Jakby to było coś niezwykłego - wtrącił Legionista. Nigdy nie pozwalał, by coś zrobiło na nim wrażenie. - Widziałem kogoś, łykającego szkło i rurki, aż dostał zapalenia gardła.

- Dobrze, że nie dupy - powiedział Mały. - Ale obejrzyjmy sobie tego artylerzystę i zrobmy mu egzamin. Ma zjeść dwie żaby i żyłkę, a jeśli tego nie robi, objemy mu ryja.

- Ja mam tylko nadzieję, że nie spotkasz pewnego dnia faceta, który obje ryja tobie ostrzegł mały Legionista.

- Taki facet nie istnieje - orzekł z pewnością siebie Mały.

W drodze do Sali 7 Mały znalazł żabę. Ku wielkiemu swemu niezadowoleniu znalazł tylko jedną. Znalazł też dżdżownicę.

- Ty świni - powiedział Legionista.

Okazało się, że artylerzysta jest niskim, krępy, muskularnym górnikiem z pięściami jak łopaty. Gęste brwi miał zrosnięte na swym niskim czole przyglupa. Jego małe, czarne oczka wpatrywały się w nas tępo. Gdy Porta zapytał go, czy potrafi zjeść żabę, uśmiechnął się z dumą.

- Mogę jeść wszystko, ale nie za nic.

- Dam ci raz w szczękę, jeśli tego nie zrobisz - powiedział Mały, machając w jego stronę jedną ze swych wielkich pięści.

- Lepiej się zamknij - odrzekł artylerzysta. - Potrafię rozłożyć każdego, ciebie też, ty wielki kłocu. Mały złączył dłonie z głośnym klepieniem.

- Czy słyszeliście? Czy słyszeliście, co ten wsioch powiedział? Na wszystko co dobre i święte zabiję go! Zmielę go na mięso do kielbasy i pozwolę, by ten żółty pies go zeżarł.

- Wolno ci spróbować - uśmiechnął się artylerzysta, całkiem nie poruszony podnieceniem Małego.

Mały chciał się na niego rzucić, ale Legionista go powstrzymał.

- Merde, daj mu spokój. Żadnej rozróby tutaj.

Mały rozejrzał się dokoła, chciwy bójki.

- Tego nie przepuszczę! Muszę go zabić, albo pęknię! Święta Dziewico, przysięgam, że muszę go

udusić.

- Zamknij się, Mały - zdecydował Legionista - Możesz się nim zająć, gdy go spotkasz na mieście.

Artylerzysta parsknął śmiechem i zwrócił się do swych towarzyszy.

- Opowiedzcie im o mnie chłopcy, i sprowadźcie tego kulawego woła na ziemię.

Wstał strzelec górski i podszedł do nas. W prawie niezrozumiałym dialekcie powiedział.

- Ten tam, Emil, potrafi gołymi rękami złamać nogę od stołu. Może jednym uderzeniem powalić krowę. - Machnął ręką i zwalił wymaginowaną krowę. - Robi to tak, a potem krowa jęczy przez sen. Potrafi podnieść z ziemi konia artyleryjskiego z siodeł i całą resztą.

Parsknawszy pogardliwie Mały podszedł do wielkiego, trójskrzydłowego okna. Chwycił za jego ramę i na próbę parę razy lekko pociągnął. A potem szarpnął z całej siły. W sali rozległy się głośne trzaski i odgłosy pękania, a Małego obsypał tynk i cegły. A potem stanął w miejscu z ramą wielkiego okna w rękach. Rozejrzał się triumfalnie, a po tym ją wypuścił. Rozbiła się o płyty chodnikowe w ogrodzie, gdzie rozległy się krzyki i przekleństwa.

Mieszkańcy sali głośno zaprotestowali.

Artylerzysta kiwnął głową i wstał z łóżka. Chwycił stojący po środku sali duży stół, oderwał jego nogę i złamał na krawędzi łóżka.

Mały wzruszył ramionami. Złapał zajęte przez pacjenta łóżko i podniósł je sobie nad głowę. Pacjent wrzeszczał przerażony. Następnie cisnął łóżko wraz ze wszystkim, co w nim było, przez całą salę. Swój lot zakończyło na łóżku artylerzysty, które zupełnie się rozleciało. Następnie podszedł do jedynej na sali umywalki, wyrwał ją ze ściany z taką siłą, że bolce latały mu koło uszu i cisnął nią w nadal uśmiechniętego artylerzystę.

- Chcemy mieć spokój na sali - zawołał ze swego łóżka jakiś Hauptfeldwebel.

Mały spojrzał na niego.

- Będziesz go miał, chłopcze! - Uderzył go dwa razy po głowie, aż tamten zemdłał.

- Teraz, gdy zrobiłeś bałagan na moim łóżku, proponuję abyś je uporządkował - rzekł artylerzysta, wskazując stos szczątków.

- Ty bezczelny leniuchu! - Zawył Mały. - Zrobię bałagan z twoich flaków i to do tego stopnia, że nawet matka będzie się ciebie wstydzić! - Podszedł warcząc do artylerzysty, stojącego pośrodku sali jakby ta sprawa w ogóle go nie dotyczyła.

Mały uderzył go tylko trzykrotnie. Artylerzysta zwalił się z nóg z ustami otwartymi w niemym zaskoczeniu. Nim udało mu się wstać, Mały kopnął go w twarz.

Legionista dał nam znak skinąwszy głową Chwyciliśmy Małego i wyciągnęliśmy go z sali.

- Pójdiesz za to do pudła - przepowiedział Legionista. - Zakapują cię. Jestem absolutnie pewien że zakapują. Najgorsze było okno i umywalka.

- Taaa, czemu? Całe mnóstwo okien i umywalek w dzisiejszym czasie wylatuje z dymem w powietrze, wiesz o tym - powiedział Mały. - Musiałem pokazać tym facetom, kim jestem. - Wyciągnął z kieszeni żabę i rzucił ją na biurko jednej z pielęgniarek.

Wściekła się.

- Zamknij się, ty oficerski materacu - zawołał spokojnie Mały, - albo spuszcze ci takie lanie, że pomyślisz, iż wali cię cała akademia wojskowa.

Jak przepowiedział Peters, bombowce wróciły Nakarmione z powietrza świeżym fosforem jeszcze dymiące ruiny znów stanęły w płomieniach.

Nowe ofiary. Bose dzieci niepewnym krokiem schodziły po schodach, by w wilgotnych piwnicach umierać jak szczury.

Gdzieś w pobliżu portu, na ukos od Admiral strasse, wlokła się grupa więźniów w poszukiwaniu

schronienia w magazynie. Strażnicy z SS robili okropny hałas i walili ich kolbami karabinów oraz pejcjami, by ich zmusić do szybszego kroku.

Nawet nie usłyszeli wycia bomby, która trafiła prosto w nich. To zaś, co z nich pozostało, było tylko kałużą krwawej, drgającej sieczki, jak zwykle wraz z przenikliwym smrodem krwi, saletry i spalonego mięsa.

Beznoi esesman pełził bełkocząc w stronę więźnia, który miał rozdarty brzuch. Obaj zmarli trzymając się w ramionach. I obaj zostali spaleni na popiół miotaczami ognia saperów.

Wzdłuż Mönckebergstrasse szukała łupu jakaś postać, pochylająca się zawsze gdy napotkała trupa. Błyskał nóż, na ziemię padał palec, a w obszernej kieszeni zniknął pierścionek. Ciemna, widmowa postać cichaczem zbliżała się do następnego trupa. Czwartego musiała odwrócić i wtedy wrzasnęła. Uderzenie osmaloną deską, jęk. Zwinne palce przeszukały drżące ciało. Łupem był portfel, paszport, dwa pierścionki i portmonetka.

Wtedy dalej, do następnego. Ten człowiek musiał wykorzystać panikę i przerażenie. Na Hansaplatz, na Kaiser Wilhelm Strasse, wzdłuż Elstery, wszędzie ten sam widok.

Na rogu Alterwall i Rödingsmarkt kobieta wydała przenikliwy wrzask szalonego przerażenia. Rzuciła się na nią mała, podobna do kota postać. Stalowe pazury zacisnęły się na jej szyi, wrzask ucichł. Kopał ją w kolana, aż upadła. Palcami gorączkowo chwycił ją pod ciasno dopasowaną spódnicą i podarł cienką bieliznę na strzępy. Kobieta wściekle kopała, ale jej nogi były bezsilne wobec jego mocnego, zręcznego ciała.

W jej uszach zabrzmiały jego uspokajające słowa, zaś jego drżący język oblizywał jej twarz.

- Proszę, pozwól mi to zrobić, proszę! Co w tym złego? Nic ci się nie stanie. Czemu mi nie dajesz. - Głos miał niemal czuły. - Gdy to się skończy pozwolę ci uciec!

Kobieta zaryzykowała. Lepsze to, niż śmierć. Łkała, jęczała i kwiliła z przerażenia. Ponad nim zaświecił pęk flar jak świąteczna choinka. Od strony Kanału Elstery nadleciał odgłos bulgotu wody. Wskazujące cel flary stały wysoko w powietrzu, jarząc się jaskrawą i oślepiającą bielą. Kurz i płomienie wzbiły się pod niebo. Ziemia drżała tak samo jak kobieta pod gwałcicielem.

Kobieta była w drodze do schronu, gdy napotkała chorego szakala, czającego się w nocy.

- Nie krzycz - pomyślała. - Pozwól mu zrobić wszystko, czego chce, albo on cię zabije.

Spadła bomba. Nie zauważyli jej, nie poczuł obsypującej ich ziemi. Starannie, łagodnie ściągnął jej długą pończochę, przesunął po niej ustami, pocałował ją, ukrył w niej twarz. Oddychał krótko i szybko. W blasku otaczających ich pożarów oczy szklisto mu zaślniły. Uderzył ją w twarz, chwycił ręką za włosy, drugą szybko okręcił pończochę wokół jej szyi i zacisnął. Bełkotała, kopała i wymierzała dzikie uderzenia.

Mężczyzna zaśmiał się.

Wargi jej zsiniały, oczy wyszły z orbit. Otworzyła usta. Opadła z sił, zeszywniała. Była martwa. Udużona własną pończochą.

Wsadził jej majteczki do swej kieszeni.

Znów był spokojny. Popatrzył na zbezczeszczonego trupa i uśmiechnął się. Padł na kolana i złożył dłonie.

- O Panie, o Boże, święty władco. Jestem twoim biczem. Diablica została ukarana tak, jak mi rozkazałeś.

Potem wstał, schylił się i na jej czole wyciął krzyż. Roześmiał się głośno i znikł wśród osmalonych belek i gruzu.

W chwilę później zamordowaną znalazły dwie kobiety. Wybuchnęły krzykiem. Ogarnięte paniką uciekły tak szybko, jak tylko mogły.

Była to piąta kobieta, zamordowana w krótkim czasie.

Sprawa przeszła z Wydziału Śledczego do Gestapo.

Kriminalrat Paul Bielert przejął śledztwo. „Przystojny Paul”, protektor Ciotki Dory.

W czarnym płaszczu i białych rękawiczkach stał w milczeniu, patrząc na trupa. Długa, srebrna cygarniczka zwisała mu z kącika ust. Odrobina popiołu przylgnęła mu do rękawa. Oczyszczył go starannie, a potem podniósł do nosa uperfumowaną chusteczkę.

Jego ludzie biegali naokoło, poszczekując jak foksteriery. Komenderowali, mierzyli i robili zdjęcia.

Podniósł się lekarz. Stara, byle jaka postać. Typowy lekarz policyjny.

- Zanim ją udusił, została zgwałcona. Cięcia zostały wykonane już po śmierci.

- Zamiast opowiadać te wszystkie bzdury powiedz mi kto to robi? Muszę się zastanowić, czy nie wyszłaby ci na korzyść wycieczka na Front Wschodni.

Odwrócił się do lekarza plecami i powoli poszedł wzdłuż Neuer Wall, gdzie czekał jego Mercedes.

Nic nie widział, niczego nie słyszał, jego mózg pracował pod wysokim ciśnieniem. W służbie Policji Bezpieczeństwa ten mózg opracował najbardziej szatańskie metody tortur. Bardzo dawno temu ten mózg pomógł zaprowadzić na szafot Edgar Andre, wiele lat przed wojną już był używany do czegoś rozsądnego.

Na czwartym piętrze gmachu Komendy Policji przy Karl Muck Platz liczono straty w ludziach. Nigdy nie udało się określić dokładnie ilu było Zabitych, a ilu zaginionych, ale parę setek mniej czy więcej było doprawdy bez znaczenia. Spisy zestawiała stara, niechlujna maszynistka. Po mnóstwie gadania doszli do liczby 5,418 zabitych i tyluż rannych. Dodatek stanowiła wielka liczba zaginionych. Wielu zostało kompletnie spopielonych miotaczami ognia, których saperzy używali do operacji oczyszczających.

Karty przekreślano i odkładano do kartotek Stos opieczętowanych świadectw zgonu z faksymyłowymi pieczętkami i wszystko było przygotowane na następny nalot.

Cywilizowane społeczeństwo musi przestrzegać porządku.

„Przystojny Paul” siedział z paroma kolegami w pokoju 367 na trzecim piętrze. Studiował pięć zdjęć zamordowanych kobiet. Najmłodsza miała 11 lat, najstarsza 32. Wszystkie miały na czołach krwawe krzyże. Każda została uduszona pończochą i w każdym przypadku morderca zabrał ze sobą majteczki.

- Ten człowiek jest żołnierzem - powiedział nagle Paul Bielert, wstając z miejsca.

Jego trzej koledzy spojrzeli na niego zaskoczeni. Esesman pomógł mu włożyć płaszcz. Eleganckim ruchem nałożył swe białe rękawiczki. Ze sterzącą z ust długą, srebrną cygarniczką opuścił Komendę Policji.

Godzinami chodził po pełnych dymu ulicach, trzymając przy ustach uperfumowaną chusteczkę. Od czasu do czasu jakiś przechodzień ostrożnie rzucił na niego okiem. Inni pokornie i służalczo pozdrawiali. Wielkiego człowieka z Karl Muck Platz.

Odwiedził Ciotkę Dorę, pogadał z jej dziewczynami i wrzeszczał na alfonsa Ewalda, aż biedak poczuł zawrót głowy. Poszedł spacerem po Neuer Wall, zatrzymując się w wielu miejscach.

Pod wieczór wszedł do luksusowej restauracji przy Baumwall, znajdującej się parę pięter pod ziemią. Z zewnątrz najbardziej przypominała starą, zrujnowaną piwnicę lub skład, ale gdy odwiedzający zszedł dwiema kondygnacjami stromych, betonowych schodów, czekała go niespodzianka. Tu otwierał się nowy świat. Podziemne sale z automatyczną wentylacją i instalacją klimatyzacyjną. Na stołach białe obrusy i najwspanialsza porcelana oraz srebrne sztuce w małych, przytulnych pokoikach i intymnych wnękach. Barwne lampy na stołach podkreślały urok miejsca. Były wyściełane fotele klubowe i grube dywany na podłogach i w korytarzach. Kelnerzy we frakach wraz z pomocnikami w błyszczących, białych marynarkach z czerwonymi wyłogami, obsługiwali

wesołych, eleganckich gości.

W takich luksusowych, podziemnych restauracjach nie było menu ani karty win. Wszystko, co gość miał do roboty, to wyrazić życzenie. A ceny były do tego dostosowane.

Prawie nie ubrana pani przyjęła płaszcz i kapelusz „Przystojnego Paula”. Nonszalancko opadł na fotel pośrodku pokoju. Nawet nie zadał sobie trudu, by spojrzeć na kłaniającego się kelnera, gdy zamawiał kuropatwę z pieczarkami i pommes fritti. Jako wino zamówił butelkę Oppenheimera. Kelner przyjął jego zamówienie z kamienną twarzą.

Paul Bielert rozparł się na fotelu, by przyjrzeć się licznym gościom. Elegancyści oficerowie wojsk w zielonych i szarych mundurach. Oficerowie Marynarki Wojennej w granatowych ze złotymi galonami. Lotnicy w szaroniebieskich paradnych mundurach z jaskrawo białymi gorsami. Czarno ubrani oficerowie SS z oślepiąco srebrnymi odznakami na kołnierzach i ramionach. Partyjni oficjele w pretensjonalnych, złotawych mundurach, wytapetowanych taką masą złota i srebra, że feldmarszałek cesarza Franciszka Józefa by im pozazdrościł. Panie w drogich jedwabiach i futrach, z minami bez najmniejszych oznak niepokoju, wesoło śmiejące się, ze swymi partnerami.

Jakiś admirał siedział z dwiema bardzo wesołymi paniami. Krzyż Żelazny z mieczami i dębowym wieńcem zwisał mu z szyi, a prócz tego Pour le A rite z Pierwszej Wojny Światowej.

Paul Bielert parsknął pogardliwie, gdy admirał rzucił mu protekcyjne spojrzenie. Admirał, drżałby do szpiku kości, gdyby potrafił odczytać myśli Standartenführera SS Paula Bielerta. - Ty poczekaj, ty fircyku! Gdy wreszcie odniesiemy zwycięstwo, ta blacha wokół twojej szyi zmieni się w ostrze w chwili, gdy twoja głupia głowa będzie spadać do koszyka.

„Przystojny Paul” nienawidził wyższych sfer, oficerów i junkrów pruskich. To jasno okazał po próbie zabójstwa z 20 lipca, gdy jako Gruppenführer SS przeszedł pod bezpośrednie dowództwo szefa Gestapo Kaltenbrunnera na Prinz Albrecht Strasse.

W milczeniu jadł swoją kuropatwę. Gryzł z zapalem jej zwłoki, nic sobie nie robiąc z tego, że inni goście spoglądali na niego z protekcyjnymi uśmiechami. Kości ptaka trzaskały w jego mocnych zębach. Od czasu do czasu wypluwał odłamek, otwierał usta i dłubał w zębach widelcem. Wymknęło mu się też ciche czknięcie.

Dzientelmen w cywilu, przechodzący obok w towarzystwie kobiety, pozdrowił go uprzejmie, prawie pokornie. Paul Bielert kiwnął niedbale głową, nie wyjmując z ust trzymanej oburącz nogi kuropatwy. Gdy odeszli na pewną odległość, dzientelmen szepnął dyskretnie swej partnerce.

- Wysokiej rangi oficer Gestapo! Bóg jeden wie, co go tutaj sprowadziło!

Wszedł bonza partyjny w mundurze sraczkowato-żółtego koloru. Szły za nim trzy panie i eskortujący je mężczyźni. Bełkotliwie zamówił koniak i klepnął jedną z pań w jej kręcący się tyłek. Jej partner uniósł brwi w niezadowoleniu, ale gdy zdał sobie sprawę, kto wymierzył klapsa, uśmiechnął się i skinął głową.

Człowiek z Partii wykonał ten sam manewr wobec pani, tańczącej z Majorem Luftwaffe. Major zaprotestował i wygłosił kulawe groźby. Partyjniak wyszczerzył zęby i spojrzał na Krzyż za Służbę, samotnie błyszczący na jego szaroniebieskiej piersi.

- Wygląda, że szukasz bohaterskiej śmierci - powiedział. Okrągła twarz oficera Luftwaffe mocno się zaczerwieniła. Jego pani uśmiechnęła się i spojrzała na partyjniaka.

- Czy jest jeszcze coś? - Zapytał prowokacyjnie.

Oficer Luftwaffe zrobił się purpurowy, a jego usta otwierały się i zamykały jak u wyrzuconej na brzeg ryby. Wyprostował się i słabym głosem odezwał się do partyjniaka.

- Jeszcze o mnie usłyszysz, Herr...

- A ty o mnie - odwzajemnił się funkcjonariusz partyjny.

Zaprowadził jakieś panie do baru, gdzie na wysokim stołku usiadł jak król, patrząc na salę.

„Przystojny Paul” otarł usta serwetką i zamówił mokkę.

Z daleka doleciał wyjący głos syren alarmowych. Ciężkie, stalowe drzwi z pełną hermetyzacją zostały zamknięte. Odcięto się od stojącego w ogniu świata. Wybuchy bomb odczuwało się tylko jako lekkie drzenie.

Kelnerzy chodzili po lokalu, obsługując gości jak zawsze. Bez pośpiechu i bez lęku. Spokojnie i rozważnie. Nie było litości dla ludzi tam na górze na ulicach. Ludzi, tańczących z wrzaskami grozy na płonącym asfalcie. Ludzi, wijących się we własnych bebechach. Dzieci ginących w przeraźliwym świetle fosforu.

Doborowa orkiestra grała sentymentalną muzykę taneczną. Tu można było tańczyć z błogosławieństwem Partii. Goście byli śmietanką wyższych sfer Hamburga. Na nagich szyjach kobiet błyszczały klejnoty. Pierścionki, warte sum pisanych z wieloma zerami, połyskiwały na wypielęgnowanych palcach.

Wysoko w górze, na otaczających ulicach, czaiły się widma nawiedzające miasto podczas nocnych nalotów, w nadziei, że elegancką restaurację dotknie bezpośrednio trafienie. W panice, która wówczas nastąpi, dla rabusi trupów przyjdzie dobry czas. Wśród nich byli tacy, którzy nosili swastyki w klapach marynarek.

Któraś z pań wskazała ludzi śmiejących się, pijących i tańczących i szepnęła do swego partnera.

- Czy oni są zupełnie bez serca? Czy nie wiedzą, że cały świat obraca się w ruinę, palony na popiół bombami zapalającymi?

Jej partner, podstarzały oficer SS, włożył do ust soczysty kawałek mięsa i łyknął czerwonego wina.

- Dziś mózg jest ważniejszy, niż serce, moja droga. Ludzie bez serca mają większą szansę przeżycia.

Piękna pani w jasnobłękitnej sukni i głęboko wyciętych pantoflach na wysokich obcasach, przeszła wolno środkiem sali. Zatrzymała się przy stoliku Paula Bielerta i uśmiechnęła się, rozpoznając go.

- Cześć, Paul. Ty tutaj?

Patrząc zezem, z długą, srebrną cygarniczką, wciśniętą między wargi, skinął jej głową i wskazał fotel naprzeciw swojego.

- Siadaj proszę, Elsebet. Siadaj i porozmawiajmy.

Elsebet usiadła. Założyła nogę na nogę i podciągnęła suknię, ukazując parę pięknych, kształtnych nóg w cienkich pończochach.

- To będzie prywatnie, czy oficjalnie?

„Przystojny Paul” łyknął z kieliszka i zaciął wargi. Jego prawdziwe oko błysnęło złowieszczo.

- Zawsze jestem oficjalny. Mamy wojnę, Elsebet.

Zaśmiała się sarkastycznie.

- Paul, zdaję sobie z tego sprawę. Nawet, gdy straciłam zaledwie męża i trzech braci. Zapaliła papierosa. - Oraz swojego - dodała z namysłem. - Jedyne go syna. Czy zdajesz sobie sprawę, co to oznacza, Paul?

- To nie znaczy nic, Elsebet, zupełnie nic. Jediną rzeczą, która się liczy jest to, że na koniec zwycięstwo będzie należało do Niemiec. Zginąć za Führera powinno być najgorętszym pragnieniem każdego niemieckiego mężczyzny i kobiety. Nie każdy może się szcycić pięcioma poległymi bohaterami.

Długą chwilę wpatrywała się w jego martwe oko.

- Czy powiedziałaś bohaterami?

- Tak, bohaterami, którzy zginęli za Führera. - Mówiąc „Führer” wyprostował się. Roześmiała się z przymusem.

- Mój mały chłopczyk Fritz miał siedem lat. Spadająca belka złamała mu kręgosłup. Powinieneś być słyszeć jak płacze.

- Nie ma zwycięstwa bez łez, Elsebet. Takie prawo życia. Aby żyć, musimy cierpieć. Też führer ma swoje ciężkie chwile.

Obracała w palcach kółko do serwety. Kelner przyniósł kieliszek wina. Wypiła go trochę.

Kelner, przyniósłszy mokkę, pochylił się poufale nad Paulem Bielertem.

- Przez ostatnie dwadzieścia minut było mnóstwo hałasu na Bermbeck i thenburg. Mówi się, że tym razem było to ciężkie bombardowanie dywanowe.

Paul Bielert uniósł brew nad sztucznym okiem.

- Czemu mi to mówisz, chłopcze? Czy widziałeś to na własne oczy?

Kelner drgnął.

- Nie, mein Herr. Słyszałem o tym. Wszyscy o tym mówią.

Paul Bielert wziął mały łyk mokki.

- Plotki i wszystko - oświadczył groźnie. - Szerzenie plotek jest zbrodnią, karaną przez Trybunał Ludowy. Czy to rozumiesz? A nawiasem mówiąc, czemu nie jesteś w mundurze? Z pewnością wyglądasz tak, jakbyś mógł przebiec tor przeszkód z kaemem wzór 42 na ramieniu!

Kelner zbladł. Wypielęgowany palec przesunął między szyją i kołnierzykiem. Wyglądał, jakby miał się za chwilę udusić. W końcu udało mu się wyjąkać.

- Zostałem odrzucony z powodu choroby serca, Mein Herr.

- Choroby serca! - Zadrwił Paul Bielert i roześmiał się głośno. - A cóż to jest choroba serca? Dzisiaj nie znaczy nic. Strzela się ręką, a celuje okiem. Czy tak nie jest, przyjacielu? Nie ma to nic wspólnego z sercem i w ogóle nie będziesz musiał patrzeć na cel. Pojawi się z własnej woli i prosto przed tobą. Wyślemy ciebie i twoje chore serce prosto do okopów, a gdy cię tam wsadzimy, będziesz miał tylko jedno do zrobienia: strzelać ze wszystkich sił. Jesteśmy wielką potęgą i wiele robimy dla naszej piechoty. W większości innych miejsc piechota musi truchtać na swych platfusach, ale u nas jest przywożona prosto na pozycję. A pomimo tego taki symulujący Fritz jak ty ośmiela się mówić o słabym sercu! - Paul wsadził długą cygarniczkę do ust i syknął złośliwie.

- Dopóki nie nosisz swego serca na talerzu, pokrojonego na cztery kawałki, nie uznaję czegoś takiego, jak słabe serce. Czy wiesz czym jesteś? Jesteś sabotażystą obrony twego kraju, mój człowieku Obrzydliwym sabotażystą, elementem antyspołecznym!

Kelner rzucił błagalne spojrzenie na siedzącego przy barze funkcjonariusza partyjnego. Ich oczy spotkały się.

Partyjniak wstał, poprawił kurtkę mundurową i potoczył się, wysoki i potężny, do stolika Paula Bielerta. Kelner stał tam, oblany zimnym potem.

Co tu się dzieje? - Zapytał funkcjonariusz, przyjacielsko klepnąwszy kelnera w ramię i protekcjonalnie uśmiechając się do Paula Bielerta.

„Przystojny Paul”, siedząc rozparty w wygodnym fotelu klubowym, założył nogę na nogę, pilnując, by nie zgnieść kantów swych spodni.

- Ten dżentelmen grozi mi Trybunałem Ludowym oraz frontem - wyszeptał kelner, nadal przerażonym głosem.

- No, no - mruknął partyjniak, wyciągając okrągłą twarz z pożądanymi ustami w stronę Pana Bielerta, który obojętnie pykał z długiej cygarniczki. - Czy nie zdaje pan sobie sprawy, że ten człowiek jest moim przyjacielem? - Jak nauczyciel szkolny podniósł palec gestem upomnienia. - Jeśli ktokolwiek pojedzie na Wschód, obawiam się, że będzie to pan. Pokaż swe papiery!

Paul Bielert uśmiechnął się jadowniczo. Niebieskie, wodniste zdrowe oko błysnęło złowieszczo.

Wyglądał jak gad, hipnotyzujący swą ofiarę nim ją poźre. Powoli, niezmiernie powoli włożył dłoń do kieszeni, wyciągnął legitymację i trzymając dwoma palcami podsunął ją pod nos funkcjonariusza partyjnego, który zareagował zdumieniem. Stuknął obcasami ujrzawszy czerwoną legitymację Gestapo i przeczytał stopień służbowy: Standartenführer SS i Kriminalrat w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy.

Na chwilę spojrzenie Paula Bielerta przesunęło się z partyjniaka na kelnera.

- Panowie, jutro bardzo szczegółowo omówimy wasze wschodnie marszruty, rano o godzinie 10.15 w Komendzie przy Karl Muck Platz, pokój 338. - Odesłał ich protekcyjnym gestem i kontynuował rozmowę z Elsebet.

Kelner i funkcjonariusz usłyszeli, jak mówił do Elsebet:

- Tłukę bezwzględnie w te bezmózgie, żalodne czaszki, gdziekolwiek je napotkam.

- A czy sam byłeś na froncie? - Zapytała cicho.

- Nie, nie na takim froncie, o jakim myślisz, na innym - twardym głosem odpowiedział Bielert. - Adolf Hitler - wyraźnie wyprostował się, wymawiając to imię - może używać pewnych ludzi właśnie tu. Ludzi, którzy zajmują się tym, aby wszystko poruszało się gładko, jak dobrze naoliwiony mechanizm. Ludzi bezlitośnie wyszukujących zdrajców i elementy antyspołeczne i którzy baczą, by plaga zarazków defetyzmu nie zniszczyła bohaterskiego narodu niemieckiego. Nie wyobrażaj sobie, że nasza praca to życie usłane różami, moja droga. Musimy mieć twarde serca. Musimy być tak twardzi, jak stal Kruppa! Nie znać głupiej litości ani dziecinnej miękkości. Wierz mi, ja nawet nie wiem, co to jest serce!

Spojrzała na niego.

- Z pewnością potrafię w to uwierzyć.

Funkcjonariusz partyjny zrzędził.

- A więc wepchnąłeś mnie po samą szyję w śmierdzące gówno. Facetów takich jak ten trzeba omijać, a co ty robisz, głupia świnię? Wchodzisz w dyskusję! Nawet taki osioł jak ty powinien potrafić dostrzec kim on jest. Gestapo można wywęszyć o milę!

- Ale, Peter, ty sam zacząłeś się z nim kłócić odparł łagodnie Theo.

- Zamknij się! - Wściekł się funkcjonariusz. Policji, groził nieszczęsnemu kelnerowi zaciśniętą pięścią.

- Nie rób sobie złudzeń. Taką ma się zapłatę za wyciągnięcie takiego typu jak ty z rynsztoka. Ale teraz jesteś... - Wymownym gestem zwrócił kciuk w dół.

- Nim minie tydzień, będziesz w Putlos albo Seinelager na szkoleniu rekrutów piechoty, a tam możesz sobie wsadzić swoje słabe serce w dupę. Więc nie ośmielaj się mnie pozdrawiać. Nie znam cię. Nigdy cię nie znałem i nigdy nie zechcę poznać!

- Zawołał zarządzającego. Poszeptali między sobą. Obaj zerknęli na stojącego przy bufecie Theo Hubera.

Zarządzający ochoczo kiwnął głową.

- Z przyjemnością, Herr Ortsgruppenführer. Oczywiście Herr Ortsgruppenführer.

Były przyjaciel Theo Hubera zatarł z przyjemnością ręce. Otwarcie pokazał palcem kelnera, który gorączkowo polerował talerz.

Kierownik skinął głową i rzucił się na Huberta. Zrobił swoją „mocną” minę, jak zawsze, gdy szykowało się coś szczególnego. Wysuwał wtedy swoją dolną szczękę, wciągał policzki i marszczył brwi w dziki wałek sierści. Nie posiadał się z radości ujrzawszy się po raz pierwszy w tej postaci w lustrze, kiedy przekonał się, jak bardzo wygląda na bestię i supermana, zakładając taką maskę. Zatarł swe białe jak mleko, miękkie dłonie i naskoczył na Theo Hubera, oblewając go potokiem

obraźliwych słów.

W dziesięć minut później kelner pakował swe rzeczy i opuszczał raj luksusu wąskimi, żelaznymi schodkami dla służby. Stalowe drzwi zatrzasnęły się za nim z pogardliwym hukiem.

Uderzyło go jaskrawe światło. Hamburg płonął.

Położył się za jakimiś gruzami. Płakał. Łkał z litości nad sobą samym. Bolało go serce. Na myśl o cudownym świecie, który od tej pory będzie dla niego zamknięty, łzy spływały mu po twarzy.

W sześć tygodni później strzelec pancerny Theo Huber siedział w rosyjskiej chłopskiej chacie, paląc osobiście zwiniętego machorkowego papierosa, rozmawiając znużony z trzema rosyjskimi wieśniakami i kumplami.

Pili wódkę i grali w karty. Najmłodszy z nich, chłopiec siedemnastoletni, żartował z wiejską dziewczyną. Klepali się po udach i śmiali się ogłuszająco. Żaden ze strzelców pancernych, którzy dopiero poprzedniego dnia przybyli tu jako załoga uzupełniająca, nie był jeszcze na froncie.

Nadleciał coraz głośniejszy dźwięk, długi i warczący jak wycie zranionego dzikiego zwierza, rozlegając się wśród nocy.

W chacie wszyscy zeszywnieli i spojrzeli w stronę okna. Małego, brudnego okna wysoko na ścianie. A potem dobiegł ich odgłos wystrzału, stłumiony grom.

- Predsmiertnyj czas! - Szepnęła mała, rosyjska dziewczyna, która zabawiała się z siedemnastoletnim żołnierzem. - Artyleryjska pieśń śmierci.

- Boże - wykrzyknął jeden z żołnierzy i w tej samej chwili nastąpiło uderzenie. Nadleciał pocisk kalibru 500 mm, mknąc przed siebie jak huragan, rozorując drogę, obalając drzewa owocowe, zmiatając wielką studnię i zdmuchując oborę z bydłem.

Ale ci w chacie nic z tego nie widzieli. Słyszeli tylko narastający ryk, widzieli, jak zapada się strop a ściany spadają na nich. Trujące dymy sparaliżowały im oddech.

I wszystko się skończyło.

Siedemnastoletni żołnierz został ciśnięty w powietrze i wbity jak na pal na ostro zakończone, pół złamane drzewo. Kilka razy obróciło go jak śmigło samolotowe, on zaś machał rękami i nogami, wydając długi, przenikliwy wrzask. Potem umarł.

Były kelner Theo Huber leżał plecami na betonie patrząc w ciemność tępyimi, prawie szklistymi oczami. Ciężka rosyjska artyleria, rozwalająca na drobne kawałki niemieckie linie zaopatrzeniowe z chirurgiczną precyzją, zagłuszyła jego wrzaski.

Przesunął obiema rękami po brzuchu. Tam gdzie miał miednicę, teraz poczuł głęboką jamę. Papkowatą, galaretowatą jamę, w którą wbił się bezkształtny kawałek stali wielkości spodka.

Znów wydał długi, jękliwy wrzask. Na jego rozgorączkowane palce trysnęła krew.

Ucichł. Wydawało się, że ból na chwilę ustąpił. Przycisnął do siebie na pół oderwaną nogę i złożył zmęczoną głowę na belce. Leżał, jakby spał.

- Wykrwawiam się na śmierć - przemknęła mu myśl.

W naiwnej nadziei zatamowania krwi wcisnął dłonie głęboko w ziejącą ranę.

Znowu wrzasnął. Dom się zapadł do środka. Huber rozpaczliwie walczył, by nie zostać pogrzebany przez gruz.

Jego noga odpadła. Pływała w kałuży krzepnącej krwi i strzępów ciała.

Monotonnie łkał i jęczał. Szarpnął nim gwałtowny dreszcz. Ręce mu ocięły. Powoli opuszczała go świadomość.

Zmarł prawie obłąkany z bólu.

W Hamburgu pod Baumwall tańczono nadal.

Czasami jakiś gość pytał kierownika.

- Powiedz mi, czy nie było tu kelnera imieniem Theo?

Kierownik przybierał minę pełną namysłu.

- Theo? Nie, nie przypominam sobie kogoś takiego.

I tak Theo Huber został zapomniany. Ciśnięty na kupę gnoju na wschód od rzeki Memel. Trup, który kiedyś chorował na serce.

Nikt nie tęsknił za Theo Huberem.

Pojawił się nowy Theo. Zajął się tym „bohaterski pies gończy”.

Grasował w wielu różnych przebraniach, odbył podróże przez wiele szpitali, batalionów strażniczych, jednostek policji, fabryk i biur. W jego sieć wpadali inwalidzi, starcy i młodzi chłopcy.

- Naprzód, towarzysze! - Śpiewali w obozach szkoleniowych, maszerując. Sadystyczni, uśmiechnięci podoficerowie zawsze kazali im śpiewać: Es ist so schön, Soldat zu sein! - „Jakże pięknie być żołnierzem!”

- „Niech żyją Wielkie Niemcy! Niech żyje Adolf Hitler! Niech żyje bohaterska śmierć!”

„Przystojny Paul” spacerował nieustannie. Wszędzie można go było spotkać. Pewnego dnia siedział w 32. Komisariacie Policji pijąc koniak z kierownikiem wydziału kryminalnego komisariatu i wyglądając na Reeperbahn. Gdy posiedzieli tak przez chwilę znudzeni, zażądali rewizji osobistej dwóch kobiet. Zabrało im to kilka godzin.

Opuszczając komisariat Paul Bielert był rozgrzany i lekko zmęczony. „Zrewidowane” kobiety zostały zwolnione. Wszystko ma swoją cenę.

W trzy dni później popełniono nowe morderstwo seksualne, tym razem na Hans Hover Strasse o parę metrów od Reeperbahn. Niezbyt daleko od szpitala.

Kriminalrat Paul Bielert wściekł się. Wezwał tuzin specjalistów i spuścił ich ze smyczy jak sforę psów gończych. W uszach im brzmiały najdziksze groźby.

- Nie pokazujcie się, wy bezgłowe przygłupy - ryknął - póki nie będziecie potrafili pokazać mi jakichś rezultatów! Macie pięć dni i ani sekundy więcej! Każdy z was, który do tego czasu nie zamelduje o sukcesie, odbędzie długą, ale szybką podróż do Lehrdivision SS, na środkowym odcinku Frontu Wschodniego, gdzie będzie mógł odwalić kitę w bagnie zgodnie z regulaminem wojskowym. Dwójkami wysunęli się z wielkiego, szarego budynku przy Karl Muck Platz.

Szóstą ofiarą była pielęgniarka z naszego szpitala. Młoda dziewczyna, dwadzieścia jeden lat. Została zgwałcona w dokładnie taki sam sposób, jak inne.

Winnymi jego zbrodni była jego matka, pastor, on nazistowska hipokryzja.

Mordował, by czynić dobro. Wierzył, że służy Bogu i kościołowi.

Tysiące modlitw wraz z jego samolubną matką stały się czarną zasłoną, odcinającą światło.

Wszystko, co powiedział mu nawiedzony teo wryło mu się w mózg i zatrulo umysł.

Gdy sprawy zaczęły mieć się źle, nikt nie chciał zrozumieć, jak tylu innych zostało zabity podczas bezlitosnego polowania policyjnego, w imię samego polowania.

Mały zabijał. Legionista zabijał. Zabijaliśmy wszyscy. Ale robiliśmy to jako mordercy z upoważnień Państwa. Z moralnego punktu widzenia mała, ale pomimo tego bardzo wielka różnica - choć może nie a tych, którzy byli zabijani.

- Nigdy nikogo nie zabiłem - powiedział kiedyś pewien słynny człowiek, - ale wiele nekrologów sprawia mi wielką radość.

ROZDZIAŁ X Morderca seksualny

To Heinz Bauer znalazł majteccki.

Najpierw śmialiśmy się i wymieniali ordynarne żarty. Ale wtedy Paul Stein podsunął nam pod nos gazetę. Czytaliśmy w zdumieniu. Tak, jak w przypadku innych ofiar, majteczki zamordowanych kobiet zostały zrabowane przez nieznanego, brutalnego mordercę.

- Niech mnie diabli! - Zawołał Bauer i zagapił się niedowierzająco na plecak, w którym je znalazł. Policzyliśmy je gorączkowo. Sześć par! Znow policzyliśmy. Zgadza się, sześć.

Mały Legionista gwizdnął przeciągle.

- Saperlotte! Sześć par majteczek! I sześć trupów. Pasuje, jak wszyscy diabli!

Mały wyciągnął szyję i zajrzał ciekawie do dużego, szarego plecaka obok łóżka. Widzieliśmy tam kilka paczek żywnych sucharów i trochę bielizny Luftwaffe, porządnie złożonej orłem do góry, jak nakazywał regulamin.

- W jaki sposób je znalazłeś? - Zapytał Mały, trącąc plecak nogą.

- Po kiego diabła musiałem wetknąć nos do jego plecaka? Szukałem tylko czegoś do pisania i wtedy dotknąłem czegoś gładkiego ze znajomym zapachem.

- Brudna świnia - oświadczył Mały, pozwalając sobie na gniew. - Nie, prawda jest taka, że te dupokryjce mogłeś zwęszyć. Dlatego właśnie sięgnąłeś do plecaka George'a.

Na sali była tylko nasza piątka. Wszyscy inni byli wyznaczeni do karnych robót, lub byli na gimnastyce.

- Chryste, co mamy robić? - Zapytał Bauer, rozglądając się rozpaczliwie.

- Chcesz powiedzieć, co ty masz zrobić - odrzekł Stein. - Ty znalazłeś kabury, nie my. My nie wtykamy nosów do spraw innych facetów.

- Ty zgniły trupie - wybuchnął ze złością Bauer - Chcesz więc, abym ja jeden nad tym się pocił Oczywiście, ty nigdy nie wtykasz nosa do cudzych manatek, prawda, Judaszu? Nie zdziwiłbym się gdyby ci nagle z dupy wyrosły białe skrzydła! - Pochylił się naprzód i spojrzał groźnie na Steina. Stein skrzywił się i opuścił ramiona, jakby oczekiwał kłopotów.

Bauer uśmiechnął się jadowniczo i oskarżająco wyciągnął w jego stronę brudny palec.

- Kto to jest ten facet, który nie grzebie w rzeczach innego faceta, ty szczurze? Czy to nie ty podprowadziłeś Małemu sznapsa, wtedy, gdy poszliśmy polować na dziwki? Co masz teraz do powiedzenia, ty łajdaku, hę?

Mały był oburzony. Podskoczył do góry i Zawył.

- Święty Mojżeszu, Abrahamie i Jakubie, czy to nie jest najpodlejsza banda, z jaką kiedykolwiek byłem! - Chwycił Steina za pierś i wrzasnął z pianą na ustach.

- Ty bagienna wszo, czy popełniłeś świętokradztwo przeciw Małemu? Stein wydawał jakieś na pół zduszone, nieartykułowane dźwięki. - Zaprzeczasz? - Krzyczał Mały, wymierzając mu uderzenie z bekhendu. - Więc, chcesz mnie zmusić do użycia siły? Mnie, który nienawidzi używania siły?

Stein zaprzeczył kręcąc głową. Mały plunął na niego i oświadczył łagodnie, ale groźnie.

- Nadużyłeś mego zaufania. Rozczarowałeś mnie straszliwie. Głęboko zraniłeś moje uczucia.

Zwisając bezwładnie z rąk Małego, nie dotykając stopami ziemi, Stein miał minę człowieka całkowicie złamanego.

- Nie powiem ani słowa przeciw alfonsom i facetom mordującym kurwy - krzyknął oburzony Mały, - ale być razem z kimś okradającym swych kolegów, tfu! - Potrząsał Steinem, któremu głowa latała naprzód i w tył. Z przekleństwem wypuścił go z uścisku i plunął na niego. - Za karę masz dla mnie ukraść trzy butelki sznapsa tak szybko, jak tylko się da, ale szybko, szybko, ty kulawy bohaterze! Moja cierpliwość jest bardzo ograniczona, a gdy się skończy, niech Jezus Chrystus i wszyscy jego święci zmiłują się nad tobą, bo ja nie! Podniósł z podłogi parę majteczek i obwąchał je. - Ciągle śmierdzą świnia!

- Zamknij twarz - uciszył go Legionista i zwrócił się do Bauera, siedzącego na łóżku z miną człowieka zupełnie zagubionego. - Co wymyśliłeś? Wezwać gliniarzy?

- Gliniarzy? - Bauer aż podskoczył. - Musiałeś zwariować. Wyobrażasz sobie, że kim jestem? Kapusiem, pieszczącym się z glinami?

Legionista skinął głową.

- Tak też pomyślałem. Ale coś trzeba zrobić. Są propozycje?

Bauer bezradnie potrząsnął głową.

- W takim razie może nie poczujesz się dotknięty, jeśli powiem ci, co robić? - Zapytał Legionista i nie czekając na odpowiedź wyciągnął z buta swój długi, rosyjski nóż bojowy i rzucił go Bauerowi. - Użyj go właściwie, abyśmy mieli z tym spokój tak szybko, jak tylko możliwe.

Bauer trzymał w ręce długi i szeroki nóż. Jego wzrok wędrował od noża do Legionisty, który siedział po turecku na swym łóżku i palił.

- Chcesz, abym go zabił? Nie możesz oczekiwać ode mnie czegoś takiego. Legionista spojrzał na niego zaskoczony.

- Jesteś głupi czy wariat, mon camarade? Czy chcesz, abym ja to zrobił? Albo Sven? A może Mały? Ty odkryłeś kabury. To twoja sprawa. Ale ponieważ opowiedziałeś nam o tym, to po części także nasza. Dlatego nalegamy, że coś trzeba zrobić. Masz rację, nie możesz pójść do gliniarzy. To poza wszelką kwestią. Policja dawno temu pogwałciła swą solidarność z nami. Musimy sami sobie dawać radę. Trzeba unieszkodliwić George'a. Nie można go puścić wolno. Ale nie możemy też go zamknąć, bo nie jesteśmy policjantami. Zabił sześć kobiet. Teraz możesz spróbować wymówki mówiąc, że mnóstwo ludzi zostało zabitych. Prawda, ale to jest coś innego, a my znaleźliśmy małą pielęgniarkę. Była kimś w rodzaju koleżanki. Zabijając ją, George zrobił coś, czego nie można wybaczyć, ponieważ ona była także jego koleżanką. Z pewnością widzisz, że coś musimy zrobić.

Bauer zamknął oczy. Zbladł śmiertelnie.

- Po prostu nie potrafię zabić George'a. W końcu nie zrobił mi nic złego. To, czego oczekujesz bym mu zrobił, to morderstwo. Mogę zostać złapany i zabity... Przez człowieka z toporem. - Dreszcz go przeszedł na samą myśl.

Legionista wstał i powoli podszedł do łóżka Bauera, wyjął nóż z jego ręki i wsunął na miejsce Za cholewką.

- Tchórzliwy skurwysyn! Gdybyśmy ci zrobili to, co się należy, zostałbyś zmasakrowany!

Bauer chwiał się z boku na bok. Był nieszczęśliwy. Skurczył się ze wstydu w obliczu głębokiej pogardy Legionisty.

Mały wspaniałomyślnie zaproponował, że sam poderżnie gardło George'owi.

Legionista odwrócił się twarzą do niego i długo mu się przyglądał w milczeniu. Potem usiadł na własnym łóżku, patrząc badawczo to na Bauera, to na Małego.

- Mille diables! Czy chcesz go porznać tylko dla przyjemności, czy co?

Mały po prostu roześmiał się.

- Ten brudny morderca kurew tak czy inaczej walnie w kalendarz. Dlatego myślę, że mogę go wysłać do nieba czy gdzieś indziej. Co u diabła za różnica?

- Czy nie uważasz, że w zabijaniu go jest w ogóle coś złego? - Spytał Legionista, patrząc z ukosa na Małego, stojącego na środku sali. Wytrwale próbował utrzymać w równowadze na swym czole szklankę wody, gdyż widział kiedyś, jak robi to zongler.

Mały odpowiedział, a szklanka zachwiała się złowieszczo na jego czole.

- Nie, co w tym może być złego? George jest gównem. Sam to powiedziałeś, Pustynny Włóczęgo.

Legionista zatrzęsł się ze śmiechu.

- Monte ladessus! Na Allaha, jesteś świetny!
- Pękając ze śmiechu znów padł plackiem na łóżko.
- Ponieważ George jest gównem, całkiem spokojnie poderzniesz mu gardło. - Podniósł się powoli, czerwony na twarzy spojrzał na Małego. - Dla dobra przyszłego społeczeństwa mam gorącą nadzieję, że zanim wojna się skończy polegiesz śmiercią bohatera.

Wyciągnął spod materaca butelkę bimbru i wychylił prawie jej połowę. Krótko rozejrzał się dookoła nim mi ją wręczył, a ja podałem ją dalej. Odezwał się, jakby mówiąc do siebie:

- Bon, a więc chcesz uziemić George'a?
- Powiedziałem ci to już dwa razy! - Krzyknął ponurym tonem Mały dając klapsa swej szklance. Nie zachowywała się tak, jak powinna. Zagroził Steinowi.

- Kiedy pójdziesz zwinąć trochę sznapsa dla Małego, szcurze? - Kopnął parę leżących na podłodze jasnoniebieskich majteczek i rzucił się do Bauera. - Jak długo te kabury na dupę będą się tu walały, zachęcając ludzi do pójścia na kurwy?

Bauer zaczął zbierać bieliznę i wpychać ją do plecaka George'a. Po czym starannie go zawiązał i wepchnął pod łóżko.

Rzucił okiem na Legionistę, siedzącego na swym łóżku i zabawiającego się rzucaniem trzema kostkami. Ciągłe rzucał je w powietrze i łapał dłonią, raz jej wierzchem, drugi raz wnętrzem.

- W imię Boże - szepnął ochryple Bauer, wyciągając rękę. - Daj mi ten nóż, a ja pokroję George'a tak paskudnie, że nawet własna matka go nie pozna!

Legionista podniósł głowę. Lekki uśmieszek zagrał mu koło wąskich, brutalnych ust w pokrytej bliznami twarzy. Bez słowa wyciągnął z buta syberyjski nóż, ostry na obu krawędziach i wręczył Bauerowi. Bauer miał śmiertelnie bladą twarz, biorąc go i chowając pod swą poduszką.

Śmiejąc się hałaśliwie George i reszta ludzi weszli na salę. George trzymał w ręce wielki tort. Dała mu go jedna z pielęgniarek. Wszystkie pielęgniarki kochały małego, dwudziestojednoletniego szeregowca artylerii przeciwlotniczej, który wyglądał ledwie na szesnaście lat.

- Niech ktoś da mi nóż, abym mógł pokroić tort! - Zawołał.

Brzydki uśmiech pojawił się na twarzy Bauera, gdy wyciągnął spod poduszki syberyjski nóż i podał go George'owi.

- Użyj go, kumplu. Jest równie dobry do krojenia tortu, jak do krojenia kurew!

Na ułamek sekundy George zeszywniał. A potem roześmiał się swym chłopięcym śmiechem i zaczął kroić tort.

- Czy ktoś pójdzie ze mną na kurwy? - Zawołał Erich, wielki saper.

Przyjął wręczony mu przez George'a kawałek tortu. Następnie zaczął, krążąc po podłodze, boks z cieniami, nokautując swych straszliwych przeciwników.

Mały przez krótką chwilę stał, spoglądając na niego. Legionista niedostrzegalnie kiwnął głową i gdy Erich był blisko Małego, ten wymierzył mu miążdzący cios i rozkazał grzmiącym głosem:

- Nie marnuj energii, ty fałszywy bohaterze! Pozbieraj swe grosze i przynieś Małemu piwa, albo to ja ci pokaże trochę walki z cieniem!

Erich wyjąc wylądował na łóżku Thomasa Jensena z Północnego Szlezwiku. Thomas wstał i przeniósł się na inne łóżko. Nigdy się do niczego nie mieszał. Mówiono, że jest ochotnikiem z 1939 roku.

Sam Thomas nigdy tego nie potwierdzał ani nie Zaprzeczał. Gdy ktoś go pytał, co najwyżej odpowiadał: - Dlaczego? - Ale każdy mógł widzieć, że Thomas Jensen tęskni do ojczyzny. Ochotnik czy nie, miał dość wojny. Ludzie nawet mówili, że sam postrzelił się w rękę i że ledwie udało mu się uniknąć oskarżenia przed sądem specjalnym. Gdy ktoś chciał się od niego czegoś dowiedzieć,

zamykał się jak ostryga.

Legionista kazał Małemu poszukać informacji u siostry przełożonej, która z pewnością coś wiedziała o Thomasie. Ale Małemu udało się zniszczyć tę szansę w ciągu dwudziestu sekund, pytając spokojnie: Emmo, Pustynny Włóczęga kazał mi wypytać ciebie o Thomasa Jensena, wiesz, tego z Północnego Szlezwiku. Bo jeśli jest ochotnikiem, czeka go lanie, ale jeśli naszpikował się sam z Nagana, to do wszystkich diabłów zasłużył na butelkę koniaku. Zrób to po cichu, Emmo, Pustynny Włóczęga powiedział, rozumiesz, aby nie mógł się domyślić, co zamierzamy.

Siostra przełożona popatrzyła na Małego długo i z namysłem. A po tym skinęła uspokajająco głową.

Mały dostał swą butelkę koniaku i oboje poszli do łóżka.

Następnie oboje zeszli na salę. Siostra przełożona podeszła do Legionisty, który spokojnie sobie spał i nie przejmując się resztą świata chwyciła go za klatkę piersiową, podniosła z łóżka i cisnęła na podłogę, gdzie wylądował z trzaskiem.

- Ty marokański wężu! Namawiasz Małego do szpiegowania? Ty bydlę! - Z wściekłości kopnęła go.

Następnie odwróciła się i wyszła, ale najpierw poklepała Małego po policzku. - Moje małe kochanie, mama będzie cię pilnować!

Mały prawie skreślił się w węzeł z przyjemności, rzucając za nią pocałunki. Gdy zamknęła drzwi, ryknął na całą salę.

- Święty Mojżeszu, wielki Boże, jakie Mały ma gorące jaja!

Legionista podniósł się i stanął przed Małym, który na swój wielki, głupi sposób patrzył na niego czułym wzrokiem.

- Jesteś największym osłem świata. Co u diabła jej powiedziałeś?

- Przyznaję, Pustynny Włóczęgo, że wyszło to paskudnie. Wiem o tym. Wszystkie słowa mi się pomieszały. Gdy jestem napalony, wszystko mi się myli.

Legionista zrezygnował. Potrząsnąwszy głową, powiedział.

- Na Allaha, jakie to prawdziwe!

- Czy nie idziesz ze mną do kurwidołka, George, by wybrać sobie cukiereczka? Zwrócił się Bauer do George'a, patrząc twardym wzrokiem na małego żołnierza z przeciwlotniczej. - Dwudziestoletnia akrobatka łóżkowa byłaby w sam raz dla ciebie.

George roześmiał się.

- Nie, to nie dla mnie. Stosuję się do ostrzeżenia dr Goebbelsa dla młodych żołnierzy, by trzymać się z dala od alkoholu, tytoniu i kobiet.

Bauer podłubał w zębach syberyjskim nożem, oddanym mu przez George'a.

- Tak, to ostrzeżenie jest całkiem słuszne. Kobiety są nieznośne. Można od nich złapać syfa, całą orkiestrę. Lepiej byłoby wszystkie je zlikwidować nie uważasz? - Ryknął śmiechem i zrobił wymowny gest nożem. - Tnąc je nożem w taki sposób - Znów ryknął śmiechem.

George przestał jeść tort. Siedział z otwartymi ustami, gapiąc się na rechoczącego Bauera, który wymachiwał nad głową nożem Legionisty.

- Czemu mówisz to wszystko? - Zapytał spokojnie George.

- Po prostu myślę, że dziwki to śmiecie. A co uważasz?

- Zupełnie cię nie rozumiem - odparł George.

- Nigdy dawniej tak się nie zachowywałeś.

Odłożył na pół zjedzony tort na stół i niespokojnie zaczął chodzić po sali. Zatrzymał się przed Bauerem.

- Nie mam nic przeciw kobietom. Te które znam, były dla mnie dobre. Moja matka zawsze była dobra. Pamiętam, jak przychodziła do mnie, powiedziec mi dobranoc nim poszedłem spać gdy byłem

małym chłopcem... Jakie to było cudowne. Teraz ona nie żyje. Spalili ją. Całą opryskał ją fosfor, ale teraz ona jest w Niebie.

- Tylko Bogu wiadomo, gdzie ona jest - Odezwał się brutalnie Bauer, który przestał się uśmiechać. Spojrzał zezem na Legionistę, leżącego na łóżku i bawiącego się trzema zielonymi kostkami, jakby go nic nie interesowało. - Nigdy nie byłeś na akcji w burdeliku? Zapytał Bauer, pochylając się ukradkiem przez stół.

Stein zaczął pogwizdywać. Był zdenerwowany Podobnie jak reszta z nas czuł, że Bauer posuwa się za daleko.

- Nie - wyrwało się George'owi jak wrzask. - Nienawidzę tego. Czy nie rozumiesz, nienawidzę tego. Jesteście zwierzętami, odrażającymi zwierzętami, gdy myślicie o kobietach, a gdy kobiety chcą tego samego, co wy, są sidłami diabła.

Bauer cofnął się w przerażeniu widząc, jakim dzikim wzrokiem George na niego spogląda. Był w nich błysk choroby umysłowej.

George złapał się za włosy i szarpnął, jakby chciał je wyrwać z korzeniami. Rzucił się na swe łóżko i ukrył twarz w dłoniach. Każdym włókmem jego drobnego ciała wstrząsał gwałtowny szloch.

W sali zapanowała cisza. W zdumieniu patrzyliśmy na małego żołnierza. Tylko pięciu z nas wiedziało, co tu jest nie tak.

Mały wstał, podciągnął spodnie i kołyszącym się krokiem podszedł do George'a.

Legionista skoczył jak pantera, chwycił Małego za ramię i rzekł surowym tonem.

- Chodź, Mały, idziemy na dół napić się piwa!

Mały uśmiechnął się radośnie i zdumiony zapytał.

- Piwa, na twój koszt?

Legionista potwierdził skinieniem i wyciągnął Małego z sali.

- Czy nie powinienem go wykończyć? - Zapytał naiwnie Mały. Nad ramieniem wskazał gestem łkającego George'a, który na szczęście niczego nie zrozumiał.

Stein i ja poszliśmy z nimi.

Gdy wróciliśmy po paru godzinach, podniecenie na sali opadło. George siedział z pielęgniarkami, pomagając jakiejś praktykantce rozwijać bandaż. Bawiło je to, a ich śmiech słychać było z daleka.

Bauer leżał na swym łóżku, pustym wzrokiem wpatrując się w sufit. Spojrzał na nas kątem i wymamrotał.

- Zrobię to dziś w nocy. To konieczne.

Legionista skinął głową.

- Im wcześniej, tym lepiej.

Usiedliśmy i zaczęliśmy pić. Robiliśmy to całkiem otwarcie, nie przejmując się, że jest zakaz Mały poszedł na górę do siostry przełożonej.

Było bardzo późno, a my byliśmy całkiem wykończeni gdy siostra przełożona weszła, nie mając na sobie munduru, zawinięta tylko w szlafrok koloru grynszpanowej zieleni. Czegoś takiego nigdy przedtem nie robiła.

Idąc bez szmeru, jakby na aksamitnych łapkach pochyliła się prosto nad Bauerem, wyciągnęła się i szepnęła ochryple.

- Daj mi to!

Bauer spojrział na nią przerażony.

- Co masz na myśli?

Pochyliła się nisko nad nim, by nie budzić śpiących.

- Bardzo dobrze wiesz! Oddaj to!

Bauer wstał i spojrział na nią tępym wzrokiem

- Przysięgam, że nie wiem o czym mówisz!

- Nie wiesz? Powinieneś się cieszyć, że tu przyszedłam, a nie łowcy głów. - Wsadziła rękę pod jego poduszkę, wyciągnęła nóż bojowy i schowała go pod szlafrokiem. A potem wypłynęła z sali na nikogo nie patrząc.

Legionista wściekł się.

- Ten głupi osioł się wygadał!

- Co teraz u diabła zrobimy? - Zapytał Bauer gorączkowo rozglądając się dokoła.

- Co się dzieje? - Zapytał ktoś w ciemności.

- Co cię to obchodzi? Zajmij się sobą, dupku! - Odprowadził go Legionista.

Gdy Mały zszedł z góry, był już późny poranek. Był w podniosłym nastroju i robił mnóstwo hałasu.

Poszeptali z Legionistą. Wyszli do toalety i tam kontynuowali rozmowę. Gdy wrócili, Mały był prawie trzeźwy. Milczał i był nieco skrępowany.

Legionista rzucił się na łóżko i zaczął palić. Nic nie powiedział i zachowywał się tak, jakby nie słyszał naszych szeptanych zapytań. Prawie mogliśmy usłyszeć, jak jego mózg pracował.

Obchód, na czele z szefem, Oberstabsarztlem dr Mahlerem, przebiegał jak zwykle. Siostra przełożona wyglądała ściśle oficjalnie. Nawet najmniejszym spojrzeniem nie ujawniła, co wydarzyło się w nocy.

Nowy pacjent, artylerzysta z amputowaną ręką, uśmiechnął się idiotycznie, gdy dr Mahler zapytał go jak się czuje.

- Świetnie, panie Rzeźniku Polowy, przeraźliwie świetnie! Byłem w kurwidołku, piłem koniak. Melduję, że czuję się cholernie świetnie. Spocznij, Rzeźniku Polowy!

Nagle ożywiliśmy się, czekając na wybuch. Ale dr Mahler po prostu popatrzył przez chwilę na artylerzystę i poklepał go po ramieniu.

- To dobrze, że tak się czujesz, Fischer. Gdybyśmy my wszyscy tak mogli. Legionista spojrział na mnie i popukał się palcem w czoło.

Ponieważ była ostatnią wśród wychodzących, siostra przełożona odwróciła się w drzwiach i popatrzyła na Legionistę. Spojrzeli sobie głęboko w oczy. Tych dwoje rozumiało się nawzajem. Zahartowany żołnierz i równie zahartowana pielęgniarka wojskowa. Jedno z nich chude i żyłaste drugie wielkie i pulchne.

Drzwi zamknęły się z wyraźnym trzaskiem.

George szperał w swym plecaku. Podniósł głowę i badawczo rozglądał się po sali. Znów zerknął do plecaka. Wtedy przybrał minę jak ktoś, kto podejmuje decyzję. Szybko zawiązał plecak i wepchnął go głęboko pod łóżko. Kilka razy pospiesznie przeszedł od drzwi do okna i z powrotem Nagle zatrzymał się, krzyknął głośno i potykając się wybiegł z sali.

- Co u diabła w niego wstąpiło? - Zapytał Legionista Bauera, leżącego na łóżku i ssącego jakąś marynatę.

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Musiał zwariować.

- Odwróć się i zmiżdż cię - wył artylerzysta Leo Fischer. Wybuchnął wariackim śmiechem i krzyczał.

- Zmiżdż cię powoli. Zgniotą ci kości. Hurra towarzysze, naprzód! W bitwie nigdy nie jesteśmy sami! Jesteśmy strzelcami pancernymi, najgłupszymi świniami na świecie! Znów śmiech wariata.

- Zamknij się! - Ryknął Wschodnioprusak, którego brzuch rozdarła seria z rosyjskiego pistoletu maszynowego.

Leo spojrział na niego łobuzerskim wzrokiem stuknął obcasami i zarżał falsetem.

- Jawohl, Herr General, zamkniemy się! Wierzę w Trójcę Świętą i zwycięstwo! W imię Adolfa, na przód!

Wschodnioprusak oparł się na łokciu i patrzył w zdumieniu na Leo, który teraz zaczął kwilić.

- To musi być kompletny, skończony wariat - oświadczył.

Legionista wstał i kiwnął na Małego, który podążył za nim jak cień, po prostu na wszelki wypadek. Ustawili się przed Leo, który teraz płakał, równocześnie stojąc sztywno na baczność.

- Spoczniej, artylerzysto - zakomenderował Legionista.

Leo, tak jakby znajdował się na placu apelowym, przesunął jedną stopę naprzód i odprężył się.

Patrzył na Legionistę, ale wydawało się, że nic nie widzi.

- Iść spać - wydał komendę Legionista, zaś Leo podskoczył do swego łóżka jak wrona, stanął przed nim na baczność i zawołał.

- Bateria na stanowisku, ognia! Nadwyżka załogi, do schronu!

Ogromnym skokiem Leo znalazł się na swym łóżku. Obrócił się na plecy, leżał cicho jak myszka i patrzył w sufit.

- To szczyt wszystkiego! - Zawołał Wschodnioprusak. - Chryste, przecież to wariat!

Wkrótce potem jak przyniesiono kolację drzwi się otworzyły. Wielka, rudowłosa postać z tyrolskim kapelusikiem, na tyle głowy wepchnęła się do środka, za nią zaś podobny do byka, ciemnoskóry typ w brudnym, szarym filcowym kapeluszu zsuniętym na czoło, jakby był dla niego za duży.

- Heil! - Pozdrowił rudowłosa.

Piętnastu ludzi z zainteresowaniem podniosło głowy znad zupy pokrzywowej. Wschodnioprusak odpowiedział skromnie.

- Wsadźcie to sobie w dupę!

Rudy typek uśmiechnął się.

- Wpadnij któregoś dnia, by się ze mną spotkać, przyszły bohaterze, a ja rozpalę ci pod jajami taki ogień, że będziesz mógł je na nim ugotować na twardo!

- Czy zbieracie na Pomoc Zimową? - Zapytał Mały, patrząc badawczo na dwóch cywilów.

Rudy ryknął śmiechem.

- Pomoc Zimową? Dobry dowcip! Nie, płotko My w pewien sposób zbieramy, ale nie na to!

- Skręcając się ze śmiechu, klepnął w ramię ciemnoskórego, stojącego z niesłychanie poważną miną.

Legionista przyglądał im się uważnie. Zezując spytał.

- Policja?

Rudy skinął głową.

- Zgadza się. Trafiłeś w sedno. Jesteśmy chłopcami z Kriminalpolizei, Kripo. Który z was, zmęczeni bohaterowie, nazywa się George Freytag? Artylerzysta George z 76. Pułku Artylerii Przeciwlotniczej?

Patrzyliśmy na siedzącego przy stole George'a Był blady, jak prześcieradło.

Rudowłosy policjant stanął nadęty przed nim.

- A więc, aniołku, ty jesteś artylerzystą przeciwlotniczym Georgem Freytagiem?

George otwierał i zamykał usta, nie mogąc wykrztusić ani słowa.

Rudy z uśmiechem pochylił się do przodu

- Straciłeś głos, króliczku? Straciłeś ze strachu, ponieważ wujaszek przyszedł złożyć ci wizytę w imieniu Kripo? A może mamy miłą wiadomość o wielkim spadku od pani, która właśnie kopnęła w kalendarz. Mając czyste sumienie nie ma potrzeby, by się bać wujaszka z Kripo.

Trzęsąc się jakby w konwulsjach, George nadal pozostał niemy.

Na sali zapanowała złowieszcza cisza. A wtedy bas huknął znowu.

- Więc odmawiasz rozmówki z wujaszkiem? Czy nie robi ci różnicy, jeśli zajrzemy do twego bagażu, by upewnić się, czy jesteś spadkobiercą, którego szukamy?
Nie czekając na odpowiedź schylił się i wyciągnął plecak George'a.

- Nie! - Wrzasnął George. - Nie możecie go dotykać! Jest mój.
Rudy uśmiechnął się, jakby nie usłyszał wywrzeszczanego protestu.
Ciemnoskóry stał za Georgem jak skała, patrząc na niego czujnym wzrokiem.
Rudy zaczął grzebać w plecaku. Jego czarny skórzany płaszcz rozsunał się, ukazując jasnobrązowy pas i kaburę pod pachą, utrzymaną na miejscu rzemieniem. Można było wyczuć ciężkiego Walthera P 38.

George patrzył jak zahipnotyzowany na Rudego, który brutalnie wyciągnął z plecaka porządnie złożoną wojskową bieliznę. Po podłodze potoczyła się puszka dżemu pomarańczowego, po niej zaś zatrzepotało zdjęcie siwowłosej pani.

- Matka! - Zawył gorączkowo George, podążając za fotografią spojrzeniem.
Na podłogę wyrzucono kilka podręczników szkolnych. Za nimi Biblię. Pojawił się nóż w pochwie. Nóż z gatunku, jaki fińscy żołnierze zawsze mają przy pasie.
Rudy powoli wyciągnął nóż z pochwy ze skóry renifera i przekornie spojrzał na błyszczącą stal z głęboką strudziną na krew.

- To twój, nieprawdaż, mój mały przyjacielu - Wsunął go do kieszeni swego czarnego, skózanego płaszcza.

A potem w dwóch palcach gliniarz z Kripo podniósł parę białych majteczek, tak abyśmy mogli ją obejrzeć. Po nich parę niebieskich. Znów parę białych. W sumie sześć par.
Wstał, skinął na George'a. Wyglądało, jakby cała jego przyjacielskość została zdmuchnięta. To był pies gończy, który zaszczekał.

- Koniec komedii! To jesteś ty, który mordowałeś dziewczyny! Zaprzeczanie tylko pogorszy ci sprawę. Więc chodź z nami! - Wskazał głową drzwi. Wraz z ciemnoskórym chwycili George'a za ramiona.

- Dajcie mi spokój. Jestem chory. Mam gorączkę! - Wrzeszczał desperacko George. Próbował kopać dwóch dużych ludzi.

- Uspokój się - powiedział ciemnoskóry. To były pierwsze wypowiedziane przez niego słowa.
Z daleka, z dołu schodów, dolatywał krzyk George'a.

- Dajcie mi spokój, dajcie mi spokój! Mam gorączkę!
Gdy wkrótce po tym samochód zatrzymał się na Reeperbahn, Georgowi udało się wyrwać strażnikom. Pomknął przez Glacis Chaussee i przeskoczył płot boiska sportowego.
Dwaj policjanci następowali mu na pięty.

- Halt! - Ryknęli. Trzy razy zawołali „Halt”, jak wymagał regulamin. A po tym z tyłu za Georgem rozległ się trzask serii wystrzałów. Podobny był do przelotnego pocałunku. Pociski pistoletów maszynowych wyrzuciły go w górę, gdzie zawisł na chwilę jak na poduszce powietrznej, a potem znów brutalnie rzuciły go na ziemię.
Drapał czarną ziemię zakrzywionymi palcami i bełkotał jękając się niezrozumiale.
Rudy odwrócił go czubkiem buta.

- Nasza robota skończona - zwięźle zdecydował. - Kopnął w kalendarz. Pospieszmy się z ciałem do „Przystojnego Paula”.

Z ciemnoskórym za kierownicą odjechali do Komendy Policji.

- Czyż my dwaj nie mamy szczęścia! - Roześmiał się Rudy. - Nie będzie dla nas odkomenderowania na front!

- Człowiek, którego mogłabym pokochać, jeszcze się nie urodził - oświadczyła Ciotka

Dora.

- Miłość do jednego człowieka to barbarzyństwo powiedział Legionista. Ale oboje mówili tak zanim się spotkali.

Zmienili się w dzieci, śniące o barze z siedmioma stołkami i zasłoną z muszelek. Ciotka Dora chciała, by Legionista zdezerterował, ale był za stary i za sprytny, by porywać się na taki marny akt szaleństwa.

Pociąg odjechał. Rozstali się w taki sam sposób, jak wielu innych.

Wojna toczyła się bardziej dziko, niż kiedykolwiek.

Wojna wymykała się spod kontroli.

ROZDZIAŁ XI Pociąg na front

Komendant stacji, Hauptmann, spojrział na nasze papiery i powiedział lakonicznie. Pociąg dla powracających urlopowiczów Berlin-Warszawa-Lwów na 4 peronie.

- Skończyło się - westchnął Legionista.

Hauptmann spojrział na niego i powiedział drwiąco.

- Widzę, że możesz powiedzieć to, co Cezar, gdy przekraczał Rubikon.

Legionista uśmiechnął się.

- Alea iacta est.

Hauptmann spojrział zdziwiony na małego, bliznowatego żołnierza broni pancernej.

- Czy jesteś studentem, Stabsgefreiter?

- Nie, świętą świnią, 2. Pułk Cudzoziemskiej - uśmiechnął się Legionista. Cieszył go widok zdziwienia Hauptmanna.

- Być może nie wiesz, co to oznacza? - Spytał Hauptmann.

- O, tak - odpowiedział ironicznie Legionista. - W żołnierskim języku. - Zoşkę zerżnęli.

Hauptmann zaczerwienił się i odprawił nas gestem.

Dalej na peronie Mały zapytał.

- Co za cudzoziemską potrawę zaserwowałeś temu srebrnemu bażantowi?

- Dokładnie to, co słyszałeś. - Zoşkę zerżnęli.

Mały zatrzymał się i wybuchł gromkim śmiechem.

- Będiesz musiał mnie tego nauczyć! Użyję tego wobec Hauptfeldwebela Edela, gdy wrócimy do starej bandy. Chryste, on na to rozdziawi gębę, głupia świnią. - Zsunął czapkę na tył głowy, znów ryknął śmiechem i pobiegł naprzód peronem.

Wpadł prosto na Pancernik, która zadziwiła wszystkich przychodząc, by się z nim pożegnać. Zderzyli się jak para wojskowych słoni.

Tłum żołnierzy kręcił się obok pociągu, stojącego przy peronie jak nienasycony wąż.

Rzuciłem okiem na wielki zegar stacyjny. Druga wskazówka mknęła po cyferblacie. Czarna i groźna.

W koło i w koło. Minuta po minucie. Wkrótce wszystko się skończy.

Wschodnioprusak i Thomas Jensen przebrnęli przez kontrolę na peronie, ciągnąc ciężkie torby piechurów.

Stein i Bauer leżeli wychyleni z okna przedziału wołając, że mają pięć miejsc. Wzięli przez okno nasze bagaże.

Siostra Czerwonego Krzyża zapytała, czy chcemy kawy.

Pijąc ze zwykłego, metalowego kubka, sączyliśmy gorący płyn, który jakoby miał być kawą, a

smakował bardziej jak zupa, ugotowana na jutowym worku.

- Wszyscy na pokład! - Zaryczał po raz czwarty komendant transportu. Nikt nie zareagował.

Paru żołnierzy brutalnie wepchnięto do pociągu.

Mały zamierzył się na podoficera żandarmerii,

- Spadaj, łowco głów! - Zaryczał.

Podoficer zaczął gderać i rzucać wszelkiego rodzaju groźby, ale zmył się szybko. Nie chciał awantury przy pociągu na front. Z gorzkiego doświadczenia wiedział, że może mieć najfantastyczniejsze kłopoty. Przy odjazdach tego rodzaju pociągów nerwy pasażerów są napięte do skrajy wytrzymałości.

Kobięcy głos zawołał.

- Alfred!

Legionista błyskawicznie zawrócił i podszedł szybkim krokiem do jednego z kiosków, gdzie Ciotka Dora stała na wpół ukryta, z kołnierzem podniesionym powyżej uszu.

Kładąc dłoń na ramieniu Legionisty powiedziała łagodnie.

- Wzięłam ze sobą cywilne łachy. Pospiesz się do toalety i przebierz. Uciekaj od nich!

Legionista spojrział na nią z ukosa.

- Doro, stara suko, nie róbmy niczego głupiego! Znasz łowców głów równie dobrze, jak ja. Nawet jednemu na tysiąc nie udaje się uciec bezpiecznie, a jeśli mnie złapią z tobą, pójdziesz prosto do więzienia.

- Nie boję się ich więzień.

- Nie, ale za to ich kulek. - Wyciągnął z kieszeni wycinek z gazety. Ostatnie wiadomości z Völkischer Beobachter.

Czytała poruszając wargami.

OSTRZEŻENIE PRZECIW DEZERTEROM I TCHÓRZOM

Wezwałem naród niemiecki, a szczególnie niemieckie kobiety, by zwracały uwagę na tchórzów, próbujących uciekać ze wschodu na zachód, ukrywając się w kolumnach uchodźców. Nie okazujcie tym brudnym psom źle skierowanej litości. Ludzie, uciekający ze swych oddziałów w Armii Lądowej, Siłach Powietrznych i Marynarce Wojennej nie zasługują nawet na kawałek suchego chleba.

Na was bardziej, niż na kimkolwiek innym, dumne Narodowo-Socjalistyczne Niemieckie Kobiety, spoczywa święty obowiązek czujności przeciw takim elementom.

Wykonujcie wasz obowiązek. Nie dajcie się przekonywać ani ulegać wpływom antyspołecznych elementów. Denuncjujcie ich bezlitośnie i przy najlżejszym podejrzeniu. Nie miejcie litości, bez względu na to, czy są to obcy, czy wasi mężowie, bracia, czy synowie.

Okażcie im pogardę, na jaką zasługują. Zmuście ich, by znów uznali swój obowiązek. Jeśli słowa nie wystarczą, by ich przekonać, zgłoście, by schwytała ich Żandarmeria, która wie, jak karać tę nędzne szczury, które nie wiedzą, co to honor i dla których nie ma miejsca w naszych Narodowo-Socjalistycznych Wielkich Niemczech.

Heinrich Himmler

Reichsführer SS

Komendant Policji

Minister Spraw Wewnętrznych

Naczelnym Dowódcą Armii Rezerwowej.

Ciotka Dora kiwnęła głową.

- Parszywy skurwysyn, ale tylko poczekaj. Jaja tego czarnego gówna pewnego dnia zostaną

ugotowane, wierz mi!

- Zapewne nasze także - odpowiedział sucho Legionista. - Jeśli stracimy głowę. Jedyną naszą szansą przeżycia tego szaleństwa jest stać w szeregu. Cicho, nie rozrabiając. Ociągając się, jeśli potrafisz tak to zrobić, by ci się udało. - Poglaskał ją po podbródku i kontynuował. - I zawsze staraj się mieć w kieszeni prawdziwe papiery, inne nie obronią się przed dokładnym badaniem przez łowców głów!

- Wskazał Feldwebela żandarmerii, wyglądającego jak hipopotam. - Spójrz na tego typu z półksiężycowatą odznaką! On wprost umiera z chęci capnięcia dezertarów i wieszania ich z kawałkiem tektury na piersi. Posłuchaj, droga dziewczyno.. Ależ ty płaczesz! Co to ma znaczyć? Ciotka Dora nie płacze! - Niezdarnie otarł jej łzy z grubo umalowanych policzków.

- Jesteś głupią świnią - załkała i ukryła twarz na jego ramieniu. - Będę pisać do ciebie, Alfredzie, co tydzień. - Poglaskała go po policzku z długą blizną od noża.

Spojrzała na pociąg, który z sykiem wypuszczał wielkie kłęby pary i pomyślała.

- Jest jak nienasycona maszynka do mielenia mięsa, którą trzeba karmić ciałem, krwią i kośćmi. Podniosła głowę i spojrzała na niego. - Dokąd się udajesz, jak przypuszczasz?

Popatrzył na most z grzechoczącymi tramwajami, zanim odpowiedział.

- Stary pisał w ostatnich listach, że pułk stoi teraz w pobliżu Orszy na środkowym odcinku. Orsza to skrzyżowanie na szosie Mińsk-Tuła-Moskwa. Ale w rzeczywistości prowadzi prosto na Syberię - dodał, - kończąc się w Kołymie, gdzie nasi towarzysze ze Stalingradu teraz wypruwają flaki jako robotnicy przymusowi w kopalniach.

- Orsza - pomyślała. - Nazwa. Nieznana nazwa. Kropka na wielkiej mapie. Brudne i nieskończenie smutne miejsce w ogromie Rosji. Miejsce, przez które maszerują tysiące żołnierzy. Ludzi ubranych na zielono i brązowo, z których większość nigdy nie wraca. Poglaskała jego dłoń, przeznaczoną przez zły los do naciskania spustu karabinu maszynowego i powodowania śmierci i zniszczenia innych żołnierzy. Mogłaby nauczyć te dłonie potrząsania mikserem.

- Alfredzie - szepnęła, patrząc na jego brzydką, pooraną bliznami twarz. Jej pozbawione uczuć oczy oślepiły łzy. - Ale czy nie rozumiesz, głupia świnię, że ja cię kocham, ty śmierdzący szakalu pustynny? Przysięgam Bogu, że ja cię kocham! Czemu, sama nie wiem. Pewien człowiek zgwałcił mnie, gdy miałam dwanaście lat. Gdy miałam piętnaście, lubiłam to. Teraz już mnie to nie interesuje. Będziemy się kochać jak dwoje ludzi, którzy wiedzą dość, by uważać naszych bliźnich za świnię nim nie dowiodą, że jest przeciwnie. Wiemy, że życie jest jedną długą, parszywą nocą karnawałową a jedynym wymaganiami jest to, abyś miał dobrą maskę. Alfredzie, będę na ciebie czekała, nawet jeśli to potrwa trzydzieści lat! Któregoś dnia obudzimy się z tego złego snu. Wtedy sprzedamy ten lokal i wybierzemy się tam, gdzie będziemy mogli prowadzić inny, przyzwoity lokal z dziewczynami sznapssem i piwem!

Legionista roześmiał się.

- A gdzie to będzie? Może w Tybecie?

Potrząsnęła głową.

- Nie, w Brazylii. Mam tam siostrę, która prowadzi porządny burdel. To dobry teren dla nas dwojga. Nie ma łowców głów. Nie ma Gestapo. Ma się prawo oddychać tak, jak się chce.

Siostra Lotta, mała pielęgniarzka, która była w szkole führerin Bund Deutscher Madeln, przeszła tanecznym krokiem po peronie i przymocowała gałąź świerkową na drzwiach jednego z wagonów. Otarła oczy różkiem chustki do nosa. Ona widziała to także w wojennym filmie. Następnie pocałowała najbliższego żołnierza w policzek Odrzucając głowę do tyłu jak Walkiria, zawołała bliska ekstazy.

- Mój bohater, mój nieznany bohater! Dziękuję ci za walkę za niemieckie kobiety i że dzięki tobie

czuję się bezpieczna przed radzieckimi potworami!

Żołnierz, piechur ze sprytną miną popatrzył na nią, pierdnął głośno i wrzasnął.

- Idź do diabła, ty oficerski materacu!

Na policzki Lotty wypełził rumieniec.

- Ty świnió! - Syknęła. - Załatwię ci wycieczkę na wschód!

Odpowiedzią był głośny ryk śmiechu pobliskiego żołnierza. Piechur klepnął ją w tyłek.

- Pospiesz się do domu i przygotuj dla zwycięzców. Już się zbliżają!

Zgrzytając zębami Lotta wycofała się. Zerwała świerkową gałąź z drzwi wagonu i przeniosła o trzy wagony dalej, gdzie jak myślała są godniejsi otrzymania jej gałęzi. Powiedziała coś do Feldwebela żandarmerii, który tylko wzruszył ramionami i odepchnął ją na bok.

Pojawiła się cała rodzina, by pożegnać siedemnastoletniego chłopca, powołanego do wojska i odjeżdżającego do batalionu szkolnego w Polsce.

- Bądź dumny i dzielny! - Zawołał ojciec, którego stopień brzmiał, jak się okazało, Regierungsrat.

- Masz być chlubą twej rodziny!

- Będziemy czekać na list od ciebie, siostrzeńcze - zarżał radośnie stary, białowłosy mężczyzna, noszący upiorny mundur sprzed Pierwszej Wojny Światowej, - w którym zawiadomisz nas, że Führer odznaczył cię Żelaznym Krzyżem.

- Przyślij nam jak najprędzej swoje zdjęcie w mundurze - kwiknęła jego matka, strącając zdradziecką łzę.

Ojciec spojrział na nią z wyrzutem przez monokl.

- Niemieckie kobiety nie płaczą, Luizo! My Niemcy jesteśmy dumni.

Pastor w sztywnej, białej koloratce i komicznym meloniku na głowie objął matkę za ramiona i rzekł z namaszczeniem.

- Jakże cudowna musi być możliwość wysłania syna do walki z naszymi barbarzyńskimi wrogami, którzy grożą najazdem na naszą Ojczyznę!

Członek rodziny w brązowym mundurze spojrział na niego.

- Co masz na myśli mówiąc, że nasi wrogowie bliscy są najazdu na naszą Ojczyznę? Czy Führer nie wyjaśnił, że bardzo kręte linie frontu muszą zostać wyprostowane?

Upewniwszy się, że funkcjonariusz partyjny nie będzie mógł tego podsłuchać, jakiś podoficer w oknie przedziału ponad nimi mruknął.

- Będziemy wyprostowywać naszą linię frontu aż oprzemy się plecami o Kancelarię Rzeszy w Berlinie.

Pastor zamrugał nerwowo. Przesunął palcem po nakrochmalonej koloratce. Jego jabłko Adama skakało do góry i na dół. Spojrział służalczo na człowieka z Partii.

- Distriktführer zapewne źle mnie zrozumiał. Miałem na myśli, że nasi wrogowie najeżdżają Ukrainę, która zgodnie ze słowami führera również jest naszą Ojczyzną.

- Gdzie i kiedy Führer to powiedział?

Pastor spojrział na niego.

- Führer wielokrotnie mówił, a Minister Propagandy wielokrotnie pisał w Volkischer Beobachter, że Rzesza Wielkoniemiecka będzie się rozciągać do gór Kaukazu, a tam właśnie nasi wrogowie są w tej chwili.

Distriktführer przelotnie rzucił okiem na pastora, który skłonił głowę na bok i złożył ręce na brzuchu.

- W takim razie byłoby dobrym pomysłem gdybyś ty Herr Viram mógł w armii nawracać niechętnych, Wtedy możesz dopomóc naszym bohaterom wypędzić do reszty naszych wrogów z Rzeszy Wielkoniemieckiej. - Funkcjonariusz partyjny promieniał z radości widząc, jak pastor kurczy się ze

strachu.

Szara postać szła chyłkiem wzdłuż pociągu.

Bauer zarżał z entuzjazmu, ujrawszy kto to jest. Ewald, alfons Ciotki Dory w mundurze roboczym. Dwa dni temu, jak wielokrotnie wcześniej, znów przeszedł przez małe, szare drzwi, prowadzące do Szefostwa Gestapo przy Karl Muck Platz. Po długim oczekiwaniu został wprowadzony do gabinetu Bielerta przez esesmana w czarnym mundurze.

Bielert przyjął go siedząc na brzegu stołu i przyjął gęsto zapisane stronicę, które Ewald, jak zwykle, mu wręczył.

Bielert postukał palcem w papiery.

- Ile z tego jest kłamstwami i wymysłami?

- Nic, Herr Brigadenführer, wszystko to prawda!

- Możesz pominąć „Herr”. Tu u nas mówi się tylko Brigadenführer. - Zapamiętaj to, szczerze - warknął Bielert.

Bielert rugał, groził, ryczał, a Ewald nadal nie rozumiał z tego ani słowa.

Wreszcie Bielert wyciągnął arkusz białego papieru. Przez całą jego długość biegła czerwona krecha. Podsunął papier Ewaldowi pod nos.

- Tutaj mam twoje dokumenty wcielenia do pułku karnego. Byłeś kiedyś żołnierzem przez całe sześć tygodni, prawda?

- Jawohl, Brigadenführer! - Odrzekł gromko Ewald i stuknął obcasami, jak go kiedyś nauczono na placu apelowym w Grafenworth. Sama ta myśl spowodowała, że plecami przebiegły mu dreszcze do góry i w dół. Jakże był szczęśliwy, gdy wyszło na jaw, że odsiadywał wyroki za „przestępstwo z chęci zysku”. Podczas mobilizacji ‘, stał powołany do wojska na skutek omyłki, omyłki, „której Wehrmacht głęboko żałuje”. Został pospiesznie wyrzucony z Armii i żył w wirze przyjemności w hamburskim świątku przestępczym. Ale teraz nie byli już tak wybredni.

Teraz wszystkiego można było użyć na froncie nawet takich typków, jak Ewald. Była cała armia pułków karnych, by przyjmować takich jak on podrzędnych przestępców.

Pochyliwszy się w jego stronę Bielert szepnął

- Ale, mój mały przyjacielu, jest inna możliwość.

Twarz Ewalda rozjaśniła nadzieja. Już czuł się bezpieczny od najokropniejszej rzeczy, jaka mogła mu się przytrafić. Kupił sobie zwolnienie z więzienia stając się donosicielem. Poważani członkowie społeczeństwa wili się w sieciach Gestapo w skutek meldunków Ewalda. Faktycznie Paul Bielert mógł podziękować Ewaldowi za to, że został Brigadenführerem, ponieważ całkiem nieświadomie wpadł na trop czegoś naprawdę wielkiego.

- Zrobię wszystko czego zażadasz, Brigadenführer - wyjąkał Ewald, patrząc przymilając się spojrzaniem.

Bielert uśmiechnął się, napawając się tym widokiem.

- Nie żądam od ciebie niczego. Masz wybór między dwiema możliwościami: wcielenie do batalionu karnego, albo zaciągnięcie przed sąd wojenny jako element antyspołeczny.

Ewaldowi dech zaparło.

- Sąd wojenny! - Wykrzyknął. - Ale jak mogę być postawiony przed sąd wojenny? Niczego nie zrobiłem. Nigdy nie mieszałem się do polityki.

- Doprawdy? - Odrzekł Bielert, wskazując leżące na biurku papiery. - Może to wszystko dotyczy tylko kartek na masło i kawę? Nie, mój śliczny przyjacielu, wpadłeś po uszy w brudy polityczne. -

Zwrócił się do drzwi i ryknął. - Geige, Potz!

Dwaj wielcy mężczyźni w czarnych mundurach SS wsunęli się do pokoju.

- Zaprowadźcie to przed sąd wojenny - syknął Bielert i wskazał Ewalda, który stał szcękając zębami, tkwiąc na środku pokoju i chwiejąc się, jakby miał upaść.

Dwaj potężni esesmani podeszli do Ewalda, złapali go za ramiona i powiedzieli z lodowatą jowialnością. - Chodź więc, mały.

- Nie! Nie! - Krzyczał Ewald. - Nie możesz mi tego zrobić, Brigadeführer! Zawsze byłem dobry i robiłem dokładnie to, czego żądałeś. Zrobię wszystko, czego zechcesz!

Bielert zaśmiał się.

- Nie chcę, byś cokolwiek robił, śmierdzielu. Po prostu nie chcę już nigdy mieć przyjemności oglądania twej skurwysyńskiej gęby.

Ewald wrzeszczał jak opętany. On, który nigdy nie miał litości dla innych, teraz sam wpadł do ognia. Był na tyle głupi, że wspomniał imię Ciotki Dory w jednym z poprzednich meldunków, a Bielert był ochroniarzem Ciotki Dory.

- Wobec tego postarajcie się dla niego o mundur i ma odjechać najbliższym transportem.

Dlatego właśnie Ewald szedł chyłkiem wzdłuż pociągu w mundurze bez naramienników ani odznak na kołnierzu. Bielert nie tylko zadowolił się wysłaniem go do pułku karnego, wysłał go do 919 Szkolnego Karnego Batalionu Polowego w Brześciu Litewskim.

Gdyby Ewald podejrzewał, co go czeka, zapewne zmyłby się teraz i zszedł w Hamburgu do podziemia jako dezertor. Miałby większą szansę ucieczki jako dezertor nie ponosząc szkody, niż jako członek najbardziej osławionej jednostki Niemieckich Sił Zbrojnych. W tym batalionie nowoprzybyłych zawsze witał Stabsfeldwebel Neuring, który wtedy mówił.

- Być może myślicie, że macie szansę ocalenia skóry tutaj, w numerze 919, ale się mylicie. O godzinie 11.55 wszyscy dostaniecie zgodnie z regulaminem kulkę w potylicę.

Żandarmi biegali wzdłuż pociągu z blaszanymi odznakami, połyskującymi na ich piersiach. Wrzeszczeli i grozili licznym żołnierzom, których nie udało się zapędzić do pociągu.

Legionista objął Ciotkę Dorę i przytulił ją do siebie.

- Bon, muszę teraz wsiadać, Doro. Ta wojna nigdy nie skończy się szczęśliwie, póki Stabsgefreiter Alfred Kalb z Pułku Cudzoziemskiej jest tutaj. I co, jeśli Hitler wygra? Dla nas nic dobrego z tego nie wyniknie.

Ciotka Dora przytuliła się do niego. Jej wielkie piersi zakryły jego pierś. Jej wargi znalazły jego. Trzymała go tak w uścisku, jakby nigdy nie miała go wypuścić.

- Alfredzie - wyszeptala. - Ty wrócisz! - To nie było pytanie. To była modlitwa. Wołanie, prawie rozkaz dla Boga. Legionista nie może umrzeć, za szaleńczą sprawę.

Skinął głową i zmusił się do słabego uśmiechu.

- Ja wrócę, Doro. Na Allaha, wrócę. Brudne Iwany nie zdołają zabić francuskiego kaprała z La Legion Etrangere. Do tego potrzeba Kabyłów.

- Alfredzie, musisz pisać do mnie! W każdej wolnej minucie musisz pisać! Zwariuję, jeśli nie będę miała wieści od ciebie! - Otoczyła mu szyję ramionami i pocałowała go tak gwałtownie, że nawet sama się tego przestraszyła. Czula się tak, jakby miała się skończyć jakaś epoka.

Płakała. Łzy spływały po jej policzkach, ryjąc głębokie bruzdy w ciężkiej warstwie pudru.

- Wszyscy wsiadać! - Ryczeli żandarmi. - Pociąg rusza. Drzwi będą pozamykane. Rozkazy wyjazdu i papiery urlopowe trzeba trzymać w gotowości w chwili wsiadania do pociągu! Biegiem! Biegiem!

Legionista powoli wsiadł do pociągu. W drzwiach zatrzymał się.

Ciotka Dora pogłaskała dłonią jego pokrytą bliznami, wychudłą twarz.

- Do widzenia, dziewczyno - powiedział ochryple.

Wykrzywiła wargi w wymuszonym uśmiechu.

- Nie, mój Marokańczyku. Nie do widzenia. Au revoir!

Zaśmiał się. - Prawda, au revoir. Wkrótce się spotkamy!

Mały wrzucił swoją torbę przez otwarte okno. Za nią poszło tekturowe pudełko z trzema krwawymi kiszkami, bochenkiem żytniego chleba i kilkoma butelkami sznapsa.

- Uważajcie, wy miękkie makarony! - Zawołał.

- Tu jest mocna amunicja dla srających!

Potem znów rzucił się w ramiona Pancernikowi, która podniosła go z ziemi i pocałowała.

- Uważaj na siebie, wielki niedźwiedziu, abym mogła otrzymać z powrotem twoje kikuty - mruknęła głębokim basem. - Wtedy będziemy mogli się pobrać i mieć dwadzieścioro troje dzieci równie brzydkich, jak ty.

- Do diabła - roześmiał się Mały. - To będzie najlepsza moja posada w życiu! Chryste, jakże oczekuję przegrania wojny! Dwadzieścia i troje usmarkanych dzieci, święty Jezu! Pierwsze zrobimy w stogu siana - zawołał wesoło. - Zawsze chciałem rznąć w stogu. Czy lubisz zapach siana?

- Świnia - oświadczyła swym męskim głosem - Czy możesz sobie wyobrazić płodzenie naszych dzieci w paszy dla krów? Tego rodzaju rzeczy robi się w łóżku z czystą, białą pościelą, a nie w oborze ani nie na polu. - Wymierzyła mu głośnego klapsa w policzek. Wierz mi, oszlifuję twoje ostre kanty dla twego dobra, ty rynsztokowy szczeniaku!

- Myślę, że bardzo szybko zacznę dostawać kołowacizny. Już jestem tak napalony, że aż paruję. - Uśmiechnął się radośnie Mały. - Napalony jak wszyscy diabli na ciebie. Jesteś po prostu tak dobra jak najlepsza z tych seks maszyn, których można próbować w Wiener Neustadt. A te, wiesz, to bardzo sprawne maszyny, z całym podwoziem na samosmarujących się łożyskach kulkowych! - Rozjaśnił się, jakby przyszedł mu do głowy wspaniały pomysł. Emmo, gdy wojna się skończy, pójdziemy razem do burdelu, wtedy zobaczysz na własne oczy, że jesteś równie dobra jak tamtejsze świnię.

- Ty świnię - warknęła Pancernik, waląc go w żołądek z taką siłą, że trudno mu było złapać oddech. - Nawet nie powinieneś myśleć o porównywaniu mnie, twojej narzeczonej, z kurwami i podobnym śmieciem. Jestem przyzwoitą kobietą, a nie burdelową suką, zapamiętaj to sobie! Albo cię posiekam w drobny mak!

Mały przechylił głowę na bok. Miał minę małego chłopca.

- Będziesz mi musiała to wybaczyć. Nie jestem delikatnym dżentelmenem, wiesz o tym.

- Dobra, dobra, niedźwiedziu. A teraz, proszę, nie doprowadzaj mnie do tego, żebym beczała.

Podbiegł do nich Stabsfeldwebel żandarmerii. Wrzasnął na Małego.

- Wsiadaj do pociągu, leniwy flaku wołowy!

Mały nie zadał sobie trudu by na niego spojrzeć, tylko bardzo głośno pocałował Pancernik.

Feldwebel rzucił się na niego. Mały nie zwracał na niego uwagi i nadal stał koło Pancernika.

- Słuchaj, bardzo się pilnuj, gdy Tommy będzie rozładowywał swój wóz gnojowy pouczył Mały. - Nie rób się ciekawska i nie wystawiaj swej wielkiej gęby.

Uśmiechnęła się. Jej oczy zupełnie znikły w fałdach tłuszczu.

- To samo dotyczy ciebie! - Klepnęła go przyjacielsko po policzku, czarnym od sadzy.

- Mój śliczny niedźwiedź - szepnęła. - Bogu wiadomo, że jesteś głupi jak wół, ale jaki cudowny! Nie wbij sobie do głowy jakichś bezsensownych myśli o koleżeństwie, gdy tam będziesz. Chcę cię mieć z powrotem. Oderwana noga nie będzie miała większego znaczenia, póki będziesz żywy. - Pomyślała chwilę i kontynuowała. - Prawdę mówiąc nie byłby to całkiem zły pomysł, gdybyś stracił nogę. Lepiej mogłabym tobą kierować.

- Zwariowałaś, Emmo? Wtedy nie mógłbym uciekać, gdy Iwan będzie pod parą. Sam Porta mówi, że ten, kto potrafi najszybciej biec, ma największą szansę, że powróci z wojny żywy.

Wrócił żandarm. Stał przed Małym na rozstawionych nogach, podparłszy się pięściami pod boki.

- Powiedz mi tylko jedno, ty Kapralu Zero. Czy mamy ci dać pisemne zaproszenie, abyś wsiadł do pociągu?

Mały nie odwrócił się do niego i tylko chłodno odpowiedział.

- Proszę, zrób to bracie, ale pisz powoli i wsuń list do jednej z tych skrzynek pocztowych, które są opróżniane tylko raz w tygodniu - Zamknij się, ty... Ty... - Rozdarł się Feldwebel - albo zajmę się tobą! Do pociągu, brudny skurwielu i to w tej sekundzie! Chwycił Małego i wepchnął go do pociągu.

- Wrócę do ciebie za dwa tygodnie! - Krzyczał Mały z okna pociągu do Pancernika. Urlop na zaręczyny, urlop na ślub, wystąpię o wszystkie istniejące urlopy!

Gdy pociąg ruszył, Mały omal nie wypadł z okna. W ostatnim momencie jego kumplom w przedziale udało się wciągnąć go do środka.

- Zróbcie mi miejsce - wrzasnął, podbiegł do okna i wychylił się daleko. Uderzył głową w żelazny słup, mijany przez pociąg. Krew z głębokiej rany polała mu się na twarz. Hurra! Mam pęknięcie czaszki! Teraz Emmo zachowuj się jak należy póki nie wrócę do ciebie do domu! Wkrótce przybędę - dodał, wskazując swoją głowę.

- Oczywiście! - Biegła wzdłuż pociągu na swych grubych nogach, poruszających się jak pałeczki dobosza. Jedną ręką przytrzymała spódnicę nad masywnymi kolanami. Drugą machała swą czerwoną peleryną pielęgniarce. Jej biust wylewał się z dekoltu sukni. Twarz płonęła. - Wracaj, misiaczku, czy słyszysz? Wróc do mnie!

Ciotka Dora stała nieco z tyłu koło kiosku na peronie. Machała do małego Legionisty, wychylonego z drzwi.

Kobieta około pięćdziesiątki miała na ręku trzyletnie dziecko. Przewróciła się, a maleństwo potoczyło się z wrzaskiem po asfalcie.

Żołnierz w jasnoszarym mundurze piechoty morskiej krzyknął w przerażeniu.

Pociąg jechał coraz szybciej wśród mnogich ruin Hamburga, wioząc trzy tysiące osiemset sztuk umundurowanego bydła rzeźnego w kierunku Berlina.

Żandarm przepychający się korytarzem wrzeszczał.

- Zamykać okna! Do każdego stojącego w otwartym oknie będzie się strzelać!

- Żuk gnojowy - parsknął leżący na półce bagażowej i pijący podoficer artylerii.

W innym przedziale zaczęto śpiewać:

Wróc do mnie, czekam na ciebie, Ja czekam na ciebie.

Bo jesteś dla mnie.

Jedyną pociechą.

Za nami, na peronie stały setki ukochanych, rodziców, żon i dzieci. Patrzyli na miejsce, w którym znikł pociąg i gdzie chmury dymu z lokomotywy mieszały się z chmurami deszczowymi.

Większość z nich już się nigdy nie ujrzy.

Ciotka Dora stała samotnie koło kiosku, z twarzą białą jak kreda, oczami utkwionymi w dali, wargi poruszały się.

- Wróc, Alfredzie. Na litość boską wróc do mnie! Nie ma znaczenia, w jakiej postaci, nawet o kulach, ale wróc!

Pancernik stała na samym końcu peronu i mechanicznie machała wielkim, czerwonym płaszczem. Jej płuca pracowały jak para miechów. Astmatycznie łąpała powietrze po gwałtownym i niezwykłym dla niej wysiłku.

- Wielki, głupi misiaczku - wyszeptwała. - Nie ugrzęźnij tam gdzieś!

A potem twarda kobieta zrobiła coś, do czego nikt by nie uwierzył, że jest zdolna. Modliła się,

Złożyła ręce i modliła się. Na samym środku zaszronionego peronu kolejowego, pod potłuczonym szklanym dachem.

- Drogi Boże. Nie często słyszysz coś od Emmy Kloters, ale teraz tu jestem, jak widzisz. Niech wielki, głupi szczeniak do mnie wróci. Nie obchodzi mnie, jeśli zrobisz z niego hamburgera, aby tylko żył. Błagam cię, Boże, z całego serca, pozwól by mój wielki, głupi, brzydki szczeniak wrócił do domu żywy!

Zaczęło padać. Gęsta mżawka. Peron stopniowo pustoszał. Zaczęły wyc syreny. Ludzie zaczęli uciekać. Daleko zaczęły padać pierwsze bomby.

Przy wejściu na peron stała jak skamieniała młoda dziewczyna. Gryzła chusteczkę rozrywała materiał zębami na strzępy.

- Otto - szepnęła ochryple. - Och nie, Otto! - Nagle wydała przenikliwy wrzask. - Otto, nie pozwól, by cię zamordowali! - Szaleńczo ciągnęła się za włosy. - Hitler, ty morderco! Darła się tak głośno, że echo niosło się po peronie. - Jesteś mordercą, Hitler!

Jak wyczarowana zaklęciem, stanęła obok niej para młodych cywilów w czarnych, skórzanych płaszczach. W dłoni jednego z nich błysnęła srebrna odznaka. Stojący najbliżej usłyszeli jak syknął.

- Gestapo!

Opierała się wściekle i odciągana stamtąd ciągle wrzeszczała. Znikła w tajemniczych mrokach komisariatu policji.

Otto, Gefreiter piechoty, siedział w przedziale dalekiego już pociągu, wiozącego urlopowiczów, szepcząc.

- Moja ukochana Lotto, wkrótce znów się zobaczymy! - Odezwał się do kumpla. Moja żona wkrótce będzie miała dziecko.

Ale jego Lotta już nigdy nie miała go urodzić. Powiedziała prawdę w kraju, w którym prawda oznaczała śmierć.

Pociąg dudniąc mknął przez Niemcy. Na krótko zatrzymywał się na przepelnionych przystankach. Wsiadały nowe gromady zmęczonych żołnierzy. Przepychali się przez stosy walizek, plecaków, chlebaków, tornistrów, masek gazowych, karabinów, pistoletów maszynowych, stalowych hełmów, zwiniętych płaszczy oraz przeklinających żołnierzy, ubranych na szaro, zielono, niebiesko, czarno i brązowo. Wszystkie rodzaje broni. Marynarze w wieku od siedemnastu do dwudziestu lat w granatowych mundurach z odznakami służby na łodziach podwodnych, naszytymi na rękawach. Fanatyczni esesmani w feldgrau, spoglądający pustym, szklistym wzrokiem i z teutońską miną. Tak ich nauczono w tak zwanych Zamkach Zakonnych, gdzie w służbie dyktatury wpychano ich na samo dno otchłani ubóstwa intelektualnego. Podstarzali policjanci w mundurach barwy jadowitej zieleni, w drodze do dywizji żandarmerii. Mieli zostać wyróżnieni do nogi przez wściekle jednostki partyzanckie nieprzyjaciela, czekające na nich w ukryciu jak dzikie, drapieżne bestie.

Byli czarni czołgiści, w brudnych mundurach cuchnących benzyną i olejem napędowym. Muskularni kawalerzyści o chłopskich twarzach, z krzykliwie żółtymi naramiennikami. Spokojni strzelcy górscy z blaszanymi szarotkami na rękawach. Artylerzyści ze skromnymi dekoracjami na szarozielonych piersiach ich mundurów. Saperzy o twarzach tak smutnych, jak ich czarne naramienniki śmiertelnie zmęczeni niekończącym się wysiłkiem Tędzy i zadowoleni z siebie żołnierze z artylerii brzegowej, uszczęśliwieni faktem, że trzymają straż na wybrzeżach daleko za frontem. Żołnierze wywiadu o inteligentnych twarzach, gęsto przetykających swe rozmowy cudzoziemskimi słowami by pysznić się swą znajomością języków obcych. Ale większość stanowili piechurzy w zniszczonych mundurach, żywy i głośny protest przeciw określeniu „piechota królowa broni”.

W każdym kącie szła gra w karty oraz picie Jedna z żołnierskich grup szeptem konferowała z

podoficerem sanitarnym, którego ciasno otaczała

- Żółtaczką to gównem - pouczał słuchających żołnierzy. - Z nią bardzo szybko wróćcie z domu dla rekonwalescentów. Syf czy trypr to też nic korzystnego. Święta Matko, prawie odcinają ci ogon, jeśli zgłaszasz się z czymś takim. - Rozejrzył się ostrożnie, ale nie widząc nikogo o podejrzanym wyglądzie, znowu skrył się w grupie. Rozmowa przycichła do szeptanego mamrotania.

- Nie, chłopcy, tyfus, prawdziwy, pierwszoklasny tyfus, to jest to. Gorączka, od której prawie pęka ci dziura w dupie. Gdy jesteś już na pół martwy, tamci nie mogą się dalej opierać. Głaszczą cię po głowie i poklepują jak małego chłopca. Są dla ciebie tak dobrzy, że myślisz, że to sen, bo są pewni, że odwalisz kitę. A choroba jest długa.

- Jak się łapie tyfus? - Chciał się dowiedzieć niski, chudy piechur.

- W mleczarni, ty dziecinny osle - roześmiał się Gefreiter saperów.

Mały piechur miał obrażoną minę.

Wiele małych paczuszek zmieniło właścicieli. Podoficer sanitarny wsadził do kieszeni wielki plik banknotów. Uśmiechnął się tajemniczo i znów rozejrzył.

- Po prostu bierzcie to, co jest w paczuszkach i rozpuszczacie w kawie, a kończycie dobrym łykiem wódki. Najpóźniej po dwóch tygodniach będziecie pierdzieć w ślicznym łóżku, a wojna skończy się najdalej za pół roku.

- Czy można od tego umrzeć? - Zapytał podejrzliwie kawalerzysta.

- Czy kiedykolwiek coś dostałeś nie ryzykując, ty końska dupo? - Zapytał lotnik w eleganckim szaroniebieskim mundurze i piersią pełną odznaczeń. Miał co najwyżej dwadzieścia lat, ale od wojny w chmurach postarzał się o dziesięć. Wyglądało, że powietrzni Teutoni Hermana Goeringa mieli już dość bohaterskich bitew.

Przejechaliśmy przez Berlin w nocnych ciemnościach. Trwał alarm przeciwlotniczy.

W przepelnionym pociągu walczone o dostęp do toalet. Obelżywe uwagi latały tam i z powrotem w ciężkim, smrodliwym powietrzu.

W przedziale po środku wagonu mały Legionista siedział wciśnięty pomiędzy Małego i mnie. Na przeciwległej ławce Ewald, biały jak prześcieradło był praktycznie niewidoczny między Bauerem i Steinem.

Wschodnioprusak wisiał na półce i opowiadał dowcipy.

- Jakie są nowiny od Führera? - Zawołał Bauer do małego wschodniego Prusaka, który był specjalistą od naśladowania głosów.

- Tak, posłuchajmy, co Führer ma do powiedzenia o obecnej sytuacji - zaśmiał się w oczekiwaniu Stein.

Wschodnioprusak przyłożył do ust maskę w charakterze mikrofonu, zsunął sobie włosy na czoło i wysunął do przodu dolną wargę. Wyglądał jak okropna karykatura Hitlera, ale jego głos był zdumiewająco dobrą imitacją.

- „Niemieckie kobiety, niemieccy mężczyźni, niemieckie dzieci, moi drodzy rasowi bracia! Nigdy nie byliśmy bliżsi ostatecznego zwycięstwa, nie w tej chwili. Wydałem moim dowódcom Armii rozkazy, by wyprostowali nasze mocno pokręcone linie frontu, które utrudniają nasze operacje i wymagają zbyt wielkich ofiar, aby teraz nasze operacje mogły wszędzie przebiegać jak planowano.

Wielu wrogów narodu oraz szkodliwe elementy twierdziły, że te dostosowywania frontu są jakimś rodzajem odwrotu. Ale mówię wam, moi drodzy rasowi bracia, że moi heroiczni żołnierze pozostaną tam, gdzie zajęli pozycje. Masy radzieckie wykrwawiają się na śmierć. Stalin, ten arcykryminalista...” - Tu głos Wschodnioprusaka wzniósł się do ryku wściekłości takiej, że sam Hitler zbladłby z zazdrości - „...Stracił wszelkie szansę wygrania tej wojny, do której nas zmusił.

Moi niemieccy inżynierowie pracują pełną parą nad projektowaniem nowych broni, cudownych i epokowych, by zmiażdżyć naszych barbarzyńskich wrogów. Niemieccy mężczyźni, niemieckie kobiety, moja dzielna Armio, moje bohaterskie Siły Powietrzne, moja sprawna Marynarka Wojenna, jeszcze jeden małeńki wysiłek i ostateczne zwycięstwo będzie nasze! Bądźcie pewni, że bohaterska śmierć będzie wasza!”

Gdy chciał unieść ramię do „Heil”, stoczył się z półki i wylądował na głowach tych, którzy siedzieli poniżej. A potem przetoczył się na podłogę.

- Führer upadł! - Zawołał Bauer.

Mały skręcił sobie papierosa. Robił to bardzo pracowicie, ze wszystkich sił starając się, by nie utracić najmniejszego okruszka tytoniu. Polizał go, zakleił i wręczył Legioniście. Zwinął następny, który wręczył mu. Dopiero wówczas zaczął zwijać dla siebie. Zanim skończył, odkrył, że mój nie utrzymał się dobrze w całości podczas zalepiania. Ostrożnie odłożył swego na pół ukończonego papierosa, wziął mój, polizał go i mocno ścisnął.

- Teraz lepiej - oświadczył, zwracając mi go.

Podczas czterech miesięcy pobytu w szpitalu wojskowym Mały wybierał co do jednego wszystkie niedopałki, nie tylko własne, ale także cudze. Starannie oczyścił tytoń i obecnie był posiadaczem dużej jego torby. Nadal zachowywał niedopałki swych papierosów obecnie palonych i tak dalej, dbał zawsze, aby każde ziarnko tytoniu zostało użyte. Jego dawne ubóstwo nauczyło go, by niczego nie marnować. Wszystkiego można użyć. Wszystko może stać się nowe.

- Czy myślisz, że dadzą mi urlop, jeśli ochajtam się z Emmą? - Zapytał, przesuwając językiem po podgumowanym brzegu bibułki papierosowej.

Legionista zaśmiał się.

- Zdecydowanie nie. Gdy zapytasz, Stabsfeldwebel Edel odpowie: Mały jesteś notorycznym idiotą. Idioci nie powinni się żenić, a poza tym po co miałbyś ze słodkiej dziewczyny zrobić wdowę wojenną?

- Och, zamknij się - rzekł Mały. - Emma nie jest słodką dziewczyną. Jest samochodem pancernym w kształcie kobiety i może dać Edelowi takiego kopa w ryja, że już się nie obudzi.

Legionista mówił dalej.

- A Edel powie ci na dodatek, gdy poprosisz o urlop: Mały, pospiesz się i daj się zastrzelić. Bohaterska śmierć jest jedyną twoją nadzieją. Ponieważ tak czy inaczej po wojnie zostaniesz wysłany do obozu likwidacyjnego jak niebezpieczeństwo dla zdrowia narodowego.

Skrzywiliśmy się na znajomy ton, który wkrótce będziemy musieli znosić.

- Stabsfeldwebel Edel może mnie pocałować w dupę - mruknął kłótliwym tonem Mały.

- Zdecydowanie tego nie robi - śmiał się Legionista.

Wkrótce potem, podczas rozmowy o polityce, Mały oświadczył.

- Prawdę mówiąc niewiele z tego rozumiem.

- Z łatwością możemy w to uwierzyć - zarechotał Bauer.

Z miną człowieka głęboko zamyślonego Mały kontynuował.

- Ostatecznie jestem tylko świnią ze szkolnego domu poprawczego. Mojej matki, ni cholery, nic nie obchodziło co się dzieje z jej dziewięciorgiem dzieci. A mego starego pamiętam tylko, gdy był pijany. Nigdy nie widziałem go trzeźwego. W szkolnym domu poprawczym nas tłukli, a gdy tego nie robili, my tłukliśmy się wzajemnie. Czy ktokolwiek z was wie, jak wygląda pobożny dom poprawczy?

Gdy nikt nie odpowiedział, mówił dalej, przez cały czas kreśląc kolbą karabinu wyimaginowane rysunki.

- No właśnie, tak myślałem. Słuchajcie, ci misjonarze to wcielone diabły, gdy dorwą się do władzy. W rzeczywistości nie było tam żadnej szkoły. Zresztą, tak czy tak nie byłoby z niej żadnego pożytku - tak powiedział przełożony. Wiele lat wcześniej był pastorem w Turynii. Mówiono, że zadaje się z żoną organisty. Z tego powodu wyrzucono go z tamtejszego kościoła. A to prawda, my tak naprawdę nie potrzebowaliśmy umieć czytać i pisać, aby nosić żelazne belki czy kopać rowy. Dlatego więc, gdy zostałem członkiem naszego klubu, powiedziałem sobie: - tu obejrzał sam siebie - nie zapominaj, że jesteś w służbie czynnej - nie jesteś rezerwistą. Ten, kto trzyma w ręce kij, musi mieć rację.

Tak więc wymaszerowałem, prosto w stronę horyzontu. Bardzo wielu próbowało dać Małemu mata. Ale nawet sto pchnięć nie pozbawiło Małego oddechu. Zanim ja się zmęczyłem, komenderujące gówna straciły głos. Kazali mi dobrze strzelać. Rozkaz to rozkaz. Strzelałem dobrze i nawet dostałem wstążeczkę strzelecką. Następnie poszliśmy na wojnę, a oni mi powiedzieli: Mały, wszystko co się rusza przed wylotem twojej lufy jest nieprzyjacielem i powinieneś do tego strzelać. Świetnie! Waliłem jak szalony z mojej flinty. Powiedzieli mi: Mały, twój bagnet jest po to, abyś nim dźgał. I wierście mi, ciąłem i dźgałem we wszystkie strony. Powiedzieli mi: idziesz na wojnę bronić Ojczyznę.

Przez dwadzieścia sekund pytałem sam siebie, czy rzeczywiście powinienem bronić Ojczyznę, ponieważ ona nic i nigdy dla mnie nie zrobiła. Ale przecież oni nie toczyli wojny dla mnie. Więc zacząłem bronić Ojczyznę. Walczycie przeciw bezwzględnemu wrogowi, przeciw podludziom, tak nam powiedzieli. W porządku, powiedziałem sobie, walczysz przeciw bezwzględnemu wrogowi, przeciw podludziom. Tamci na górze powinni wiedzieć. Są bardziej kumaci niż ty, Mały. Ani jeden z nich nie był w szkolnym domu poprawczym, ani jeden nie kopał rowów. Chodzili do doskonałej szkoły i nauczyli się ładnie jeść nożem i widelcem. Mają na policzkach blizny od pojedynków na dowód, że są uczeni. Dlatego, Mały, powinieneś słuchać tego, co ci mówią. Jesteś tylko sztuką bydła rzeźnego.

Zawsze padałem w błoto, gdy mi kazali. Strzelałem do wszystkiego, do czego rozkazywali mi strzelać. Gdy mówili „Bacność!” stawałem nieruchomo. Gdy mówili „Spływaj!” - odchodziłem. Tak było przez sześć lat, a ja biegałem uważnie, bojąc się, by nie zrobić jakiegoś błędu.

Rozejrzał się chytrze wokół.

- Ale teraz coś się wydarzyło. Różne rzeczy zaczynają brzęczeć mi pod czachą. Rozumiecie, zaręczyłem się i mam mieć dwadzieścia troje dzieci. Mam się zwać z najśliczniejszą na świecie, ogromną dziwą!

Znowu podniósł głowę, ocierając ją niezdarnie sękatą dłonią.

- Coś tu nie kapuję - kontynuował. - Myślę o facecie z tamtego klubu, muzyku spod Charkowa, Kijowa, Elbrusu, Sewastopola i wszystkich innych miejsc, gdzie broniliśmy Ojczyzny. Jeśli powiecie do niego: słuchaj, Iwan Iwanowicz, czemu ty naprawdę do mnie strzelasz? - Wtedy mrugnie i odpowie. - Towariszcz Fritz, nie mam pojęcia, ale Batuszka Stalin mi kazał. Bang! I w twojej głowie jest dziura! - Mały rozłożył ręce. - Wariactwo, nieprawdaż?

Legionista nerwowo rozejrzał się wokoło, pospiesznie zatrzaskał drzwi na korytarz i odezwał się brutalnie.

- Zamknij się, głupia świni! Albo wyrzucą cię stąd i powieszą na sznurku, bez względu na to, czy ty lub Iwan rozumiecie to, czy nie.

- Ależ to właśnie to, co mówię! - Zawołał Mały, rzucając głowę z boku na bok. - We wszystkich innych miejscach świata, gdy coś ma zostać zrobione, wyjaśniają ci sprawę. Ale tutaj mówią tylko: zamknij się, bydlaku i rób co ci każe, albo zawiśniesz na sznurku! - Ja tego nie rozumiem.

- Nie jest, kurwa, ważne, czy rozumiesz, czy nie - odpowiedział chamsko Legionista. Rób tylko co ci

każą. To zdrowsze dla ciebie i dla nas obu, tylko się rozchorujesz, próbując zrozumieć. Twoja głowa się do tego nie nadaje. Została zrobiona tylko po to, aby nosić stalowy hełm i to ci powinno starczyć. Mały wzruszył ramionami i odpowiedział: coś zdaje mi się, że muszę.

- Wiem, co to oznacza - powiedział Legionista.

Staliśmy patrząc na powieszonych żołnierzy, kiwających się na wietrze jak wahadła. W tej chwili łowcy głów byli zajęci. Nowy rozkaz führera był energicznie wykonywany. Aż do tej chwili nazywano to doraźnym sądem wojennym. Teraz kluczowym słowem było: „doraźne orzeczenie”, które dotyczyło następujących przestępstw:

Wypowiedzi defetystyczne

Dezercja Sabotaż

Obraza imienia führera

Rabunek

Obrabowywanie trupów

Zdrada.

- Wiem, co to oznacza - powiedział Legionista. - Armia zaczyna się rozpadać. Większość wojen kończy się w ten sposób.

ROZDZIAŁ XII Taśmociąg

Siedzieliśmy w pociągu przez dwanaście dni i dwanaście nocy, a teraz staliśmy na taśmociągu Pińsk-Homel, trochę na południowy zachód od Dawidgródka. Sądząc z ogłoszenia we frontowym biurze poczty polowej, pułk leżał w Piotrkowie albo w Skrieratowie. Ktoś, kto był na taśmociągu, nigdy go nie zapomni. Ten właśnie ciągnął się prosto jak strzała, ze wschodu na zachód, z południa na północ. Szeroki na 45 do 65 metrów. Droga, która nie jest drogą twardo sprasowaną i udeptaną tysiącami kół i milionami stóp. A przecież taśmociąg jest ważnym życiowo nerwem dla istnienia armii, w taki sam sposób, jak główna tętnica jest istotna dla serca: jeśli organizm ma żyć, owa tętnica musi nieprzerwanie pulsować. Dniem i nocą tysiące silników huczało na taśmociągu. Nieprzerwana fala. Gdyby została przerwana, front by się załamał.

W jedną stronę toczyła się długa kolumna amunicji, prowiantu, dział, pojazdów pancernych świeżych oddziałów rezerwowych, poczta polowa z workami fatalnych listów. Wszystko to było konieczne, by wojna toczyła się zgodnie z planem. W przeciwną stronę szła zniszczona artyleria, zgruchotane pojazdy silnikowe, wypatroszone wraki czołgów, skrzyżowane blaszane przedmioty, które jeszcze bardzo niedawno były srebrzystymi samolotami i niekończące się kolumny ambulansów Czerwonego Krzyża z okaleczonymi wrakami ludzi, były Równie konieczne dla wojny.

Taśmociąg był zawsze torem cierpień dla żołnierzy. W zimie kolejna górka, w lecie nieopisana pustynia piaszczysta, w okresach deszczu i odwilży niezgłębione, wsysające bagno, przypominające lep na muchy, do którego wszystko się przylepiało.

Siedzieliśmy kaszląc i plując na stromym brzegu rzeki, czekając na ciężarówkę, by nas zabrała. Wobec takiego rajy komunikacyjnego na froncie, Mały jak zawsze poszedł się przejść.

- Tu zaczyna się moja robota - oświadczył i znikł w jakichś krzakach. Jego dewizą było, że żołnierz, który nie „organizuje”, nie ukończył swej edukacji.

Był nieobecny przez trzy godziny. Potem wrócił, ciągnąc wielki worek, wypchany rzeczami z kantyny.

- Czyś ty zwariował? - Zapytał Wschodnioprusak. - Czy nie wiesz, że to jest rabunek?

- Diabła tam - odparł radośnie Mały i ugryzł cebulę.

- Wobec tego jak to nazywasz? - Zapytał Bauer.

- Samoobrona - rzekł chłodno Mały. Wepchnął sobie do ust kiełbasę.

- Jeśli cię capną, zrobią tak, że zawiśniesz za to - ostrzegł Bauer.

- Tchórzem podszyty - odprawił go lekceważąco Mały. - Jak sobie wyobrażasz, co się dzieje, gdy się cofamy? A jak wiesz, gdyśmy się już przyzwyczaili do wyprostowywania frontu, będziemy dalej się cofać. Te osły wysadzą w powietrze cały zapas kiełbas! - Spojrzał na Bauera i na Wschodnioprusaka. - Myślicie może, że wpadnie tu jakiś Oberst kwatermistrzostwa i zaprosi was do środka, abyście się najpierw napchali? - Podniósł nad głowę banana i wrzasnął z przekonaniem. - Nie, postawią wartowników, o tak, abyście nie dostali nawet suchego krakersa albo zgniętego jaja. Rozkaz mówi, że cały kram ma zostać wysadzony w powietrze. I tyle. Wszystko wysadza się aż do nieba. Czy pamiętacie, co zrobili w Kubaniu, jak wysłali w diabły dwa tysiące ton żywności? Ładunek minerski. Bum i poszły!

- Poklepał swą torbę i uśmiechnął się chytrze. - Patrzcie, mam tu dodatkowe racje na dwa tygodnie. Witaminy dla zwycięstwa! - Roześmiał się błogo i wsadził sobie do ust dwa banany na raz. Skórki cisnął na taśmociąg.

- Nie powinieneś tego robić - oświadczył Legionista. - Ktoś może nadejść i poślizgnąć się na nich.

- Właśnie dlatego to robię - stwierdził Mały.

- A może Adolf będzie przechodził i złamie sobie kark na moich skórkach bananów. Wtedy zostanie postacią historyczną i dzieci będą się uczyć o mnie w szkole.

- Za każdym razem, gdy znów widzę taśmociąg - powiedział Bauer, wysyłając wielkim łukiem niedopałek do rzeki - mój tyłek tak mnie swędzi, jakby w nim harcowały tasiemce.

- Zapewne to robią - mruknął Mały, patrząc na niego wyzywająco.

Mały zaczął się nudzić i chciał wdać się w bójkę. Było to jego pojęcie o rozrywce. Wszystko mogłoby się zdarzyć, gdyby nie zatrzymała się wielka, benzynowa ciężarówka. Z kabiny kierowcy wychylił się Feldwebel i zawołał: dokąd idziecie, leniwe łobuzy?

- Do 27. Pułku Pancernego - odpowiedziałem. Ponieważ miałem najdłuższy czas służby ze wszystkich, stanąłem na baczność.

- W tym tempie nigdy się tam nie dostaniecie - warknął ostro. Wyraźnie było wypisane na całej jego postaci: oddziały tyłowe. Mundur szyty na zamówienie. Elegancka czapka z wysokim denkiem. Pas z oficerskim pistoletem, wbrew regulaminowi. Choć należał do oddziałów zaopatrzeniowych, pozwolił sobie ozdobić się złotymi naramiennikami kawaleryjskimi, zamiast niebieskich, noszonych przez oddziały tyłowe i pogardzanych przez ludzi walczących.

Tylko ja wstałem. Pozostali nonszalancko leżeli rozwaleni na trawie, patrząc na wrzaskliwego Feldwebela, który w tym czasie wyskoczył z ciężarówki. Stanąwszy na rozstawionych nogach, podparłszy się pięściami pod boki, krzyknął: wstawać, niedołęgi, tak, i marsz, marsz, z nosami zwróconymi na wschód, gdzie czeka na was śmierć bohaterów.

Wstawali przerażająco powoli. Mały zarzucił swój worek na ramię jak handlarz i odszedł powoli, nie zadawszy nawet sobie trudu spojżenia na Feldwebela.

- Mówię do ciebie, Gefreiter - zarżał za nim Feldwebel, - co to jest za worek?

- Jutowy.

Feldwebela zatkąło z wściekłości.

- Nie bądź bezczelny. Materiał worka mnie nie interesuje. Co w nim jest?

- Poczta i żarcie dla dowódcy, Oberstleutnanta Hinki - odpowiedział niedbale Mały.

- Pokaż mi! - Zażądał elegancki Feldwebel.

- Wykluczone - odrzekł Mały, zamykając wylot worka zaciśniętymi pięściami.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Szczeknął Feldwebel.

- Gekados - wyszeptał Mały, mrugając okiem.

- Bon! - Wybuchł podziwem Legionista.

- Co to znaczy Gekados? - Zaryczał Feldwebel.

Mały skłonił głowę na bok.

- Oberstleutnant Hinka powiedział mi: Mały, nie pozwól nikomu dotknąć tego worka! Jest ściśle Gekados. Ściśle tajny. To właśnie dowódca powiedział, Herr Feldwebel i dał mi te pierścionki na palce - wyrzucił do przodu dłoń - abym strzegł worka.

Zezując na nas w zdumieniu Feldwebel zauważył, że otaczamy Małego ciasniejszym kręgiem. Wskoczył do ciężarówki i zawołał: ruszać stąd marsz, marsz! Zwrócę na was uwagę żandarmerii.

Ciężarówka znikła w chmurze kurzu.

Mały wyciągnął z worka kilka pudełek czekolady i jak brat rozdzielił między nas ich zawartość.

Jak banda włóczęgów, którzy mają do dyspozycji cały czas świata, ruszyliśmy wzdłuż taśmociągu. Po przejściu około sześciu mil zmęczyliśmy się, padliśmy i zasnęliśmy.

W połowie nocy obudził nas hałas silnika. Cały taśmociąg był zapchany pojazdami: ciężarówki, samochody osobowe, artyleria, baterie moździerzy okopowych, baterie rakiet, transportery wojskowe, długie ciężarówki saperskie, wozy pancerne, i rojowisko innych rzeczy, z którymi armia wędruje.

- Wygląda, jakby ruszyła cała armia! - Zawołał Bauer.

- Tak, i porusza się na zachód, uchodząc od frontu - stwierdził Stein.

- Chłopie, czy wojna się skończyła? - Krzyknął Mały do starego Stabsgefreitera, siedzącego za kierownicą ciężarówki amunicyjnej.

- Zgaduj jeszcze raz, głupolu! - Odkrzyknął Stabsgefreiter. Pokazał język Małemu, który rzuciłby się prosto na niego, gdyby zmotoryzowana jednostka artylerii nie wepchnęła się między niego i ciężarówkę amunicyjną.

- Zastanawiam się, co się u diabła dzieje - powiedział rozglądając się Bauer.

- Wyprostowujemy nasze linie bojowe - roześmiał się Stein. - Ale lepiej wynieśmy się stąd, zanim Iwan zacznie walić w taśmociąg.

Major, idący na czele długiej kolumny, wyskoczył na środek drogi i zaczął wymachiwać nad głową pistoletem.

- Zróbcie przejście dla mojego pułku! - Wrzeszczał. - Zróbcie przejście, rozkazuję, albo powystrzelam was jak psy!

Ale nikt nie zadał sobie tyle trudu, by zwrócić na niego uwagę.

Niekończący się sznur pojazdów pełził przed siebie jak dotychczas. Pułk Majora musiał zostać tam, gdzie był.

Wielki, szary Horch z blaszaną tabliczką na zderzaku powoli przeciskał się naprzód. Rzuciwszy do środka okiem, zauważyliśmy kilku przebranych oficerów sztabowych.

Oberstleutnant żandarmerii pojawił się z oddziałem łowców głów.

- Przejście dla dowódcy Armii! - Krzyczał.

Ale długi sznur nie poruszył się nawet na cal. Generał kawalerii w Horchu musiał pogodzić się z tym, że będzie czekał.

Żandarmi rozkazali, by pojazdy, stojące na drodze Generała, zostały zrzucone ze skarpy z drogi. Potoczyły się jeden za drugim.

- Tego już trochę za wiele! - Mruknął Bauer. - Rozwalać całą masę pojazdów dla kogoś takiego. Ja tego nie kumam!

Mały Legionista roześmiał się.

- Voila, byłeś w naszym klubie tylko przez cztery lata. Zaczekaj, aż będziesz jego członkiem tak długo jak my, wtedy nawet ty zrozumiesz.

Bauer potrząsnął głową ze zdumieniem.

- Zawsze mi mówiono, że w tej wojnie generałowie idą na czele. Czemu ten tutaj tak się spieszy, by się zmyć?

Legionista po prostu wzruszył ramionami.

Oberst, jadący na czele pułku artylerii konnej bardzo się podniecił i zaczął się wściekać, gdyż daremnie przygotowywali się do zrzucenia jego sprzętu po stromej skarpie. Gdy Oberstleutnant chwycił wodze konia Obersta, ten kilka razy uderzył go w twarz szpicrutą, krzycząc:

- Nie dotykaj mego konia! - Szarpnął wierzchowca do tyłu. Koń stanął dęba, zarżał i zaczął młócić powietrze przednimi nogami. Oberst pogalopował skrajem drogi do miejsca, gdzie zatrzymał się Generał, zeskoczył i stanął twarzą w twarz z niewysokim człowieczkiem.

Jeszcze nim zdołał powiedzieć jedno słowo, generał kawalerii zaskowitył.

- Kim sobie wyobrażasz, że jesteś, Herr Oberst? Jak śmiesz powstrzymywać moją żandarmerię od wykonywania moich rozkazów? Czy myślisz, że mam czas, by tkwić w tym rynsztoku dłużej, niż to konieczne?

- Herr General - odpowiedział lodowatym tonem Oberst. Nie mogę zjechać z moimi bateriami z drogi. Moje konie są przemęczone i nie będą zdolne wyciągnąć z powrotem na drogę ani jednej sztuki mojego sprzętu.

- A co mnie to obchodzi? - Parsknął generał - Muszę pojechać naprzód i to w tej chwili!

- Odmawiam wykonania pańskiego rozkazu. Moje pojazdy pozostaną na drodze!

Generał zmierzył go chłodnym, oceniającym wzrokiem.

- Jeśli natychmiast nie oczyścisz drogi ze wszystkich pojazdów, należących do twego pułku, to ja...

Oberst wyprostował się nieco. Był o całą głowę wyższy od generała. Z jego szyi zwisał Krzyż Żelazny.

- Co pan wtedy zrobi, Herr General?

Oczy generała były tylko wąskimi szparkami w jego twarzy.

- Użyję mej władzy i postawię cię przed sądem wojennym za niesubordynację. Armii Niemieckiej nie są potrzebni tacy oficerowie, jak ty.

Oberst zbladł śmiertelnie.

- Czy to pańskie ostatnie słowo, Herr General?

Generał nie odpowiedział, lecz zwrócił się do stojącego tuż za nim oficera żandarmerii.

- Oberstleutnant Scholl!

Oberst artylerii błyskawicznym ruchem opuścił dłoń do pasa, wyciągnął pistolet i w ułamku sekundy napiął kurek.

Generał odskoczył o krok do tyłu. Twarz całkiem mu zbladła.

Oficer żandarmerii stał sparaliżowany. Przez kilka chwil na taśmociągu wszystko zamarło.

Blade wargi Obersta ułożyły się w słaby uśmiezek.

- Nie bój się, Herr General. Jesteś zbyt mały i zbyt nikczemny, by uczciwy oficer chciał cię zastrzelić. Ale nie będę służył w takiej armii, jak dzisiejsza Armia Wielkoniemiecka!

- Brać go! - Wrzasnął generał.

Ale jeszcze zanim Oberstleutnant i jego łowcy głów zdołali zrobić ruch, Oberst włożył sobie lufę do ust i nacisnął spust.

Krótki, ostry huk. Pistolet upadł na ziemię.

Przez krótką chwilę Oberst stał sztywno na baczność. A potem zakołysał się nieco w przód i w tył, złożył się w pół jak scyzoryk i upadł prosto pod nogi generała.

Generał zrobił w tył zwrot i usiadł w swoim samochodzie, gdzie adiutant otulił jego krzywe, chude nogi czerwonym wełnianym kocem.

Ci, którzy stali blisko, usłyszeli jak mówił do swojego pierwszego oficera sztabu, Obersta.

- Niekiedy w życiu wpada się na śmiesznych głupców.

Zaczęli spychać pojazdy martwego Obersta w dół zbocza. Konie kwicząc potoczyły się wraz z nimi.

Ciało Obersta wrzucono na ciężarówkę a wkrótce po tym Horch z generałem artylerii znikł w dali na taśmociągu.

- Mój Boże! - Krzyknął Wschodnioprusak. - To Oberst z pewnością wiedział, jak złożyć dymisję.

Mały podskoczył i wrzasnął.

- Jest ciężarówka z naszej dywizji!

To była prawda. Wielka ciężarówka z naszym godłem, wymalowanym na tylnej klapie i przednim błotniku: dwoma krzyżami na niebieskim tle.

- Cześć, chłopie! - Zawołał Bauer. - Dokąd zmierzasz? Możesz nas zabrać?

- Zmierzam do Kolonii, głupia świni.

- Co powiedziałaś? - Krzyknął zdumiony Legionista.

- Masz brudne uszy? Powiedziałem do Kolonii - K-O-L-O-N-I-I - przeliterowałem.

Ze wszystkich stron żołnierze zaczęli wyciągać szyje. Nazwa „Kolonii” miała skutek bomby z gazem rozweselającym.

- Słyszeliście to? Ten osioł chce jechać do Kolonii.

- Upewnij się, że nie przeoczysz przesiadki, bo ten pociąg dojeżdża tylko do Wrocławia!

Huragany śmiechu. Wszyscy gdakali ze złośliwej radości.

- Czy pamiętałeś, by przy wejściu kupić bilet? - Zarżał jakiś podoficer, bijąc się po udach.

- Jeśli chcesz dostać się do Kolonii, lepiej zrób to na szewskim stołku, bo tym pudłem nigdy tam nie dotrzesz!

Artylerzysta wskoczył na stopień ciężarówki i zapiszczał.

- Chętnie dam ci przepustkę, abyś mógł pojechać na skróty! - Wręczył jedną ze zrzucanych z samolotów ulotek, jakie każdy niemiecki żołnierz na Froncie Wschodnim miał w kieszeni, pomimo grożących ciężkich kar. Ulotki były wydrukowane na wzór przepustki. Całe ich skrzynie zrzucali rosyjscy piloci.

- Czy zabierzesz nas do Berlina? - Zapytał złośliwie Legionista. - Tylko wysadź nas blisko stacji metra, a będziemy zadowoleni.

Gefreiter, któremu nic nie zmąciło spokoju, odpowiedział: chętnie, jeśli o was idzie. Po prostu wsiadajcie na pokład!

Wrzuciliśmy bagaże i wspięliśmy się do środka.

Przez rozbite tylne okienko kabiny Wschodnioprusak zapytał kierowcę: chłopie, czy ty serio mówisz o jeździe do Kolonii?

- Do diabła, tak. Mam zabrać jakieś ważne rzeczy dla naszego dowódcy.

Dał nam swój rozkaz wyjazdu i w zdumieniu przeczytaliśmy, że dla wykonania zadania specjalnego ciężarówka WH 381 556 została wysłana przez Lwów, Warszawę i Wrocław do Berlina, Dortmundu i Kolonii.

- Święta Mario, Matko Boża, musiałem zwariować! - Zawołał Bauer. - Jeśli to nie jest najidiotyczniejsza rzecz, jaką widziałem podczas tej wojny. Wysłać starą ciężarówkę na tysiące mil, by coś przywiozła!

- Czy to jest coś ważnego? - Zapytał Mały - Czy masz przywieźć coś z pralni dla naszej bandy?

- Tak, mój dowódca chce, abym mu przywiózł jego ślubne skarpetki na pozycję.

Następni żołnierze wgramolili się na ciężarówkę.

- Wojna wkrótce się skończy - orzekł brudny podoficer i trysnął strumieniem soku tytoniowego za burtę.

- Skąd wiesz? - Zapytał Stabsgefreiter w mundurze broni pancernej.

- Wczoraj rozmawiałem z Adolfem przez telefon - odrzekł podoficer. Rozejrzał się ostrożnie, jak by chciał sprawdzić, czy nie słucha nikt obcy.

- Adolf powiedział, że jest Gekados, że koniec wojny!

- To czemu jeszcze ją prowadzimy? - Zapytał mały, blade starszy szeregowiec piechoty.

- Nawiasem mówiąc, może wiesz, czemu Adolf już się nie pokazuje na froncie? Zapytał Stabsgefreiter.

- No?

- Boi się, że krzykniemy: führer, pójdziemy za tobą!

- Przecież zawsze to krzyczeliśmy - zauważył Bauer.

Stabsgefreiter przyjrzał mu się z bliska.

- Musisz być ze wsi?

- Zamknij się, kupo łajna! - Rugnął go Bauer. Ale Stabsgefreiter nie dał się przestraszyć groźnym głosem Bauera i mówił dalej.

- Adolf boi się, że weźmiemy go za słowo i pójdziemy za nim do Berlina.

Osiemnastoletni piechur w nowiutkim mundurze i z odznaką Hitlerjugend na piersi wstał z miejsca. Twarz miał kompletnie białą.

- Zabraniam wam mówić w ten sposób! To jest defetyzm, działający na rzecz nieprzyjaciela. Żądam, by wszyscy obecni w tym wozie podali mi swe nazwiska i stopnie służbowe. Jako Narodowy Socjalista jestem zobowiązany, by zameldować o ich zdradzieckich słowach.

Stein chwycił chłopca za pierś i cisnął go na podłogę ciężarówki.

- Czy będziesz tak uprzejmy, by się zamknąć, marionetko? Co za głupiec! Nie martw się, załatwimy cię na cacy!

Chłopiec wołał z dna ciężarówki o pomoc. By zagłuszyć jego hałasy zaczęliśmy śpiewać:

Ja, das Temperament, Ja, das Temperament, Das lieght mir so im Blut!

- Boże, jesteście zgubieni! - Krzyknął freiter. - Przed nami Rosjanie, za nami Rosjanie, ratunku! Jesteśmy otoczeni!

Mały zawył, przeskoczył przez burtę, przeleciał kawałek po równinie i dał nura w krzaki.

- Mille diables! - Zawołał Legionista i też skoczył.

Na całym taśmociągu żołnierze uciekali z pojazdów.

- Rattas! - Wrzasnął Wschodnioprusak uciekając na łeb na szyję jak najdalej od ciężarówki.

Trzy rosyjskie myśliwce szturmowe zapolowały na nas. Zamietli drogę na czysto szybkostrzelnymi działkami. Skuliliśmy się ze strachu i przycisnęliśmy się do ziemi.

Poczuliśmy uderzenie zimnego powietrza, nisko lecące samoloty z wyciem leciały nad nami. Na ich skrzydłach błyszczały czerwone gwiazdy. Zdawało się, że wyśmiewają się z nas.

- Jezu Chryste! - Kierowca zaklął obok nas - Mam w mojej ciężarówce 1600 galonów benzyny Jeśli nasi koledzy ją trafią, to na dobranoc będziemy mieli pogrzeb z ogniami sztucznymi i świecami bengalskimi!

Trzy samoloty zawróciły i znów pomknęły taśmociągiem. Wybuchające pojazdy wylatywały w powietrze.

Jacyś młodzi piechurzy naiwnie zaczęli strzelać do wyjących Rattas z karabinów i lekkich karabinów maszynowych.

- To się zaczyna robić niebezpieczne - mruknął Wschodnioprusak i jeszcze ciaśniej przytulił się do ziemi.

Mały Legionista zaczął podnosić się na nogi. Podniósł się do półkłęczącej pozycji i spojrzał w stronę drogi, gdzie paliła się cała cizba pojazdów.

Ze wszystkich stron rozlegały się krzyki „Sanitariusz!”. Ale nie docierały do naszych umysłów. Staliśmy się głusi na takie wołania.

Wschodnioprusak wciągnął Legionistę do dziury. Ledwie miał czas zawołać „Rzeźnik!”, nim z nieba spadło sześć myśliwców, jeden za drugim. Zanurkowały tak pionowo, że ich skrzydła wyglądały jak linie proste.

- Mają nas w celownikach! - Gdy ześlizgiwałem się na dno dziury, ta myśl przemknęła mi jak błyskawica.

Jedna grupa żołnierzy na taśmociągu nie zauważyła niebezpieczeństwa, nagle spadającego z wysokiego nieba. Rugał ją Leutnant saperów. Chciał, by stanęli na zbiórce.

Ze skrzydeł myśliwców błysnęły złośliwe, niebieskie płomyki. Były to ognie wylotowe ich działek. W tej samej chwili brudna powierzchnia drogi została schłostana i uniesiona w górę tak, że wydawało się, jakby z dużej wysokości zrzucono na nią parę worków kamieni.

Głośne wrzaski. Dzikie przekleństwa.

Legionista obu rękami robił groźne gesty w stronę samolotów, które z rykiem przelatywały nisko nad nami. Położyły się w wiraż trochę dalej nad równiną i znów wróciły nad nas.

Leutnant zgiał się w pół. Z jego szyi trysnął strumień krwi a głowa potoczyła się po drodze jak melon. Oczy miała szeroko otwarte. Jego czapka leżała porzucona trochę dalej.

Osiemnastoletni piechur wrzeszczał, biegnąc kilka kroków na kikutach nóg. Obie stopy miał odcięte tuż nad kostkami. Za nim krew kładła się na drodze parującą strugą.

Wśród żołnierzy, którzy wstali i zrobili najgorsze, co mogli w tych okolicznościach: zaczęli biec wzdłuż taśmociągu. Wybuchła ogólna panika.

Myśliwce dokonywały kompletnej rzezi, wbijając serię po serii w drżące ciała.

Leutnant w czarnym mundurze broni pancernej jednym długim skokiem wpadł do naszej dziury.

- Ohlsen - wydyszał. Był typowym oficerem frontowym, mając na ramieniu pistolet maszynowy, a pierś pełną odznaczeń.

Legionista uniósł głowę i spojrzał mu w oczy.

- Bon - powiedział, Kalb.

Ziemię wokół nas chłostano. Wszystko stało w płomieniach. Padał deszcz ognia.

Samoloty jeszcze raz powtórzyły nalot.

Przycisnęliśmy się do siebie i rozplaszczyliśmy ciała na ziemi.

Ogłuszający wybuch wyrzucił nas z dziury. Przetoczyły się po nas fale rozpalonego powietrza. Z drogi jak z wulkanu podniosło się morze ognia.

- Moje 1600 galonów benzyny - jęknął Gefreiter.

Aby jeszcze skuteczniej dokończyć działanie tych ogni sztucznych, samoloty zrzuciły serię bomb. Części pojazdów fruwały w powietrzu. A potem wszystko się skończyło. Samoloty zniknęły na wschodzie. W ich srebrzystych kadłubach odbijało się słońce.

Powoli wstaliśmy i poszliśmy w stronę drogi, gdzie rozrzucona była ogromna liczba zwęglonych ciał.

Oberst Luftwaffe objął dowództwo. Rozkazano nam oczyścić drogę z trupów i zniszczonego sprzętu.

Gefreiter, który miał jechać do Kolonii, stał i zrozpaczonym wzrokiem patrzył na swoją wypaloną ciężarówkę.

- To jest szaleństwo - powiedział. - A moje papiery spaliły się z ciężarówką.

Żołnierze nie należący do żadnej określonej jednostki, zostali sformowani w „doraźny” batalion.

Mały nadal ciągnął ze sobą swój worek. Każdemu z nas dał banana. Gefreiter artylerii przeciwlotniczej spytał, czy też może dostać. Zwrócił się do Małego per „towarzyszu”.

- Nie jestem towarzyszem dla żadnego niezdary z Luftwaffe. A gdy do mnie mówisz, powinieneś zwracać się per Herr Hauptgefreiter, Możesz być pewien, że jeszcze spotkasz się ze mną z tego powodu.

Kompania składała się z żołnierzy wszystkich broni i służb, od marynarzy do lotników frontowych. Były w niej reprezentowane wszystkie państwa Osi: Rumuni, Węgrzy, Bułgarzy, fiński kapral, Jugosłowianie oraz kapral włoskich bersalierów z kogucimi piórami u czapki.

Mały nie mógł się opanować. Uderzył służącego w żandarmerii Polaka w głowę swym hełmem i wrzasnął prowokacyjnie.

- Precz z szeregu, zdrajco!

To wywołało wiele hałasu w kompanii, z której dwadzieścia pięć procent stanowili ochotnicy z krajów okupowanych, jak Ukraina, Polska, Czechosłowacja i Jugosławia.

Leutnant Ohlsen próbował powściągnąć nastrój podniecenia i uciszyć gromkie głosy tych, których obraził wrzask Małego na temat „zdrajców”. Kozak z Tyflisu zamachnął się na Małego nożem i zaczął wrzeszczeć w łamanej niemczyźnie. Mały parsknął śmiechem i zawołał do Legionisty, idącego na tyle kompanii obok Leutnanta Ohlsena.

- Pustynny Włóczęgo, oni chcą pokroić mnie na kawałki, ponieważ powiedziałem im prawdę, mam ich pozabijać?

- Powinieneś zachowywać się przyzwoicie! Odkrzyknął Legionista.

Leutnant Ohlsen roześmiał się. Próbował napędzić stracha Małemu, górującemu nad wszystkimi, gdy szedł w środku formacji ze swym workiem na ramieniu.

Kozak przygotował się do podejścia do Małego z tyłu, ale Mały chwycił go za jego szeroki kark i pociągnął przed siebie.

- Lepiej idź z przodu, ty ochraniaczu nawet wtedy będę mógł cię widzieć i pomóc w wypadku gdybyś się poślizgnął na własnym gównie!

Polak w mundurze polskiej policji granatowej zaprotestował w imieniu Kozaka.

- Daj mu spokój. Jest ochotnikiem i walczył za Narodowy Socjalizm dokładnie tak jak ty i ja!

Mały rozdziawił usta, pochylił się i spojrzał polskiemu policjantowi w twarz. Przyglądał jej się starannie, jakby chciał się przekonać, czy to widok kogoś rzeczywistego, czy nie.

- Musisz mieć mędy w wątrobie! Nie walczę o nic takiego o czym ty mówisz, o nie! Walczę o to by ocalić swą szyję i o nic innego! Czy kiedykolwiek słyszałeś o Kołymie, ty gburze? Jeśli nie, po prostu poczekaj, a zobaczysz, gdy się tam dostaniesz. Gdy codziennie będziesz dostawał zgniłą rybę, W ten czas gdy Mały będzie sobie siedział w Bremie, napychając się angielskimi befsztykami!

- Zamknij jadaczkę, świnió! - Wrzasnął Polak, robiąc ruch swoim pistoletem maszynowym.

Wewnętrzną stroną dłoni Mały uderzył go w gardło z taką siłą, że ten przewrócił się. Z jego gardła wydobył się charkot.

- Samoobrona, zgodnie z regulaminem - uśmiechnął się Mały.

W kompanii podniósł się groźny pomruk.

Mały wyprostował się na całą swą wysokość.

- Jeśli ktokolwiek chciałby popełnić samobójstwo, wystarczy, że przyjdzie tutaj, a Mały z chęcią mu

dopomoże.

W ramię trafił go kamień. Akurat udało mu się zauważyć, że sprawcą był Czech w zielonym mundurze policji antysabotażowej.

Wyszczerzywszy zęby w groźnym uśmiechu Mały powoli podszedł do niego, ten zaś cofnął się przerażony. Ale Mały go złapał.

Szepnął do niego tak, jakby zwierzał się z tajemnicy państwowej.

- Czy jesteś całkiem przy zdrowych zmysłach? Czy chcesz, by ci dupę skopać na zimno? Ale co ty sobie myślisz, rzucając kamieniami w Honorowego Hauptgefreitera Sił Rozbrojonych Wielkich Niemiec? Nagle wydał przerażający ryk. - Co za cham!

Chwycił przerażonego, prawie sparaliżowanego człowieka za gardło, podniósł go nad głowę i cisnął na równinę.

Następnie powłócząc nogami obojętnie powrócił na swoje miejsce w szeregach, między Wschodnioprusakiem i mną.

- Co za kupa wariatów - powiedział, trzęsąc z rezygnacją głową. - Lepiej spadajmy stąd gdy tylko zrobi się ciemno. Ta banda przewyższa wszystko czego można się było obawiać. Czyste łamistrajki!

Zaczął śpiewać:

Wczoraj na jedwabnych poduszkach, Dzisiaj kulka w pierś, jutro w zimnym grobie.

Na ostatnim słowie zatrzymał głos bez końca Następnie splunął i uderzył polskiego policjanta prosto w zagłębienie na szyi.

W trzy dni później dotarliśmy do Płoskirowa gdzie mieszany batalion został rozwiązany i każdy musiał zatroszczyć się o siebie.

W Płoskirowie ujrzeliśmy pierwsze oznaki istnienia nowego i brutalniejszego gatunku policji. Dwóch starych piechurów powieszono na dwóch różnych słupach telegraficznych. Na ich piersiach wisiały tabliczki ze słowami, wypisanymi na czerwono.

Zbyt tchórzliwi by bronić Ojczyzny!

Zatrzymaliśmy się na chwilę, by popatrzeć na obu. Wisieli tu na środku placu targowego, kołysząc się na wietrze jak wahadła.

- Dla nich wojna się skończyła - zauważył filozoficznie Wschodnioprusak.

- Lepiej być wraz z bandą - zdecydował Stein - Wtedy ma się przynajmniej maleńką szansę ująć z życiem.

- Voila - powiedział Legionista, drapiąc się w nos. - Wiem, co to oznacza. Dobry znak. Taka sama rzecz wydarzyła się w górach Rifu, gdy Legia szykowała się do wycofania z gry. To pewna oznaka końca.

Podnieśliśmy się i poszliśmy dalej przez miasto.

Poszukaliśmy kwatery na noc w budynku, który wyglądał raczej na stodołę. Gdy weszliśmy, uderzył w nas smród zgniłych ziemniaków i spleśniałej trawy.

- Do diabła z tym - oświadczył Wschodnioprusak. - Zostaniemy tu i uderzymy w kimono.

- Wszystkie miejsca zajęte - doleciał pomruk z ciemności.

- Tym gorzej dla ciebie - krzyknął Mały, - ponieważ musimy mieć miejsce, sam rozumiesz. Ty będziesz pierwszy, który się wyniesie jako niepożądany.

- Zamknij się, parszywa świnio - odgryzł się głos z ciemności.

Mały wpadł w ciemność jak lokomotywa. Wkrótce mroki rozbrzmiały krzykami i wrzaskami, bluźnierstwami i przekleństwami.

Następnie dwóch pierwszych pofrunęło w powietrze. W kilka minut zrobiło się miejsce dla całej naszej siódemki.

Leutnant Ohlsen zaśmiał się cicho.

- Nazwałbym to byciem konsekwentnym!

Z najgłębszej ciemności ktoś zapytał: Mały, czy to ty?

Legionista zapalił polową latarkę, która ku jego zaskoczeniu ujawniła Ewalda, Ewalda Ciotki Dory. Mały wyprostował się.

- Święta Mario, Matko Boga, ty też w mieście? - Zwrócił się do Legionisty, nadal trzymającego Ewalda w stożku światła latarki polowej. - To nie oznacza, że jestem leniwy, Pustynny Włóczęgo, ale odrobinę zmęczony po łażeniu z tym stadem zdrajców. Gdy tylko trochę się prześpię, spuszczę Ewaldowi lanie jakie mu się należy.

Legionista kiwnął głową i przesunął stożek światła dalej, ukazując wielu śpiących ludzi.

Wydając okrzyk zachwyty Mały pobiegł po postaciach, śpiących na spleśniałej trawie. Udało mu się wytrącić latarkę z dłoni Legionisty, więc światło zgasło.

Usłyszeliśmy, jak w ciemności pomrukuje i woła z radością.

- Do wszystkich diabłów, jakie smakowite pomidory! Słyszeć się dało, jak włóczy się wśród klnących żołnierzy depcząc ich. Następnie rozległ się przenikliwy wrzask kobiety i w chwilę później ekstatyczny okrzyk Małego.

- Mam mięso na widelcu! Ach, co za słodycz!

Kilka kobiet zaczęło protestować.

- Pospieszcie się chłopcy i chodźcie tutaj! Tu się zatrzymał podróżujący burdel!

Zapaliła się latarka. Ujrzeliśmy, że to kapitan Obrugał Małego jak się patrzy.

To, co Mały wziął za podróżujący burdel, był jednostką, złożoną z sióstr Czerwonego Krzyża i telefonistek Luftwaffe. Mały był niepocieszony. Prawie musieliśmy użyć siły, by go powstrzymać. Leutnantowi Ohlsenowi udało się uspokoić kapitana, który przysięgał, że złoży na Małego meldunek o próbie gwałtu.

Wkrótce po północy obudził nas gorliwy tupot butów. Błysnęły latarki polowe. Brutalne głosy zażądały książeczek żołnierskich i rozkazów wyjazdu.

Potężnie uzbrojeni Łowcy Główni stali przed nami jak skały. Ich półksiężycowate odznaki pobłyskiwały złowrogo w mroku. Nieprzyjacielskie gniazdo karabinów maszynowych nie było tak niebezpieczne, jak ta odznaka.

Wszyscy byli przerażeni. Z Iwanem można dyskutować, ale nie z niemieckim Łowcą Głównym. Był wcieleniem wszelkiego zła i brutalności.

Po krótkiej chwili mieli swą pierwszą ofiarę. Podoficera artylerii. Opierał się gwałtownie, wrzeszcząc.

- Dajcie mi spokój. Puśćcie mnie! Towarzysze, czemu mnie nie puszczaacie! Nie zabijecie mnie, prawda? - Przez chwilę milczał, a potem cicho jęknął. - Towarzysze, musicie spróbować mnie zrozumieć. Mam dzieci, mam troje dzieci. Moja żona została zabita podczas nalotu. Muszę dostać się do domu, do dzieci. Na pewno wrócę!

- Zamknij się, świnió! - Warknął Feldwebel Łowców Głównych. Jego półksiężycowata odznaka błyskała iskrami znaków Morse'a. Sygnał śmierci.

Podoficer artylerii nagle zwariował. Był kompletnie szalony.

- Puśćcie mnie, brudne skurwysyny, parszywi mordercy kolegów! - Kopał i wrywał się dziko. - Nie chcę umierać! Mam troje dzieci. Bez matki. Nie chcę umierać!

Ale tego rodzaju rzeczy były dla Łowców Głównych wydarzeniami codziennymi. Bez odpowiedzi zaczęli go bić. Jeden z nich kopnął go w krocze, aż podoficer złożył się w pół z ochryłym jękiem. Przez chwilę leżał na ziemi jak kupa szmat. Nagle skoczył na równe nogi i rzucił się na najbliższego łowcę

głów, odpychając go niespodziewanym atakiem.

Strach przed śmiercią dał podoficerowi artylerii siłę dzikiej bestii. Uderzył Łowcę Głów w twarz, wyjąc jak zwierzę.

Reszta Łowców Głów ruszyła na pomoc koledze w potrzebie. Kolbami pistoletów maszynowych walili podoficera artylerii. Jego twarz zmieniła się w galaretowatą, krwawą masę łez i jęków.

Cisnęli go do stojącej za nimi ciężarówki, a następnie spokojnie kontynuowali patrol.

Hauptfelwebel zbadał nasze papiery z niesłychaną dokładnością.

- Pułk Pancerny Armii do wykonywania zadań specjalnych - mruknął. - Popatrzył na Legionistę i obdarzył Małego miażdżącym spojrzeniem. Jego wzrok przesunął się na mnie i na Wschodnioprusaka, a potem uważnie zatrzymał się na Steinie.

- Hm, a więc trochę okreśną drogą podążacie, zmęczeni bohaterowie, he? To wygląda na nielegalne oddalenie się od swej jednostki bojowej!

Zimne dreszcze przeleciały nam po plecach. Wiedzieliśmy, że doraźny sąd wojenny nie będzie słuchał żadnych tłumaczeń. W tych latających sądach wojennych byli bardzo zapracowani. Po dziesięćminutowym przesłuchaniu ciągnięto człowieka przed pluton egzekucyjny albo wieszano na drzewie

- Ostatnia jednostka, włóczęgi? - Mruknął, patrząc na nas złowrogo.

- Rezerwowy Szpital Wojskowy numer 19 w Hamburgu - wyszczekał Legionista.

- A teraz jesteście tutaj, wy rabusie trupów! Więc byliście na małej, przyjemnej wycieczce nad rosyjskie jeziora? Zapewne przypuszczaliście, że wojna wkrótce się skończy, he? - Pokazał na drzwi i zawołał podoficera, stojącego z wycelowanym pistoletem maszynowym. - Chodź tu, popilnuj tego stada świń. Podejrzani o dezercję! Wychodzić, biegiem!

Błysnęła mi myśl.

- A więc to koniec. - Kątem oka popatrzyłem na Małego i Legionistę. Byli bladzi, ale mieli obojętne miny wychodząc niespiesznie z budynku, popędzani przez brutalnego podoficera Łowców Głów.

Tuż za nami przewróciła się jedna z telefonistek.

- Przejście dla pań - uśmiechnął się łowca głów. Wycelowwał w twarz jednej z nich strumieniem soku tytoniowego.

Gdy chciała odwrócić głowę, ryknął.

- Trzymaj szyję prosto, suko! Są inni, którzy ci ją odwrócą, wierz mi na słowo!

Wybiegły cztery pielęgniarki. Jedna z nich upadła, gdy Feldwebel ją podciął. Inny żandarm kopnął ją w plecy. Wrzasnęła głośno.

Z ciężarówki doleciał pomruk.

- Zamknijcie się, świńscy dezercerzy! - Rozdarł się Leutnant z odznaką łowcy głów, wesoło błyszczącą na jego piersi.

Ewald Ciotki Dory wył, gdy ciągnęło go do ciężarówki dwóch wielkich żandarmów.

Legionista szepnął: -

Bon, zdaje się, że cała Armia Niemiecka dała nogę. Teraz już niedługo to się skończy i przyjdzie Iwan, by nas zabrać. Wtedy natychmiast wstąpię do Armii Rosyjskiej, by dostać pozwolenie odstrzeliwania Łowców Głów.

Podoficer z błyszczącą na piersi odznaką zajrzał do ciężarówki, ale nic nie zdołał dostrzec. Zadowolił się wrzaskiem.

- Zamknijcie jadaczki, sukiny! -

Trzy ciężarówki wypełnione połowem łowców głów pojechały do byłego więzienia GRU w centrum miasta. Tu przywitano nas uderzeniami i kopniakami.

Wszystkie cele były pełne. Przekleństwa i modlitwy odbijały się echem od szarych, wilgotnych ścian. Mały artylerzysta czołgowy wyrzaskiwał swoją nienawiść do Hitlera, wojny i Stalina. Obiecał wielkiemu żandarmowi z korytarza, że skręci mu kark, jeśli ten ośmieli się do niego podejść.

Jedna z telefonistek porwała całą swą odzież w strzępy i zaproponowała się żandarmowi z korytarza.
- Chodź tutaj, a dam ci wszystko czego chcesz, jeśli tylko po tym mnie wypuścisz szeptąła poufnie.
Rosyjska wiejska dziewczyna, która musiała liczyć się z tym, że zostanie zastrzelona, ponieważ ukrywała dwóch dezertków, wrzasnęła fanatycznie.

- Niech żyje Stalin! Niech żyje Związek radziecki! Śmierć Hitlerowi!

- I tobie, suko - odpowiedział żandarm.

Po przeciwległej stronie korytarza klęczał Hauptmann, modląc się w milczeniu.

Nie wiem w ilu miejscach Bóg jest wzywany, podczas ostatniej wojny Jego imię wykrzykiwano wszędzie. W setkach więzień osadzeni tam błagali go o miłosierdzie. Słyszałem o generale, dowódcy dywizji, modlącym się do Boga o pomoc przeciwko rosyjskim kolumnom pancernym, gdy jego pułki przeciwpancerne zaprzestały walki.

Adolf Hitler w swych przemowach wykrzykiwał imię Boga i modlił się o jego obronę Wszechniemieckiej Rzeszy, a w tym samym czasie jego jednostki SS wieszały kapłanów w obozach likwidacyjnych. Ci zaś kapłani ze swej strony wzywali imienia Boga, aż rozlegało się wśród ponurych, zawieszonych baraków, do chwili, gdy ich krzyki dusił sznur.

Esesmani, u których w kieszeniach znaleziono złote zęby, byli skazywani na śmierć przez któryś z licznych sądów wojennych, bełkotali do Boga o pomoc. Oczywiście mieli na myśli, by Bóg im pomógł znów włożyć mundur SS.

Ale Bóg był głuchy. Nie słyszał skazańców w więzieniu GRU. Nie słyszał księży pod szubienicami w obozach likwidacyjnych. Nie pomógł generałowi przeciw czołgom T 34. Nie ulżył bólom amputowanych w szpitalu wojskowym.

Bóg był głuchy.

Było wiele prawdy w tym, co powiedział mały Legionista. - Naładowany pistolet maszynowy i pęk granatów są lepsze, niż parę Biblii i kapelan.

Po kolei ciągnięto ich przed sąd wojenny, urzędujący w gabinecie byłego szefa GRU.

Każdemu rzucono te same słowa: nazwisko, wiek, jednostka wojskowa. Krótki szept między trzema sędziami i szelest papierów. Dokładnie sześćdziesiąt sekund. Wtedy mały sędzia w błyszczących okularach bez oprawek wyszczeniwał następne pytanie.

- Czy masz coś do powiedzenia na swoją obronę?

Ale nim oskarżony zdołał właściwie rozpocząć, sędzia mu przerywał.

- Bzdury, wiemy wszystko na ten temat.

Znów trochę szeptów między nimi trzema.

Pieczętka uderzała w papiery. Na koniec sędzia przewodniczący przykładał swój podpis gumową pieczętką do całości sprawy.

- W imieniu Führera i narodu niemieckiego skazany na śmierć przez rozstrzelanie. Następny.

Znów i znów. Godzina za godziną. Przywódcy Trzeciej Rzeszy uważali, że w ten sposób mogą wygrać wojnę.

Na drugim końcu korytarza, gdzie schody pięły się w górę, dał się słyszeć ochryply szept.

- Gęsiego za mną!

Przybył pluton egzekucyjny.

Z szybkością błyskawicy otwarto drzwi wybierając na chybił trafił. Więźniowie nigdy nie potrafili zgadnąć, czyja będzie kolej.

Pielęgniarkę, ponad pięćdziesięcioletnią, trzeba było zanieść na podwórze. Rzuciła się na podłogę i odmówiła wstania. Wtedy przywiązali ją do pala, z rękami uniesionymi wysoko nad głową. Te krótkie komendy. Trzask dwunastu wystrzałów.

Na małe podwórko przyprawiono następne.

Ta sama procedura, z krótkimi przerwami przez cały dzień i noc. Co dwie godziny pluton egzekucyjny zastępowany był przez nowy zespół.

Hauptmana wyciągnięto za nogi. Chwytał każdego żelaznego pręta, każdej poręczy. Za każdym razem kopali go w dłonie, aż w końcu były parą krwawych kikutów mięsa.

Ryczał jak ranny byk. Zastrzelili go gdy leżał.

Ewald darł się wariacko, gdy po niego przyszli. Jakoś udało mu się im wymknąć i ruszył w wyścig po różnych piętrach. W końcu przeskoczył przez poręcz na czwartym piętrze i złamał sobie obie nogi, lądując na dnie szybu.

Przywiązali go do słupa i zastrzelili.

Kierowca ciężarówki, który miał jechać do Kolonii i zgubił wszystkie papiery, gdy jego pojazd się spalił, poszedł po swe dwanaście pocisków pod słupem jak odurzony.

W dwa dni później jego pułk zgłosił go jako zaginionego, ale było za późno.

Zanim nasza piątka stanęła przed sądem wojennym Łowcy Główny ku swemu wielkiemu żalowi musieli nas wypuścić. Leutnant Ohlsen pojawił się z papierami z pułku, stwierdzającymi, że jesteśmy pod jego dowództwem, a nie dezertkami.

Kazano nam jechać do Dubna, gdzie stacjonował nasz pułk.

Obcy Feldwebel nawet nie celując wystrzelił serię do niewidzialnych przeciwników w lesie.

Odpowiedzią był deszcz pocisków. Wzbił kurz wokół dziury, w której leżeliśmy.

Feldwebel ponownie nacisnął język spustu i opróżnił magazynek w krzaki.

- Osioł - mruknął Legionista. Wyrwał karabin maszynowy z rąk Feldwebela piechoty. I jak strzela! Legionista wypełził z dziury, przyciśnięty jak kuropatwa. Uniósł pistolet maszynowy i omiół skupionym ogniem każdy krzak po kolei.

Z krzaków niewiele zostało. Legionista Zmienił magazynek i znowu strzelał.

ROZDZIAŁ XIII Znow na froncie

W 5. Kompanii przyjął nas Stabsfeldwebel Barth, ksywa „Grubasek”. Mały zmienił ją na „Tłuścioch”.

Obejrzał nas dokładnie swymi małymi świńskimi oczkami pod dużą nieprzepisową czapą kawaleryjską, którą ozdobił się jak oficer. Jegomość przesunął się z lewa na prawo i znow z prawa na lewo.

To co ujrzał, wyraźnie go zaniepokoiło. Na jego okrągłej, świńskiej twarzy pojawiły się posępne zmarszczki. Wyglądał, jak zepsute dziecko tuż na chwilę nim zacznie wrzeszczeć i walić pięścią w swą miskę kaszki. Wysunął swą mięsistą dolną wargę i zaczął obmacywać notes, wystający między trzecim i czwartym guzikiem jego płaszcza.

Pokiwał głową jakby potwierdziły się jego najgorsze podejrzenia. Nadał się przed Wschodnioprusakiem i zapytał

- Jak się nazywasz?

- Otto Bülow.

- Ach, doprawdy? Może jesteś admirałem floty łodzi podwodnych księstwa Lichtenstein?

- Nie, jestem Gefreitem.

- Na litość Chrystusa, doprawdy? - Szepnął Grubasek. - A ja przypuszczam, mój czcigodny Herr Gefreiter, że ja jestem tylko koszem okopowego błota? - Grubas podsunął swą wielką głowę prosto pod nos Wschodnioprusaka i czekał na odpowiedź.

- Nie, jest pan Stabsfeldweblem.

- Możesz się założyć, że jestem Stabsfeldweblem, jaskiniowcu. Nie masz szczęścia, ty torbo małych bździn. Kim jesteś? Jak się nazywasz? - Wywrzeszczał ostatnie słowa prosto w twarz niskiego, krępego Wschodnioprusaka. Jego głos rozbrzmiał wśród nędznych chłopskich chat, rozdzierając szarą, ponurą mgłę.

- Herr Stabsfeldwebel, Gefreiter Otto Bülow melduje się zgodnie z rozkazem do służby w 5. Kompanii 27. Pułku po wypisaniu z 19. Rezerwowego Szpitala Wojskowego, Hamburg.

- Padnij! - Warknął Grubas. Strzelił tymi świńskimi oczami we Wschodnioprusaka, który błyskawicznie rzucił się w błoto i przyjął przepisową pozycję wartowniczą, z obu obcasami przyciśniętymi do ziemi.

Grubas obejrzał go dokładnie, nastąpił mu na tyłek i wrzasnął: całym ciałem na ziemi, ty szcurze wodny!

Następnie stanął górując nad małym Legionistą, ale nim zdołał cokolwiek powiedzieć, Legionista stuknął obcasami i zagadał na sposób żołnierzy weteranów.

- Gefreiter Alfred Kalb, Herr Stabsfeldwebel, melduje swój powrót po hospitalizacji w 19. Rezerwowym Szpitalu Wojskowym, Hamburg.

Barth spojrział na niego, obszedł go dwukrotnie i stanął za nim, czekając, czy ten ruszy chociaż palcem.

Nic w tym rodzaju. Legionista trzymał się sztywno jak potrafi tylko żołnierz z wieloletnim okresem służby.

Barth zdjął Legioniście czapkę i krótko oświadczył: włosy za długie, z naruszeniem regulaminu Padnij, afrykański sukinsynu.

- I co my tu mamy? - Mruknął, dotykając palcem mego ramienia.

- Chorąży pocztu sztandarowego Sven Hassel Herr Stabsfeldwebel, melduje powrót z 19. Rezerwowego Szpitala Wojskowego, Hamburg.

Pociągnął mój pas i stwierdził: zbyt lekko Ubrany niezgodnie z regulaminem. Padnij!

To samo wydarzyło się Steinowi. Wrzask i padnij!". Ostatnie słowo zabrzmiało jak detonacja.

W końcu nadał się przed Małym, który był dokładnie taki wysoki i szeroki jak on. Ale tam, gdzie Barth miał tylko tłuszcz i ciało, Mały miał ogromne mięśnie. Przy najlżejszym ruchu widać było, jak napięte mięśnie grają mu pod skórą. Jego szeroka pierś wystawała wielkim łukiem nad płaskim brzuchem. Twarz miał karykaturalną, z niskim czołem i z dwoma małymi, bystrymi oczkami, błyszczącymi chytrą. Nos płaski i guzowaty, zniszczony niezliczonymi bójkami, usta skrzywione i nie stosujące się do żadnych znanych praw anatomii.

Grubas spojrział na niego i nie mógł uwierzyć własnym oczom.

- Wielki Boże, co to za twarz? Czy cokolwiek może być tak odrażające? Nie potrafię tego pojąć!

- Mnie to też zdumiewa - odpowiedział Mały, przechylając głowę i uśmiechając się rozkosznie. - Nawiasem mówiąc, nazywają mnie Mały, ale to nie jest moje prawdziwe nazwisko. Moja matka, ta świnią, zdecydowała, że mam mieć na imię Wolfgang, jak klawiszojebca Mozart, na wypadek, gdybym miał głowę do muzyki. A potem nazwała mnie Leo, jak kłamliwego rosyjskiego pisarza, gdybym poszedł tą ścieżką. Ale ponieważ wszystkie znaki wskazywały, że będę chuliganem, matka pomyślała, niech ją diabli wezmą, że lepiej będzie dać mi imię kogoś z tego gatunku i ostatecznie dostałem imię Helmuth, jak Herr Feldmarschall von Hindenburg. Ale nikt nie potrafił zapamiętać tych

wszystkich imion i wszystko zostało zredukowane do „Małego”. Po moim starym, tym pijaczynie, mam na nazwisko Creutzfeld, co jest całkiem proste, z „C” na początku, jak „cukier”, ale czyta się „K”, jak „krowa”. Jeśli chodzi o resztę, to mam hemoroidy i nogi mi się pocą, a od czasu do czasu mam śmierdzący oddech. A pan jest Stabsfeldwebel Barth, a ja za chwilę położę się obok reszty facetów, więc proszę sobie nie zawracać głowy dawaniem komendy. Od tego całego wrzasku może pan zachrypnąć. To się wydarzyło strażnikowi więziennemu w Fuhlsbüttel, gdzie odsiedziałem trzy miesiące za uczciwe włamanie do sklepu spożywczego w „Wielkiej Wolności”. Gdy wyszedłem spuściłem temu idiocie takie lanie, że wyglądał na rozgnieciony pomidor.

Mały powoli przygotował się do padnięcia obok reszty z nas.

Niebiosom tylko wiadomo, co Grubas pomyślał sobie w tym momencie. Jego mózg wykazywał wszelkie objawy paraliżu. Podczas swej długiej służby nigdy nie doświadczył czegoś podobnego. Złamał wiele opornych charakterów, poskromił więcej bezczelnych facetów, niż zdołał zapamiętać, Pompatycznych osłów wykształconych na uniwersytetach, paradujących z napuszonymi duszami i okularami bez oprawek. Wtarł im nosy w ziemię i to tak dokładnie, że nigdy się z tego w pełni nie otrząsnęli. Reputacja brutalności Grubasa sięgała daleko poza granice jego dywizji. Nikt nigdy nie ośmielił się odpowiedzieć Stabsfeldwebelowi Barthowi w taki sposób, nawet gdy spał.

- Co u diabła! Pocące się nogi, hemoroidy, śmierdzący oddech! Co za tępy głupiec! Potrzęsnał głową, zupełnie nie wiedząc co robić. Wreszcie zaczął wrzeszczeć i kląć, co jest normalnym Sposobem szukania przez podoficera odprężenia, gdy zagraża mu załamaniem z wściekłości. Zawsze wrzeszcząc można pomyśleć, co robić dalej.

Grubas wrzeszczał i klął bardzo długo.

Mały obserwował go z zainteresowaniem. Wyglądał, jakby chciał się założyć o to, jak długo Barth to wytrzyma.

Grubas pogonił Małego brudną uliczką wioskową.

- Padnij na glebę, ty sukinsynu! - Wrzasnął. - Szybko marsz, marsz, marsz! Skok w miejscu, skok! Do jasnej cholery, zmuszę cię, byś zapiszczał, nędzny szurze! Zanim z tobą skończę, spocą ci się dziury w uszach! Padnij! Pełzać naprzód! Podskoki w miejscu, stopy złączone! Biegiem marsz, marsz! Padnij! Pięćdziesiąt pompek! Prędszej, ty leniwy łajdaku. Darł się dziko. W najmniejszym zakątku wsi słyhać było jego zwierzące wycie.

Mały uśmiechał się, padał na ziemię i uśmiechał się. Mały biegał, skakał, ale uśmiechnięta mina nigdy nie zniknęła z jego twarzy. Gdy stał na baczność, uśmiech trwał jak dotychczas. Gdy pełził na brzuchu przez strumień i jak foka gramolił się na przeciwny brzeg, przez cały czas uśmiechał się.

Zanim uśmiech znikł z twarzy Małego, Grubas stracił oddech.

- Gdy widzę twój stopień służbowy - syczał plując Grubas - zimne dreszcze biegną mi po plecach. W moim przekonaniu każdy, kto jest Hauptgefreiterem, żył zbyt długo.

Znowu splunął i skrzywił się.

Na chwilę zapanował spokój. Głośno rozmyślając, Grubas spojrzał na stojącego przed nim sztywno na baczność Małego, całego wysmarowanego błotem.

Ich spojrzenia spotkały się. Trudno powiedzieć co każdy z nich myślał, ale ich myśli zdecydowani nie były przyjacielskie.

Mały był tym, który przerwał milczenie.

- Hauptgefreiter Ma... - Poprawił się pospiesznie - Wolfgang Creutzfeld prosi o urlop, Herr Stabsfeldwebel. - Uśmiechając się do Grubasa ciągnął dalej. - Trzytygodniowy urlop na zawarcie małżeństwa. Mam się ożenić z mocną dziewczyną imieniem Emma. Jest moją narzeczoną, Herr Stabsfeldwebel. Gorąca babka.

Bartha po prostu zatkało. Zesztywniał zupełnie. Jego dolna szczęka opadła jak roleta, która wypadła z zawiasów.

- O co prosisz? - Wyjąkał.

- Urlop - uśmiechnął się Mały. - Mam się ożenić, Herr Stabsfeldwebel.

Grubas całkiem zbiełał na twarzy. Cała jego postać zmieniła się. Zachwiał się. Jego przymrużone oczka otworzyły się szeroko i stały się okrągłe i duże. Zsunął czapkę na tył głowy i zagapił się. To przekraczało wszelkie granice. Był przekonany, że za parę sekund nastąpi koniec świata. To było po prostu niemożliwe. Nie było przecież możliwe, by człowiek którego pogonił tak gorliwie może stać przed nim i z całkowitym opanowaniem i głupim uśmiechem na twarzy prosić o urlop. Gość, który przez ostatnie cztery miesiące bumelował w wojskowym szpitalu. Dureń, któremu ledwie udało się uchronić przed sądem wojennym. Nie, to musi być sen. Coś takiego po prostu nie mogło się wydarzyć. To było niewojskowe. Niezdyscyplinowane. Jeśli taka rzecz może się wydarzyć, równie dobrze można wrzucić wszystkie wojskowe regulaminy do ognia, i to zaraz. Ale nie, na Boga, to była prawda. Tu przed nim stoi człowiek naturalnej wielkości, składając prośbę! I na dodatek ten wielki, głupi baran się uśmiecha paskudnym, głupim uśmiechem, który może człowieka doprowadzić do szaleństwa. Do tego był na tyle bezczelny, by przed jego oczami, oczami Stabsfeldwebela Herberta Bartha, zwanego „Żelaznym Herbertem” jeszcze w szkole podoficerskiej w Berlinie, przyjąć niewyobrażalnie niedbałą postawę. Przed najtwardszym Stabsfeldweblem w całej 4. Armii Pancерnej.

Barth stał i gapił się. Przez całe jego ciało przebiegło drżenie. Krew napłynęła i odpłynęła z jego pucołowatych policzków.

Wreszcie stanął twardo nogami na ziemi. Wyglądał, jak przeciwczołgowa zapora drogowa, którą można usunąć tylko materiałami wybuchowymi. Jego otwarte usta przypominały parującą przepaść. Z głębin tej przepaści wydobył się głos, który nie był wrzaskiem, nawet nie rykiem. Był to czysto zwierzęcy głos, długi i obłąkańczy.

Cymbrowie musieli wyć w ten sposób, gdy całą masą przekraczali Dunaj, by zalać prowincję Noricum, aby rabować, palić i gwałcić.

Ale zakończenie było tak kulawe, jak gwałtowny był początek.

W samym środku swej furii Grubas zauważył, że Mały się uśmiecha. Stabsfeldwebel wiedział, jak wszyscy weterani tego stopnia, że starego Hauptgefreitera można przeganiać do nieskończoności. Ale nigdy do tego stopnia, by Hauptgefreiter zaczął się uśmiechać. Gdy to się zdarzyło, oznaczało niebezpieczeństwo. Uśmiech był oznaką zbliżającego się pomieszania zmysłów, wrzącego i parującego szaleństwa, które uśmierzyć można tylko dobrze wycelowaną serią z pistoletu maszynowego. Ale na długi czas nim się to zdarzy, Grubas zostanie rozdarty na kawałeczki i rozrzucony jak mielonka po całej wsi.

Rzucił Małemu pełne złości spojrzenie i powiedział zupełnie cicho.

- Wynoś się, wszyscy się wynoście! I niech was spotkam tylko jako nazwiska na liście zaginionych! - Pokazał palcem Małego.

- A ty już nigdy nie będziesz chciał mnie oglądać.

- Zrobił w tył zwrot i prawie biegiem oddalił się do swego biura.

Wraz z oddziałem zaopatrzeniowym pomaszzerowaliśmy na pozycję, gdzie 1. i 3. Batalion walczył jako piechota.

Jak zwykle pułkowi brakowało czołgów.

Ujrzawszy Małego, Joseph Porta dostał ataku histerycznego śmiechu.

- Ach, ty pełna wdzięku panno młoda! - Wybuchnął radością. - Wróciłeś już do twego kraju wielka

krowo?

Mały mruknął coś na temat „walnięcia pięścią w twarz” oraz „papierowego żołnierzyka”, ale Porta to nie obeszło. Gdakał dalej rozkosznie.

- Spotkanie cię tutaj to najlepsza rzecz, jaka się od długiego czasu zdarzyła. Jedyna rzecz jaka może to przewyższyć, to abyś teraz dostał kulę w łeb zamiast w dupę, jak ostatnim razem. Tego dnia włożę mój świąteczny mundur i schlam się nieprzytomnie.

Mały zaczął groźnie wymachiwać rękami, Portce przewidująco udało się utrzymać pewien dystans między nimi.

- Mały, czy po operacji dupa ci się skurczyła? - Zawołał. - Słyszałem, że teraz masz jej tylko połowę. Czy to prawda?

- Jak cię dostanę w swoje ręce - warknął Mały, - nie będziesz jej miał w ogóle! Schyliwszy się rzucił w Portę pustą łuską po pocisku. Ten ledwie uniknął trafienia ciężkim kawałem stali, który mógłby zmiażdżyć mu czaszkę.

Podszedł do nas Stary, kołyszającym się jak u marynarza krokiem.

- Wróciliście do gnoju - powitał nas w swój zwinny, ale ciepły sposób, równocześnie namiętnie pociągając ze swej starej fajki z wieczkiem. - Müller nie żyje. Iwan złapał go podczas natarcia. Znaleźliśmy go w trzy dni później... Wiecie.

Wschodnioprusak uniósł brwi.

- Rozciągniętego między dwiema brzoźami?

- Niestety - potwierdził skinieniem Stary. Hugo Stege jest na urlopie w Berlinie, choć w rzeczywistości jechał do Dortmundu. To coś w związku z dziewczyną, jak pisał w swym ostatnim liście.

- Co to za kurwa, w której się zabujał? - Zapytał Mały. Wytał nos w palce, które otarł o siedzenie swych spodni.

Nikt nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć. Dyskusowanie z Małym o kobietach było bezcelowe.

Schyleni w pół przeszliśmy rowem dobiegowym do bunkra 1. Plutonu.

Gwizdnął pocisk. Jakiś podoficer wydał krótki okrzyk i zwałił się na ziemię. Punkt trafienia był dobrze widoczny: tuż pod hełmem, między oczami.

- Syberyjski snajper - powiedział Porta.

Legionista szturchnął martwego nogą.

- On nawet nie poczuł stuknięcia.

Razem wypchnęliśmy trupa na brzeg okopu i potoczyliśmy w dół zbocza. Podniosło się trochę kurzu.

- Amen - powiedział Porta. Poszliśmy dalej do bunkra.

Gdy późnym wieczorem siedzieliśmy w bunkrze grając w oko przyszedł do nas Leutnant Ohlsen. Przejął dowództwo kompanii po Leutnancie Harderze, zabitym parę dni temu. Usiadł na puszcze od maski gazowej i po kolei każdego z nas obejrzał.

Porta wręczył mu manierkę z koniakiem. Wsadził kciuk do szyjki manierki, obrócił nim dookoła i napił się, dokładnie tak, jak my wszyscy, odchrząknął i otarł usta wnętrzem dłoni.

- Beier - zwrócił się do Starego, - ty i twoja akcja Numer Jeden tej nocy pójdziecie na wycieczkę, jeśli chcesz, możesz wyznaczyć kogoś innego na przywódcę sekcji. Pułk wydał rozkaz, by wziąć jeńców

- Święta Matko Kazańska! - Warknął ze złością Mały, rzucając swe karty na stół. Niech tylko front uspokoi się na krótką chwilę, a bezcelne oddziały z dala od niego zaczynają natychmiast czuć swędzenie.

Leutnant Ohlsen roześmiał się głośno.

- A kto powiedział, że masz pójść, Mały?

- Herr Leutnant, muszę. Jest moim zadaniem, aby być pielęgniarką dla zmęczonych bohaterów. Wystarczy popatrzeć na Juliusa Heide. Jest głupi jak osioł i wszystko psuje, jeśli Małego nie będzie w pobliżu, by go klepnąć w szczękę.

Stary zaczął zakładać pas. Mały Legionista wstał.

- Stary, zostań tu. Ja poprowadzę sekcję. Masz żonę i dzieci, a tacy ludzie jak ty będą potrzebni, gdy wojna się skończy. - Machnął ręką w stronę pozostałych. - Mały, Porta i cała reszta nadają się tylko do kosza na śmieci. Nie ma większego znaczenia, jeśli zostaniemy wysadzeni prosto do nieba.

Stary potrząsnął głową z uporem.

- Mylisz się, Pustynny Włóczęgo. Idę z wami i to nie będzie Pierwsza Sekcja, jak chce Leutnant Ohlsen, ale Numer Dwa i ja ją poprowadzę. Na ten czas pluton przejmie Chorąży Paust.

- Święty Mojżeszu - jęknął Wschodnioprusak, zdzierając swe rzemienie. - Co za klub bohaterów! Nigdy nie można odejść na emeryturę.

- Zamknij swą brudną królewiecką gębę, albo walnę cię w jadaczkę - zagroził Porta.

O jedenastej w nocy staliśmy w okopie gotowi do wyjścia. Dowódca pułku, Oberstleutnant Hinka, przyszedł osobiście na pozycję, by nas przypilnować.

Mały zrzędził.

- Dr Mahler powiedział, że mam się pilnować, ponieważ jestem odrobinę opóźniony, ale oczywiście tutaj nikt nie zwraca na to uwagi. Kto ma przejąć kierownictwo, jeśli są kłopoty? Mały? Moja dobra, Święta Matko Kazańska, co to za gówniana wojna!

- Skończ z tym, Mały - zaśmiał się Oberst Hinka. - Pewnego dnia twoja niewyparzona gęba zapewni ci powrót wokół szyi!

Uzgodniono zegarki.

- Jedenasta zero dziewięć co do minuty - powiedział Hinka, regulując swój.

Z odcinka na prawo do nas dobiegł odgłos ognia artyleryjskiego. Lekkiego, nękającego ognia.

- To jest na odcinku 104. Pułku Strzelców - stwierdził Legionista, śledząc spojrzeniem długi jak ogon komety ślad pocisku raketowego.

Mały usiadł na skraju okopu, napychając się sucharami i krwawą kiszka.

Zauważył go Grubas, który przybył z oddziałem zaopatrzeniowym. Stał przez chwilę, przyglądając się żarłokowi. A potem wybuchnął.

- Niech ci Bóg pomoże, ty błazeńska małpo, jeśli nadejdzie meldunek o choćby najmniejszej okruszynie skradzionego suchara. Wtedy stracisz swą kapuścianą głowę za plądrowanie. - Zaczerpnął głęboko powietrza. - Będzie to najwspanialszy dzień mego życia, gdy postawię cię przed sądem wojennym, który handluje tylko wyrokami śmierci

- Oczywiście, Herr Stabsfeldwebel - uśmiechnął się Mały, z ustami pełnymi sucharów. Stuknął obcasami nie wstając z miejsca.

Grubas otworzył i zamknął usta. A potem zapytał oskarżycielskim tonem: skąd masz suchary?

Mały ponownie stuknął obcasami, nie zmieniając swej wygodnej pozycji na brzegu okopu.

- Od kurwy w Dubrasna, Herr Stabsfeldwebel Przysłała mi je przez własowskiego Kozaka na starej, pstrokatej kobyle.

- Bezczelny typ - parsknął Grubas.

Chętnie powiedziałby więcej, ale zaniemówił i wycofał się szybko. Poczul się nieswojo od spojrzenia Obersta Hinki, które miało taki wyraz, jakby mówiło: czy to nie byłby dobry pomysł, gdybyś ty i twój oddział szturmowy ruszył wreszcie naprzód? - Sama ta myśl wystarczyła, by Grubas cały się wstrząsnął. Co za pomysł miała ta oficerska małpa, by ściągnąć tutaj jego, Feldwebela - szefa

kompanii, na pozycję, jakby podoficer z dowództwa miał tu cokolwiek do roboty? Piekielnie wariacki pomysł! Te oficerskie szczeniaki wyobrażają sobie, że kimś są. Nie, kręgosłupem armii są starzy, zawodowi podoficerowie. Czy sam führer nie był, ni mniej, ni więcej, tylko zwykłym podoficerem? A przewyższył ich wszystkich. Głupie złote bażanty. Grubas zaśmiał się głośno na myśl, że generałowie muszą stukać obcasami na kościstych nogach przed podoficerem. Oberst Hinka spojrział na niego zdziwiony i zapytał, na czym polega dowcip.

Grubas zmieszał się.

- Herr Kommandant, przyszło mi do głowy coś śmiesznego.

- Doprawdy? - Odrzekł Hinka. - A nie przypadkiem myśl o oddziale szturmowym w pełnym uzbrojeniu?

Leutnant Ohlsen uśmiechnął się.

- Może Stabsfeldwebel chciałby się przyłączyć?

Mały zawył.

- Wtedy zesrałby się w portki!

Hinka ostro spojrział na Małego.

- Bądź tak uprzejmy, by trzymać gębę zamkniętą i oszczędź nam twych głupich wypowiedzi. Stabsfeldwebel jest twoim przełożonym. Nie zapomnij o tym. Mały stuknął obcasami i zagadał.

- Oczywiście, Herr Kommandant. Z pewnością nigdy tego nie zapomnę. Choć bardzo bym chciał.

Hinka z trudnością utrzymał powagę, ale udało mu się mruknąć: pilnuj się!

- Gotowi, Beier? - Szepnął Leutnant Ohlsen klepnawszy Starego w ramię.

Mały zajął miejsce za Starym, trzymając swój lekki karabin maszynowy jak łopatę. Oberst Hinka potrząsnął głową z rezygnacją, ale nic już nie powiedział. Dyskusja z Małym o regulaminie była po prostu beznadziejna.

- Trzymajcie sprzęt do kopania w rękach, by nie grzechotał - powiedział Stary. - I upewnić się, że macie się wzajemnie na oku, aby nikt się nie zgubił.

Przetoczyli się przez skraj okopu i popęzli się na brzuchach przez ponurą ziemię niczyją w stronę rosyjskich pozycji.

Pełzli bezszelestnie naprzód wzdłuż przejścia, przeskoczyli jak pantery przez drogę i znów pełzli ostrożnie przez leżącą przed nimi jak aksamitna ściana ciemność. Legionista i Stary. Pełzli tuż za Starym. Za nimi byli Mały i Porta. Heide ciągnął niewielką torbę z wiązkami granatów do zniszczenia bunkrów. Dyszał głośno jak by miał astmę. Zawsze to robił gdy się bał.

Otaczał nas złowieszczy mrok. Ziemia oddychała. Nad bagnem wstawały opary. Pachniało spróchniałym drewnem.

Czuli się straszliwie samotni. Śmierć kroczyła ze wszystkich stron.

Stary bezgłośnie poprawił swój ciężki plecak i sprawdził, czy długi magazynek pistoletu maszynowego zaskoczył. Heide przesunął dłońmi po granatach, które miał za cholewkami butów.

Wschodnioprusak pchnął przed siebie łopatkę do okopywania.

Mały szykował się do zapalenia papierosa.

- Imbecyl - szepnął Legionista. - Czy chcesz nas wszystkich wysłać do nieba w charakterze aniołków?

- Świnia - odparł Mały półszepem.

- Zamknij się, człowieku - szepnął w odpowiedzi Stary.

Bauer położył głowę na torbie z granatami ręcznymi.

- To się nie może dobrze skończyć - wyszeptał pesymistycznie.

Leżąc przyciśnięci do siebie, popatrzyli ponad kopcem ziemi w stronę rosyjskich pozycji, które

były nieprzyjemnie blisko. Wystarczyło wyciągnąć ręce, aby dotknąć nieprzyjacielskiego pola minowego.

Mały ustawił karabin maszynowy i spojrzął na Starego.

- Jak zamierzasz przedostać się przez pole minowe?

Legionista zagryzł wargi.

- Trafimy do bozi zanim zdołamy powiedzieć „buuu”. - Więcej nie powiedział.

Dobiegł do nas jakiś dźwięk. Cichy brzęk. Napięliśmy wszystkie mięśnie ciała.

- Śmierć i potępienie! - Wyszeptał Porta. Trącił Małego. - Uważaj z lewej!

Znów brzęk w ciemności i ciche przekleństwo. - Job twoju mat!

- Iwan we własnej osobie - radośnie zaszeptał Mały.

Stary wymierzył mu wściekłego kopniaka.

Nie odezwał się, choć czuliśmy, że chce coś powiedzieć.

Przycisnęliśmy się płasko do ziemi i wstrzymaliśmy oddechy. Mały ustawił karabin maszynowy na pozycji, gotów wymieść z nieprzyjaciół cały teren do czysta.

Porcie w ciemności zabłyśły oczy, trzymał w ręce nóż bojowy. Stein odkręcił kapsel granatu ręcznego. Porcelanowe kółko cichutko brzęknęło.

Z ciemności dobiegły odgłosy śmiechu.

- Mille diables - wyszeptał Legionista. - Wkrótce zapomni jak się śmiać.

Cztery ciemne postacie wynurzyły się z mroku o parę metrów przed nami. Abyśmy wzięli jeńców wystarczyło nam wyciągnąć ręce. Problem rozwiązany bez żadnego kłopotu. Jakże łatwo to wyglądało.

- Na nich! - Szepnął Stary.

Bezgłośnie, jak na kocich łapach, podkradaliśmy się do czterech postaci, które nie miały najmniejszego przeczucia grożącego im niebezpieczeństwa.

Słyszeliśmy jak szepczą i śmieją się po cichu.

I nagle łoskot i krótki okrzyk w ciemności nocy. Heide wpadł do dziury.

W tej samej chwili wszystko się poruszyło. Czterej Rosjanie skoczyli na nogi i na łeb na szyję runęli w stronę rosyjskich pozycji, wrzeszcząc Giermancy! Giermancy!

Mały skoczył, ryknął i swoją krótką łopatką piechoty wymierzył najbliższemu Rosjaninowi ukośny cios.

Z pozycji rosyjskich z sykiem uniosły się w powietrze flary, zalewając cały stok ostrym, oślepiającym światłem.

Heide, który już wydobył się z dziury, schylił się nad karabinem maszynowym i omiółł pozycję skupionym ogniem.

Jakiś człowiek rzucił się na mnie. Ledwie zauważyłem wykrzywioną, mongolską twarz tuż koło mnie.

Prawie dziecinny głos warknął. - Pios! - Pies!

Posłałem z mego Walthera P. 38 trzy pociski w szeroką twarz z lekko skośnymi oczami. Przewrócił się i leżał nieruchomo.

Ze strony Rosjan doleciały stłumione odgłosy wystrzałów ciężkich dział i móżdżerzy okopowych.

Brandt, nasz najlepszy zaopatrzeniowiec, został trafiony rosyjską łopatką i przewrócił się. Krew popłynęła strumieniem z wielkiej, otwartej rany między jego szyją i barkiem.

Z tego powodu potraciliśmy głowy. Biliśmy dziko, nie myśląc o naszym celu - wzięciu jeńców.

- Pomoszczi! Pomoszczi! - Krzyczał ranny żołnierz, leżący trochę dalej. - Sanitariusz! Sanitariusz!

- Czy macie jakichś jeńców? - Zapytał w podnieceniu Stary, gdy leżeliśmy razem w dziurze, starając się złapać oddech. - Nie możemy wrócić bez jeńców. To o to właśnie szło, jak wiecie. - Rzuciliśmy

pytające spojrzenie w stronę wrzeszczącego Rosjanina. - A może tego?

Mały obojętnie wzruszył ramionami.

- Jest słaby. Zrobiłem z niego mielonkę. Moja łopatką zupełnie się zgięła uderzając go.

- Przeklęty osioł - wrzasnął na niego Stary.

- Czy musisz wszystko robić źle, ty barania głowo? Gdy w końcu udało ci się złapać Rosjanina, musiałeś zaraz go zabić. Przeklinam dzień, w którym zwalono mi ciebie na głowę.

- Wsadź to sobie w dupę - wrzasnął Mały, nie zważając na to, że Rosjanie mogli go usłyszeć. - Zawsze robią mi piekło. Jeśli któregoś dnia przywlokę rosyjskiego marszałka, zaraz na mnie skoczycie.

- Mały, ty głupi ośle, czemu nie przyprowadzisz Stalina i Mołotowa? A gdy pewnego dnia zaczniemy naszą rewolucję i powieszę Himmlera nazwiecie mnie brudnym sukinsynem, ponieważ nie powiesiłem Hitlera! - Wściekle walił w ziemię obiema pięściami, a potem wyciągnął się na całą wysokość i głośno ryknął: ale nie martwcie się, wszystko jest w porządku, wy płaksy. Teraz idę Iwana wziąć waszego pułkownika. Wtedy może będziecie zadowoleni.

- Mały - zawołał w przerażeniu Stary. - Kładź się!

Parę rosyjskich pistoletów maszynowych rozpoczęło strzelaninę. Pociski smugowe przelatowały tuż obok Małego. Pobiegł zupełnie obojętnie przed siebie, machając nad głową pistoletem maszynowym. Znikł w ciemności, ale słyszeliśmy, jak dziko ryczy.

- Boże, to wariat, kompletny furiat! - Jęknął Stary. - Musimy go dogonić zanim wskoczy do rosyjskiego okopu.

- Jesteście najslabszą na umyśle paczką w całych Siłach Rozbrojonych i to tu będzie mój koniec. - Oświadczył beznadziejnym tonem Heide.

- Nie praw tyle kazań - odrzekł Porta i pobiegł za Małym.

Znaleźliśmy go w leju po pocisku, gdy wiązał granaty w pęczek w prezencie dla bunkrów. Zrobiliśmy tyle hałasu wymyślając mu, że rozlegało się to daleko dokoła.

Mały, który na pół zwariował, wrzeszczał do Iwana. Po obu stronach strzelanina ucichła. Oczywiście pomyśleli, że zwariowaliśmy.

W godzinę później wskoczyliśmy na naszą pozycję, gdzie powitał nas Oberstleutnant Hinka. Był wściekły i zrobił Staremu piekło, ponieważ nie przyprowadziliśmy żadnych jeńców, jak nam rozkazał.

- Ta cała kompania to nic innego, jak stado krów. Najgorsza w całej armii - grzmiał. Ale jeszcze pogadamy! - Zrobił w tył zwrot i odszedł, nie podając ręki Leutnantowi Ohlsenowi.

Mały stał oparty o ścianę okopu.

Następnej nocy kompania otrzymała rozkaz wysłania dwóch plutonów za linie nieprzyjacielskie by dowiedzieć się, co Rosjanie naprawdę robią.

Gdy Leutnant Ohlsen uświadomił dowódcy, że będzie to zapewne kosztowało życie większości z nich, Hinka kompletnie oszalał.

- Co pan mi tu wygaduje, Herr Leutnant? - Wrzasnął. - Wojna jest faktem, a obowiązkiem żołnierza nie jest ocalenie swego życia, ale walka.

- Dywizja kazała mi dokonać zwiadu za ich liniami i ten rozkaz trzeba wykonać bez względu na koszty. Jedyną rzeczą, która ma znaczenie jest to, by choć jeden człowiek z trzydziestu pięciu powrócił i mógł zameldować co tam się dzieje na tyłach. Od tego zależy życie tysięcy.

Leutnant Ohlsen próbował coś powiedzieć, ale Hinka przerwał mu brutalnie.

- Za dużo myślisz, Herr Leutnant. Spacerujesz śniąc o honorze i podobnych, pustych słowach. Rozkazu trzeba słuchać, chyba że chcemy czekać na śmierć trzymając się za ręce w jakimś korytarzu

w Torgau. Zapomnij, co ci chodzi po głowie, póki nosisz stalowy hełm. Jesteśmy ostatnią parszywą resztką Dwudziestego Siódmego. Postaraj się to pojąć! Oczekuję twego meldunku za sześć godzin. Koniec!

Leutnant Ohlsen stał ze słuchawką w ręce. Wyglądał na zupełnie zagubionego, jakby oczekiwał, że Hinka zacznie zrzedzić od początku.

Od dłuższego czasu słyszeliśmy od strony Rosjan warczenie silników, ale nasze samoloty zwiadowcze nie zdołały niczego dostrzec. Było to zwyczajem Rosjan: wszystko było znakomicie zamaskowane. Drużyny robocze zacierały wszystkie ślady gąsienic, i teraz posłużono się starym środkiem pomocniczym: rozpoznaniem przez piechotę.

My wszyscy, doświadczeni żołnierze, czuliśmy w kościach, że coś się szykuje. Stary powiedział: - Nie podoba mi się ten spokój. Coś się dzieje, i to coś wielkiego. Iwan zgromadził tam z tyłu mnóstwo sprzętu wojennego.

Wschodnioprusak parsknął pogardliwie.

- Zrobią na nas prawdziwe polowanie na króliki, gdy nadejdą.

- Czemu to my mamy pójść na ten zwiad? - Mruknął Heide. - Gdy tylko jest jakaś brudna robota, z całej 5. Kompanii musi ją wykonywać 1. albo 2. pluton.

- Ponieważ jesteś głupią świnią - odpowiedział Porta - i służysz w pułku specjalnego rodzaju, którego każdy członek ma mieć rozwalony mózg. Zawsze wiedziałem, że jesteś grzywiastą owcą i to nieco słabą na umyśle, ale nie miałem pojęcia, że jesteś tak głupi, jak się teraz okazało.

- Lepiej zamknij się, ty byku! - Wrzasnął Heide i zaczął mu grozić nożem. - Któregoś dnia cię dostanę! Możesz mi wierzyć na słowo!

Porta już miał na niego skoczyć, ale Stary go powstrzymał.

- Czemu nie skończycie z waszymi nieustannymi kłótniami i bójkami? Użyjcie waszej siły, gdy pójdziemy do Iwana!

- I zostaniemy bohaterami Wielkich Niemiec? - Zadrwił Porta. - Tylko poczekajcie, a przekonacie się! Nasze portrety zostaną wystawione w Poczdamie, z napisem wykonanym złotymi literami: „Bohaterowie z Dwudziestego Siódmego”. Mam nadzieję, że nie udławimy się własną odwagą.

- Ja jestem odważny - oświadczył Mały. - Zrobił groźny ruch głową w stronę Porty. Mam więcej śmiałości, niż ktokolwiek inny w tej całej wojnie - zawołał głośno i jednym potężnym uderzeniem złamał kolbę karabinową. - W ten sam sposób zajmę się moimi wrogami. Jesteś jednym z nich, Juliusie Żydożerco - oświadczył, zwracając się do wielkiego, muskularnego Juliusa Heide.

W tym samym momencie do bunkra wszedł Leutnant Ohlsen.

- Tu jest parę listów - zawiadomił, rzucając je na drewniany, zбитy z desek stół. - Jest też jeden dla ciebie, Mały.

- List do mnie? - Wyjąkał, spoglądając prawie bojaźliwie na brudną, szarą kopertę, zaadresowaną ołówkiem niezdarnymi, prawie dziecinnymi literami - Hauptgefreiter Broni Pancерnej Wolfgang Creutzfeld, 11. Jednostka Zapasowa Broni Pancерnej, Paderborn. Oczywiście było, że nadawca od długiego czasu nie miał kontaktu z Małym. Upłynęły ponad cztery lata od pobytu Małego w garnizonie Paderborn. Pod spodem garnizon wpisał: mer poczty polowej naszej jednostki: 23745.

- Święta Matko Kazańska! - Szepnął Mały. - Pierwszy list, jaki w życiu dostałem. Nie mam nawet najmniejszego pojęcia, jak go otworzyć.

- Och, dajże spokój - powiedział Leutnant Ohlsen. - To nie powinno być problemem.

Mały niezdarnie rozdarł palcem kopertę i wyciągnął kawałek szarego papieru pakowego, pokrytego niechlujnym pismem.

Prawie doznaliśmy szoku widząc, jak Mały ładnie, pracowicie sylabizuje list.

Julius Heide uniósł brwi i ostrożnie zapytał:

- Wieści, chłopie?

Mały nie odpowiedział i tylko wpatrywał w list jak zahipnotyzowany.

Heide trącił go łokciem.

- Co się stało, chłopie? Co spowodowało, że zsiniałeś wokół dzioba?

Mały wybuchnął.

- Czy to twój cholerny interes co się zdarzyło? Czy ja kiedykolwiek pytam o twoje gówno?

- Dajże spokój - uspokajał go Heide. - Czemu się podniecasz, głupi nudziarzu? Wiesz, że miałem dobre zamiary.

Mały wrzasnął. Chwycił Heidego za gardło i trzasnął go o ścianę. Potem wyciągnął swój nóż i rzucił się na niego.

- Teraz umrzesz, kanalio!

Legionista błyskawicznie go przewrócił. Mały zwałił się tuż przed sparaliżowanym ze strachu Heidem.

Mały zakręcił się jak fryga i spojrzał na Legionistę szalonym wzrokiem.

- Dostanę za to twoją głowę, arabski żigolaku!

Legionista nie obraził się. Spokojnie zapalił papierosa.

- On nigdy nie będzie dżentelmenem - mruknął Heide. - Jego język nie jest przyzwoity.

- Ani nie chcę nim być! - Wrzasnął Mały. Wstał, odszedł do najdalszego kąta pomieszczenia, podniósł list, który wyrzucił i wygładził go na kolanach. Potem zaczął go znów z wysiłkiem odczytywać.

Stary usiadł koło niego. Zwinął dwa papierosy z kawałków starej gazety, jeden wręczył Małemu, drugi wziął dla siebie.

- Czy mogę ci pomóc, przyjacielu?

- Tak - mruknął Mały, - dając mi spokój póki Iwan albo SS nie wsadzi mi kulki w głowę. - Wstał, odepchnął Starego na bok. Zmiał list i cisnął nim o drzwi. Następnie ruszył do wyjścia. Kopnięciem posłał leżącą koło drzwi torbę granatów ręcznych na drugi koniec bunkra. Stojącemu mu na drodze podoficerowi wymierzył takie uderzenie w brzuch, że ten stracił równowagę i zwałił się z jękiem. Kopnął nieprzytomnego, a potem zwrócił się do nas, szukając okazji.

- Jeszcze jedno słowo, wy zasrani bohaterowie, a rozszarpię was powoli jednego po drugim.

Podniósł karabin maszynowy i rzucił nim w nas. Po tym znikł w okopie.

Stary potrząsnął głową, podniósł list i rozłożył go.

- Musi to być groźny list, jeśli wywołał takie jego zachowanie.

- On jest głupim skurwysynem - mruknął Heide, gładząc swą obolałą szyję.

- Ty też - powiedział ponuro Porta.

- Możemy złożyć o nim meldunek jak wiecie i uzyskać jego przeniesienie - rzekł jeden z nowych rekrutów, Gefreiter Trepka, którego ojciec był pułkownikiem piechoty.

- Czemu ty tego nie zrobisz? - Zapytał Heide przestępując z nogi na nogę.

- Cóż, czemu nie? - Odparł Trepka i podszedł do stołu. Ten paskudny facet jest kryminalistą i już dawno temu powinien być zostać postawiony pod ścianą.

Legionista mruknął francuskie przekleństwo i spojrzał na Starego.

- Czy chcesz złożyć meldunek na Małego? - Zapytał Heide, patrząc czujnie na Trepkę.

- Jeśli sobie życzycie - odrzekł Trepka. Wyciągnął arkusz papieru i zaczął pisać.

Heide zajrzał mu przez ramię na to, co pisze.

- To wspaniały meldunek - zadrwił Heide - Wręcz go dowódcy pułku. Mogę ci obiecać, że oczy

wyjdą mu z orbit.

- Nie - powiedział Trepka. - Dostanie go nie dowódca, lecz komisarz polityczny. Wtedy, gdy nadejdzie nasza zmiana.

Włożył do kieszeni napisany meldunek. Gdyby został dostarczony oznaczałby dla Małego wyrok śmierci.

Stary gestem przywołał Legionistę i mnie. Wręczył nam list do Małego. Przeczytaliśmy go wspólnie. „Mój drogi synu Wolfgangu, Mam reumatyzm obu nóg, ale pomimo tego napiszę do ciebie, by cię zawiadomić, że już nie jesteś moim synem, nawet pomimo tego, że ja cię urodziłam. Przeklinam tamten dzień! Twój ojciec, ten łajdak, był nałogowym pijakiem, ale ty jesteś tysiąc razy gorszy. Jesteś kryminalistą, a twoja biedna matka musi za to płacić. Wczoraj dostałam od pani Becker parę wełnianych pończoch. Jestem pewna, że pamiętasz panią Becker, to ona pomogła mi umieścić cię w instytucji pobożnych braci i sióstr. Chciała dla ciebie tego co najlepsze, jak dla wszystkich innych ludzi. Ale okazałeś się niewdzięcznikiem i uciekłeś stamtąd tylko z powodu odrobiny chłosty, na którą, czego jestem pewna, uczciwie zasłużyłeś. Zawsze byłeś złośliwy. Jesteś skończonym nicponiem. Wiele pięknych pań i dżentelmenów pragnęło ci pomóc, gdy u nich sprzątałam. Tak mi było wstyd, gdy z kieszeni fartucha kupca Müllerhausa w sklepie z jarzynami ukradłeś jedną markę. Policjanci powinni byli cię wykończyć, gdy spuścili ci lanie za to, że wypileś mleko Feldwebela policji Grunera. Tłumaczyłeś się, że miałeś pragnienie, ty łotrze, jakby dla takiego łobuza jak ty nie wystarczyła woda. Ja, twoja biedna matka, tyle dla ciebie zrobiłam. W dniu, w którym poszedłeś do poprawczaka, dostałeś parę całkiem nowego drewnianego obuwia i dwie pary skarpetek, a mój reumatyzm ramienia nie powstrzymywał mnie od spuszczenia ci lania za każdym razem, gdy na to zasłużyłeś. A te mokre plamy, które widzisz na liście, to łzy twojej biednej matki. W twojej książeczce pracy napisano, że jesteś nałogowym przestępcą, a Pan Główny Kancelista Apel, który jest takim dobrym człowiekiem i wielkim dżentelmenem, powiedział, że mogłabym wrócić do pracy tylko, jeśli umrzesz, ale ty jesteś elementem antyspołecznym i kulą u moich reumatycznych nóg, ale gdy będziesz nieżywy, oni ponownie sprawę rozpatrzą, mówi Pan Główny Kancelista Apel. Mam nowy czerwony płaszcz, Wolfgangu, z ładnym szarym futerkiem na kołnierzu. Tak mi w nim do twarzy. Pan Breining, który dał mi go w prezencie, mówi to samo. Więc teraz bądź dobrym chłopcem, mały Wolfgangu i daj swej biednej matce tylko jedną, małą radość. Pospiesz się i daj się zabić. Tam w Rosji to nie może być takie trudne. Wszyscy mówią, że to bardzo łatwe. Ale oczywiście tego nie zrobisz, ty kanalio, po prostu dlatego, że chcesz zmartwić swoją matkę. Wolfgangu, już nie zostało nam nic koks. To twoja wina, tak mi powiedziano w punkcie rozdzielczym. Onegdaj Pan Schneider z urzędu pocztowego, wiesz, ten człowiek w trzecim okienku, gdzie się wpłaca pieniądze, które jest się winnym, gdy tam byłam, by zapłacić cztery marki za coś tam, co nie jest twoją sprawą, ty śmieciu, powiedział: czy pani obrzydliwy syn nadal żyje, mała Pani Creutzfeldt? Jak wszyscy inni wielcy dżentelmeni powiedział, że to okropne, jesteś dla mnie ciężarem, ty pijany tępaku. Twojej biednej matce jest zimno, Wolfgangu, tu jest bardzo zimno, a mój reumatyzm jest ciężki. Dostałam trzy kocie skóry, by go nimi okładać. Każdej nocy Tommies nadlatują zrzucając bomby i choć w piwnicy słyszy się mnóstwo nowin, ciągle jest źle. Wczoraj udało mi się wymienić kartkę na masło na kartkę na kawę. To było z Panią Kirse z drugiego piętra. Ale teraz naprawdę bądź dobrym synem, Wolfgangu i pospiesz się, by zostać zabitym, abym mogła pójść do Punktu Rozdzielczego i powiedzieć: mój syn Wolfgang Helmuth Leo Creutzfeldt padł za Führera i Ojczyznę. Gorzko płacząc, gdy pomyślę, jak dobrze mogłoby nam się powodzić, gdybyś był dobrym chłopcem i wstąpił do Partii jak Carl Pani Schulze z trzeciego piętra. Wiesz, to ci ludzie, którzy mieli szarego kota z białym ogonem, którego wrzuciłeś do Łaby. Carl jest teraz wielkim

dżentelmenem. Często przyjeżdża do domu na urlop. Jest Unterscharführerem SS i ma wiele odznaczeń. Pani Schulze mówi, że on widział führera, a Himmler od SS raz go zwymyślał. On zostanie kimś wielkim, obcując w ten sposób z takimi wspaniałymi dżentelmenami. Pani Kirse też tak myśli. Sprawia swej matce wielką radość. Ostatnim razem, gdy był na urlopie przywiózł pierścionek i naszyjnik z prawdziwego złota i z czerwonym kamieniem i dziesięć kartek na masło i kawał wieprzowiny. Otrzymał tę biżuterię od elementu antyspołecznego, by oszczędził życie jego matce, jednej z tych, którzy wyzyskują nas biednych Niemców. Ale wierz mi, SS wie, co robić z tymi paskudnymi ludźmi. Carl nam o tym opowiadał. Mieliśmy szczęście, że mamy führera, który czyści ten bałagan. Wolfgangu, teraz słyszę, że Pani Schulze mnie woła. Idę na górę na kawę. Bądź więc dobrym chłopcem, ty pijaku i zgiń jak bohater, aby twoja biedna matka mogła dostać swój koks. Nie mam zamiaru posyłać ci wyrazów miłości, ty skurwielu. Poród z tobą był ciężki, ale ty zawsze byłeś nieuprzejmy.

Twoja wierna matka, Pani Louise Creutzfeldt, z domu Weidner, Bremer Chaussee 65.

Poproś twoich kolegów, by przysłali mi zdjęcie twojego grobu, gdy umrzesz, abym mogła je pokazać Panu Głównemu Kanceliście Apelowi.

- Na Allaha, co za paskudna stara suka z tej matki! - Wykrzyknął Legionista.

Stary skinął głową zacisnąwszy zęby.

- Złapmy Małego zanim coś się zdarzy!

Heide zapytał, co było w liście.

- Czemu nie zapytasz Małego? - Odparł Stary chowając zatłuszczony list do kieszeni.

Znaleźliśmy go koło zniszczonego bunkra karabinów maszynowych. Ujrzawszy nas wydał pomruk.

- Przeczytaliśmy twój list, Mały - powiedział Stary. - Twoja matka jest świnią!

Mały pykał rosyjskiego papierosa. Za całą odpowiedź wydał niski pomruk, jak niedźwiedź gotów do ataku.

- Moja matka jest śmierdzącą suką, smrodliwym bagnem. Kiedyś doniosła na mnie do Kripo za to, że wyczyściłem nędzny automat do papierosów. Nawet oddałem jej z tego trzy paczki. Chciała mieć połowę wszystkiego, ta suka, ale odmówiłem i dlatego na mnie doniosła. Gdy kiedyś przyszło Gestapo i znalazło walające się śliczne magazyny zostawione przez jednego z jej doskonałych dżentelmenów, powiedziała z największym spokojem że są moje, ale do diabła. Każdy kto mnie zna mógł przysiąc, że nie zajmuję się takim łajnem. Za każdym razem to samo. Mogę zjeść mój stalowy hełm, jeśli ona zaraz nie pójdzie do Gestapo, i znów na mnie doniesie. Jak widzicie z listu ona wtłoczyła sobie do głowy, że ja powinienem umrzeć. - Jego oczy świeciły ponuro pod jego grubymi, kędzierzawymi brwiami. - Widzisz, Stary, urodziłem się jak szczur, rosłem jak szczur, polowano na mnie jak na szczura, teraz oni chcą, abym został zabity jak szczur!

Stary poklepał go po ramieniu.

- Uspokój się, Mały. To prawda, że gdy dołączyłeś do naszej bandy, nie przedstawiłeś się w żaden szczególnie miły sposób i zważyłeś nam na głowy mnóstwo kłopotów. Ale z wolna zaczęliśmy cię lubić. I chociaż Oberst Hinka i Hauptmann von Barring robili ci piekło za to, że jesteś świnią, oni cię lubią i staną w twojej obronie, jeśli SS będzie chciało cię zabrać.

Legionista po przyjacielsku stuknął Małego pięścią w brzuch.

- Pewnego dnia, gdy skończymy z tą wojną, będziesz mile widziany gdy do mnie przyjdiesz, jeśli nie będziesz miał innego miejsca dla siebie.

- Więc uważasz, że Emma nie traktowała poważnie ani jednego słowa, które powiedziała? Mówiła to wszystko tylko po to, aby mnie trzymać na wędce?

- Nie, nie, Mały, oczywiście ona mówiła to poważnie, ale mogą się wydarzyć różne rzeczy -

uspokajał go Legionista.

- Chryste, byłem taki szczęśliwy gdy Leutnant Ohlsen dał mi ten list. To był pierwszy w życiu list jaki dostałem i powiedziałem sobie: Mały, teraz jesteś prawdziwym dżentelmenem, dostałeś list ze znaczkiem i wszystkim innym. Siedziałem i myślałem o wszystkich ludziach, którzy zadawali sobie trud, abym go dostał. A potem, popatrz, jaki to się okazał gówniany list.

- Nie powinieneś się martwić z tego powodu - wtrącił Julius Heide. - Bardzo wielu ludzi pisze listy, które nigdy nie powinny zostać wysłane. Założę się, że twoja matka już tego żałuje.

- Naprawdę tak myślisz, Julius? - Zapytał sceptycznie Mały. - Byłoby cholernie wspaniale, gdyby tak się stało.

W tym momencie wydarzyło się coś, co uważaliśmy za niemożliwe i nigdy byśmy nie uwierzyli gdyby ktoś nam o tym opowiadał. Mały, człowiek o lodowatym spojrzeniu, załapał się łzami. Mały, którego oczy nigdy się nie uśmiechały, nawet całe jego ciało trzęsło się ze śmiechu. Łzy robiły jasne plamy na jego brudnych policzkach.

Julius Heide objął go za ramiona.

- Do diabła, Mały, skończ z tym. Przysięgam, mnie też doprowadzisz do płaczu. Moja matka robi najlepsze na świecie placki kartoflane i w moim domu dam ci ich zjeść tyle ile zechcesz, gdy wojna się skończy. Możesz spać w mojej norze. My znowu pójdziemy na zmianę spać na sianie. Powiedz: do diabła z tą suką, twoją matką. Ona nie jest warta płaczu, a gdyby ktoś chciał zrobić ci krzywdę, po prostu zawiadom o tym Juliusa Heide. Jeśli staniemy plecami do plecy, możemy walczyć z całą armią pancerną.

Ale Mały płakał, aż serce się krajało.

Daliśmy mu sznapsa. Daliśmy mu papierosy. Daliśmy mu zdjęcia dziewczyn, takiego rodzaju, jakie zwykł był zbierać.

Dary utworzyły przed nim stos na brzegu okopu, jakby to były prezenty urodzinowe.

Wschodnioprusak dał mu swój nóż sprężynowy i powiedział ze ściśniętym gardłem: możesz sobie wziąć mój nóż!

Ale Mały był niepokojony. Żale i niedole, gromadzone przez lata, przebiły się na powierzchnię. Nikt nigdy, gdy był małym chłopcem, nie powiedział mu dobranoc ani nie pogłaskał po głowie. Nie robi się tego szczerowi.

Przyszedł Leutnant Ohlsen i zapytał, co złego się dzieje. W zdumieniu patrzył na Małego.

Stary bez słowa wręczył mu list. Przeczytał go i potrząsnął głową.

- Podłość ludzka nie ma granic - powiedział cichym głosem. - Klepnął Małego. Chłopcze, trzymaj głowę wysoko! Masz nas, a my jesteśmy twoimi przyjaciółmi. Dam ten list dowódcy pułku.

Najwyżsi oficerowie dywizji wydali przyjęcie. Wino, rozluźniło im języki.

Nikt nie ukrywał swej pogardy dla zachowania się Rządu Rzeszy. Z ich punktu widzenia składał się z ludzi, których nie dopuściliby do swego ekskluzywnego towarzystwa.

- Do czego Partia nadawałaby się bez nas? - Powiedział dowódca pułku artylerii. Rozejrzał się po stojących kołem oficerach, którzy wszyscy mieli na piersiach wysokie odznaczenia bojowe.

Jak większość wyższych oficerów, nie ukrywali poglądów opozycyjnych, gdy czuli się sub rosa. Do dobrego tonu należało wyrażanie zastrzeżeń wobec Partii, a krytyczne wypowiedzi nie wynikały z zasad. Źródłem była korzyść własna.

Bo w rzeczywistości nie mieli wobec Partii bardziej poważnych zastrzeżeń. Oni tylko nie znosili faktu, że nie uznaje suwerenności Sił Zbrojnych.

Nie mieli wielkich zastrzeżeń wobec Hitlera i jego wojny. Oni tylko nie lubili patrzeć, jak były kapral przyjmuje rolę rzekomo znakomitego stratega.

Arystokratyczni oficerowie sztabowi chcieli wygrać wojnę, nawet jeśli rzeczywistymi zwycięzcami okażą się Hitler i jego Partia.

ROZDZIAŁ XIV Za liniami nieprzyjacielskimi

Tuż przed północą byliśmy w polu, czekając na godzinę zero.

- Dodatkowe porcje sznapsa i całe popołudnie wolne - mruknął Joseph Porta. - To oznacza, że naprawdę siedzimy w tym po uszy. Potrójna porcja sznapsa oznacza rzeź.

Dywizja zmieniła swój rozkaz z 12.00 w południe, więc teraz nie tylko dwa plutony, ale cała 5. kompania miała uderzyć przed siebie, by dokonać głębokiego rozpoznania. Kompania miała zostać podzielona na dwa oddziały, działające niezależnie od siebie.

- Ani jeden człowiek nie wróci żywy - oświadczył, potrząsając głową, Leutnant Ohlsen.

Legionista gorączkowo polerował swój karabin maszynowy, MG 42, nową, szybkostrzelną broń.

- Wszystko jedno, z tym rozpylaczem człowiek czuje się zupełnie jak w domu powiedział, usuwając odrobinę kurzu z zamka. - Można powiedzieć wiele przeciw naszej wycieczce do lasu, ale niczego przeciwko temu rozpylaczowi. Z tym żelastwem nie będzie nawet w połowie tak źle, nawet jeśli całe pole będzie się roić od Ruskich.

- Doprawdy, wracaj na ziemię - mruknął Wschodnioprusak. - Za sześć do siedmiu godzin możemy kontynuować naszą rozmowę, jeśli nadal będziemy przy życiu.

Dano nam stroje maskujące, od hełmów po czubki butów. Wyglądaliśmy jak Indianie. Nie kończący się, niezmienny szereg mężczyzn, uzbrojonych po zęby.

- Trzydzieści sekund - zakrakał Leutnant Ohlsen. Stał między Legionistą i Małym, z pistoletem maszynowym na ramieniu i stoperem w dłoni - Naprzód - wydał rozkaz. Jak łasice wspięliśmy się na brzeg naszego okopu.

Oberleutnant grenadierów odezwał się złowieszczo:

- Cieszę się, że nie idę. To się może zrobić delikatnie mówiąc, niebezpieczne.

- Zarozumialec - uśmiechnął się Porta, spiesząc za Legionistą i Heidem.

Jedna za drugą sekcje znikwały nad brzegiem okopu i pograżały się w ciemności.

Aby zbić Rosjan z tropu, na sąsiednim odcinku zaczął się krótki, gwałtowny ogień artyleryjski.

- Pilnujcie się! - Ostrzegł Mały. - Dookoła są miny. Potrafię wywachać te przyjemności z odległości kilku metrów. - Pełził na czele sekcji, prowadził nas przez gęsto napakowane pole minowe. -

Naprzód, bohaterowie! Za Małym!

- Na litość Chrystusa, zamknij dziób, Mały powiedział Stary. - Bełkoczesz tak głośno, że można to usłyszeć o całe mile!

- Nie besztań mnie - ostrzegł Mały, - bo zwariuję, wstanę i zacznę wołać Iwana!

Przedostaliśmy się przez linie rosyjskie i doszliśmy do wsi o jakieś cztery czy pięć kilometrów za frontem.

To Porta odkrył znakomicie zamaskowane czołgi.

- Święta Matko Kazańska! - Zawołał Mały. - To cała armia tych T-34!

- Jeśli one zaczną się toczyć, nie będziemy mieli nawet czasu, by zacisnąć nasze dziury w dupie - potwierdził Wschodnioprusak.

- Zamknij się - powiedział Stary, rozglądając się nerwowo.

- Nie podniecaj się tak - rzekł z uśmiechem Porta. - Za chwilę możemy sobie fruwać z aniołami, dmąc w ich trąby.

- Jezu Chryste - dostaję gęziej skórki od samego patrzenia na te wszystkie T-34 zawołał Stein. - Musi

ich być przynajmniej ze sto!

- Czy mogę ci zaproponować dobrą radę? - Zapytał Mały. - Wsiądźmy na pociąg bezpośredni do linii niemieckich. Na całe mile stąd można wywahać morderstwa: strzały w potylicę.

- Masz rację - odezwał się Legionista. - Wyośmy się stąd jak najszybciej. Zobaczyliśmy wszystko, cośmy chcieli.

- Doskonale - mruknął Stary. - Spływajmy!

- Włożyłem moje pantofle do biegów - uśmiechnął się Mały. - Po prostu idźcie za mną, a powrót do domu nie zajmie wiele czasu, obiecuję wam.

- Masz największe tchórzliwe serce, jakie kiedykolwiek spotkałem - zadrwił Hauptgefreiter Trepka.

- Ucieczka przed tymi niższej rasy Rosjanami to hańba!

Mały przyjrzał się aroganckiej, junkierskiej twarzy Trepki, z jej pogardliwie spoglądającymi oczami. Mruknął.

- Serdecznie cię zapraszam, byś tu pozostał i porozmawiał z tymi niższymi. Co? To nie dla mnie, ja pragnę być bohaterem.

- Zamknij się, Mały i ruszajmy - oświadczył zdecydowanie Legionista.

Z Małym i Portą na czele pognaliśmy na złamanie karku przez las. Z nieomylnym instynktem prowadzili nas wąskimi i często zalanyymi wodą ściekami.

Ledwie dotarliśmy do otwartej przestrzeni, gdy cztery zielone gwiazdy strzeliły w górę i zmieniły noc na dom duchów. Nasze twarze zaczęły wyglądać trupio.

Z szybkością błyskawicy rzuciliśmy się w ukrycie. Wokół nas wszystko nagle nabrało życia, jakaś niewidzialna ręka nacisnęła guzik.

Ostre głosy komend i pisk gwizdków nadleciały z mroku. Powietrze zadrżało od ryku i grzechotu setek silników. Dzwoniły ciężkie łańcuchy czołgów. Ziemia pod nami zatrzęsa się, gdy działa samobieżne i T-34 potoczyły się naprzód w szyku bojowym.

- Święta Matko Brygido! - Zawołał Mały, podnosząc się do połowy. - Niech mnie powiesz, jeśli nie jesteśmy w samym środku obszaru koncentracji. To wina tego przekłętego czarnego kota, na którego natknąłem się tego ranka. Ale niech te szczerzące zęby stworzenie poczeka, aż spotkamy się znowu!

- Imbecyl - syknął Trepka. - Trudno uwierzyć byś był normalny.

Mały odwrócił głowę i zamachnął się na niego pięścią, ale Trepka natychmiast się wycofał.

- Doprawdy? - Warknął Mały. - Wygląda na to, że my dwaj powinniśmy odbyć małą pogawędkę, ty mały, papierowy żołnierzyku!

- Co zrobimy? - Zapytał szeptem grenadier Schmidt, próbując zobaczyć, skąd dochodzi do lasu hałaśliwy warkot.

- Po prostu leż cichutko i licz gwiazdy - odpowiedział Legionista, a potem idź za nami, gdy wyruszymy.

- Kiedy chcesz odejść, to twoja sprawa - rzekł Mały. - Ale ja wyruszam natychmiast, ponieważ za chwilę pokaże się piechota Iwana i wtedy będą strzały w potylicę. Nie mogę z wami zostać, ponieważ obiecałem Emmie, że wrócę do domu.

- Skąd wiesz, że nadchodzi piechota? - Wyraził wątpliwość Trepka.

- Co za żółtodziób! - Parsknął Heide. - Jeszcze musisz się wiele nauczyć. Piechota zwykle idzie za czołgami, a jeśli znajdzie nas tutaj, zapomnisz o byciu bohaterem.

- I wtedy niech nam Bóg dopomoże - dokończył Bauer.

- Tam są - powiedział Porta, wskazując skraj lasu.

Długi sznur ludzi wynurzył się gęsiego z lasu: rosyjska piechota.

W chwilę później w stronę linii niemieckich potoczyły się czołgi.

- Pa, bohaterowie, Mały stąd rusza. - I już go nie było.

Stary i Porta poszli za nim. Następnie daliśmy dęba Legionista i ja. Trepka próbował zatrzymać Heidego, ale ten wyrwał mu się, używszy kolby pistoletu maszynowego.

Pociski oświetlające wytrysnęły w niebo.

Za nami ryczała rosyjska piechota: - lina, za Stalinu! Strzelając wściekle we wszystkie strony.

Fala za falą odziani w khaki piechurzy wylewali się z rosyjskich okopów.

Cały front ożył. Zmienił się w jakieś przerażające piekło. Pociski wszystkich kalibrów rozdzierały pooraną ziemię. Niemiecka i rosyjska artyleria współzawodniczyły ze sobą, by piekło uczynić doskonałym.

Legionista i ja jednym skokiem wylądowaliśmy w głębokim leju po pocisku, jeszcze ciepłym od wybuchu. Na dnie leżały jakieś nieokreślone szczątki człowieka, ale to nas nie obeszło. Wszystko nadawało się jako ukrycie przed pociskami.

Ktoś upadł mi na plecy. Wrzasnąłem ze strachu - Cicho, głupcze - doleciał głos Małego. Był cały wysmarowany krwią. Walczył wręcz z Rosjaninem.

Odgłosy dzwiczących łańcuchów zbliżyły się.

- To T-34, musieli nas zobaczyć - wyszeptał Mały. - Leżcie gdzie jesteście, póki nie będzie prawie nad nami, wtedy pobiegniemy.

Nienawistny odgłos grzechoczących łańcuchów zbliżał się coraz bardziej. Czuję, jak pełźnie mi po plecach mdlący strach, ale wiedziałem, że rzucić się do biegu o sekundę za wcześnie oznacza śmierć.

Wargi Legionisty drżały jak królikowi. W swym przerażeniu wbił palce głęboko w ziemię. Mały miał taką minę, jakby to wszystko go nie obchodziło. Nagle ryknął: - Jazda! Ujrzeliśmy nos T-34 na skraju leja.

Jak wydostaliśmy się, nie wiem. Wiem tylko, że nasze nogi poruszały się same.

Czołg przetoczył się przez lej, miażdżąc wszystko, co w nim było.

Potem grmiąc ruszył dalej.

Wylądowaliśmy w innym leju, gdzie leżeliśmy, łapiąc powietrze otwartymi ustami. Nasze pstre mundury maskujące były zbyt ciasne, jakby chciały nas udusić.

Mały związał sześć granatów ręcznych w roli supermocnej miny magnetycznej, pomrukując:

- Ja im dam popalić. Przeklęte stalinowskie płotki, próbujące nie dać Małemu wrócić do Emmy!

Znów grzechot łańcuchów.

- Nie mogę tego wytrzymać! - Wrzasnąłem.

- To czemu nie wysyłasz telegramu do Żukowa, by zrobił przerwę aż dojdiesz do siebie? - Zadrwił Legionista. Uniósł głowę nad brzegiem leja, by zobaczyć czołg, którego zbliżanie się słyszeliśmy.

Zatrzymał się. Jego silnik przeszedł na jałowy bieg. Wieżyczka swą długą lufą przeszukiwała teren. A potem ciężki dieslowski silnik znów zarżał.

Jeszcze raz niesamowity grzechot łańcuchów.

Rozległ się brzęk i ryk. Z lufy wyleciał pocisk na pozycję niemieckiego karabinu maszynowego, która strzeliła w powietrze słupem ognia.

Mały zamachnął się ręką do tyłu z triumfalnym łypnięciem okiem. Zagrzechotała wielka wiązka granatów.

- Do diabła, daj im przejechać - wrzasnął Legionista, wpatrując się jak zahipnotyzowany w rękę Małego.

Zanim ją rzucił, Mały trzymał ją przerażająco długo, a potem padł z powrotem do leja.

Wepchnęliśmy twarze w błoto. Ogłuszająca eksplozja. Otoczyło nas morze płomieni.

- Teraz możemy ruszać, chłopcy - oznajmił Mały, patrząc przez chwilę z uniesieniem na płonący

czołg. Z wjazdu wieżyczki zwisał do pół ciała człowiek, szaleńczo wrzeszcząc.

Legionista strzelił do niego z pistoletu maszynowego.

- Nowy rodzaj znieczulenia - warknął.

Leutnant Ohlsen, wraz z całą naszą resztą, wypadł z lasu. Tuż za nim piętnastu świeżych rekrutów biegło zbitą gromadą.

Dostrzegł ich T-34. Zabłysnął reflektor i schwytał ich w swój oślepiający snop.

- Biegiem! - Wołał Leutnant Ohlsen. Ale nikt nie słyszał.

Z zagłębienia w ziemi, gdzie wskoczył by się ukryć, widział jak czerwonawoniebieskie i zielone pociski smugowe zwalają z nóg piętnastu rekrutów.

Feldwebel Schneider pobiegł prosto do mile bliskich niemieckich linii. Piętnastocentymetrowy pocisk burzący padł mu tuż pod nogami na ziemi Rozdarło go na trzy części.

Podoficer Grunert i artylerzysta czołgowy Rober pojawili się w celowniku T-34, który jeździł sobie, używając swych karabinów maszynowych jak by był na strzelnicy.

Hubera trafił pocisk smugowy. Przebił mu pierś na wylot. Huber zatrzymał się, padł na twarz i wydał długi, donośny wrzask. Bił w ziemię rękami i nogami. T-34 przejechał po nim. Jego kości zachrobotwały, a krew i ochłapy ciała przylgnęły do boku ciężkich gąsienic. Czołg wyglądał, jak samochód przejeżdżający przez kałużę.

Podoficer Grunert stał jak skamieniały przed stalowym potworem. Wyciągnął ręce, jakby chciał go zatrzymać dłońmi.

T-34 kiwnął się z wdziękiem na gąsienicach, jakby miał zacząć tańczyć kadryla. Z połączenia segmentów jego lewej gąsienicy zwisała jedna z rąk Hubera. Wyglądała, jakby machała. Z dwóch przednich rolek kapłała krew.

Rosyjski piechur zauważył Grunerta, zaklął i wystrzelił mu w plecy pół tuzina pocisków. Ten padł i zachrypiał. A potem leżał nieruchomo. Piechur tylko zmiażdżył mu bark.

Leutnant Burgstadt, zastępca dowódcy, spanikował i wpadł na minę, która wyrzuciła go w powietrze. Miał rozdarty brzuch. Jego prawa noga wisiała na kilku więzadłach stawowych tuż pod kolanem. Gdy znaleźli go dwaj rosyjscy piechurzy, leżał skulony. Dwiema rękami przyciskał brzuch, próbując przytrzymać wnętrzności. Między jego palcami sączyła się krew. Usta miał szeroko otwarte, ale nie wydawał żadnego dźwięku.

- Pios - mruknął jeden z Rosjan i przestrzelił mu głowę.

- Germański czort - rzekł drugi i wbił długi, trójkątny bagnet w pierś dziewiętnastoletniego Leutnanta. Zrobił to bardzo powoli i z namysłem. Jego siostrę powiesiło SS w Charkowie. Zastosował się do hasła Ilji Erenburga. - Zabijajcie, bolszewicy żołnierze Rosji! Bądźcie pełni nienawiści, strzelcy Armii Czerwonej! Ugaście wasze pragnienie zemsty niemiecką krwią!

Uśmiechnął się do swego kolegi i powiedział: Dawaj!.

Ludzie z trzeciego plutonu, pod dowództwem Stabsfeldwebela Dorna, biegali po ziemi niczyjej jak zbłąkane owce. Pruły do nich trzy T-34.

Szukali schronienia w leju, gdzie zbili się jeden na drugim. Rosyjska piechota uderzyła na nich ze skraju lasu.

Feldwebel Dorn ryknął ochryple krótki rozkaz. Otworzyli do Rosjan ogień trzech kaemów. T-34 wystrzelił w nich kilka pocisków burzących.

Wstali i wyciągnęli w górę ręce, nie bacząc na groźby Feldwebela Dorna, że zamelduje o ich tchórzostwie.

Rosyjscy piechurzy, którzy też znaleźli się w ukryciu, również wstali. Podnieśli pistolety maszynowe i potraktowali zszokowany trzeci pluton jako cel na strzelnicy. Nie przestali, póki ostatni człowiek

nie padł na ziemię.

- Teraz wiemy, czego możemy oczekiwać - powiedział Stary. - Do zrobienia mamy tylko jedno wrócić do naszych własnych linii tak szybko, jak to tylko możliwe i strzelać do wszystkiego, co stanie nam na drodze!

Joseph Porta siedział na brzegu okopu z wielką puszką wołowiny w ręce. Prowadził wykład dla Małego na temat związku między wołowiną i zwiększoną potencją. Zrobił ręką wymowny gest, aby Mały mógł zrozumieć co to jest potencja, ale przerwały mu długie, grzmiące detonacje setek odpalanych dział.

Podmuch wybuchów był tak straszliwy, że Porta i jego puszka zostały wyrzucone w powietrze i trafiły Małego w głowę. Mały siedział po turecku na dnie okopu.

W ciągu paru minut cały system okopów został obrócony w proch nie do poznania.

Bombowce nurkujące spadały z nieba całymi rojami. Wybuchaly bomby z płynem zapalającym.

Rosyjska artyleria rzygała z lasu zniszczeniem na niemieckie pozycje.

Nie było ziemi. Ani nieba. Ani słońca. Świat składał się z wybuchów, ryków, jęków i wrzasków.

Ci, co już byli martwi, byli teraz wyrzucani raz po raz w powietrze.

Tysiące odłamków świszczały tak wokół żywych, jak i martwych.

Dywizja przestała istnieć.

ROZDZIAŁ XV Partyzanci

Resztki 5. Kompanii stały na skraju lasu, siedemnaście kilometrów na południowy zachód od poprzedniej niemieckiej linii frontu. Niektórzy dziś, obecnie było ich tylko dwunastu, siedzieli nie leżeli pokotem. Ludźmi tymi byli: Leutnant Ohlsen, Grubas, Porta, Mały, Legionista, Stary, był Wschodnioprusak, Stein, Heide, Trepka i ja.

Mały żuł soczystą gałązkę, próbując w ten sposób ugasić palące pragnienie.

Leutnant Ohlsen postarzał się w ciągu jednej nocy o dziesięć lat. Jego głęboko osadzone oczy były przekrwione i patrzyły nieruchomo szklistym wzrokiem.

- Dwunastu ludzi - jęknął. Wszystko, co zostało z Dwieście Dwudziestej Piątej! Co u licha mamy robić? - Rozpaczliwie patrzył na każdego po kolei.

- Herr Leutnant! - Wyszczekał Grubas. - Proszę mi pozwolić zrobić propozycję.

Leutnant Ohlsen zmęczonym gestem machnął ręką. - Posłuchajmy, Stabsfeldwebel.

- Proponuję, abyśmy wszyscy razem przeszli do Rosjan!

Mały parsknął śmiechem. Zawołał do Legionisty, siedzącego na przewróconym drzewie.

- Podoficer-szef został dotknięty zmęczeniem wojennym. Myśli, że może pójść do Iwana na leczenie wypoczynkowe!

Grubas wściekł się.

- Bądź łaskaw zamknąć się, Stabsgefreiter!

Mały otwarcie wyszczerzył się na niego.

- Ty tłusta świni, przez propozycję, którą złożyłeś przed chwilą, straciłeś wszelkie prawo do rozkazywania mi, ani komukolwiek innemu w tej bandzie.

Grubas przełknął ślinę. Zwrócił się do Leutnanta Ohlsena.

- Herr Leutnant, domagam się, by ten człowiek został natychmiast postawiony przed sądem wojennym za otwarty bunt!

- Zejdź na ziemię - powiedział Julius Heide, wtrącając się do rozmowy. - Nie możesz być przy

zdrowych zmysłach, Grubasie. Jeśli zechcemy, Mały i ja możemy utworzyć sąd wojenny i powiesić cię na najbliższym drzewie.

- Herr Leutnant - zawył Grubas, - to jest bunt!

- Nie, Stabsfeldwebel - odparł ostro Leutnant Ohlsen. - Faktem jest, że przez twoją propozycję przejścia do nieprzyjaciela, stałeś się winnym trzech przestępstw, za które sąd złożony z całej załogi może wysłać cię na szubienicę.

Grubas gapił się zdumiony.

Mały uśmiechnął się i połaskotał go za uchem.

- Ty tłusty wsiochu, jakże się zasapiesz gdy cię będę wieszał!

- Daj mu spokój, Mały - powiedział Stary. - On zawsze był świnią. A teraz na dodatek jest tchórzliwą świnią. Załatwimy z nim porachunki, gdy wrócimy... Jeśli wrócimy.

Spojrzał prosto na taśmociąg, po którym Rosjanie płynęli na zachód, w kierunku na Lwów, Brześć Litewski i Tołoczyno. Dla nas brzmiało to jak groźna burza. Grzmiące czołgi, grzechoczące gąsienice rżące konie, a po tym podążająca za nimi artyleria, z coraz bliższym hukiem jej dalekonośnych dział. Porta i Mały znaleźli skład intendentury, ale zostało tam bardzo niewiele: czternaście puszek wołowiny, dziewięć paczek sucharów, trochę rozmiękłych herbatników oraz kot. Z wyjątkiem Małego i Porty wszyscy czuliśmy obrzydzenie do kota, Mały zepchnął na tył głowy swój melonik i zadrwił.

- Pewnego dnia zmądrzejecie, rozpieszczeni żołnierze. - Machnął ręką w stronę lasu. Ten tu gaik jest głęboki na jakieś sześćdziesiąt kilometrów i pełen po gardło partyzantów. Za kilka dni zaczniecie umierać z głodu. Wasze gęby zmienią się w jedną wielką, rozdziawioną dziurę i gotowi będziecie oddać życie za możliwość wbicia zębów w kociaka.

- Ty śmierdząca świni! - Zawołał Trepka z obrzydzeniem malującym się na każdym calu jego wytwornej twarzy. - To, że takiemu typowi jak ty pozwala się nosić mundur oraz mieć broń i amunicję, jest dla mnie niewytłumaczalną zagadką.

Mały zakręcił się w miejscu.

- Jeszcze jedno słowo, chłopcze, a złamię ci kręgosłup. Ponimajesz, super-gówno?

Trepka zbladł. Rzucił Małemu nienawistne spojrzenie i wymamrotał coś niezrozumiałego. Próbował sięgnąć po pistolet, ale ujrawszy wbity w siebie wzrok Heidego, dał spokój.

- Herr Leutnant - powiedział Mały i rzucił worek z zapasami Leutnantowi Ohlsenowi. Kota trzymał w ręce jak martwego królika. - Czy zechce pan rozdzielić żywność?

Leutnant kiwnął głową. Podzielił żywność na dwanaście porcji dokładnie tej samej wielkości, tak dokładnie, że na końcu każdy otrzymał po ćwierć herbatnika.

Gdy żywność została rozdzielona, Mały spojrzał na każdego z nas po kolei. Podniósł kota nad głowę.

- A więc żaden z was nie chce dostać ani kawałka koteczka?

Nikt nie odpowiedział.

- Doskonale, mnisi - mówił dalej, - upewnijcie się, że później nie przyjdziecie do mnie, by poprosić o jego nogę. - Wyciągnął z kieszeni kapciuch na tytoń. - Każdego ranka zwinę dwanaście chwastów, a każdy z was może przyjść i dostać swój, jeśli zechce. Ale to nie prezent. To pożyczka i chcę, żeby była zwrócona. Procentem będzie ćwierć za każdego całego. - Pogroził wielką pięścią. - A do waszej wiadomości: ta pięść jest moim prawnikiem, a druga woźnym sądowym i możecie się założyć, że niewypłacalność będzie ścigana natychmiast.

- Ile dokładnie mamy amunicji? - Zapytał, podnosząc głowę, Leutnant Ohlsen.

- Diabelnie mało, Herr Leutnant - odrzekł Porta, ciskając kamyk do małego stawu. Kamyk podskoczył pięć czy sześć razy na spokojnej powierzchni. Ale zdaje mi się, że wystarczy na kulkę w łeb dla

każdego z nas.

- Zaprzestań, Porta, tego twojego całego, męczącego pyskowania - wybuchnął Leutnant Ohlsen. Pchnął do Starego trzy skrzynki amunicji, są pełne. Co z kaemem? Czy jest w porządku?

- Tak - odparł zwięźle Stary i stuknął czubkiem jednego buta w drugi, jakby był śmiertelnie znudzony.

- Doprawdy! - Wrzasnął Porta. - Trzy skrzynie prochu i prawdziwy karabin maszynowy! Jeśli nie wygramy tej wojny, po prostu nie zasługujemy na to, by nas nazywać Teutonami, synami Nibelungów. Leutnant Ohlsen udał, że nie słyszy naśmiewania się Porty. Zwrócił się do Starego.

- Jaką ma jeszcze inną broń?

Stary stuknął gałązką w mrowisko. Odpowiedział obojętnie.

- Trzy pistolety maszynowe, jeden rosyjski, siedemnaście granatów ręcznych. Miotacz ognia i miotacz rakiet przeciwczołgowych bez amunicji.

- Święta Mario z Sankt Pauli! - Ucieszył się porta. Zgiął się w pół ze śmiechu. - Niech mnie diabli, jeśli to nie wystarczy, by stawić czoło całej armii! Miejmy tylko nadzieję, że nie dojdzie do naszych kolegów, jaką niebezpieczną bandą jesteśmy, bo znów mogą uciec!

- Zamknij twą przekłętą gębę - uniósł się Leutnant Ohlsen. - Twoje nieustanne kłapanie dziobem ani trochę nam nie pomaga. Czemu zamiast tego nie podpowiesz nam jak możemy sterować przez teren partyzantów i wrócić do niemieckich linii? Musi gdzieś być nowa linia frontu.

- Przepraszam, że się wtrącam - powiedział Mały, - ale uważam, że nowa linia frontu zostanie ustanowiona w pobliżu Berlina.

- To nielojalna wypowiedź! - Krzyknął Trepka.

- Domagam się sądu wojennego zgodnie z Rozkazem führera numer 8!

- Trepka, ty nie jesteś całkiem przy zdrowych zmysłach. Czy wyobrażasz sobie, że mamy czas na tego rodzaju nonsens tu, za rosyjskimi liniami?

Trepka stuknął obcasami i spojrzął na Leutnanta Ohlsena z fanatycznym błyskiem w oku. Zapiał jak miniaturowy kogut.

- Herr Leutnant, każdy niemiecki żołnierz bez względu na stopień może zażądać odbycia sądu wojennego przeciw defetystom i zdrajcom! - Wręczył Leutnantowi Ohlsenowi swój pisemny donos na Małego.

Leutnant Ohlsen przeczytał go w milczeniu, a po tym podarł na kawałki. Spojrzął na Trepkę, który stał przed nim wyprostowany jak wycior do karabinu, całkowicie pewny siebie.

- Na twoim miejscu zapomniałbym o donosie. Wygląda, że pomysł sądu wojennego utkwiał ci w gardle.

Mały, siedzący na pniaku między Portą i Legionistą, wrzasnął tak, że echo rozniosło się po lesie.

- Przekonajmy się, jak nasz zarodek przyszłego pułkownika będzie chciał postawić przed sądem wojennym biednego Małego po tym, jak Iwan nas złapie. Julius Żydożerca powiedział mi, wszystko o tym parszywym meldunku.

- Przestań wrzeszczeć, dobrze? - Zganił go Leutnant Ohlsen, - albo będziemy w drodze na Kołymę nim się zorientujemy.

- Saperlotte - mruknął Legionista. - Zdecydowanie wolę Saharę od Syberii.

- A ja mówię: do diabła z twoją Saharą i Syberią, jeśli tylko Joseph Porta dostanie się na Bornholmerstrasse, Moabit, Berlin.

- A jak Joseph Porta proponuje tam się dostać? - Zadrwił Leutnant Ohlsen.

- Zwiniemy Iwanowi ciężarówkę. To lepsze, niż iść piechotą - odrzekł nonszalancko Porta.

Leutnant Ohlsen spojrzął na Starego i potrząsnął głową. Stary wzruszył ramionami.

- Zwariowany pomysł - mruknął.

Porta wstał, zarzucił pistolet maszynowy na ramię i ciężkim krokiem wyruszył do lasu.

Mały jak wierny pies poszedł jego śladem, ciągnąc za sobą skrzynki amunicyjne.

Leutnant Ohlsen znów potrząsnął głową.

- Gęsiego za mną! - Zakomenderował.

Przez całe godziny przepychaliśmy się przez las, jak przez dżunglę tropikalną. Płakaliśmy. Przeklinaliśmy. Biliśmy się między sobą. Ale instynkt samozachowawczy i strach przed tym, czego mogliśmy oczekiwać od Rosjan, jeśli wpadniemy im w ręce, popędzały nas do dalszego marszu.

Z niezawodnym instynktem puszczańskiego wilka Mały prowadził nas przez zarośla i bagna dopóki po czterech dniach nieznosnego wysiłku nie ujrzelśmy blasku jakichś ognisk.

Z przerażenia ukryliśmy się wśród sosen. Wszyscy z wyjątkiem Porty i Małego byli zgodni, że musimy oddalić się od tych ogni, ale w końcu Leutnant Ohlsen poddał się bezwarunkowo Porcie i Małemu, choć w głębi serca uważał ich za obłąkanych.

- Jeśli tam są ognie, to są także Iwany - powiedział z przekonaniem Porta, - a gdzie są Iwany, są też ciężarówki, a my użyjemy tych ciężarówek. Mały, chodź, rozejrzyjmy się.

Mały znikł w ciemności. Stary i Leutnant Ohlsen dziko zaklęli.

Wróciwszy po dwóch godzinach przykucnęli koło nas, leżących w wysokiej trawie.

Mały zsunął swój melonik na tył głowy. Dławił się od śmiechu.

- Powinniśmy się byli spotkać dawno temu, Josephie Porto. Pomyśl o tym wszystkim, co mogliśmy zwinąć na Reeperbahn. Ty byś bajerował frajerów, a Mały by ich walił w łeb.

- Klejnot, nie ciężarówka - mruknął Porta.

- Co chcesz powiedzieć? - Zapytał niecierpliwie Leutnant Ohlsen.

- Terenowy pojazd pancerny dla artylerzystów czołgowych, pełen kanistrów benzyny, wystarczających by zawieźć nas na Bornholmerstrasse!

- A załoga? - Zapytał Leutnant Ohlsen, patrząc na ciemne korony drzew.

- Nie ma o czym gadać - odparł Mały, bijąc jakieś komary. - Tylko osiem żółtych małp, siedzących koło węglowego piecyka i zachlewających się. Poniemasz?

- Mają przynajmniej trzy kwarty wódki - powiedział Porta, - które zwinęli któremuś ze swych oficerów kwatermistrzostwa, gwarantuję.

Mały zaśmiał się cicho.

- A teraz te dwa tatarskie pawiany siedzą sobie tam i chłęczą ją, jakby wojna wkrótce miała się skończyć. Założę się, że myślą tak: Niemcy, ta nazistowska hołota, zostali już prawie wygnani z powrotem do Polski.

Porta roześmiał się głośno.

- I nagle my zwijamy ich pancerną ciężarówkę. Dostaną konwulsji!

Przez chwilę leżeliśmy w milczeniu. Można było poczuć, jak wszyscy zastanawiają się nad tą ciemną ciężarówką.

Porta zwinął sobie papierosa.

Po chwili Leutnant Ohlsen wstał.

- Doskonale, chodźmy po nią.

I teraz rozegrał się za liniami nieprzyjacielskimi jeden z tych niezliczonych dramatów, których nigdy nie opisywano w komunikatach. Jedyłą ich konsekwencją jest to, że kilka nazwisk zostaje skreślonych ze stanu służby.

Kapral Wasilij Rostow i artylerzysta czołgów Iwan Skolienski z 34. Brygady Pancerniej właśnie podeszli do swego cudownego, nowego transportera pancernego, by wziąć parę kawałków wędzonej baraniny, gdy poczuli na gardłach parę stalowych palców.

Powoli wszystko przed ich oczami zmieniło się w ciemność. Wasilijowi udało się tylko podnieść rękę do gardła i dotknąć dławiących palców. A potem umarł.

Iwan ujrzał przed sobą dwoje swych dzieci. Ujrzał je tylko przelotnie. Chciał je zawołać, ale z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk. Jego nogi trochę zadrgały, Legionista nieco zacisnął chwyt. Wtedy on też umarł.

Porta i Mały szybko naciągnęli bluzy martwych na swe czarne mundury czołgistów i włożyli rosyjskie hełmy. Krótco wymienili szeptem kilka uwag, z resztą oddziału. Wtedy wszyscy podkradliśmy się do ognia, gdzie można było odróżnić pary Rosjan, resztę załogi transportera.

- Job twoju mat! - Zaklął głośno Porta.

Rosjanie przy ogniu roześmieli się. Jeden z nich zawołał:

- pospieszcie się. Czekamy.

- Natychmiast, chłopcze, natychmiast - mruknął Legionista. - Wkrótce będziecie w domu w ogrodzie Allaha.

Zbliżyliśmy się od dymiącej strony piecyka, bezszelestnie jak węże. Julius Heide przygotował swą stalową pętlę. Legionista roztarł sobie nadgarstek i zacisnął dłoń na swym mauretańskim sztylcie. Stary sprawdził swą krótką łopatkę do okopywania się, przesunawszy ją w pięści. Każdy z nas sprawdzał, jak mu leży w ręce jego specjalna broń.

Łopatki i noże błysnęły w blasku niedużego ognia. Paru zaskoczonych artylerzystów czołgowych wydało mdlący bulgot, gdy noże i łopatki wbiły się w drżące ciała. Julius Heide rzucił się na sierżanta. Wcisnął mu twarz w rozżarzone węgle ognia, który zgasł z sykiem. Wypuścił swą ofiarę dopiero, gdy już się nie ruszała.

Leutnant Ohlsen zwymiotował.

Cały incydent rozegrał się tak niewiarygodnie szybko, bez hałasu, bez bohaterstwa, że w zdumieniu patrzyliśmy na trupy rosyjskich artylerzystów czołgowych. Jeden z nich miał w ręce kawałek chleba. Inny trzymał przewróconą do góry dnem menażkę. Kapuśniak rozlał mu się na piersi.

- Wszystkie oczy zapłaczą, gdy wieść o śmierci bohaterów dotrze do wsi - uśmiechnął się Stein. Szturchnął trupa sierżanta czubkiem buta.

Stary siedział kiwając się, z głową w dłoniach. Był śmiertelnie blady. Odrzucił na pewną odległość swą skrwawioną łopatkę. Leutnant Ohlsen wymiotował zółcią.

Tych dwóch nigdy nie zdołało się do tego przyzwyczaić.

Mały i Porta zapomnieli o umarłych. Wskoczyli do nowiutkiego transportera pancernego. Porta za kierownicę. Mały za karabin maszynowy.

Gdy odkryli, ile broni zawiera, Julius i Stein stanęli na tyle wozu i wydawali radosne okrzyki jeden za drugim. Transporter był napchany wyposażeniem: dwa karabiny maszynowe i jeden z ich niezrównanych rosyjskich móżdżerzy okopowych.

Porta darł się z radości. Włączył silnik i pozwolił mu ryczeć, aż powietrze drżało.

- To świetna bryka, prawda? - Promieniował radością. - W całej Armii Niemieckiej nie znajdziecie nic, co by się z nią równało!

Gdy silnik zaczął ryczeć, Leutnant Ohlsen i Stary wskoczyli do środka.

- Czy zwariowaliście do reszty? - Rugnął ich Leutnant Ohlsen. - Ten ryk można usłyszeć nawet na taśmociągu. Zrób, żeby działał ciszej.

- Nie da się - odkrzyknął Porta. - Iwan nie wie jak się buduje bezgłośnie silniki. Muszą piszczeć i huczeć. - Zakręcił ciężkim wozem. Gąsienice zaklekotały na wypalonym ogniu i trupach. - Iwan Śmierdziowicz, tu Joseph Porta, z Bożej łaski Hauptgefreiter w pobitej armii Hitlera!

Włączył hamulce. Gąsienice zachlupotały, a nam koło uszu przeleciały chmury ziemi. Zapalił

przednie światła, co wywołało ponowny krzyk Leutnanta

- Wyłącz te reflektory, człowieku i rozkazuję ci żebyś zamknął twarz.

- Herr Leutnant, jeśli zrobię tak, jak pan mówi, nie zajedziemy daleko. Nie jesteśmy już przerażonymi Niemcami, lecz śmiałymi Iwanami. Wygraliśmy wojnę, spuściliśmy lanie nazistom, pogoniliśmy ich daleko w Polskę. Wkrótce będziemy w Berlinie, gdzie są toalety z prawdziwej porcelany. Więc czemu jechać w ciemności i ciszy, Gospodin Lejtnant? Mnóstwo światła, oceany światła! Matka Rosja raduje się! Zwycięstwo jest nasze! Proletariat jest potęgą! Niech żyje Tatuś Stalin! Job twoju mat!

Leutnant Ohlsen przyłożył palec do czoła i spojrział na Starego. Pomyślał, że Porta musiał zwariować.

Jak opętany poprowadził ciężki transporter przez noc. On i Mały siedzieli na miejscu kierowcy, ubrani w rosyjskie płaszcze i hełmy.

Często przejeżdżaliśmy koło obozów, gdzie wąska droga nie pozwalała skręcić. Porta po prostu przyspieszał jazdę i podnosił lewą pięść w pozdrowieniu Czerwonego Frontu, zaś brodaci, o dzikim spojrzeniu i tylko w połowie umundurowani ludzie machali do nas, wymachując bronią nad głowami.

- Ura Stalinu! Da здравствует Krasnaja Armia! - Ryczeli podnieceni zwycięstwem partyzanci za tym, co brali za rosyjski samochód pancerny.

- Do Warszawy i Brześcia Litewskiego - odkrzyknął Porta. - Dało z Giermancami! W Berlinie będziemy myć się i srać do porcelanowych misek!

- Odłóż jedną także dla nas, brat towarzyszu! - Wrzeszczeli na pożegnanie partyzanci.

Godzina za godziną słychać było klekotanie gąsienic, gdy transporter hałaśliwie mknął przez wielki las. Gdy zatrzymaliśmy się w ciągu nocy, wóz został zamaskowany. Nie można go było dostrzec z odległości nawet jednego metra. Połowa z nas stała na posterunkach za karabinami maszynowymi i moździerzami, podczas gdy druga spała.

Gdzieś w głębi puszczy oddział partyzantów pod dowództwem Lejtnanta Armii Czerwonej zajęty czymś w rodzaju sądu wojennego nad Rosjanką, pochodzącą z okolic Wołgi, wpadła im w ręce. By mieć wyżywienie i dach nad głową, dziewczyna pracowała jako ktoś w rodzaju pomocy polowej w niemieckim sztabie pułkowym. Wtedy ruszyła ofensywa. Chaos. Panika. Została zapomniana mniej więcej umyślnie. Wszędzie gdzie tylko poszli, było mnóstwo dziewczyn. Czerwonej armii oficera artylerii zawsze przyciągały dziewczyny. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzała we wsi, była chmura kurzu za odjeżdżającym sztabem pułku.

Szybko spakowała swój niewielki majątek do kilku toreb, przewiesiła je przez ramiona i ruszyła taśmociągiem. Wokół niej na niemieckich żołnierzy, idących całą masą z frontu, wrzeszczeli i przeklinali ich brutalni żandarmi. Upadła. Wstała, potykała się. Płakała. Przez kilka kilometrów pozwolono jej trzymać się strzemion kawalerzysty. Był to jej rodak, Kozak.

W końcu Kozak przyspieszył. Już nie potrafiła dotrzymać mu kroku. Potknęła się i upadła, Koń stanął dęba. Kozak zamachnął się na nią długą nahajką, krótko krzyknął „Niczewo” i splunął na nią, Spiał konia ostrogami i pogalopował po taśmociągu. Czerwone denko jego czapki świeciło w słońcu.

Krótki odcinek przebyła jadąc na ciężarówce kuchennej piechoty. Potem wypędził ją jakiś Leutnant.

Nim się zorientowała, na taśmociąg wskoczyli żołnierze jej własnego kraju.

Pobiegła do lasu by się ukryć, choć w lesie miała więcej wrogów i to niebezpieczniejszych, niż wśród żołnierzy wojsk regularnych na drodze.

Całe godziny siedziała w gęstych zaroślach, sparaliżowana strachem.

Pewnego ranka wpadła w ramiona dwóch partyzantów z kudłatymi brodami. Zaciągnęli ją przed dowódcę oddziału partyzanckiego, Lejtnanta gwardii Turieczę. Był to wysoki, szczupły mężczyzna,

prymus swej klasy w akademii wojskowej w Omsku. Mając lat czternaście zadenuncjował swoją matkę, że ma poglądy kontrrewolucyjne. Została zabita odłamkiem spadającej skały w kamieniołomach Sib-Cicago koło Nowosybirsk.

Gdy Piotra Turiecę zawiadomił o śmierci matki szef jego grupy Komsomołu, ten tylko wzruszył ramionami i zauważył: dostała na co zasłużyła.

Był człowiekiem inteligentnym, fanatycznym i szybko podejmującym decyzje.

Gdy ujrzał Marię wchodzącą do obozu między dwoma jego ludźmi, natychmiast zauważył skarpetki Wehrmachtu, szary pulower z zielonym szlaczkiem i charakterystyczny, zielony szalik.

Uśmiechnął się lodowato.

- Zdrajczyni! - Syknął. Plunął jej w twarz i uderzył swą futrzaną czapką. - Jak się nazywasz? Co tu robisz? Skąd przyszłaś?

Policzek natchnął ją odwagą. Z głębi duszy pojawił się charakterystyczny dla jej rasy upór. Jej ładne oczy zmieniły się w wąskie szparki gdy wycierała krew, spływającą jej po twarzy.

- Przyszłam z łona mojej matki I uciekam od Niemców. Wy, co kryjecie się i zabijacie z zasadzki nie wiecie, co być może dziś się dzieje na drogach i we wsiach!

- Więc tak to chcesz rozegrać, ty szmato zawołał swego zastępcę, sierżanta sztabowego Połtonka, małego Kałmuka, którego ani trochę obchodziło, co jest jego własnością lub co nie jego ale zawsze dawał z siebie wszystko.

Stuknął obcasami przed Lejtnantem i warknął.

- Na rozkaz towarzyszc Lejtnant!

- Zajmij się tą suką - odwarknął Lejtnant kozackiemu podoficerowi, uśmiechnął się z satysfakcją i zrozumieniem.

Pobili ją. Złamali jej dwa palce. Mówili pieszczotliwie.

- Marusia - Lejtnant Turieca wyszeptał pieszczotliwe zdrobnienie imienia Maria. Chciałaś nas szpiegować dla twoich niemieckich przyjaciół?

- Niet - jęknęła dziewczyna.

- Miałaś o nas informować? - Szepnął Lejtnant prawie skręcając jej kark. Chwyił jej piersi i ścisnął aż zaczęła wrzeszczeć. - Jesteś zdrajczynią, kochałaś się z Niemcami. Kopnął ją.

Zerwali z niej całą odzież. Przerzucili ją przez gałąź, z której zwisała wygięta w łuk, podczas gdy oni wycinali w jej ciele małe, wąskie ranki, w które wcierali sól.

Potem znów ją zdjęli.

Powiedziała, że sprzedała Rosję. Powiedziała, że wbiła Armii Czerwonej nóż w plecy. Wyśmiewała Batuszkę Stalina. Była własowską zdrajczynią.

Zmusili ją do picia wódki. Lali jej wódkę z butelki prosto na twarz. Lejtnant wzruszył ramionami.

- Róbcie z nią, co chcecie. - I odszedł.

Kałmuk Igor Połtonok położył się na niej. - Marusia! - Szeptał.

Gdy się zaspokoił, Narysował jej na czole swastykę rozpalonym do czerwoności gwoździem.

Obcięli jej całe włosy i spalili je w ognisku. Potem plunęli na nią i odeszli.

Gdy o świcie wyruszyli dalej, po prostu ją zostawili leżącą półnago na ziemi. Gdy Turieca zapytał Igora, czy ona nie żyje” ten skłamał i powiedział.

- Da. - Miał nadzieję, że w wilgotnym lesie sama umrze. Ale nie umarła. Była znad Wołgi, a ludzie z tamtego regionu są twardzi.

Gdy się ocknęła, w płonącej, pulsującej głowie miała tylko jedną myśl. Nim umrze, musi zabić Kałmuka.

Łkając i zataczając się ruszyła w drogę. Instynktownie skierowała się na zachód.

W trzy dni później siedziała na wiatrołomie, chcąc umrzeć. Najgorsze bóle odeszły. Oparzenie na jej czole już nie paliło, ale opanowało ją przemożne, mordercze zmęczenie.

By zaspokoić pragnienie żuła soczyste gałązki, ale żucie bolało. Od bicia obluzowały się jej zęby, a usta były mocno opuchnięte.

Nagle usłyszała warknięcie, a para palców zamknęła się na jej gardle i pociągnęła ją do tyłu. I Maria sparaliżowana strachem patrzyła w brudną bandycką twarz Małego pod rosyjskim stalowym hełmem.

- Dziwka! - Ryknął. - Dziwka ze znakiem na czaszce!

- Osioł - syknął Stary, wypełzając jak jaszczur z krzaków, podążając za Legionistą. Czemu wypuszczasz powietrze z tej biednej dziewczyny, udusisz ją!

Mały wstał i pomógł Marii podnieść się na nogi, ale nie zaniedbał szansy przesunięcia pięścią po kształtnym ciele, półnagim pod podartymi szmatami, służącymi jej za odzienie.

- Święta Matko Kazańska! - Zawołał Mały - Co za cukiereczek! - Mrugnął na Starego i Legionistę. - Rzućmy kości o to, kto pierwszy na nią wskoczy.

- Świnia - skarcił go Stary. - Trzeba ją zaprowadzić do Leutnanta Ohlsena.

- Możesz wziąć ją pierwszy - powiedział wielkodusznie Mały. - Założę się, że będzie aż nadto zadowolona, gdy jej to zrobimy.

- Zamknij się - odpowiedział Stary. - Jeśli ją tkniesz, strzelam. - Wycelował pistolet maszynowy.

Mały obmacywał dziewczynę jak kurczaka, nim mu się utnie głowę.

- Święty Jezu, cała moja przednia zbroja się rozgrzewa - jęknął, ogarnięty podnieceniem. - Doprawdy, Stary, bądź dobrym kumpem i pozwól Małemu skorzystać z jego ciężko zarobionej przyjemności. Wszyscy są wobec mnie tacy paskudni! Pamiętasz list od mojej matki, tej suki - dodał.

- Nie dotkniesz jej - zdecydował Stary. - Musi zostać przesłuchana przez Leutnanta Ohlsena.

- Świetnie - rozjaśnił się Mały. - Więc zrobmy przesłuchanie wstępne. Jak gliny, które złapawszy kogoś, najpierw go zmiękczenia przed wielkim przysmażaniem!

- Żadnych kawałów teraz, Mały. Po prostu idź naprzód.

Gdy dobrze zagłębili się w świerkowy las, Mały nagle wykrzyknął: Job twoju mat!

Maria wrzasnęła histerycznie. Stary odwrócił się w przerażeniu.

- Kurwa nie ma na sobie majtek. Właśnie sprawdziłem. - Zwracając się do dziewczyny powiedział: czy zabawisz się w moj ulubieniec, zabawisz się w miłość z Małym?

- Skończ z tymi brudami! - Wybuchł Stary, celując z pistoletu maszynowego w głowę Małego. - Jej banda, partyzanci, mogą być tuż, a ty możesz myśleć o czymś takim!

Pod groźbą wycelowanego pistoletu maszynowego Starego wmaszerowali do obozu.

Porta gwizdnął długo i sugestywnie na widok porwanej na strzępy odzieży Marii i lubieżnej miny Małego. Ale zanim zdołał powiedzieć co myśli, Mały zagrzmiął.

- Jaki śliczny, mały mebelek, składany i w ogóle. I nie ma na sobie majtek! Jej dupa uśmiecha się wesoło pod jej łachmanami, jak u grzejącej się lochy w drodze do knura! Naprawdę gorąca laska. W sam raz na mój rozmiar.

Leutnant Ohlsen skoczył na równe nogi. Stał przed Starym.

- Coście jej zrobili?

Stary skierował na niego nieugięte spojrzenie niebieskich oczu. Nie odpowiedział.

Leutnant Ohlsen zakłopotał się.

- Wybacz mi Beier. Oczywiście nic się nie wydarzyło, ponieważ ty tam byłeś. Niezdarnie wyciągnął do Starego dłoń, którą ten przyjął i uściśnął z krzywym uśmiechem.

Dziewczyna została przesłuchana.

Najpierw jej grozili. Ale swastyka wypalona jej na czole przemawiała nader wymownie. Nie było

powodu, by nie wierzyć jej opowiadaniu.

Mówiła zająkując się. Dokończenie opowiadania zajęło jej półtorej godziny.

- Gdzie teraz są partyzanci? - Zapytał Leutnant Ohlsen.

Maria pokazała na wschód, w głąb lasu. - W lesie.

- Czy są liczni? - Spytał Stary.

- Da - skinęła głową Maria. - Odejdźcie szybko. Dawaj, dawaj! Bez snu!

- Tak - powiedział Leutnant Ohlsen. - Wyruszamy!

Dziewczyna dostała miejsce siedzące między Portą i Małym. Wsadzono jej na czoło rosyjską czapkę piechoty. Ze swymi skośnymi oczami wyglądała dokładnie jak młody żołnierz z Kaukazu.

Julius Heide wręczył jej pistolet maszynowy.

Poczuwszy w ręce chłodną stal uśmiechnęła się złym uśmiechem.

- Ja wezmę zemstę. Zastrzelić na śmierć Kałmuka Igora. Tylko ja to zrobić powiedziała łamanym niemieckim.

Porta wzruszył ramionami.

- On jest ostatnim, którego pragnęłabyś spotkać, szczególnie teraz, gdy jesteś z nami. Umarłabyś bardzo powoli. Zajęłoby ci to przynajmniej dwa tygodnie.

Godzina za godziną pchaliśmy się przed siebie wąską, leśną drogą. Za każdym postojem Maria opowiadała nam, co jej zrobili. Mówiła nam rzeczy, od których widzieliśmy czerwono.

Leutnant Ohlsen nieustannie jej przerywał i popędzał nas naprzód. Od chwili, gdy przetoczyła się po nas ofensywa, stał się zupełnie innym człowiekiem. Poganiał nas bez odpoczynku.

- Jego szyję świerzbi medal - mruknął Porta.

Ale to nie była prawda. Leutnant Ohlsen nie pragnął być bohaterem.

- Jego przynaglanie doprowadza mnie do szaleństwa - mruknął Julius Heide. Jedynym wytłumaczeniem jest to, że on chce dostać jakąś blaszkę na szyję.

W środku naszej mrużanej rozmowy przyszedł Leutnant Ohlsen i rzucił się na podłogę koło nas. Jakby usłyszawszy o czym mówiliśmy, powiedział.

- Zapewne myślicie, że mam zamiar zostać bohaterem, że gonię za blaszką. Tak nie jest, chcę tylko wyrwać się z tego paskudnego lasu. Tylko dwie rzeczy mnie popędzają: tęsknota za domem i chęć przeżycia. - Z kieszeni na piersiach wyciągnął portfel i podał nam zdjęcie. - To Inga i Gunni. Moja żona i mój chłopiec. Ma siedem lat. Nie widziałem go od trzech. - Splunął. - A więc widzicie, że to czysty egoizm powoduje, że was popędzam. Jeszcze nikt i nigdy nie wydostał się samotnie z tego przeklętego kraju.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Wyglądało, jakby oczekiwał, że coś powiemy. Heide zanucił cichutko.

Daleka jest droga do naszej ojczyzny, Tak długa, tak długa, tak długa...

- Mogę wykorzystać was, wy możecie wykorzystać mnie - mówił dalej Leutnant Ohlsen. - Wyciągnąć kopyta jako niewolnik w niekończącej się tajdze tego kraju, albo pomóc sobie nawzajem wrócić do domu. Żadnych napuszonych słów o walce za führera i za Wielkie Niemcy. Chcemy tylko wrócić do domu. Umierać w tym parszywym lesie byłoby bezsensownie.

Porta podniósł wzrok.

- Wydaje mi się, że my wszyscy chcemy żyć! My tego chcemy i tego samego chcą nasi odpowiednicy po tamtej stronie, a przecież niewielu to się uda.

- To dlatego, że jesteśmy świniami, urodzonymi przez śwynie i przeznaczonymi na rzeź, powiedział Legionista. - Mamy tylko odrobinę silniejszy instynkt samozachowawczy, niż nasi bliźni, stworzenia z ryjami. Jesteśmy jak wilki, które chwytają zębami nóż, który je zabija.

- Myślę, że masz rację - wtrącił Julius Heide - Jesteśmy stadem złośliwego bydła. Zbyt tchórzliwym, by się poddać.

- Nie! - Krzyknął Leutnant Ohlsen. - Tu właśnie jest niebezpieczeństwo. Musimy myśleć i odczuwać jak czują i myślą Esesmani o Hitlerze oraz oddziały gwardyjskie NKWD o Józefie Stalinie. Z wyjątkiem tego, że przedmiotem naszych uczuć i myśli powinna być żelazna wola przeżycia, bez względu na wszystko. Powinniśmy być gotowi wygryźć sobie drogę przez góry i lasy, by dotrzeć do domu! - Otarł pot z czoła i kopnął swój stalowy hełm, odrzucając go całkiem daleko.

Stary głęboko zaczerpnął powietrza.

- Nie chcę odbierać panu odwagi, ale myślę, że żaden z nas nie wróci do domu. Na mnie czekają warsztat, żona i troje dzieci, ale wiem, że już mnie nigdy nie ujrzą.

Leutnant Ohlsen złapał Starego za mundur na piersi i przyciągnął do siebie. Szepnął prawie błagalnie.

- Stary, nie możesz tak myśleć. W głębi serca musisz wierzyć, że dostaniemy się do domu. Wojna jest prawie skończona. Ona musi się skończyć. Rosjanie polują na nas jak na króliki. Nasi nowi żołnierze są nic nie warci. Brakuje nam broni, amunicji, dostaw benzyny. Rabujemy, by napełnić brzuchy. Nasza policja i żandarmeria polują na nas jak na szczury, a w domu domy zwalają się jeden na drugi, a na naszych kulisów we Włoszech poluje się tak, jak na nas tutaj. To tylko kwestia paru tygodni, może miesięcy, a cały chlew się zawali.

- Tak, a wtedy super-rzeźnicy wezmą się do roboty - zadrwił Legionista. - Zwycięzcy wezmą krwawą zemstę na nas, żołnierzach. Proszę nie robić błędu myślowego, że przeżyjemy tylko dlatego, że wojna się skończy. Zamkną nas za drutami kolczastymi i będą głodzić, aż zaczniemy pożerać się nawzajem.

- Nie, to się nigdy nie zdarzy! - Krzyknął Leutnant Ohlsen. - Oni tego nie zrobią!

- A kto ich powstrzyma? - Spytał Julius Heide.

- Mogą nas użyć - odparł rozpaczliwie lejtnant Ohlsen.

- Nie - rzekł Legionista. - Nikt nie będzie robił żadnego użytku z nas, zużytych, zagłodzonych najemnych zabójców. Jesteśmy zbędnym bydłem. Im prędzej zaciśniemy na zawsze nasze dziury w dupie, tym lepiej. Bo zapomnieliśmy jak się pracuje.

- To nieprawda! - Wrzasnął Leutnant Ohlsen - nie może być prawda. Mogę od jutra zacząć pracować w biurze. Do szaleństwa tego pragnę, Stary do szaleństwa chce wrócić do swego sklepu meblarskiego.

Mały Legionista wrzucił ramionami i zdmuchnął jakiś pyłek z zamka swego pistoletu maszynowego.

- Pozostań w Armii jak ja. Tam dostaje się wyżywienie, ubranie, dach nad głową, odrobinę pieniędzy, by móc upić się w wolnym czasie i co najważniejsze natychmiastową śmierć, kończącą wszystko

- Armia, fuj! Nie dla mnie - oznajmił Porta. - Z pewnością nie będę potrzebował całego tego śmierdzącego klubu, by utrzymać się na falach. - Młasnął językiem, uniósł w górę palec i rozejrzał się, jakby miał podzielić się wielkim sekretem. Zniżył głos. - Wiecie, co robić? Złapię sobie stado dziwek, tak jak łowcy łapią deztererów. Potem dam im kopa i przez powietrze do legowisk w pierwszym burdelu... A ja będę dyrektorem. Czy zdajecie sprawę, jakie pieniądze biorą te suki? - Otarł wierzchem brudnej dłoni twarz i zsunął na tył głowy swój jedwabny cylinder. - Chłopcy, to będą czasy! Już dzisiaj widzę, co się dzieje w moich spodniach!

- Świnia - zadrwił Leutnant Ohlsen. - Splunął.

- Czemu, Herr Leutnant? - Zapytał głupio Porta, odganiając jakieś komary machaniem swego cylindra. - Dziewczynom nie robi to różnicy, a czemu z przyjemności nie zrobić biznesu, i do tego

korzystnego biznesu?

Mało jest kobiet, które nie chciałyby powąchać tej profesji. Po prostu nie mają odwagi ani okazji.

Jezu Chryste! - Krzyknął Mały. - Porta, czy pozwolisz mi być twoim wykidajłą? Nie będziesz musiał wiele mi dawać, tak długo, jak będę mógł próbować towaru kiedy zechcę.

- To będzie bardzo często, prawda? - Zauważył Heide.

- Tak powinno być - skinął głową Mały, oblizując wargi. - Gdybym wiedział z całą pewnością, że na Syberii jest dość dziwek, wsadziłbym sobie palce w dupę i pojechał tam na łokciach bez przesiadki w Omsku.

Ze śmiertelną powagą Porta zaczął nam wszystkim przydzielać robotę jako pracownikom jego przyszłego biznesu, z wyjątkiem Leutnanta Ohlsena i Starego.

W dwa dni później natknęliśmy się na żandarmów.

Pierwszy zobaczył ich Heide. Poszedł do lasu wraz z Marią i Małym. Szukali partyzantów. Instynkt powiedział nam, że trochę ich jest.

Mały skrzywił się szatańsko i przygotował swą stalową pętlę, ale Heide zasygnalizował mu, by się nie mieszał. Gdy dotarliśmy tam całą resztą, z Lejtnantem Ohlsenem na czele, łowcy głów, a było trzech, najpierw byli zaskoczeni, ujrawszy nas w lesie. Następnie stali się bezczelni. Zmienili mundury tak, by nie można było rozpoznać, że w rzeczywistości są żandarmami. Można ich było wziąć za zwykłych piechurów.

Jeden z trzech, Oberleutnant około pięćdziesiątki czy sześćdziesiątki, zażądał od Leutnanta Ohlsena naszych rozkazów wyjazdu. Ten dosłownie otworzył usta na taką bezczelność.

Nastąpiła chwila ciszy. Potem oficer żandarmerii znów otworzył usta.

- Straciłeś głos, Leutnant? Czy też jesteś chory na umyśle? Chcę widzieć wasze papiery, abym mógł zdecydować, jakim prawem włóczycie się po lesie.

- Chryste, musiał cię ugryźć wściekły pies - wybuchnął Heide.

- Zamknij się, brudny łamistrajk! - Ryknął oficer żandarmerii, groźnie wysuwając dolną szczękę.

Lufa jego pistoletu maszynowego była skierowana prosto w pierś Leutnanta Ohlsena.

W tym samym momencie, w leśnej ciszy, z krzaków za żandarmami rozległ się przenikliwy głos:

- Rzucić te rozpylacze!

Łowcy głów, jakby broń parzyła ich dłonie, z wrzaskiem rzucili swe pistolety maszynowe na ziemię.

- Łapy do góry, i to już! - Wołał dalej głos z krzaków.

Trzy pary pięści poleciały w górę. Wtedy wynurzyli się Porta i Legionista. Porta niósł na rzemieniu przewieszony przez ramię nasz ciężki karabin maszynowy.

Legionista dał kopniaka Oberleutnantowi.

- Na kolana, ty sukinsynu. Bardzo szybko dostaniesz nabojem w jaja.

Ciężki oficer sapiąc padł na kolana.

Dwaj podoficerowie dostali w twarz od Małego.

- Wy także klękajcie!

- Dajcie im spokój - rozkazał Leutnant Ohlsen.

- Zapłacisz za to - groził Oberleutnant, nawet nie próbując ukryć wściekłości. Przekonasz się, że przemoc wobec żandarma wykonującego swe obowiązki jest karana śmiercią zgodnie z artykułem 987!

- O ile mi wiadomo, dezercja jest karana przez sąd wojenny powieszeniem - odparł sucho Leutnant Ohlsen.

Żandarmi nie spodziewali się, co nam powiedziała Maria, ani nawet tego, że jest ona z nami.

Znała żandarmów, była z nimi. Słyszała, jak naradzają się nad przejściem do Rosjan jako zwykli

piechurzy. Pomysł polegał na tym, by pozwolić zagarnąć się przez ofensywę, potem zaczekać, aż za frontem zrobi się spokojnie i podać się za komunistów. Ich fałszywe papiery zostały znakomicie wykonane. Mówili także o przejściu przez góry na Bałkany. Maria wiedziała, że mają pełne kieszenie nie wypełnionych rozkazów wyjazdu ze sfałszowanym podpisem generała. Oberleutnant posiadał rozkaz specjalny, który otworzyłby im większość drzwi i usunąłby większość przeszkód przed nim i jego kumplami.

- A więc wysiedliście z wozu gnojowego? - Drwił Porta, szturchając Oberleutnanta swym nożem bojowym.

Gardłowy głos wydobył się z ust grubego oficera.

- Zapłacisz za to!

- Coś podobnego! - Uśmiechnął się Porta. - Dowiemy się o tym jeszcze przed świtem, ale w owej chwili twoja dupa będzie z pewnością zimna, chłopcze! Mały wprost umiera z chęci uduszenia cię.

- Zamknij twarz, Porta - rugnął go Leutnant Ohlsen. - Zrewidujcie ich - dodał krótko.

- Protestuję! - Wrzeszczał Oberleutnant. - Zrobienie czegoś takiego oficerowi jest zbrodnią.

Porta roześmiał się złośliwie.

- Ośmielam się Zauważyć, że może ci się wydawać dziwne, że tym razem wy jesteście ofiarami. Możecie być pewni, że zrobimy to bardzo dobrze, nic nie zostanie pominięte. Pozwolimy wam wstać, gdy Mały będzie was dusił. Użyje swej stalowej pętli i podniesie was przynajmniej o cztery cale nad ziemię do chwili, gdy wasz ostatni oddech trafi w chmury.

- Powiedziałem ci, żebyś zamknął twarz, Porta! - Odezwał się ostro Leutnant Ohlsen.

Stary wręczył mu papiery, które znaleźliśmy w kieszeniach żandarmów, wśród nich trzy niewypełnione rozkazy specjalne z podpisem generała.

- Sądzę, że to opowiada całą tę historię - powiedział Leutnant Ohlsen, machając kompromitującymi papierami. Miał zmęczony głos.

- Czy mogę ich już udusić, Herr Leutnant? Spytał z uśmiechem Mały. Wyciągnął z kieszeni długi odcinek stalowego drutu z dwoma kawałkami drewna na końcach - stalową pętlę do bezgłośnego duszenia.

Leutnant Ohlsen wściekł się.

- Nie zrobisz nic! Ta trójka wraca z nami na nasze własne pozycje! Póki ja dowodzę, nie będziemy mieli tak zwanych doraźnych sądów polowych. Zapamiętaj to sobie - dodał groźnie.

Heide i Mały otrzymali rozkaz, by zaprowadzić trzech więźniów do transportera, gdzie ich związano z rękami na plecach.

Dostrzegli Marię i zbledli. Powoli do nich podeszła, zatrzymała się przed tłustym oficerem żandarmerii, plunęła mu w twarz i syknęła.

- Czort!

Maria doznała jego miłości w opuszczonej chacie koło taśmociągu. Gdy odmówiła oddania się mu, prawie ją udusił. Chwycił ją brutalnie pod suknię. Sapał i dyszał, z kąta ust spływała mu ślina, gdy szarpał jej ciało. Wbił zęby w jej pierś. Ale przecież nie był zbrojcem. Był ciężkim, głupim wieśniakiem w mundurze oficerskim, który aż kipiał z lubieżnej żądz. Zwierzę w ludzkiej postaci. Nie żadne chore zwierzę. Nie zdeprawowane seksualnie indywiduum. Był po prostu głupi i niedoświadczony.

Gdy poczuł się zaspokojony, pozwolił ją mieć swemu Stabsfeldweblowi.

Maria pozwoliła mu.

Grube wargi Stabsfeldwebela ociekały banalnymi słowami miłości. Myślał, że to element konieczny gwałtu.

Tymczasem leżała jak martwa.

Zwymiotowała. To było gorsze, niż Lejtnant partyzantów. Lejtnant był dziki i zły, ale Stabsfeldwebel był odrażający i przyprawiający o mdłości. Ludzki ryszok.

Kamień uderzył wielkiego, potężnego Stabsfeldwebla w tył głowy.

Maria zaśmiała się jak hiena.

Mały podał Marii kolejny kamień.

- Rzuć mu prosto w twarz!

Maria upadła płacząc i wypuściła kamień.

Mały potrząsnął głową, nie mogąc pojąć, czemu Maria nie pragnie zabić Stabsfeldwebla. Wzruszył ramionami i wymierzył mu kopniaka, od którego tamten padł na twarz. Mały stał przez chwilę, przypatrując się wielkiej kupie mięsa na ziemi. Dokładnie przymierzył i spokojnie, z rozmysłem kopnął leżącego w krocze.

Długi, ciągnący się zwierzęcy wrzask wzniósł się aż po czubki drzew czarnego lasu. Wielkie ciało wygięło się do góry, jak nadmiernie naciągnięty łuk.

Nadbiegł Leutnant Ohlsen. Szalał z wściekłości. Mały stał na baczność, pozwalając by spływał po nim deszcz wyzwisk.

Oberleutnant żandarmerii, siedzący na ziemi koło transportera ze związanymi rękami, trajkotał z oburzeniem.

- To są tortury. Perwersyjny sadyzm. Ale domagam się, by na tym człowieku została wykonana kara śmierci. On maltretował mego Stabsfeldwebla, podoficera służby czynnej. Zapłacisz za to.

Nikt nie zadał sobie trudu by odpowiadać szumowinie. Gdy wrócimy do pułku, on i dwaj podwładni zostaną załatwieni od ręki: dezercja, fałszerstwo dokumentów i tchórzostwo w czasie bitwy.

To Stary odkrył, że więźniowie znikli. Zdarzyło się to tuż po świcie. Gdy zdaliśmy sobie sprawę co się wydarzyło, byliśmy w szoku.

Służbę miał Grubas. Leżał nieprzytomny koło drzewa, do którego więźniowie byli przywiązani.

Leutnant Ohlsen wybuchnął. Przesłuchał nas, ale wszystko, co Grubas miał do powiedzenia, to było to, że nagle upadł na ziemię. Gdy Leutnant Ohlsen zagroził mu sądem wojennym za zaśnięcie na posterunku, zaczął łkać. Ze łzami płynącymi strumieniem po twarzy przysiągł, że nie spał. Jego całe świńskie ciało trzęsło się na widok napadu wściekłości Leutnanta Ohlsena.

- Oni musieli dać dyla - uśmiechnął się Mały, patrząc na Portę i Legionistę, którzy siedzieli żując rzepę i mając Marię między sobą.

Stary podniósł głowę i uważnie przyjrzał się całej czwórce. Kiwnął głową bez słowa, zarzucił na ramię pistolet maszynowy i poszedł do lasu.

- Jesteś naszym kolegą, prawda? - Zawołał za nim Porta.

Stary odwrócił się bez słowa. A potem poszedł dalej.

Skończyliśmy pakować transporter, gdy Stary powrócił.

- Czy coś widziałeś? - Zapytał badawczo Leutnant Ohlsen.

- Tak - odrzekł krótko Stary, wpatrując się w Portę i Małego, stojących koło wozu i grających w kości. Po dobrym rzucie śmiali się głośno.

- O co chodzi? - Spytał Leutnant Ohlsen, podążając za wzrokiem Starego.

- Właśnie tego nie jestem pewien - odrzekł Stary.

Legionista podszedł do nich spacerkiem. Czyścił sobie paznokcie długim, mauretańskim nożem bojowym.

- Co się dzieje? - Zapytał. Między jego wąskimi wargami zwisał papieros.

- Czy wstawiałeś ubiegłej nocy? - Spytał Stary.

- Oczywiście - brzmiała odpowiedź Legionisty - Wstaję każdej nocy, by robić kawały.

- Niczego nie zauważyłeś?

- Nie, naprawdę, byłem zbyt zaspany - roześmiał się Legionista.

- Czy Maria była koło ciebie?

- Tak. Leżała między Portą i mną. - W jego głosie słychać było lekką groźbę. - Ale co u diabła chcesz powiedzieć, bawiąc się tak w Gestapo?

- Znalazłem więźniów - odpowiedział Stary.

- Co ty powiedziałeś? - Zdumiał się Leutnant Ohlsen.

- Ależ to wspaniale - zaśmiał się Legionista rzucając nóż w powietrze i łapiąc go ponownie.

- Wobec tego myślę, że lepiej będzie, jeśli ich powiesimy.

- Nie da się tego zrobić - powiedział cicho Stary. - Oni już zostali powieszani.

Leutnant Ohlsen spurpurowiał.

- Pokaż mi ciała i niech Bóg się zmiłuje nad tym, kto to zrobił.

Wszyscy z obozu z wyjątkiem Grubasa poszli do lasu.

Znaleźliśmy trzy ciała daleko w środku lasu. Po ich ciemnosinych twarzach łaziły mrówki. Mucha ściernica siedziała na jednym ze szklistych oczu Oberleutnanta i czyściła skrzydełka. Widok ciał był straszliwy.

Porta pochylił się nad pokaleczonym brzuchem Oberleutnanta.

- To musieli zrobić partyzanci - orzekł.

Stary rzucił mu spojrzenie człowieka znajdującego się na rzeczy.

- Myślałem to samo, ale gdy zauważyłem co dwa trupy mają w ustach, pomyślałem o opowiadaniu Marii i do głowy przyszła mi niesamowita myśl. - Zwrócił wzrok na Legionistę i wymawiając osobno i z naciskiem każde słowo mówił dalej. - Czy to właśnie robiły kobiety w górach Rifu?

Legionista uśmiechnął się szeroko.

- Tak, wygląda, że rosyjscy partyzanci czegoś się nauczyli.

Leutnant Ohlsen zaczerpnął głęboko powietrza i objął Starego za ramiona.

- Uważajmy, że to byli partyzanci. Tym trzem udało się uciec, a potem wpadli prosto w ramiona partyzantów.

Stary skinął głową i szepnął.

- Ludzie potrafią być takimi świniami.

Mały wrzasnął na tyle głośno, że można go było słyszeć o mile.

- Ci partyzanci to naprawdę paskudne typy!

Stary podbiegł do niego i chwycił go za kołnierz.

- Jeszcze raz otworzysz usta, a zastrzelę cię na miejscu!

Mały zdumiał się, ale nic nie powiedział.

Legionista stał, rzucając swój nóż w powietrze i jednocześnie zezując na Starego i Małego.

Następnie mruknął kątem ust.

- Ci trzej nie zasługiwali na nic lepszego. Mamy przecież wojnę!

Stary odwrócił się i popatrzył na niego.

- Naprawdę tak myślisz?

Legionista kiwnął głową.

- Tak jest, i myślę jeszcze, że gdy wrócimy na nasze pozycje, powinieneś pójść do szpitala dla nerwowo chorych.

Stary roześmiał się z przymusem i zerknął na stojącego obok Leutnanta Ohlsena.

- Prawdę mówiąc to nie taka zła myśl. Normalnych ludzi się zamyka, podczas gdy sadystyczni

mordercy są obsypywani zaszczytami!

Nóż Legionisty wbił się w drzewo tuż nad głowami Starego i Leutnanta Ohlsena.

- Myślałem, że widzę za wami wiewiórkę rzekł z uśmiechem.

Poszliśmy spacerem z powrotem do transportera i dalej pakowaliśmy się w milczeniu. Gdy później, zatrzymaliśmy się, Mały wyrzucił swą stalową pętlę. Cisnął ją do głębokiego strumienia. Porta uznał, że to najlepsze, co może zrobić.

Stary skinął głową. Splunął, ale nic nie powiedział.

Legionista uśmiechnął się. Pocieszył Małego mówiąc, że wkrótce dostanie nową.

Grubas siedział na pniu. Bolała go głowa, dziko kłął. Był jakby oszołomiony. Nie mógł zrozumieć, jak powiązani jak świnie trzej więźniowie zdołali się uwolnić i walnąć jego, Stabsfeldwebela służby czynnej, w głowę.

- Po prostu nie mogę tego pojąć - mrucał - Siedziałem tu, patrząc na tych trzech śmierdzieli i nagle moja głowa wybuchła.

- To musiał być partyzant - podsunął Mały, wymacując mu guz wielkości jajka.

- Partyzanci próbowali tego wcześniej uśmiechnął się Porta, przesuwając dłonią po głowie Grubasa.

Następnego ranka dotarliśmy do rzeki. Ukryliśmy się, czekając do nocy by się przeprawić.

Tylko dwóch z nas nie umiało pływać. Grubas i Trepka.

- Możesz zostać ze mną - zaproponował Mały Trepce - a ja zaholuję cię na drugą stronę.

- A kto mi pomoże? - Zapytał przygnębiony Grubas.

Wszyscy roześmiali się, gdy Porta mu zaproponował, by pozostał po tej stronie, gdzie jest.

Tuż przed zmrokiem usłyszeliśmy wystrzał. Ostry odgłos strzału z karabinu Mauser wz. 98.

Nieco głębiej w lesie znaleźliśmy Marię. Miała roztrzaskaną głowę. Włożyła wylot lufy do ust i palcem u nogi nacisnęła spust.

- To jakiś kant! - Lamentował Mały. Czuł się straszliwie oszukany. - Ponieważ tak czy tak zdecydowała walnąć w kalendarz, mogła równie dobrze najpierw pozwolić mi dać się przed tym spróbować.

- Ty parszywa świnio! - Wybuchnął Stary.

Mały zrobił kwaśną minę i kopnął wielką gałąź, w którą zaplątała mu się noga. Doprowadziło go to do absolutnej wściekłości.

Gdy wróciliśmy do obozu, Mały uniósł sukienkę Marii i powiedział zaskoczony do Porty.

- Do licha, ona też ma gówno w majtkach. Wszyscy to robią umierając. Zastanawiam się, czemu? Czy myślisz, że się boją?

Porta zsunął swój cylinder na czoło i podrapał się w kark.

- Nie, Mały, to nie ze strachu. Ale, uważasz, paskudzą wszystko gdy się tak wykańczają. To tak, jakbyś chciał potajemnie, cicho pierdnąć, najadłszy się tartego grochu i wieprzowiny z chorej Świni. Wtedy zdarzają się niespodzianki!

Leutnant Ohlsen usłyszał ostatnie słowa ich rozmowy i kazał im zmyć się, nazywając bydlakami i skurwielami. Spojrzeli na niego z wyrzutem i poczuli się głęboko dotknięci.

O północy przepłynęliśmy rzekę. W środku szybkiego nurtu Trepka spanikował, ale Mały bezpiecznie wyciągnął go na brzeg.

Meldunek został zapomniany. Trepka dorósł.

Heide i Porta płynęli z Grubasem, który parskał jak foka ze strachu i wyczerpania.

Wepchnęliśmy rosyjski transporter do bagna niedaleko rzeki.

Leżała w nim Maria.

Cała banda odprowadziła go do pociągu. Mały, otwarty, czteromiejscowy Volkswagen prawie

załamał się pod naszą dziesiątką.

Z przodu na masce leżeli Heide i Mały. Dwa razy zgubiliśmy Małego i musieliśmy się zatrzymywać, by go znów zabrać.

Na cześć wydarzenia wszyscy zwracaliśmy się do Leutnanta Ohlsena poufale.

Pociąg ruszył.

Staliśmy i machaliśmy, póki nie znikła ostatnia smuga dymu.

Leutnant Ohlsen siedział zamyślony przy oknie. Nie widział osmalonych drzew, ruin, wypalonych wraków samochodów ani roztrzaskanych lokomotyw, które zmęczyły się i teraz rdzewiały na zboczach nasypów kolejowych.

Widział tylko Inge i Gunniego. Żołądek mu się ścisnął od oczekiwanej radości.

Inge, Gunni, Inge, Gunni, śpiewały koła.

Widział ciepły uśmiech i śmiejące się oczy Ingi. Słyszał głos małego Gunniego, gdy patrzył na rozplywające się chmury.

- Teraz chmura odchodzi, tato. Czy ona idzie do Boga?

ROZDZIAŁ XVI Rodzina

Leutnant Ohlsen pojechał na urlop. Pierwszy od trzech lat. Szalał z radości i powiedział nam do widzenia.

Gdy pociąg zatrzymał się we Wrocławiu, do przedziału wsiadł przyjaciel. Wspaniale spotkać po tylu latach przyjaciela. Przyjaciel szepnął mu do ucha rzeczy, a były one kuszące.

- Gdy dostaniemy się do Berlina, pojedziemy do Darlem. Kieruję czymś w rodzaju trupy aktorskiej. Serwisowej trupy teatralnej - dodał, i roześmiał się hałaśliwie. - Bawimy się wspaniale. Mnóstwo dziewczyn. - Mlasnął językiem, wzniosł spojrzenie do sufitu i ramionami zrobił ruch obejmowania - Oceany gorzały. Wodospady szampana. Pełne łopaty kawioru. Wszystko, czego zechcesz. Szefem jest Obergruppenführer SS. - Znów wybuchł gromkim śmiechem.

Leutnant Ohlsen zaśmiał się cicho.

- Heinrich, chcę tylko jednego: dostać się do Ingi i mojego chłopczyka tak szybko jak to tylko możliwe. - Aż klasnął w oczekiwaniu - Czuję się tak, jakbym chciał wyskoczyć z pociągu i popędzić przed siebie.

Heinrich zaśmiał się.

- Rozumiem cię, a jednak któregoś dnia złóż nam wizytę. Mamy czarnowłosą, która wypróbuje cię na trzydzieści trzy różne sposoby. Potem czujesz się, jak wykastrowany ogier. I powinieneś zobaczyć niektórych chłopców, jakich mamy, nawet pomimo tego, że są esesmanami. Idą na wszystko. Jeśli ktokolwiek utyskuje, hej, presto! I nie ma go. Nikt nie zadaje żadnych pytań. To tak łatwe, jak spuścić wodę w toalecie.

Leutnant Ohlsen potrząsnął głową.

- Nie miałem pojęcia, że jesteś w Partii albo w SS.

- I nie jestem, do diabła, i co z tego, Bernt? Wolę współpracować z tymi na mostku, niż gnić w okopach. A nawet gdybym się opierał, czy myślisz, że system zostanie od tego obalony?

- Czy twój brat nie został powieszony w Buchenwaldzie? - Spytał zaskoczony Leutnant Ohlsen.

- Tak, a także mój ojciec - odparł pogodnie Heinrich. - Ale ostatecznie to nie moja wina. Byli głupcami, chcieli zostać bohaterami, ale zostali zapomniani. Popłynęli do nieba przez komin, ponieważ nie wysiedli na czas ze starego, trzęsącego się wagonu. Liselotte i ja byliśmy mądrzejsi. Wywączaliśmy gwiazdę Adolfa i zrobiliśmy co trzeba, aby we właściwym czasie zostać dobrymi

obywatelami.

- Wobec tego upewnij się by wysiąść, gdy wagon Adolfa przewróci się na zakręcie ostrzegł Leutnant Ohlsen.

- Nie martw się - zaśmiał się Heinrich. - Dziś SS. Jutro NKWD albo FBI. Tak długo, jak jestem na wierzchu, gwizdzą na to jak się nazywają. Nigdy w życiu nie byłem tak głupi, by płynąć pod prąd. Gdy do zwyczaju należy wrzeszczeć Heil, wrzeszczę Heil, a jeśli jutro będę musiał machać martwą świnia i wrzeszczeć „Zielony Front”, to będę to robił. Ty także. Posłuchaj mojej rady, Bernt i chodź ze mną, już nigdy nie ujrzysz więcej frontu!

Leutnant Ohlsen potrząsnął głową.

- Obawiam się, że nie jestem dość sprytny by zrobić w tył zwrot we właściwym momencie.

Gdy dotarli do Berlina był wieczór. Rozstali się na Schlesischer Bahnhof. Ale przed tym Heinrich dał Leutnantowi Ohlsenowi swój adres. Pobiegł ze śmiechem po peronie i znikł.

Leutnant Ohlsen pojechał tramwajem na Fridrichstrasse. Gdy wysiadał na znajomym przystanku, czuł się trochę niespokojny i zagubiony. Ogarnął go nagły przestach. Strach, który przyspieszył mu oddech.

Stary milicjant zasalutował, ale Leutnant nie zadał sobie trudu, by unieść rękę odsalutowując. Jak zwykle skinął po przyjacielsku głową.

Podszedł do niego Rittmeister kawalerii. Zasalutował przyjacielsko. Usta Rittmeistra uśmiechały się, ale oczy miał przenikliwie błękitne, podobnie jak kawaleryjskie kolory na jego czapce i koszuli.

- Herr Kamerad - zaseplenił - pozwól, że zwrócę ci uwagę, iż dyscyplina wymaga, by oficer traktował swych podwładnych na sposób wojskowy, w żadnym wypadku nie jak przyjaciel. To graniczy z sabotażem, Herr Kamerad. - Rittmeister artylerii zasalutował i skinął głową. - Przyjemnego pobytu! Pozdrowienia dla bohaterów w okopach. - Następnie dźwięcząc ostrogami oddalił się od przystanku, salutując wesoło na prawo i lewo.

To był jego sposób udziału w wojnie.

Leutnant Ohlsen otarł potnik swej małej czapki polowej i podążył wzrokiem za Rittmeisterem. Trochę dalej na chodniku zatrzymał on Feldwebela. Leutnant Ohlsen potrząsnął głową, podniósł swe dwie torby i z trudem poszedł schodami na Fridrichstrasse.

Był zmęczony, straszliwie zmęczony. Coś mu mówiło, że już tu nie pasuje. Stał się świnia bojową.

Ogarnął go strach. Strach, że mały Legionista mimo wszystko miał rację. Spojrzał na swój zakurzony, wyblakły czarny mundur, swe zniszczone buty z obcasami ściętymi po jednej stronie i swój pas szeregowca z kaburą, czarną kaburą Walthera P 38, a nie buńczuczną, brązową kaburą do Mauserów, noszoną przez oficerów na głębokich tyłach. Był dziwną mieszaniną szeregowca i oficera. Tylko srebrne naramienniki były oficerskie.

Zaczerpnął głęboko powietrza, przesunął ręką przed oczami i szepnął: Berlin, mój Berlin!

Ujrzał przed sobą brutalną twarz Małego. Widział, jak kopie żandarma. Widział długo nóż Legionisty, jak ze świstem wbija się w drzewo za nim i za Starym, ostre ostrzeżenie, by nie kontynuować dochodzenia na temat egzekucji żandarmów. Zadrzał, jakby poczuł zimno na widok trzech okaleczonych ciał. Ujrzał Marię, leżącą martwo nad rzeką w kałuży krwi. Odegnął te myśli i rozejrzał się. W ciemności wszystko wyglądało beznadziejnie. Wszędzie wypatroszone ruiny. Gdy szedł, trzeszczało mu pod nogami potłuczone szkło. Na murach widniały wypisane kredą zawiadomienia. „Matka u Ciotki Anny w Bergenwalde”. „Müllerowie z trzeciego piętra żyją. Pytać u Wuja Theo”.

Przyspieszył tak, by nie stracić nawet jednej minuty z trzech krótkich tygodni, podczas których miał przywilej bycia istotą ludzką. Tydzień za każdy rok na froncie. W wyobraźni ujrzał zawiadomienie

od Ingi: „Gunki nie żyje. Pytać u Ojca”. Z czystego przestrachu zaczął łkać. Rzucił się do biegu. Nikt się nie odwrócił, by spojrzeć za nim. Widok człowieka, który płacząc biegnie przez Berlin nie był niczym niezwykłym. Tu nawet kamienie i mury płakały.

Było zawiadomienie. Zesztywniał. Dom znikł. Starty z powierzchni ziemi. Po prostu zrównany z ziemią.

Padł na jedną ze swych toreb i ukrył twarz w dłoniach. Jęczał, przeklinał, łkał. Chciałby, aby banda tu była. Jego banda. Wielki, wrzaskliwy Mały. Ojcowski Stary, pyskujący Porta. Zdradliwy Julius Heide. Twardy, brutalny Legionista. Wszyscy z bandy śmierci.

Ktoś położył mu rękę na ramieniu. Brudną, popękaną dłoń robotnika. Podniósł głowę i spojrzął w ogorzałą, pooraną zmarszczkami twarz, pokrytą wczorajszym zarostem.

- Herr Graup! - Zawołał zdumiony, biorąc dłoń starego mężczyzny.

- Wróciłeś, Bernt - mruknął mężczyzna. - I zostałeś Leutnantem. Twoja żona i chłopak są bezpieczni. Odkopanie ich zajęło trzy dni. Uratowaliśmy dziewiętnastu. W sobotę dwa tygodnie temu spadł ciężki dywan bomb i opróżnił ulicę. Czy żona nie pisała ci o tym?

Leutnant Ohlsen potrząsnął głową.

- Inga nie pisuje często. Ma tyle do roboty.

- Myślę, że ma - odpowiedział stary, wypluwając prymkę. Wyglądało, że jego słowa mają jakieś ukryte znaczenie.

- Gdzie oni są? - Wyjąkał Leutnant Ohlsen.

- U jej ojca, a ściślej w domu jej ojca. Podobno twój teść został powołany. Zadzwoń, zanim tam pójdziesz. Tak będzie lepiej - zawołał stary, ale Leutnant Ohlsen nie słyszał go. Pomknął przed siebie.

- Ingo, Ingo - szeptał z głębi serca biegnąc, - Żyjesz, dzięki Bogu, Żyjesz!

Stary znów wypluł kęs tytoniu.

- Jaka szkoda - mruknął. - Ale ten Hauptfeldwebel z przedwczoraj miał gorzej. Żona i pięcioro dzieci zabitych, a teraz siedzi zamknięty w Plotzensee za obelżywe uwagi na temat Rzeszy. - O jego nogę otarł się kot. - Masz szczęście! Na ciebie polują tylko psy!

Leutnant Ohlsen pobiegł z powrotem na Friedrichstrasse i wszedł do pociągu do Hallensee. O mały włos, a dostałby się do pudła, ponieważ nie zauważył generała na Kurfurstendamm. Wyprostował się sztywno i pozwalał obelgom spływać po sobie, równocześnie szepcząc do siebie.

- Żyją, Inga i Gunki żyją. Tego nie potrafisz zrozumieć, ośle. Oni żyją.

- Jawohl, Herr General, na froncie brak dyscypliny. - Są u teścia. - Jawohl, Herr General, obowiązek salutowania jest podstawą zwycięstwa oraz pomyślnego przebiegu operacji wojskowych. - Ojciec Niebieski, dzięki za to, że pozwoliłeś im uciec. - Jawohl, Herr General, niekompetencja oficera ujawnia się przez jego zaniedbanie salutowania zgodnie z regulaminem wojskowym. - Ty głównie w czerwonych galonach, chciałbym, żeby bomba Tommiego posłała cię na szczyt Bramy Brandenburskiej! - Jawohl, Herr General, to się więcej nie zdarzy. Danke Herr General, że Herr General pominie to milczeniem. - Ty stary, sklerotyczny durniu, mam nadzieję, że wkrótce przegrasz swą wojnę, aby Iwan mógł cię pogonić. - Nie, Herr General, nie pragnę, by mój urlop został anulowany. Jawohl, Herr General, nie jestem godzien nosić munduru oficerskiego.

Generał przyłożył trzy palce w łosiowych rękawiczkach do daszka swej czapki. Potem zaczął posuwać się chwiejnym krokiem po ulicy na swych starczych, koślawych nogach. Pobekiwał jak koza z powodu incydentu.

Leutnant Ohlsen stuknął głośno w swe ścięte z boku obcasy i pomknął przed siebie. Po drodze ledwie zdążył oddać regulaminowy salut Majorowi z czerwonymi lampasami Sztabu Głównego na

spodniach.

Berlin, śliczny, śmierdzący Berlin, zgniły do szpiku kości! Oby tylko szybko nadeszła Rewolucja. Aby wszystkie bandy stamtąd mogły wymieść cię do czysta. Jaki cudowny widok: Porta i Mały z karabinem maszynowym na Bramie Brandenburskiej. Widzieć, jak ci wszyscy kawiarniani bohaterowie uciekają, by ocalić życie!

Dzięki Bogu, żyją!

Skręcił w Joachim-Friedrichstrasse. Wypuścił jedną ze swych toreb, zarzucił ją na ramię i dalej biegł na złamanie karku.

Zawołała za nim dziewczyna. Nie słyszał jej. Zaśmiała się i syknęła.

- Głupia świnia!

Ujrzawszy tego Leutnanta pewna była funta masła i butelki wódki.

Ale zapewne cierpiał na zmęczenie wojenne. Głupia świnia.

A potem już stał przed frontem wielkiego, majestatycznego budynku ze schodami z polerowanego granitu, przed ozdobnym portalem. Wewnątrz marmurowe schody ze zdobionymi złotem lustrami na każdym podeście i dmącymi w trąby aniołami przez całą drogę do góry. Za pierwszym razem, gdy przyszedł do tego domu lekko uśmiechnął się na widok tych aniołów. Wszystko tu było wielkie, rozległe, ostentacyjne.

Na drugim piętrze były wysokie dębowe drzwi z błyszczącą mosiężną tabliczką i napisem gotyckimi literami Von Lander, a pod tym, nieco mniejszymi literami, wspaniały tytuł Regierungsrat.

Leutnant Ohlsen wpatrywał się w nazwisko. W myśli ujrzał swych aroganckich teściów i plotkarską szwagierkę.

Nim nacisnął guzik dzwonka, parę razy głęboko odetchnął. Usłyszał, jak w głębi dzwoni dzwonek. Znów zadzwonił. Żadnego dźwięku. Zastukał, najpierw cicho, po tym głośniejsze.

Cisza.

- Nikogo nie ma w domu? - Pomyślał. - Dziwne. Zabębnił palcami w rzeźbione dębowe drzwi. A potem ciężko usiadł na schodach. Patrzył na drzwi smutnym wzrokiem. Usłyszał, jak w oddali zegar bije dwanaście razy. Była północ.

Inga po prostu musi być w domu. Gunni zawsze bał się zostawać sam. Zaczął nasłuchiwać. Co to takiego? Coś się poruszyło. Był to tylko cichy dźwięk, jak szelest jedwabiu. Był absolutnie pewien, że go usłyszał. Ktoś był za drzwiami.

Wpatrywał się w dwuskrzydłowe drzwi, które zdawały się wyśmiewać z niego. Ktoś chodził tam ukradkiem. Ktoś, kto nie chciał zostać usłyszany. Skoczył na nogi i zaczął bić pięściami w drzwi.

Żadnego dźwięku.

Próbował zajrzeć przez szparę na listy, ale coś za nią wisiało, więc mógł tylko dostrzec kawałek czerwonego chodnika.

- Otwórz, do diabła - pomyślał. - Zaczął walić w drzwi z całej siły obiema pięściami, ale w środku było zupełnie cicho.

Zdawało mu się, że pochwycił szept męskiego głosu. Wiedział, że w środku ktoś jest. Jego Inga. Niemożliwe. Zawsze pisała, że będzie czekać Ostatnią rzeczą, jaką powiedziała, gdy rozstawali się na Anhalter Bahnhof było: będę czekać.

Ciężkimi krokami zszedł po schodach. Zatrzasnął drzwi wejściowe za sobą tak głośno, że było słychać na górze. A potem cicho zakradł się w górę, na podest schodów, na miejsce, z którego mógł mieć na oku drzwi mieszkania swych teściów.

Oddychał ciężko i z trudnością. Zacisnął pięści na rączkach swych dwóch toreb. Spojrzał w górę na anioły. One też zdawały się z niego wyśmiewać. Splunął w ich stronę.

I znów drząc pomyślał o małym Legioniście - Jesteśmy świniami, zbędnymi świniami. Ali jest mądry. On wie, dlaczego. Wstąp ze mną do La Legion Etrangere i zgiń od noża prawdziwego wierzącego, Allah się ucieszy!

Skrzywił się.

Elegancka para, pani i pan, weszli na górę po schodach. Zatrzymali się. Pocałowali się. Śmiejąc się. Pani dała klapsa natrętej dłoni swego partnera.

- Nie, Otto, poczekaj aż będziemy na górze - szepnęła. Milczenie i ciężki oddech.

Wydała cichy okrzyk.

- Nie, nie tutaj. Zwariowałeś? Co będzie, jak ktoś przyjdzie?

Zaczęli wchodzić po schodach. Zauważywszy go stali się nerwowi i przyjrzeni mu się badawczo. Nawet Niemcy mogą pomylić czarny mundur broni pancernej z SS. Wielkie trupie główki na jego klapach kurtki kojarzyły się ze śmiercionośnymi nocnymi wycieczkami czarnych samochodów.

Spiesznie go wyminęli. Zajrzeli przez poręcz z czwartego piętra. Poszeptali ze sobą.

Do Ohlsena doleciały słowa.

- Obława. Gestapo. - Drzwi się zatrzasnęły.

- Teraz mają noc popsutą - pomyślał, zapalając swego czterdziestego trzeciego papierosa. Spojrzał na zegarek. Prawie trzecia!

W końcu usłyszał otwieranie drzwi. Wielki, potężny mężczyzna w dobrze skrojonym ubraniu. Usłyszał, jak się całują.

- Do widzenia, najdroższa - szepnął tamten.

- Spotkamy się jeszcze - powiedziała ona.

- Tak, we czwartek - odszepnął. - Przyślę paczkę dla małego.

A potem zbiegł ze schodów. Nie zauważył skrytego we wnęce Leutnanta Ohlsena. Wyglądał, jakby czuł się bardzo pewny siebie.

Przed oczami Leutnanta zatańczyły czerwone plamy. W uszach mu zaszumiało. Rozpaczliwie bił w ścianę zaciśniętymi pięściami. Jego ciałem wstrząsało nieopanowane łkanie. Płacz, powodujący, że mięśnie jego brzucha kurczyły się konwulsyjnie.

- Co mogę zrobić? - Wyszeptał. - Ingo, dlaczego? - Nagle ogarnęła go straszliwa myśl. Gunni z Gunnim? Czy to jego miał na myśli mężczyzna mówiąc o „małym”? Gunni był jego! Pójdzie na Gestapo. Do SS. Nie cofnie się przed niczym, będą chować chłopca. Wiedział, że jego koledzy będą nim gardzić dowiedziawszy się, że poszedł do gestapo. Banda, jego banda, odwróci się do niego plecami. Ale to go nie obchodziło. Lepsza będzie pogarda i wyśmiewanie się jego towarzyszy, niż opuszczenie chłopca.

Powoli poszedł na górę, schodek po schodku. Przez chwilę stał przed pyszniącymi się zamożnością drzwiami. Potem zadzwonił i zastukał.

Usłyszał, jak na czwartym piętrze otwierają drzwi. Szepczące głosy.

- To u von Landerów - usłyszał szept kobiety.

Za zamkniętymi drzwiami niski głos kobiety zapytał.

- Kto tam?

Upłynęło trochę czasu, nim zdołał się opanować na tyle, by odpowiedzieć. By uspokoić rozdygotane nerwy, musiał kilka razy głęboko odetchnąć. Gdy odpowiedział, nie mógł poznać własnego głosu.

- To Bernt, Ingo.

Wyglądało, że kobiecie za drzwiami potrzeba było trochę czasu, by się opanować.

A potem stała w otwartych drzwiach. Szczupła, ciemnowłosa. Jej brązowe oczy śmiały się. Jej usta uśmiechały się.

- Bernt - szepnęła. - Och, ty! - Rzuciła mu się w ramiona, obejmując za szyję. Przez chwilę pomyślał, że wszystko, co dotyczyło obcego mężczyzny, było tylko snem.

Pocałowali się. Całowali się namiętnie.

Zatrzasnął drzwi nogą. Weszli do pokoju. Wielki pokój z kosztownym dywanem, po którym za pierwszym razem obawiał się chodzić. To ją rozbawiło.

Zaczęła trajkotać. Bomby. Wszystko zniszczone. Ocaleni. Ojciec powołany do wojska. Do sztabu Głównego Kwatermistrza w Lipsku. Matka na kuracji w Karlsbadzie. Anni u ciotki Ingeborg. Mówiła, mówiła, mówiła.

Puknęła otwierana butelka wina. Na stole pojawiły się wysokie szklanice.

Miała na sobie obciste japońskie kimono. Grynszpanowa zieleń i czerń. Założyła nogę na nogę.

Zauważył, że pod grubym jedwabiem jest naga.

Uśmiechała się. Oczy jej błyszczały.

- Ty suko - pomyślał. - Ty odrażająca, brudna suko!

Nonszalancko machał jedną nogą w bucie. Buty miał zakurzone. Rosyjski kurz. Znów ujrzał drwiącą twarz Legionisty, gdy marzyli o czasach po wojnie.

Inga nagle zdała sobie sprawę, że on od wejścia do domu nie powiedział nawet jednego słowa.

Znów naląła do pełna dwie szklanki. Opróżnił swoją jednym łykiem.

Uniosła jedną pięknie zarysowaną brew, usta wygięła w lekkim uśmiechu i znów napełniła mu szklankę.

- Może chciałbyś wziąć kąpiel?

Potrząsnął głową.

- Czy jesteś głodny? Mam trochę zimnego indyka. Ojciec mi przysłał.

Głodny? Zapewne był, ale pokręcił głową.

- Jesteś zmęczony? Może chciałbyś pójść do łóżka?

Był śmiertelnie zmęczony, ale potrząsnął głową.

Przyjrzała mu się bliżej i zapytała ostrym tonem.

- Co się z tobą dzieje?

Zmusił się do uśmiechu.

- Tylko to, że mamy wojnę. Nasz dom znikł. Straciliśmy wszystko. - Chwilę przedłużył słowo „wszystko”, trzymając na języku, jakby smakując.

Zaśmiała się z ulgą.

- I to wszystko? Wiesz, nie powinieneś sobie tego brać do serca. Ojciec da nam wszystko, czego potrzebujemy i więcej. Ma jak najlepsze kontakty w Partii i w SS.

- Gdzie jest Gunni? - Zapytał.

Spojrzała do góry na wielki, kryształowy żyrandol na suficie i powoli zapaliła papierosa, zanim odpowiedziała.

- Jest w Domu Narodowo-Socjalistycznym w Bergen koło Lüneburga.

Postawił głośno szklankę i spojrzał na Ingę z ukosa. Cichym, groźnym głosem spytał.

- Czemu, jeśli mogę zapytać?

Puszcziała kółka z dymu. Nie odrywając wzroku od kryształów, odrzekła.

- Ponieważ uznałam, że to najlepsze, co możemy zrobić. Ojciec i matka też tak myśleli.

- A więc tak pomyślałaś? Ty i twoja rodzina jakoś nie zdajecie sobie sprawy, że moje zdanie, jako ojca Gunniego, powinno także w tej sprawie mieć znaczenie. Czy ty zdajesz sobie sprawę co oznacza wysłanie go do domu nazistowskiego? Z zimną krwią sprzedałaś Partii własnego syna.

Schyliła głowę.

- Wiedziałałam o tym.

- Co ty wiedziałaś? - Zadrwił. Kipiał z wściekłości.

Pulsowało mu w skroniach. Otwierał i zamykał pięści, szepcząc do siebie.

- Spokój, spokój, na litość boską nie rób niczego gwałtownego.

- Wiedziałałam, że w ogóle nic nie zrozumiesz - prawie warknęła. Jej oczy ciskały błyskawice. - Jesteś tak uparty i zarozumiały, jak zawsze. Można łatwo rozpoznać, skąd pochodzisz.

Roześmiał się z przymusem.

- Tak, Ingo, łatwo rozpoznać skąd pochodzę. Jestem małą wszą biurową, podniesioną z rynsztoka, by lizać podłogę dystygowanych Landerów, von Landerów! - Ostatnie słowa zabrzmiały jak szyderstwo.

Zaczął niespokojnie chodzić po pokoju. Kopnął nogę sofy.

- Nadal nie powiedziałaś mi, czemu wysłałaś Gunniego do nazistowskiego domu.

- Ten chłopak jest niemożliwy! - Wrzasnęła, tracąc opanowanie. - Jest taki, jak ty. Jest odrażający. Ponury. Uparty. Gdy się go prosiło, by coś zrobił, groził, że wszystko ci opowie. Jest kłamcą. - Opanowała się.

Przestał chodzić.

- Powiesz mi wszystko. Co u licha mógłby mi powiedzieć, czego nie powinienem wiedzieć? Że twoja rodzina mną pogardza, to wiem. Twoja czarująca siostra, jak wiesz, kocha wtykać nos we wszystko, co jej nie dotyczy. Głupia suka - dodał.

- Bądź łaskaw panować nad językiem w moim domu - ostrzegła, prostując się.

Oparł się plecami o ścianę śmiejąc się, po prostu dostał konwulsji ze śmiechu.

Zagapiła się na niego w zdumieniu.

- Czy straciłeś zmysły?

W jednej chwili przerwał swój histeryczny śmiech. Spojrzał na nią. Oczy mu pociemniały, zaczął wydmuchiwać całe fale dymu.

- Czy słowo „suka” jest niewłaściwe? Co wobec tego myślisz o świni, szmacie albo kurwie?

Wstała i pochyliła się trochę do przodu. Jej głos brzmiał zupełnie spokojnie.

- To wystarczy, Bern, Wynoś się! - Na palcu, którym pokazała mu drzwi błyszczał brylantowy pierścionek. - To dom mojego ojca. Nie twój. Nie masz tu nic do roboty. To ja dostałam tu schronienie. Nie ty.

Cisnął swą szklankę na podłogę. Rozbiła się.

Spojrzała na niego z wyrzutem.

- Czemu nie otworzyłaś, gdy dzwoniłem i czekałem tego wieczoru? - Zapytał, przysuwając do niej swą wykrzywioną gniewem twarz.

Spojrzała spokojnie na niego. Nagle odkryła, że nim pogardza za to, że siedzi tutaj w swym brudnym mundurze.

- A więc, jak uważam, dlatego że nie odpowiadało mi otworzenie ci drzwi. To powinno dotrzeć do ciebie już dawno temu.

Z trudem chwycił powietrze. Żołądek mu się skurczył. Ich role się zmieniły. Ona już nie była naszą. Był on.

- Nie wpuścić mnie do środka - pomyślał.

Twarz wykrzywiła mu się na tę myśl.

Jego Inga, którą kochał, zupełnie spokojnie powiedziała, że nie wpuściła go do środka. Nie przeprosiła za nic. Nie wyjaśniła niczego. Wszystko można wybaczyć, nawet niewierność, ale tu nie proszono o wybaczenie. Czy to koniec? Na Boga czy Allaha, to nie może być! Mógł wytrzymać

wojnę, nawet gdyby trwała jeszcze przez lata. Mógł wytrzymać wszystko, ale jeśli Inga go porzuci... Tego nie zdoła znieść. A jego chłopiec? Przełknął zebraną w gardle grudę i spojrzał w jej ciemne, aksamitne oczy.

Spokojnie odwzajemniła spojrzenie. Nie straciła nawet odrobiny odwagi. Przesunęła szczupłą, dobrze utrzymaną dłoń po swych błyszczących, czarnych włosach.

- Ale czemu nie chciałaś mnie wypuścić, Ingo?

- Jego wściekłość znikła. Pozostał tylko smutek, głęboki, nie do zniesienia smutek. Mam trzy tygodnie urlopu.

Uniosła brew, wydeła wargi. Podeszła do gramofonu i położyła płytę.

- Dlatego, że miałam towarzystwo, przyjacielu.

- Towarzystwo? - Zapytał.

- Tak, i jestem pewna, że dobrze o tym wiesz. Przypuszczam, że ukryłeś się gdzieś i widziałeś, jak Willy wychodził.

Skinął głową.

- Tak, masz rację. Stałem o jeden podest niżej. - Padł na fotel. - Czy chcesz rozwodu?

Zakołysała biodrami i zrobiła kilka kroków w przód i w tył, nucąc piosenkę Sary Leander. Davon geht die Welt nich under - „Z tego powodu świat się nie zawali”.

- Rozwodu? - Odpowiedziała, nalewając sobie kieliszek koniaku. - To mi nie przyszło do głowy póki o tym nie wspomniałeś. Może to być dobry pomysł. - Małymi łykami popijała swój koniak. Zapaliła następnego papierosa. Paliła go w długiej złotej cygarniczce, ozdobionej pięcioma brylancikami. - W każdym razie jestem zmęczona czekaniem. W tej chwili jestem zakochana w Willim, ale przypuszczam, że ty, z twoją żołnierską moralnością nie uwierzysz, że kobieta nie może żyć samymi listami. Nasz związek od samego początku był nieporozumieniem.

- Mówiłaś, że kochasz mnie, Ingo, a potem mieliśmy Gunniego.

Palila gorączkowo. Opróżniła swój kieliszek koniaku. Na czole wyraźnie wystąpiła jej żyła.

- Tyle różnych rzeczy się mówi. Jak myślisz, ile małżeństw naprawdę się kocha? To się staje przyzwyczajeniem. Gdybyś był dość wielkoduszny. Zamiast chwycić za karabin, moglibyśmy doskonale razem żyć i tej głupiej sceny można by uniknąć. - Spojrzała na niego. Miała złe oczy. Jej usta drwiły. - Mogłabym chodzić do łóżka z kimkolwiek bym zechciała, a ty z kimkolwiek, kto by ci się spodobał. Moglibyśmy zostać przyjaciółmi. Przyjaciółmi z obręczkami.

- Ingo, ale tego po prostu się nie robi!

- Nie? - Zaśmiała się ochryple. - Tak jakbyś miał najśłabszą ideę, co można zrobić!

Znów poczuł grudę w gardle. Co się stało? Jego Inga nie mogła mówić w ten sposób. Poprawił pas, zauważył pistolet i w zamyśleniu położył na nim dłoń.

Zauważyła to i wygięła wargi w krzywym uśmiechu.

- Na litość boską, nie rób z tego klasycznego dramatu, w którym niewierna żona zostaje zastrzelona. Wtedy oboje będziemy wyglądać okropnie śmiesznie.

Opuścił dłoń i wzruszył ramionami.

- Czy chcesz, abym odszedł, Ingo?

Skinęła głową.

- To najlepsze, co można zrobić. W każdym razie jesteś zbyt staromodny, by podążać ścieżką, którą ja lubię chodzić. Jeśli chcesz rozwodu, Bernt, zawsze mi możesz o tym napisać.

Jej kimono rozchyliło się. Ujrzał jej długie nogi, piękne, szczupłe nogi. Nogi, które tak często pieścił. Nie mógł pojąć, że to już koniec. To było zbyt absurdalne, zbyt nierealne. Prawie komiczne. Stała tu, ślicznie się uśmiechając. Choć żywa, była jednak martwa. W każdym razie dla niego.

Znów sięgnął po pistolet. Odpiął kaburę i szybko przesunął palcami po chłodnej stali. A potem pomyślał o chłopcu. Widział szydercze spojrzenie Legionisty. Opuścił rękę.

- Czy nie chcesz drinka nim odejdziesz? - Zapytała.

Kiwnął głową. Wyobraźcie sobie ją pytającą mnie, swego męża, którego właśnie wyrzuciła z domu, czy chciałbym drinka zanim sobie pójdę.

Chciał ją o coś zapytać, ale już stali się dla siebie obcymi ludźmi.

Wypili razem. Powiedziała coś na temat jego zakurzonych butów i pobrudzonego munduru.

Wspomniała coś o hotelu, w którym mógłby spać. A potem nagle wybuchnęła.

- Czy jesteś zakochana w Willim?

- Już ci to powiedziałam, prawda? Kocham

- Czy spaliście ze sobą?

Odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się śmiechem był prowokacyjny. Poczuli chęć, by ją uderzyć.

Jeszcze raz jego dłoń opadła na pistolet. Jeszcze raz twarz chłopca pojawiła się przed nim. Jutro pójdzie do obozu nazistowskiego, gdzie jest Gunni.

Odchodząc podniósł dłoń, machając na pożegnanie. Zauważył, że nosi bransoletkę, którą dał jej dawno temu. Tę z niebieskim kamieniem, którą kupił dla niej w Rumunii. Pocałowała go namiętnie unosząc nogi z podłogi. Potem mieli dziką i szaleńczą noc miłości. To było pięć lat temu.

Gdy zamknęła drzwi, gotów był się rozplakać.

Spał w koszarach gwardyjskich w Poczdamie.

Następnego dnia pojechał do Bergen, spotkać się ze swym chłopcem.

Obóz złożony z chat, umieszczony był daleko na bagnach, daleko od badawczych spojrzeń. Ostatecznie miało się dość poczucia wstydu niechaj by wszyscy wiedzieli jak umysły chłopców są systematycznie niszczone i deprawowane.

Obersturmführer SS, który stracił rękę w 11 roku, zabrał go do obozu swym samochodem, za każdym razem ów oficer, noszący emblemat śmierci na swej czarnej czapce, nazywał go „Herr Koge”. Leutnant Ohlsen wstrząsnął się. Esesman powiedział mu, że odpowiada w obozie za wyszkolenie wojskowe chłopców.

Leutnant Ohlsen sondował go na temat życia w obozie.

- Gdy tu przychodzą, są niezdarami - wrzeszczał oficer SS, by dać się słyszeć przez ryk silnika samochodu typu „Kubel”. - Ale w niedługi czas po tym, gdy ich dostajemy, robią się z nich prawdziwe demony. - W uniesieniu machnął swym pustym rękawem. - Będą gotowi nawet poderznąć gardła własnym matkom.

Zatrzymali się o jakiś kilometr od obozu. Oficer SS wskazał oddział ubranych na brązowo chłopców, przekradających się naprzód przez pole. - To nasza jednostka sabotażowa, Herr Kollege. To końcowe dotknięcie ręką mistrza w naszej edukacji. Roześmiał się, wymawiając słowo „edukacja”. - Od czasu do czasu dajemy im do zabawy Żyda. Przyglądanie się, jak chłopcy wykańczają Żyda, to lepsza zabawa, niż wyścigi psów czy walki kogutów. Później nauczą się to robić z prawdziwymi ludźmi.

Prawdziwymi ludźmi! Leutnant Ohlsen spojrział z odrazą na twarz oficera, przystojnego w pocztówkowy sposób.

Komendant obozu, Bannerführer Hitlerjugend Grau, miał przygotowaną dla niego niespodziankę.

Z uśmiechem poinformował go, że już nie ma syna. Jego syn należy do Führera. Nie mogło być żadnej kwestii, aby ujrzał czy rozmawiał z Gunnim. Może mu przysłać paczkę, którą chłopiec otrzyma tak, jakby została przysłana przez Ruch.

- Ostatecznie Ruchem jesteśmy my wszyscy - powiedział z uśmiechem Grau.

Tutaj uśmiech był z każdej okazji. Nawet podczas wydawania wyroku śmierci. Leutnant Ohlsen zaprotestował przeciw adoptowaniu jego syna przez Państwo. Nie podpisywał żadnych papierów.

- To bez znaczenia - uśmiechnął się Banerführer. - Twoja żona i twój teść są wystarczająco uprawnieni, a ty nie możesz przecież mieć żadnych obiekcji co do tego, że twój syn zostanie wyedukowany na prawdziwego wychowanka Ruchu. Dom nie jest właściwym miejscem dla naszej młodzieży. Natomiast w naszych rękach ona staje się zahartowana, zahartowana jak stal Kruppa. Odwieźli go do Bergen, nie przez uprzejmość, lecz by uniemożliwić mu skontaktowanie się z chłopczykiem nielegalnymi kanałami.

Przed frontem willi siedział mężczyzna bez nóg i bez rąk. Siedział na podwoziu dzieciennego wózka.

Był po cywilnemu, a na jego kurtce błyszczał Krzyż Żelazny Pierwszej Klasy.

Obergruppenführer SS Berger wysiadł ze swego Horcha, zmarszczył czoło i popatrzył z dezaprobatą na inwalidę.

- Zabierz stąd tę rzecz - mruknął do swego adiutanta.

Mężczyzna próbował się opierać. Wrzeszczał głośno, gdy go podnieśli i odjechali z nim.

Wrzucili go do pieca wraz z Żydami i Cyganami.

Podwozie wózka dzieciennego potoczyło się powoli ulicą, gdzie jakiś chłopiec zaczął się nim bawić. Niemiły widok przestał przeszkadzać przybywającym gościom.

ROZDZIAŁ XVII Wieczorne przyjęcie w SS

Pewnego wieczoru Leutnant Ohlsen i jego przyjaciel Heinrich oraz pewien Obersturmführer SS pojechali do dużej willi w Wannsee.

Przed bramą, ozdobioną runami SS, oraz majestatycznym orłem, przynależnym temu korpusowi, stali dwaj strażnicy w paradnych mundurach SS.

W wielkim holu, gdzie gorliwi esesmani w białych kurtkach przyjmowali rzeczy gości, panował hałas.

Przez hol wchodziło się do ogromnej sali, obficie iluminowanej licznymi kryształowymi żyrandolami, których światła odbijały się w wielkich szklanych lustrach, zdobiących salę od podłogi do sufitu.

Pośrodku sali stał stół ustawiony w podkowę okryty adamaszkowymi obrusami i zastawiony porcelaną z Sevres. Stały na nim rzędem dwuramiennie kandelabry z masywnego złota. Przed każdym miejscem przy stole stały liczne kryształowe kielichy, zdobne artystycznie splecionymi festonami kwiatowymi. Sztućce były srebrne, ciężkie i solidne.

Na drugim końcu sali stało pół tuzina oficerów SS. Łakomym wzrokiem spoglądali na wchodzące panie w sukniach z jak najgłębszymi dekoltami.

Heinrich pociągnął Ohlsena do tej grupki i przedstawił wysokiemu, potężnie zbudowanemu mężczyźnie w brązowym partyjnym mundurze. Miał najzimniejsze oczy, jakie Leutnant kiedykolwiek widział, istota ludzka bez śladu ludzkich uczuć. Żywy robot z aparatu partyjnego.

Wyciągnął do Ohlsena dłoń, której uścisk poczuł jak dotknięcie starego ciasta. Wymamrotał coś na temat zaszczytu powitania oficera frontowego i poradził mu, by zajął się jedzeniem. Następnie podszedł do pani w liliowej obcisłej sukni, lejtnant Ohlsen został zapomniany.

Towarzystwo usiadło do kolacji.

Wmaszerował, niosąc dania, długi szereg esesmanów w białych kurtkach. Wszystko odbywało się na

wzór parady wojskowej. Natychmiast zaczęli podawać potrawy i napełniać kielichy.

Było to menu nie znające racjonowania żywności. Nawet najbardziej zblazowane podniebienie mogło tu znaleźć, czegokolwiek zapragnęło.

- To właśnie nazywam menu - odezwał się z uśmiechem Obersturmführer SS Rudolf Busch, siedzący naprzeciw Leutnanta Ohlsena. Był już lekko podпиты. - To jest coś oświadczył, oblizując wargi i odgryzając kawałek nogi bażanta, trzymanej oburącz. Przekonał sam siebie, że wygląda jak stary, teutoński bohater, jedząc w taki sposób.

Heinrich powiedział Ohlsenowi, że Busch dwa lata temu powiesił w Grossrosen własną siostrę. A sądząc z jego wyglądu, zdawał się w pełni zdolny do czegoś takiego.

- Międzynarodowo skomponowana kolacja - mruknął z zadowoleniem, wskazując ogryzioną nogą bażanta wspaniały stół. Następnie wyrzucił ją przez ramię. Została podniesiona przez jednego ze służących esesmanów.

Nikt nie poczuł się tym urażony, ponieważ Teutoni z SS ucztowali na sposób Walhalli.

- Tu są karczochy z Jugosławii - wrzasnął Busch, rozkoszując się podbojami. Belgijskie trufle, francuskie pieczarki, rosyjski kawior, duńskie masło i szynka, norweski łosoś, fińska kuropatwa, holenderskie krewetki, bułgarskie bażanty, węgierska baranina, rumuńskie owoce, włoskie kurczaki, austriackie wędliny z dziczyzny i polskie ziemniaki, wyhodowane w piaszczystej glebie! W tej chwili czego brak, to smakowite angielskie befsztyki! - Znów cisnął kość przez ramię. - Ale to, czego tu nie mamy w tej chwili, jeszcze nadejdzie... - Obliznął tłuste wargi. - Tylko poczekaj, Leutnancie, i przeskoczmy przez potok! Diabelnie oczekuję utworzenia obozów koncentracyjnych w Szkocji i zmuszania angielskich lordów do skakania przez kozły!

- Na Boga - pomyślał Leutnant Ohlsen, - widać, że tu nikt nie zdaje sobie sprawy, że przegrywamy wojnę. Tutaj wszyscy nadal odnoszą zwycięstwa i atakują, byle naprzód.

- Jak pan myśli, Herr Kollege, co będzie z Niemcami? - Mruknął Busch, szarpiąc zębami kawał dziczyzny. Podobny był do wspaniale umundurowanego kanibala.

Leutnant Ohlsen wzruszył ramionami mówiąc, że przykro mu, ale nie wie. Z całą pewnością nie chciał powiedzieć tego, co myśli: świnie, zrodzone przez świnie, aby zdechnąć jak świnie na wojskowej stercie nawozu. Ujrzał przed sobą szyderczą twarz Legionisty i zadrżał.

- Niemcy staną się największym imperium w historii - rzekł z przekonaniem oficer SS, który stopniowo stawał się całkiem pijany, - a my mamy mnóstwo apetytu - dodał z namysłem. - Pal licha apetyt. Spójrz tylko na naszych gości dzisiejszego wieczoru! - Warknął, śmiejąc się. - Dla tych dżentelmenów jedzenie jest dziś ważniejsze, niż kult i walka. Spójrz, jak skaczą do żłobu. Mówię o mężczyznach.

- Z pewnością - kiwnął głową Leutnant Ohlsen. Nie mógł się powstrzymać od zapytania. - A co z paniami?

- Tylko poczekaj, Herr Leutnant, a zobaczysz. - Zaśmiał się jak człowiek wszytkowiedzący i siorbnął ze swego kielicha. - Tutaj wszystko idzie według regulaminu SS. Tutaj nie jest tak śmiertelnie nudno, jak w waszym klubie, Leutnancie. Gdy napełnimy sobie brzuchy, przechodzimy do Drugiego Aktu. - Ugryzł kawałek brzoskwini. Sok popłynął po piersi jego jasnoszarej kurtki mundurowej. Próbował wytrzeć go dłonią. - Akt Drugi: introdukcja alkoholowa. Potem następuje furioso grandioso. - Wydał wargi i mlasnął językiem jak nażarta maciora. - I na koniec, Herr Leutnant, pastorale amoroso. W SS zawsze najsurowiej przestrzegamy etykiety. Faktem jest, Herr Leutnant, że w SS jesteśmy tymi, których Anglicy nazywają dżentelmenami.

Przestał mówić i lekko posaż swój palec, do którego przyłgnęło trochę sosu z czarnej rzodkwi. Spojrzał bokiem na Ohlsena i powiedział, nadal ssąc palec. - Sos z czarnej rzodkwi zawsze nasuwa

mi myśl o kurwach, ale pierwszej klasy kurwach - dodał, marszcząc brwi.

Przyjrzał się uważnie Leutnantowi Ohlsenowi i powiedział coś, co zawsze chciał powiedzieć oficerowi armii. - Wy, anielskiej urody faceci w Armii, nie macie najślabszego pojęcia o dobrych manierach. Jesteście zwykłymi wieśniakami, co do jednego. - Wyszczrzył zęby i w napięciu czekał na sprzeciw Leutnanta.

Ale Leutnant nie słuchał. Siedział tu i myślał, co zrobi z Ingą i swym teściem, by wyrównać rachunki.

- Mój teść jest głupią świnią - zwierzył się Buschowi.

- Podaj mi jego nazwisko, a ja je przekażę przyjacielowi na Prinz Albrecht Strasse zaproponował Busch. Wszystkie głupie świny powinny być likwidowane, Leutnancie, i o to chodzi! - Powiedział ufnym tonem.

Siedzący dalej przy stole Obersturmbandführer SS krzyknął: zamknij się, Busch, ty pijany głupi świniaku albo zostaniesz wzięty na ruszt.

- Jawohl, Obersturm - zagdakał Busch i jednym haustem wypił swój koniak. Rozejrzał się gniewnie wokół i mruknął: trzeba ich zlikwidować. Rzucić niedźwiedziom. - Spojrzał na Leutnanta Ohlsena na przeciwko. - Trzeba być dobrym dla zwierząt wyjaśnił.

Ohlsen spojrział na niego, ale go nie widział. Widział swoją żonę Ingę, stojącą przed nim w japońskim kimonie, ukazującym jej szczupłe nogi. Uśmiechał się i tylko półuchem słuchał, co mówi Busch.

- Tutejsze panie, to panie wysoko postawione bogate panie. Swędzi je w szybach wentylacyjnych a cug jest mocny. - Uśmiechnął się z rozkoszą z własnego dowcipu. Nagle ogarnął go nastrój filozoficzny. - Herr Kollege, życie jest dziwne. Ty jesteś oficerem huzarów, Leutnantem w bojowym pułku a kim ja jestem? Parszywym strażnikiem więziennym w obozie. - Zmarszczył czoło w zaniepokojeniu i zmiotł ze swego talerza stos ogryzionych kości. Potem spojrział przelotnie na pusty talerz i go wyrzucił.

- Jestem człowiekiem bardzo nieszczęśliwym. Człowiekiem głęboko nieszczęśliwym. Rozejrzał się gorączkowo, jakby się topił i szukał koła ratunkowego. Pochylił się do Leutnanta Ohlsena, jakby miał mu powierzyć wielką tajemnicę. - Moje życie było jednym wielkim rozczarowaniem. Herr Kollege, czy ktokolwiek uwierzy, że moim najgorętszym pragnieniem było zostać pastorem?

- Zdecydowanie nie - odparł z przekonaniem Ohlsen.

- A przecież nie ma niczego, czego bym chciał tak bardzo, jak stać na ambonie w czarnej sutannie i rozruszać zbor. Chryste, jak oni by skakali, Herr Kollege! I na co to wszystko wyszło? - Splunął z pogardą na podłogę, omal nie trafiając swej pani. - Fuj, stać się oficerem strażników. Ale mam dobry pomysł, Herr Kollege. Gdy wojna się skończy, pójdę na przyspieszony kurs teologii. Wtedy wszystko stanie się jak należy.

- Gdy tu obecne znakomite panie będą miały wystarczającą ilość bąbelków - mówił dalej - rozszerzamy front na drugie piętro. - Uśmiechnął się jak człowiek dobrze poinformowany i gwałtownie zamrugał do Leutnanta Ohlsena. - Tam wystawiamy francuską scenę pasterską. - Przestał mówić i mocno się zamyślił. Omiótł salę badawczym wzrokiem. Potem pokazał palcem szczupłą brunetkę w głęboko wydekoltowanej sukni ze srebrnej lamy.

- Ta, co siedzi tam dalej w błyszczących szmatach, rozkłada błyskawicznie uda, a ma szaloną forszę. Spojrzawszy we wskazanym kierunku Ohlsen ujrzał popularną aktorkę filmową z UFA.

- Czy wszystkie panie będą brały udział w tym przedstawieniu pasterskim? - Zapytał z powątpiewaniem Leutnant, przyglądając się powszechnie znanej gwiazdzie filmowej, otwarcie flirtującej z generałem policji.

- Nie wszystkie - przyznał Busch. - Ale pruderyjne zostaną poproszone o złożenie rezygnacji a potem

pozostawia się je samym sobie. Tamta błyszcząca dziewczyna, należy do właściwego rodzaju. W swych filmach szczebiocze jak Małgosia z ŻYWCA, ale tutaj... O la la! Meine Ruhm ist hin... Tutaj zmienia się w Klimestrę, czy jak tam u diabła nazywa się ta grecka klacz.

- Czy masz na myśli Klitemnestrę? - Spytał z uśmiechem Leutnant Ohlsen, mając nadzieję, że poprawnie wymawia greckie imię.

Bardzo chciał rozdrażnić pijanego oficera SS.

- Nie zadzieraj nosa, ty klaunie z cyrku von Hirsta! - Wybuchnął Busch.

Leutnant Ohlsen roześmiał się i wzruszył ramionami. Osiągnął to, czego chciał.

Busch nadał się i mruknął coś na temat likwidacji całej Armii, która składa się ze zdrajców i samych wyrzutków. Nagle rozjaśnił się.

- Czy wiesz, co oznaczają litery WH na tablicach rejestracyjnych Armii Lądowej?

- Wehrmacht Herr - odpowiedział natychmiast Leutnant Ohlsen.

- Spudłowałeś! - Krzyknął zachwycony Busch i oskarżycielsko skierował palec na Ohlsena. - One oznaczają Weg nach hinter, droga do tyłu! - Uradowany klepnął się w uda i brutalnie szturchnął łokciem towarzyszącą mu przy kolacji panią.

Leutnant odchylił się na oparcie swego krzesła

- A czy wiesz, jak Armia nazywa SS?

- Nie - odparł zaciekawiony Busch.

- Arsch, Arsch - powiedział Ohlsen. - Dupa, dupa.

Cisza, która otoczyła Leutnanta Ohlsena była przygniatająca. Roześmiał się, podniósł kieliszek i zawołał: zdrowie Armii!

Ale gdy kieliszki podnoszono nader powoli, dodał ze złośliwą przyjemnością: zdrowie Armii Adolfa Hitlera!

Bez względu na to, jak to poprzednio robili niechętnie, teraz musieli wypić zdrowie Armii, a następnie rzucić kieliszki za siebie aby się stłukły, gdyż zdrowie Adolfa Hitlera można pić tylko raz z tego samego kieliszka.

Patrząc na stos potłuczonych kryształów na podłodze Ohlsen obiecał sobie, że nim odejdzie, wzniesie zdrowie Adolfa jeszcze szereg razy.

Po kolacji goście rozeszli się po wielkiej willi.

- Jakie są w tej chwili nastroje na froncie? - Chciał się dowiedzieć oficer policji.

- Jestem na urlopie i nie mam pojęcia o istniejącej w tej chwili sytuacji ani nastrojach.

- Urlop? - Zawołał Busch. - A co to takiego? Dla nas w SS jest to całkowicie nieznanne pojęcie. Gdy do tego dochodzi, to jest to, co najwyżej oficjalna podróż, by łapać zdrajców i podobne robactwo. Nie, wam tam na froncie dobrze się powodzi. Znacznie lepiej, niż nam. Samo brzmienie słowa Wehrmacht doprowadza mnie do mdłości.

Jego szkliste oczy zaczęły wilgotnieć. - Spójrzcie na tych śmierzących generałów, wyniośle spacerujących w butach z cholewami na swych patykowatych nogach! Wszy, mówię wam! - Rozgrzewał się coraz bardziej. - Gdybym ja był Führerem... - Przymrużył oczy i zmarszczył brwi - powbijałbym ich na pal. Na Boga, tak bym zrobił! - Zwrócił się do kilku stojących w pobliżu oficerów SS. - Czy to nie jest słuszne, chłopcy? Armia to stado kłótliwych capów, umięających tylko beczeć.

Tamci kiwnęli głowami potwierdzająco. Jeden z nich mruknął coś o „tchórzliwej paczce”.

- A ci czerwono wygalonowani dżentelmeni mają czelność zadzierać przed nami nosa, nami, esesowską gwardią führera! Patrzą na nas z góry, myślą, że jesteśmy niczym! - Plunął na perski dywan. - Ci zarozumiałcy kompletnie zapominają, że to dzięki nam stali się tym, czym dziś są. Czym

byliby bez nas?

Leutnant Ohlsen obojętnie wzruszył ramionami. Spojrzał na panią, siedzącą na sofie z suknią podciągniętą wysoko nad kolana. Jakiś oficer SS mierzył jej uda kawałkiem sznurka.

- Czym te psy były przed tym? - Uparcie kontynuował Busch, szturchając Leutnanta Ohlsena.

- Byli gównem, małym śmierdzącym gównem bez czerwonych galonów i musieli w czasach weimarskich stawać do przeglądu, aby otrzymać pieczętki.

- Znow splunął na dywan, a potem starannie roztarł plwocinę stopą. - Wy, ze stadniny Wehrmachtu dostajecie ordery i medaliki całymi workami za tę odrobinę walki, jaką się zajmujecie!

Ktoś próbował uciszyć Buscha, który teraz był podniecony do ostateczności.

- A co z nami? Nie odpowiedziałeś mi. Pytam cię, Herr Leutnant Bohaterska Twarz. Co z nami?

- Doprawdy, Rudi, przestań - ktoś powiedział. - To nie wina Leutnanta broni pancernej, że nie masz żadnych wstążek bojowych.

- Daj mi skończyć, kiedy mam coś do powiedzenia, niedołęgo - zaprotestował Busch, chwytając Leutnanta Ohlsena za klapę munduru. - Nasza wojna jest znacznie trudniejsza, niż wasza. Tylko spójrz na moje ręce, jak się trzęsą! - Gwałtownie potrząsnął dłońmi przed twarzą Ohlsena. - Egzekucje setkami, Herr Kollege, masowe egzekucje. Powinieneś tylko spróbować dowodzenia plutonami egzekucyjnymi, godzina za godziną, dzień za dniem. Prawda, ci których rozwalamy to tylko niższe istoty, ale jak one wrzeszczą, bojąc się śmierci.

Oblizwał swe grube wargi. - Czasem grzebiemy je, zanim są naprawdę martwe. Nie dlatego, byśmy byli nieludcy. Pamiętaj, że chciałem być pastorem, Herr Kollege. - Sapnął, opróżnił kieliszek, dał go znow napełnić, znow opróżnił i dał jeszcze raz napełnić. - Jesteśmy zapracowani, Herr Kollege, zapracowani jak wszyscy diabli. Wszyscy Żydzi muszą być zlikwidowani nim wojna się skończy, następnie polska i rosyjska inteligencja, więc możesz sobie wyobrazić, Herr Leutnant, przez jaką prawdziwą kupę łajna musimy brnąć. Gazujemy ich, rozstrzelujemy ich, wieszamy i gilotynujemy. Ogólnie rzecz biorąc robimy wiele, by oczyścić powietrze.

Leutnant Ohlsen poczuł mdłości i odwrócił się plecami do Buscha.

Nastrój stał się rozluźniony. Na schodach pito szampana z damskich pantofelków.

W małym pokoju grano w butelkę i zdejmowano części odzieży. W niewielkiej niszy dwaj wyżsi oficerowie ścigali majteczki piszczącej pani. Dziewczyna w niebieskiej sukni tańczyła na stole. Kopnięciem posłała swe pantofle do sufitu. Trafiła w kryształowy żyrandol i żarówka pękła z hukiem. Hauptsturmführer SS wyciągnął pistolet i zestrzelił dwie dalsze.

- To było konieczne - wyjaśnił, - żarówka mnie uderzyła. Zastosowałem się do rozkazu führera: dwóch za jednego. - Włożył dwa nowe naboje do swego Mausera i wsunął go do kieszeni. Zauważył z satysfakcją, że większość obecnych pań dostrzegła jego pistolet. Mieć przy sobie broń, to bardzo męska rzecz.

Leutnant Ohlsen stał, oglądając jedno z kosztownych malowideł. Stał koło niego Standartenführer SS. Wskazał palcem obraz. - Piękny, nieprawdaż?

Leutnant Ohlsen skinął głową.

- Ten dom jest absurdalny, nie sądzisz, Leutnancie? - Nie czekając na odpowiedź mówił dalej - Wszystko co tu jest, należało do jakichś Żydów - Zrobił szeroki gest ręką. - Te talmudyczne świny odprawiały tu swe odrażające orgie. - Twarz wykrzywiło mu obrzydzenie na samą myśl o niemoralnych wydarzeniach w domu, który nazwał „absurdalnym”. - Był najwyższy czas, by oczyścić tę stajnię Augiasza. - Zaśmiał się i klepnął Leutnanta Ohlsena w ramię białą rękawiczką. - Sam brałem w tym udział. - Odrzucił głowę do tyłu. - To było wspaniałe, Herr Kollege.

- Co się stało z właścicielem? - Zapytał Ohlsen.

Oficera SS prawie zatkało na taką naiwność. Po prostu nie mógł zrozumieć, jak normalny człowiek w mundurze może zadać takie głupie pytanie.

- Do obozu, naturalnie. Gdzież indziej? Ale najpierw daliśmy temu plemieniu talmudystów gruntowne gestaupt.

Leutnant Ohlsen patrzył na niego osłupiały.

- Gestaupt?

- Tak, oczywiście, gestaupt - skinął głową oficer SS. - Sponiewieranie. Z tego co słyszałem, robicie to samo z partyzantami. - W lansadach podszedł do którejś pani i posunął dłonie w górę po jej udach, przy czym rozerwał jej suknię. Uradowany wydarzeniem, związał dwa kawałki sukni na kokardę w taki sposób, że nogi pani zostały obnażone z tyłu. Wyglądało to komicznie gdyż miała je bardzo koślawe.

- Czy nie pójdziemy teraz do łóżka? - Wrzasnął Sturmbannführer SS z załogi obozu koncentracyjnego, rekrutowanej z dywizji likwidacyjnej.

- To zastępca komendanta Oranienburga - wyjaśnił jakiś oficer policji. - Zaproponował Leutnantowi Ohlsenowi szklankę wina. - Prawdziwy Veuve Cliquot, w całej Rzeszy można go dostać tylko u nas. - Trzymał butelkę w kieszeni, a szklanki nalał do pełna. - Czy znalazłeś dla siebie jałówkę, Herr Leutnant?

- Co znalazłem? - Spytał zaskoczony Ohlsen.

Oficer policji roześmiał się.

- No więc, uważasz, jałówka to jedna z nowych. Krowa, to jedna z przyuczonych pań. Klacze, to akrobatki, które dają przedstawienia dla publiki.

- Domyślam się, że wobec tego mężczyźni są bykami i ogierami? - Nie mógł się Leutnant powstrzymać od pytania.

Oficer policji ryknął gromkim śmiechem i pobiegł na spotkanie z paru paniami.

Ohlsen znów zakończył swą wędrówkę w kącie gdzie stał Busch, wyjaśniając wysokiemu dżentelmenowi w ciemnym cywilnym garniturze, co robi SS, podczas gdy inni zabawiają się życiem na froncie.

- Nie jesteśmy niczym innym, jak śmieciarzami - tłumaczył słuchającemu obojętnie dżentelmenowi, na którego klapie błyszczała miniaturka złotej odznaki partyjnej.

Cywil powoli zapalił cygaro. W oczywisty sposób był koneserem. Był jednym z tych tajemniczych Niemców, którzy w okresie międzywojennym mieszkali w Ameryce Południowej. Kiedyś był konsultantem tajnej policji w Boliwii. Później sprzedawał broń Kruppa Paragwajowi, przeciwnikowi Boliwii w ciągnącej się długo wojnie między tymi dwoma państwami. Obecnie był jedną z grubych ryb w Berlinie, mając biuro na najwyższym piętrze przy Prinz Albrecht Strasse.

- Likwidujemy każdego - krzyczał grubym głosem Busch, kołysząc się groźnie. Rozlał koniak na swój mundur. - Najpierw rąbniemy wszystkich Żydów, każdego z nich. Dżentelmen z czarnym cygarem w milczeniu skinął głową. - Potem przyjdzie kolej na Cyganów. - Dżentelmen z czarnym cygarem znów skinął głową. Busch siorbnął z butelki koniaku, którą jeden z jego kolegów napełnił w połowie wódką, w połowie duńskim Akwawitem. Czknął. - Następnie wytępimy Polaczków Rozumie pan, my tworzymy Lebensraum, Lebensraum dla zwycięskiego, niemieckiego narodu. Otworzą gęby w zdumieniu, gdy nasze Sonderaktion Gruppen zaczną nadjeżdżać. Całe narody znikną z powierzchni ziemi. Miejsce jest tylko dla Niemców. Naprzód towarzysze, niech żyje SS! Stuknął obcasami, uniósł rękę i ryknął: Sieg, Heil!

Wszyscy obecni przyłączyli się, wrzeszcząc hałaśliwie. Ktoś zaczął śpiewać pieśń o Żydach. Ohlsen dołączył się przy wersji Żydowska krew musi popłynąć.

Hauptsturmführer SS z dywizji eksterminacyjnej Eickego wskoczył na krzesło i wrzasnął szaleńczo. - Ostatni Żyd zostanie powieszony na Bramie Brandenburskiej!

- Jesteśmy największym narodem świata! - Zawył Busch. - Zlikwidujemy wszystko inne!

Przerwała mu dziewczyna, biegnąca z krzykiem przez salę. Była rozczochrana i nie miała na sobie sukni. Gonił ją uparcie oficer bez kurtki, z powiewającymi za nim szerokimi, chłopskimi szelkami.

Oficer z czarnymi odznakami generała SS na klapach munduru, zakomenderował: gotowi, do łóżek!

Ryk entuzjazmu prawie wysadził w powietrze sufit willi.

Był to sygnał do dzikiego polowania na kobiety. Jakaś oporna pani została wzięta siłą we wnęce okiennej. Inna stała na rękach, ukazując eleganckie czarne majteczki, odkrywające więcej, niż zakrywały. Jakiś oficer oblał ją czerwonym winem z Nadrenii. Robił to bardzo wolno i z uczuciem. -

Ta zasłużyła na dobre wino, pomyślał Obersturmführer SS Stenthal. Dawniej miał piwnicę win w Bonn. Teraz był szefem przesłuchań w jednostce policji w Buchenwaldzie.

Ściągnął z akrobatki majteczki i kontynuował swój żart i nikt się za to nie obraził. Tymczasem trzech jego kolegów śpiewało.

Röslein, Röslein, Röslein rot, Röslein auf der Heide.

Wszyscy rywalizowali w szaleńczych, erotycznych pomysłach. Ryczeli jak olbrzymie ogiery w okresie rui.

Leutnant Ohlsen upił się. Usiadł konno na krześle. Przed nim na podłodze leżała naga kobieta. Jedyne co miała na sobie, to pończochy. Długie pończochy, podtrzymywane przez szerokie, czarne podwiązki w czerwone róże. Oficer SS leżał twarzą w dół w poprzek krzesła. Ubrany był tylko w kurtkę i długie kalesony. Kalesony z łątą, do tego tylko częściowo przyszytą.

Leutnant Ohlsen uśmiechnął się na widok łąty na długich kalesonach.

- Super - Teutoni w łątanych kalesonach. - Wypluł to, co miał w ustach i udało mu się trafić w łątę na bieliźnie oficera SS. - Schluz - powiedział tonem absolutnego przekonania. Jutro pójdę na Prinz Albrecht Strasse, odnaleźć znajomego Heinricha na piątym piętrze. Opowiem temu psu coś na temat kurwy, z którą jestem żonaty. - Znów się uśmiechnął.

Podeszła do niego platynowa blondynka i usiadła mu na nogach. Pogłaskała go po włosach.

- Jeśli chcesz, możesz nazywać mnie Ilza.

- Ilza - powiedział. - Raz jeszcze plunął na łątę na bieliźnie esesmana.

Ilza zgięła się w pół ze śmiechu. Przez chwilę siedzieli cicho, przyglądając się łącie. Podeszła do nich druga pani. Była w złotej sukni, rozciętej z tyłu aż do bioder.

- Wyglądasz na poirytowanego - powiedziała do Ohlsena. - Czy nie lubisz dziewczyn?

- Czy jesteś kurwą? - Spytał Leutnant Ohlsen.

- Jesteś tu nowy - parsknęła dziewczyna.

- To zupełna prawda - rzekł z uśmiechem Ohlsen, - a ty jesteś świnią. - Kopnął dziewczynę i prawie stracił równowagę na krześle. Sięgnął po swoją, stojącą, na podłodze szklanę. Była to półtoralitrowa szklanka do piwa, pełna wódki i koniaku. Leutnant policji powiedział, że to odgania smutki. Dlatego pił.

Hauptsturmführer SS chwiejnie podszedł do nich. Ciągnął za sobą krzesło. Miał tylko jedno oko. Drugie zakrywał czarny monokl, który nieustannie gubił, ale kieszenie miał wypchane zapasowymi. Gdzie niegdyś było oko, miał wielką, wilgotną, czerwoną dziurę. Uwielbiał zmuszać innych do patrzenia na tę dziurę. Ten widok powodował, że tracili apetyt.

Zwalił się obok Leutnanta Ohlsena i rozejrzał się dokoła swym jedynym, czarnym jak smoła okiem łasicy. Spojrzał na Ohlsena.

- Czy zechciałbyś jutro przybyć do obozu i pofechtować się ze zdrajcami? - Sapnął i skierował palec

na Ilzę, platynową blondynkę. - Czy zostanie z tobą?

- Nie z tobą - powiedziała Ilza. - Jesteś obrzydliwy.

Oficer SS uśmiechnął się. Monokl mu wypadł i Potoczył się po podłodze.

Jego czerwone oko zapłonęło. Ilza zadrżała.

Leutnant Ohlsen ssał cygarniczkę i obojętnie patrzył na wilgotne, czerwone ciało, które nie chciało się zbliżnić.

- Zapewne jesteś prawdziwym tygrysiem oświadczył oficer SS, uśmiechając się do Ilzy - Panterą, którą trzeba poskromić batem. - Śmiał się wariacko.

- Po co to przedstawienie z okiem? - Zapytał Leutnant. Upił trochę ze swego kufła.

- To jest wariat - oświadczyła platynowa blondynka. - Kompletny furiat. Mówią, że krzyżował studentów Pisma Świętego w swym obozie.

Leutnant Ohlsen popatrzył na oficera SS, siedzącego obok z idiotycznym uśmiechem. Jego jedyne oko spoglądało wzrokiem całkowitego szaleńca.

Hauptsturmführer SS skinął głową.

- To co mówisz, to prawda. Cztery gwoździe bez względu na to, czy jest to czarna sutanna, czy świński Talmudysta. - Miał zamyśloną minę. - Faceci od Talmudu są najtwardsi, ale czarne sutanny wrzeszczą głośnie, więc jest lepsza zabawa. Czy nie pojedziesz ze mną, Leutnancie, by popatrzeć jak się przybija jednego z nich do belek? Dam ci tu jednego. Przybył nowy transport. W mej kwaterze mam dwie głowy wielkości pomarańczy. Jedna z nich siedziała na dziewczynie z Talmudystów, Druga jest polska. W obozie jest frannika dziewczyna, która Znajduje się w mojej sekcji. Jej głowy chcę także. Mieć kilka takich głów na biurku jakoś rozwesela. Gdy pewnego dnia wojna się skończy, jestem pewien, że zarobię mnóstwo pieniędzy na tych głowach. O wiele łatwiej nabywać skurczone głowy w Berlinie, niż jeździć do serca Ameryki Południowej, a poza tym nie ma niebezpieczeństwa.

Leutnant Ohlsen pociągnął z kufła trzy długie łyki.

- Co ty tam masz? - Zapytał jednooki oficer. Ohlsen spojrział na niego nie odpowiadając. Postanowił dłużej nie rozmawiać ze zbieraczem głów.

- Leutnancie, czy kiedykolwiek próbowałaś kobiecej krwi w koniaku? Ma cudowny smak. - Chwylił platynowo-blond Ilzę i jak atakujący wąż zrobił jej cięcie na nadgarstku i wycisnął trochę krwi do swego kieliszka. Uśmiechnął się dziko i opróżnił kieliszek.

Ilza wrzasnęła z bólu i przestraszu. Wokół niej wybuchła wielka wrzawa.

Podszedł do nich wysoki dżentelmen w ciemnym garniturze, za nim podążało kilku esesmanów w białych kurtkach. W milczeniu wysłuchał co się zdarzyło.

Wzruszywszy ramionami, odwrócił się i mruknął odchodząc.

- Na litość boską. Tylko tyle? Malutki żart. - Szepnął do potężnego esesmana, który pomagał przy podawaniu do stołu: załatw, żeby suka została aresztowana i wysłana do obozu, oskarżona o obrazę SS. Ale nie teraz. Później. - Zapalił kolejne czarne cygaro i spojrział z przyjemnością na parę, bardziej niż trochę zajęta sobą. Potem, opuszczając salę, zanucił: jak piękne jest wszystko piękne.

Łowca Główny, który pił kobiecą krew Szturchną leżącą na podłodze nagą dziewczynę.

Niedługo, znów się pokazał. Teraz miał noszoną na ramieniu jasnoszarą pelerynę do białej koszuli i paradny mundur były pop wsadził czarny monokl do kieszeni. W jego dotkniętej zapaleniem orbicie oka świeciła czerwień.

Z kąta ust kapiała mu ślina. Szturchną Leutnanta Ohlsena złotą rączką swego bata na konia.

- Czy jedziesz ze mną do obozu, Leutnancie by przybić kilku świńskich Talmudystów do belki?

Leutnant Ohlsen spojrział na niego. Chciał powiedzieć mnóstwo rzeczy. Rzeczy tego rodzaju jakie i inni też chcieliby powiedzieć. Wszystko powiedziałoby się w powieści. Ale to nie była powieść.

Więc Leutnant Ohlsen nie powiedział nic. Po prostu wziął długi łyk ze swego kufła, który został napełniony mieszaniną. Leutnant (chciał zapomnieć).

Hauptsturmführer SS wzruszył ramionami odwrócił się, trochę niepewny na nogach. Potknął i zakołysał niebezpiecznie jak statek na złej fali, udało mu się wyprostować. Obejrzał się przez ramię, uśmiechnął się i wierzchem białej rękawiczki otarł ciało, które nie chciało się zbliżnić.

- Teraz odjeżdżam, ale na wypadek, gdybyś zmienił zdanie, Leutnancie, zapytaj o Hauptsturmführera Schenka. Zawiezie cię prosto do obozu dla talmudystów od czarnych sutann i wtedy będziemy mogli się przekonać, kto wrzeszczy najgłośniej. - Wyszedł z sali dzwoniąc ostrogami. Miał złote ostrogi na wysokich butach. Był z dywizji kawalerii SS.

Ciemnowłosa dziewczyna poprosiła Ohlsena, by rozpiął jej stanik. Jest za ciasny, jak powiedziała.

- Czy jesteś na urlopie? - Zapytała blond Ilza.

- Tak, jestem na urlopie - odrzekł Leutnant Ohlsen.

- Czy nie masz żadnej rodziny? - Spytała ciemnowłosa. Oczy miała półprzymknięte, jak kot mrużący przy kominku.

Leutnant nie odpowiedział.

- Zapraszam cię, byś ze mną spał - powiedziała Ilza.

- Pomyślę o tym - rzekł Leutnant Ohlsen, znów biorąc łyk ze swego kufła. Był już bardzo pijany, ale nikt tego nie zdołał zauważyć. Odstawił kufel i spojrzał na platynową blondynkę. - Na twoim miejscu poszedłbym stąd.

- Dlaczego miałabym to zrobić? - Zapytała i potrząsnęła głową, a światło rozbłysło we włosach, luźno zwisających na jej plecach.

Ohlsen uśmiechnął się.

- Bo ja ci to mówię. Wyślizgnij się przez drzwi tak, by nikt nie zauważył.

- Wielki Boże, co za głupie bzdury - warknęła. Podeszła do Untersturmführera z odznaką Sicherheits Dienst na kołnierzu. Wkrótce jego dłonie powędrowały w górę pod jej spódniczką.

Razem poszli po schodach na górę. Leutnant Ohlsen już nigdy jej nie zobaczył. Została aresztowana wkrótce po tym jak była w łóżku z funkcjonariuszem SD. I to on ją aresztował. Wyprowadzili ją tylnym wyjściem, gdzie nie było można się wydostać na boczną ulicę przez małą furtkę w murze.

Następnego dnia znaleziono ją w Grunedzie. Krótka notatka w popołudniowej gazecie podawała, że przejechał ją niezidentyfikowany samochód. Została określona, jako jedna z antyspołecznych kobiet Berlina. Ludzie wzruszyli ramionami i powiedzieli: - jakaś kurwa.

Abendblatt zawierał zdjęcie ciała. Leżało na jezdni z ubraniem w nieładzie. Głowę miała przykrytą kocem.

- Jej głowa wyglądała tak, jakby została ciężko pobita - powiedział w knajpie jakiś rozwożący wodę woźnica. Stał oparty o bar pijąc piwo i spoglądając na reklamę, mówiącą: BERLIŃCZYCY palcie PAPIEROSY JUNO.

Ktoś klepnął Ohlsena w plecy. Był to Sturmbannführer SS z Krzyżem Rycerskim zwisającym z szyi. Był bardzo młody. Na jednym rękawie miał wąską, czarną opaskę z napisem ozdobnymi gotyckimi literami: Leibstandarte SS Adolf Hitler. Służba przyboczna Führera. Pierś miał pełną odznaczeń.

- Czy napiłbyś się piwa imbirowego, przyjacielu? - Zapytał młody Major SS.

Był to pierwszy raz, że ktoś powiedział do Leutnanta Ohlsena „przyjacielu”. Spojrzał w zdumieniu na pytającego.

- Piwa imbirowego? - Powtórzył. - Od niego można się pochorować. Uniósł swój wielki kufel i napił się. Pił powoli, ale nawet przy tym mógł zakaszleć.

Major SS roześmiał się. Powąchał szklanicę Ohlsena.

- O cholera, ależ to mocne.

- Tak, jest mocne - potwierdził Leutnant. - Jest całkiem mocne.

Major SS ze straży przybocznej Hitlera skinął głową, a po tym spojrział na salę.

- To jest paskudny chlew.

Leutnant Ohlsen nic nie powiedział. Po prostu kiwnął głową twierdząco i pomyślał: to coś znacznie gorszego, niż chlew.

- Gdy ta wojna się skończy, wystawią nam długi, długi rachunek za wszystko, co te typy robią - rzekł Major SS.

- Oni krzyżują ludzi - powiedział Leutnant.

- Wiem, że to robią - stwierdził Major SS.

- W tej chwili są całkiem twardą paczką chłopców.

- Pochylił się nad Leutnantem Ohlsenem i szepnął: czy wiesz, przyjacielu, co chcę zrobić? Chcę się zastrzelić. Chcę więcej... - Znow ostrożnie rozejrzał się dokoła. Na jego twarzy igrał ironiczny uśmiech.

- Zrobię to dokładnie tutaj, w tej speluncie.

- Czy to nie będzie głupie? - Zapytał Ohlsen.

- Być może, przyjacielu, ale oni wszyscy rozdziawią gęby.

- Jesteś pijany?

- Ani trochę - stwierdził Major SS. Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat i był bardzo szczupły. Ponad metr osiemdziesiąt pięć wzrostu. Włosy miał jasne jak dojrziała pszenica. Był bardzo przystojny.

Wyprostował się na całą wysokość.

- Teraz tylko się przyglądaj, przyjacielu. - Przeszedł w stronę generała SS z odznaczeniami z I Wojny Światowej. Złota odznaka partyjna starego, partyjnego bojownika na prawym rękawie.

Młody oficer rzucił okiem, stuknął w klapę munduru generała, gdzie błyszcząły srebrne liście, wesoło uśmiechnął się i powiedział bardzo głośno:

- Gruppenführerze SS, teraz zobaczysz coś na prawdę zabawnego. Najlepszy dowcip wszechczasów. Generał, człowiek po sześćdziesiątce, spojrział zirytowany na wysokiego, dziarskiego oficera z dżentelmenem w ciemnym garniturze i trzema paniami. Paniami z wytwórni filmowej UFA. Roześmiały się w oczekiwaniu.

- No to posłuchajmy dowcipu.

Młody oficer roześmiał się. Śmiech miał bardzo ciepły i zaraźliwy.

Leutnant Ohlsen pociągnął z kufła mały łyk a potem rozsiadł się wygodniej na krześle. Czekał tak, jakby był specjalnie zaproszony do teatru przed rozpoczęciem przedstawienia.

Major SS wycelował palec w generała SS.

- Gruppenführerze SS, jesteś świnią, zdeprawowaną, nazistowską świnią!

Generał odskoczył. Cała krew odpłynęła z opasłej twarzy. Otwierał i zamykał usta.

Major SS uśmiechnął się.

- Wy wszyscy, I z obozów i biur za frontem, jesteście stadem parszywych skurwysynów i morderców seksualnych. Ale, by zrobić wam przyjemną niespodziankę jestem w stanie was zawiadomić, że Hitler przegrał wojnę. Nasi bracia z przeciwnej strony są w drodze do Berlina i spieszy im się.

Ktoś chwycił go za rękę. Major walnął pięścią i warknął: precz z łapami, ty kundlu!

Untersturmführer SS, który chwycił go za rękę, otworzył dłoń. Widok opaski straży przybocznej Hitlera oraz błyszczący Krzyż Rycerski doradziły mu ostrożność.

Major SS wyciągnął pistolet i napiął kurek.

Zapanowała martwa cisza. Generał i dżentelmen w ciemnym garniturze wpatrywali się jak zahipnotyzowani w ciężki, czarny, wojskowy pistolet w dłoni roześmianego, młodego oficera.

- Z powodu munduru, który noszę, czuję się jak pies - oświadczył. Słowa wymawiał powoli i z naciskiem na każde z osobna. - Wstydzę się mojej niemieckiej matki. Wstydzę się kraju, nazywającego się moim. Szczerze jestem przekonany, że nasi przeciwnicy w tej wojnie są dość rozsądni, by wystrzelać was wszystkich po kolei, jak wściekłe psy, którymi jesteście. Powiesić was na waszych własnych szelkach na ścianach waszych koszar i więzień. Przystawił sobie pistolet do brzucha, stuknął obcasami i wystrzelił. Wypuścił pistolet, zachwiał się w przód i w tył, ale nie upadł. Wyciągnął swój honorowy kordzik, długą, szpiczastą i z obustronnie zaostrzonym brzeszczotem broń, którą nosił u boku na łańcuszku. Ciągłe z uśmiechem na ustach powoli wbił sobie ostrze w brzuch i ciął z lewa na prawo. Krew połała się na jego dłonie. Znów zachwiał się, jak wysokie drzewo podczas burzy. Padł na kolana. - Tego nie oczekiwaliście, wy brudne świnię - chciał powiedzieć, ale nie powiedział nic.

Z szalonym wysiłkiem znów powstał. A potem padł.

Wszystko rozegrało się w trzech etapach. Spojrzał na Leutnanta Ohlsena, siedzącego okrakiem na krześle. Podniósł rękę w pozdrowieniu. Rękę umazaną krwią.

- Czyż to nie było piękne, przyjacielu? - Oczy mu się zamglily, ale uśmiechał się nadal. Krzyż rycerski zadzwonił mu o guziki. Próbował wstać, kaszłał krwią. Podniesiono go i położono na stół. Przecięto jego mundur i spodnie. Spojrzał w twarz osoby pochylonej nad nim, kogoś ze skórą niebieskawą od grubego zarostu.

- Do diabła z wami wszystkimi. Zwróciłem moją członkowską legitymację klubową i nie będę miał okazji oglądać was, wiszących na waszych murach.

- Skinął głową. Bolało. Boże, jak bolało. - Być może przyjacielu, było to w ostatecznym rachunku głupie - szepnął.

„Uklęknij i módl się do Boga” mówiła jego matka. Dziadek był pastorem. Major go pamiętał. Jego nakrochmalona, biała koloratka była zawsze żółta na brzegu od potu. Dziadek zawsze mówił tak, jakby płakał i zawsze oszukiwał w mariasza, gdy grali w tylnym pokoju tawerny, gdzie nikt ich nie mógł widzieć.

Bolały go oczy od ostrego światła zyrandola ukradzionego w Pradze. Słyszał, jak ktoś chodzi po sali tam i z powrotem.

Ktoś powiedział: on nie może umrzeć.

Chciał się zaśmiać. Ale miał tylko tyle siły, by otworzyć wargi i obnażyć zęby. Właśnie, że się mylicie, ja zrezygnowałem. W rzeczywistości nie obchodziło go, że teraz umiera, ale przeciąganie sprawy i robienie im kawału było zabawne.

- Po co wbiłem sobie ten nóż w brzuch? To było głupie, przyjacielu. To wszystko była wina tych Japończyków. Gdy żółta małpa robiła sobie seppuku, to wyglądało elegancko, ale nigdy nie wierzył, że może aż tak boleć. I nie w taki sposób. Gdybyż tylko nie było Boga. Bo nie był jednym z dobrych chłopców. O tym wiedział bardzo dobrze. Jeśli Bóg na niego czeka, może ból, który teraz cierpiął wyjdzie mu na korzyść. Może dziadek z żółtą koloratką wstawi się za nim dobrym słowem.

Generał, bardzo blady, pochylił się nad stołem gdzie go położono. Wyglądał jak bardzo stary człowiek.

Z wysiłkiem niewiarygodnym jak na umierającego młody Major SS ze złością usiadł. Krew podeszła mu do gardła. Zakaszał, nie mógł już oddychać. Krew smakowała mdląco słodko.

Ze wszystkich stron słyhać było obelżywe głosy. Jasne spodnie Generała spryskała krew. Wściekły, zakrakał coś o „paskudnym bałaganie”.

Jakaś dziewczyna lkała.

Major SS ciężko upadł plecami na stół. Prawdę mówiąc było mu całkiem wygodnie. Wyciągnął się i umarł.

Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, nagle stał przed wielkim, szarym budynkiem, Prinz Albrecht Strasse 8. Patrzył na owalny szyld z czarnym orłem SS i słowami: GEHEIME STAATSPOLIZEI. Tajna Policja Państwowa.

Mechanicznie poszedł w górę schodami i otworzył ciężkie drzwi. Klamkę umieszczono tak wysoko, że człowiek czuł się, jak małe dziecko.

Strażnicy z SS nie raczyli spojrzeć na niego, pomimo jego oficerskiego munduru.

Na piątym piętrze zatrzymał się przed szarymi drzwiami z małą mosiężną tabliczką, noszącą napis: GESTAPO B.Z.

Zadrżał, jakby poczuł chłód.

Nieco dalej otwarto drzwi na korytarz. Pojawił się czarny, błyszczący hełm SS.

Prawie wciągnięto kobietę do windy, która bez szmeru znikła na dole, w piwnicy.

Wysoki, szczupły i jasnowłosy mężczyzna z orlim nosem, postać wymodelowana zgodnie z pragnieniem samego Himmlera, zapytał, w czym może pomóc Leutnantowi Ohlsenowi.

- Wybacz mi, musiałem pomylić się co do miejsca - wymamrotał.

Zszedł ze schodów prawie biegiem i wypadł z tej twierdzy Szatana. Wydał westchnienie ulgi. Będzie zdolny spojrzeć w oczy Staremu i Legioniście, nie wstydząc się samego siebie.

ROZDZIAŁ XVIII Przelotny romans.

Gdy Leutnant Ohlsen opuszczał willę, padał deszcz. Był bez płaszcza. Trzymał czapkę w ręce, aby deszcz mógł mu spływać po włosach.

Stał nieruchomo, zwróciwszy twarz ku niebu. Cieszył się z deszczu, który chłodził mu rozpaloną skórę. Ten oficer Leibstandarte dał wspaniałe przedstawienie. Boże, jakież wspaniałe! Zepsuło im uroczystość.

Leutnant Ohlsen zaśmiał się cicho na myśl, że uroczystość obróciła się w ruinę.

Znowu ruszył ulicą. A gdyby on miał tyle absurdalnej odwagi? Zatrzymał się przy tej myśli.

Wspaniała myśl: pójść do domu, zadzwonić. Zadzwonić prawdziwym dzwonkiem. Pójść sobie nonszalancko do swych aroganckich teściów, spojrzeć na teścia, jak siedzi wielki i ciężki w swym

szerokim fotelu. Powiedzieć im dokładnie, co o nich myśli. Zakute niemieckie łby z brylantami

błyszczącymi na kluchowatych palcach. Wspaniale byłoby obserwować ich tępe, rybnie oczy, gdy

wbiję sobie bagnet w brzuch. Ta myśl spowodowała, że wziął się w garść i przyspieszył kroku.

Czarny Mercedes z policyjną tablicą rejestracyjną zakręcił koło niego. Dojrzał w przelocie paru oficerów i pań. Z samochodu dobiegł kobiecy śmiech.

Tęsknił za swoją bandą. Zdawało się, że od chwili, gdy ich opuścił, upłynęły lata. Być może już nie

żyją. Poczuł, jak dreszcz lęku pełźnie mu po kręgosłupie. Brutalna twarz z blizną od noża zdawała się

nosić trochę dalej, przy krzewie bzu. Twarz bez ciała. Leutnant Ohlsen powiedział na głos:

- Cześć, Alfredzie.

Mały Legionista uśmiechnął się swym martwym uśmiechem. Tylko jego usta się uśmiechały. Oczy nigdy. Bardzo dawno temu zapomniał, jak się śmiać oczami i z serca.

- Wygrałeś, Alfredzie - skinął głową Leutnant Ohlsen. - Chryste, jakże wygrałeś. Jesteśmy świniami, urodzonymi przez świnię i powinniśmy zdychać jak świnię na kupie nawozu. Vive la Legion Etrangere! - Te ostatnie słowa nieświadomie wykrzyczał na cały głos. Rozejrzał się nerwowo.

Zbliżył się patrolujący policjant. Spojrzał podejrzliwie na mokrego Leutnanta. Błysnął orzeł na jego hełmie. Deszcz spływał mu z hełmu na płaszcz przeciwdeszczowy, połyskujący wilgocią. Leutnant Ohlsen przyspieszył kroku, zaś policjant stał w miejscu, patrząc w ślad za nim. Gliniarz był pomimo deszczu w doskonałym nastroju. Nie ma nalotu. Poszedł dalej. Ohlsen skrzył za róg. Przypominał sobie czas, gdy leżeli na pozycji w dolinie Elbrusu. Było bardzo gorąco. Słońce aż parzyło. Nie było żadnych drzew. Żadnego cienia. To było dawno temu. Na tej pozycji w dolinie pod Elbrusem było zatrważająco wiele ran w głowy. Ujrzał przed sobą długi szereg twarzy. Wszystkich tych, którzy zostali zranieni w głowę. Podoficer Schöler. Gefreiter Burg, artylerzysta czołgowy Schulze, dowódca sekcji miotaczy ognia Mall i Feldwebel Blom, który chciał po wojnie pojechać do Hiszpanii i hodować pomarańcze. Choć nigdy nie był w Hiszpanii, nauczył się paru słów po hiszpańsku. Miał stary słownik, w którym brakowało bardzo wielu stron. Dos ceruezas mawiał, gdy zamawiał piwo, bez względu na to, czy chciał dwa, czy dziesięć. Wiedział także, jak się wymawia manan oraz bermana. Zwykł był także mówić to wszystkim dziewczynom. Starym ludziom mówił abulos. W dniu, w którym zginął, syberyjski snajper nie trafił go dokładnie, tuż nad nasadą nosa i umieranie zabrało mu trzy minuty, powiedział do stojących obok: Yo no me figuraba. Mały Legionista, który znał hiszpański, kiwnął głową i odpowiedział po hiszpańsku. Bardzo to ucieszyło Bloma. Umarł myśląc o gaju pomarańczowym, którego nigdy nie udało mu się zobaczyć. Pochowali go koło krzywego kaktusa, gdzie leżał kawał spadłej z góry skały. Wraz z nim złożyli do grobu małą, wysuszoną pomarańczę. Legionista wcisnął mu ją do ręki. Później bardzo twardo udeptali ziemię. Skakali po niej do góry i w dół, by mieć pewność, że dzikie psy go nie wygrzebią i nie pożywią się nim. Zrobili to tylko dlatego, że on był „Barcelona Blom”. Zwykle tego nie robili. Tak wielu ginęło, a dzikie psy też musiały żyć. Ale z Blomem było inaczej. Oni wszyscy wiedzieli o tym sadzie pomarańczowym, tyle o nim słyszeli. Następnego dnia został zabity Oberstleutnant von Herling. Syberyjski snajper trafił go dokładnie pod brzegiem hełmu. Umarł natychmiast. Nie ubili ziemi na jego grobie. Był u nich nowy. Następnego dnia znaleźli jakąś jego cześć. Odkopały go psy. Dowódca wściekł się. Zagroził im sądem wojennym, w dolinie pod Elbrusem był taki upał, że już przed wieczorem dowódca zapomniał o tym wszystkim. Był nim Oberst von Lindenau, później zabity w Jowle. Został spalony na śmierć. To zobaczyli, dotarli do jego czołgu. Wisiał do połowy z wieżyczki, całkowicie zwęglony. Porta powiedział, że wygląda jak zapomniany przez kuchcika stek. Porta powiedział znacznie więcej. Głośno śmiali się z jego uwag. Von Lindenau był w oddziale od dawna, ale nikt za nim nie tęsknił. Wszystko zostawili tak, jak było, aż Iwan przyszedł i posprzątał. Oddział minerski Iwana poniósł trupa pułkownika na dwojgu wideł do dziury w ziemi i przykrył odrobiną ziemi. Nikt nie miał najmniejszego pojęcia gdzie von Lindenau, Oberst, hrabia, został pogrzebany.

Leutnant Ohlsen potrząsnął głową. Co za wojna. Przeszedł całą drogę aż do Haweli. Siedział w deszczu na ławce. Był przemoczony do suchej nitki, ale nie zwracał na to uwagi. Myślał, że znajduje się tuż obok Prinz Albrecht Strasse gdzie na piątym piętrze miał biuro przyjaciel Ericha. Obok przeszła spacerem dziewczyna. Dziewczyna w czerwonej, skórzanej kurtce i bardzo mokrym kapeluszu na głowie. Uśmiechnęła się do niego. Odpowiedział uśmiechem i otarł z twarzy krople deszczu.

Dziewczyna zatrzymała się i usiadła na ławce obok niego. Zaproponował jej papierosa.

Przez krótką chwilę siedzieli paląc. Papierosy były wilgotne.

- Tu jest mokro - powiedziała. Zauważył, że ma grube nogi. Skinął głową. - Bardzo mokro.

- Czy lubisz chodzić na spacer w deszczu?

- Nie - odpowiedział Ohlsen. - Nie znoszę tego. Dziewczyna mocno pociągnęła dymu z papierosa. -

Ja też.

Oboje roześmieli się.

Potem przez chwilę nadal siedzieli, oboje pogrążeni we własnych myślach. To dziewczyna przerwała milczenie.

- Jesteś z frontu - powiedziała, nie patrząc na niego.

- Tak, z Frontu Wschodniego. Wkrótce tam wracam.

- Czy zechcesz odprowadzić mnie tą ulicą? - Zapytała i wstała z miejsca. Poszli razem ulicą wzdłuż Haweli.

- Mój ukochany też był w domu na urlopie - powiedziała dziewczyna i zmieniła nogę, by iść zgodnie z Leutnantem Ohlsenem. - On został w domu.

Leutnant Ohlsen spojrział na nią z ukosa. Nie była piękną dziewczyną. Nos miała zadarty jak u kociaka.

- Czy on zdezerterował?

Dziewczyna kiwnęła głową i otarła trochę kropli deszczu z twarzy.

- Tak, nie chciał tam pójść powrotem. Odstrzelili mu.

- Odstrzelili mu? - Zapytał nie rozumiejąc Ohlsen.

Dziewczyna poprosiła o papierosa.

- Tak, wszystko mu odstrzelili.

Leutnant Ohlsen nie wiedział, co powiedzieć. Hauptmann Fromm też został wykastrowany. Zrobili to Rosjanie. Znaleźli go w chłopskiej chacie przywiązanego do stołu. Gdy go znaleźli, był martwy. Cały jego brzuch był ciemnoniebieski. Za sprawę z Frommem zabili siedmiu jeńców strzałami w potylicę. Nie dlatego, by jeńcy mieli z tym cokolwiek wspólnego, ale dlatego, że wydawało się, iż w odwecie muszą komuś coś zrobić. Klęczeli na ziemi, a oficer polityczny szedł od jednego do drugiego, przyciskając swego Walthera P 38 każdemu do karku i naciskając spust. Padali na twarz jak mahometanie podczas modlitwy. Było to siedmiu Gruzinów z 68. Pułku Grenadierów, jednostki obrony granicy. Wszyscy z Tyflisu.

- Co się stało z twoim ukochanym? - Teraz w rozmowie z nią używał form poufałych. To, co się stało z jej ukochanym stworzyło między nimi pewien związek. W jakiś sposób ona stała się żołnierzem frontowym. Posiadanie ukochanego, który już tego nie może robić, musi być paskudne, co dziewczyna może wtedy zrobić? Mały Legionista też został wykastrowany. To zdarzyło się w obozie koncentracyjnym.

- Złapali go - powiedziała dziewczyna. Zdjęła kapelusz i wycisnęła deszczówkę.

- Marna sprawa - wymamrotał Leutnant Ohlsen.

- Zastrzelili go w Morellenschlucht. Rozstrzelali go wraz z generałem Luftwaffe. Odebrałam jego prochy w centralnym sądzie wojennym.

- Och, idź do diabła - pomyślał Ohlsen. - Co mnie obchodzi twój wykastrowany kochanek?

- Dali mi go w pudełku po butach - powiedziała dziewczyna. - Podpisałam pokwitowanie odbioru, jakby to była przesyłka pocztowa.

- Co zrobiłaś z pudełkiem?

Dziewczyna uśmiechnęła się i spojrzała w stronę rzeki. - Wsypałam go do Haweli. Pokazała na rzekę przepływającą obok, szarą i błotnistą. Pluskał po niej deszcz. - Dlatego przychodzę tu co rano i mówię: cześć, Robert. - Zawsze mu coś rzucam. Dziś dostał jabłko. A gdy coś mu już dałam, mówię:

- Do widzenia, Robercie. Wojna jeszcze się nie skończyła.

- Doskonale cię rozumiem - powiedział Leutnant Ohlsen, zdziwiony, że rzeczywiście potrafi to zrozumieć.

Poszli do mieszkania dziewczyny. Rzuciła swą czerwoną kurtkę na krzesło i powiedziała, że zrobi kawę, ale okazało się, że wcale jej nie ma. Wtedy chciała zrobić coś innego, ale miała tylko parę butelek piwa i dwie ćwiartki wódki, które Robert przywiózł do domu.

Pili wódkę. Pili ją z kufli.

Dziewczyna położyła się na kanapie.

Leutnant Ohlsen pocałował ją. Ugryzła go w usta.

Opowiedział jej o Indze. O Gunnim. Powiedział jej, że się zemści.

- To ci nie pomoże - szepnęła dziewczyna, tuląc się do niego. - Nie odzyskasz ich.

Przez jej ubranie poczuł sprzączkę jej podwiązek. Miała obcisłą i bardzo krótką spódniczkę.

Położył dłoń na jej kolanie. Pogłaskała go po głowie.

- Masz cudowne włosy. Robert miał dokładnie takie, jak ty, czarne jak kruk.

Przesunął rękę wyżej po jej nodze. Jej spódniczka była niezwykle ciasna. Nie mógł posunąć się wiele wyżej.

Lekko rozsunęła nogi. Jakby nieświadomie Westchnęła, objęła go za kark.

- Nie powinienes - wyszeptwała.

Nie odpowiedział. Sięgnął palcami trochę wyżej Poczul górną krawędź cienkiej pończochy. Tuż ponad nią miała głęboką bliznę. Pogłaskał ją palcami.

- Co to takiego?

Westchnęła i pocałowała go.

- Odłamek bomby To było dwa lata temu.

Położył rękę bardziej zdecydowanie na bliźnie od odłamka bomby.

Zrobiła trochę więcej miejsca, aby mógł jej lepiej dotykać. Tamtej nocy krwawiła bardzo mocno Urlopowany marynarz od poławiania min przewiązał jej udo wstążką swej czapki, z napisem Kriegsmarine. Gdyby sprawa nie była tak poważna roześmiałyby się. Ale bolało okropnie. Odłamek bomby siedział bardzo głęboko, wbity w kość poszarpanym brzegiem. Jeden milimetr dalej, powiedział chirurg, i noga byłaby stracona. Podniosła nogę, by na nią popatrzeć.

- Nie mam ładnych nóg - zauważyła.

Spojrzał na jej nogi. Objął ją ramionami, pocałował. Otworzyła usta. Zatracili się w gorących pocałunkach. Dyszała. Podciągnął do góry jej wąską spódniczkę. Pomogła mu, podnosząc się trochę.

- Nie powinienes - wyszeptwała. - Nic o sobie nie wiemy.

Jego palce, nieco niedoświadczzone, zaplątały się w jej bieliźnie.

Nagle namiętnie rzuciła się na niego, przycisnęła swe półotwarte usta do jego ust w długim pocałunku. Trochę się bała tego, co miało nastąpić. Była nerwowo podniecona. Jej język igrał z jego językiem. Wydawała ciche jęki.

- Nie - szepnęła, ale pomimo tego pomagała mu.

Jej spódnica leżała na podłodze obok kanapy. Odsunęła jego rękę i przeciągnęła wokół siebie.

Całowali się namiętnie. Szepotali czułe słowa. Ugryzł ją w szyję, chwycił lekko zębami ucho. Leżała na plecach z lekko rozchylonymi wargami i zamkniętymi oczami. Piersi miała nagie. Pocałował jej twarde sutki i bawił się przebiegając palcami po jej ramionach i plecach.

A potem zapomnieli o wszystkim. Chodziło o to, by w tej krótkiej chwili znaleźć całe utracone życie. Jutro umrzesz.

Płakała, ale dlaczego, sama nie wiedziała. Po Robercie, który był prochami i leżał na dnie rzeki? Z powodu samej siebie?

Alarmująca o nalocie syrena zawyła przenikliwie.

Podnieśli się do połowy i przez chwilę nasłuchiwali piekielnego koncertu, rozbrzmiewającego nad

miastem.

A potem znowu padli sobie w ramiona.

- To Anglicy - powiedziała. - Oni zawsze przychodzą w dzień.

- Doprawdy? - Powiedział i pocałował ją.

Słyszeli samoloty wysoko w górze.

- Jak oni potrafią znaleźć Berlin przy takiej pogodzie? - Zapytała, przysłuchując się brzęczeniu silników.

- Nie wiem, ale potrafią - odpowiedział.

Skinęła głową. Potrafili.

Zaczęły spadać bomby, Szyby w oknach zagrzechotały.

- Czy powinniśmy zejść do piwnicy? - Spytał Leutnant Ohlsen.

- Nie. To obrzydliwe - odrzekła. - Wilgotno i paskudnie. Zostańmy tutaj.

Znów się kochali. A potem zasnęli, ciasno objęci i wyczerpani.

Gdy się obudzili, był wieczór.

Ciągle padało.

Napili się, zjedli i znów trochę się kochali. Nagle poczuli się bardzo młodzi.

Następnego ranka przyszła jej siostra. Pracowała w biurze SD. Zawsze mówiła: co za łajno.

Powtarzała to tak często, że Leutnant Ohlsen miał jej dość.

- Przypuszczam, że wy dwoje bawiliście się w dom po ciemku - roześmiała się. Jakim łajnem jest wszystko. A co będzie, jeśli będziecie mieli dzieci? Boże, co za łajno. Poszła do kuchni, gdzie zaczęła stukać garnkami i patelniami. - Przygotowują nowe prześladowania - zawołała do pokoju.

Wystawiła głowę przez drzwi. - To jest tajne. Co za łajno. Będą łapać ostatnich Talmudystów. Cały pułk chłopców z SS przybył z Polski i Sudetów. Jeden z nich, Unterscharführer SD, dopadł mnie w toalecie. Wyraźnie zdaje mu się, że Reichssicherheit Hauptamt to burdel. Cóż, rzeczywiście jest - dodała. Upuściła jajko. - Co za łajno - wściekła się i kopnęła skorupkę.

- Alicja jest świnią - powiedziała dziewczyna do Leutnanta, - ale jest dość miła. Można jej wszystko powiedzieć. Nie jest donosicielką. Ukrywała u nas Żyda, pomogła także Oberstowi. Ale nie chciała pomóc Robertowi. Nie potrafi znieść dezertersów - mówi, że to tchórze.

Leutnant Ohlsen wzruszył ramionami. Wziąwszy wszystko pod uwagę, ci którzy nie dezertują, są zapewne największymi tchórzami. Bo gdyby wszyscy wrócili do domu, wojna by się skończyła.

- Czy potrafiłbyś zdezerterować? - Zapytała.

- Kto teraz zdezerterował? - Zawołała z kuchni Alicja. Nie czekała na odpowiedź. Czy nie masz ścierki do talerzy? - Krzyknęła. - No, jest tutaj. Boże, co za łajno.

- Nie sądzę, bym się ośmielił - odpowiedział.

- Na Froncie Wschodnim musi być naprawdę bardzo źle. Czy nigdy się nie boisz? Pogłaskała go po policzku.

- Tak, boję się zawsze, ale jeśli się tam zostaje, ma się szansę. Jeśli dezertujesz i cię złapią, nie masz szans w ogóle. Wtedy przywiązują cię do słupa w Senne albo Morellenschlucht.

- Czy wielu rozstrzelują? - Oparła się na łokciu i patrzyła na niego.

Skinął głową. - Niewiarygodnie wielu.

- Kiedy wyruszasz?

- Jutro - odpowiedział.

Westchnęła i pocałowała go. Usta miała pełne i nabrzmięte, jak rzeka Haweli na wiosnę.

Alicja przyniosła jedzenie. Przyjrzała im się uważnie.

- Pewnie możesz coś z tym zrobić. Heinz ma przyjść dziś wieczorem i wtedy coś z tym zrobimy.

Do posiłku pili piwo i koniak. Wszystko nadaje się do picia, jeśli tylko można to dostać, zaś Alicja potrafiła dostawać mnóstwo rzeczy. Kradła je. Ale wiedziała, że inni też kradną, a oni wiedzieli, że ona wie. Dlatego kradli otwarcie.

- Alicjo, nie masz żadnej moralności - powiedziała jej siostra. - Nie możesz siedzieć tutaj, na przeciwko mego przyjaciela, w samej bieliźnie.

- Sama widzisz, że mogę - odrzekła jowialnie Alicja. - Moralność, phi, co za łajno!

Heinz przyszedł hałasując na schodach jak ktoś, kto wie, że ma prawo hałasować.

- Cześć, dziewczyno, tu jest coś do przepłukania gardła i kawa. - Roześmiał się hałaśliwie. Był Unterscharführerem SS. Przyszedł już pijany. Zupełnie nie zwracał uwagi na odznakę stopnia Leutnanta Ohlsena, nazywając go „Fritz”. Leutnanta Ohlsena to nie obchodziło.

Pili i ucztowali. W końcu poszli do łóżka.

Alicja piszczała w zachwycie. Heinz się śmiał. Był doskonałym, chłopskim kochankiem, dzikim bykiem wpuszczonym do obory.

Następnego ranka Leutnant Ohlsen odszedł. Wyszedł bardzo wcześnie. Wymknął się, nie budząc nikogo z pozostałych. Nie miał nawet pojęcia jak jego dziewczyna ma na imię.

Poszedł na dworzec Friedrichstrasse. Peron roił się od żołnierzy na urlopowych, wracających na front. Niektórzy przyszli z krewnymi, ale większość była samotna. Ludzie woleli nie żegnać się na dworcach kolejowych. Z wolna zaczęło to przypominać pogrzeb.

Chodził tam i z powrotem po peronie.

- Debilizm - myślał. - Wracać, nim urlop się skończył.

- Dlaczego na litość boską nie idziecie na Charlottenburg? - Zapytał grupę żołnierzy jakiś kolejarz. - Tam o wiele łatwiej dostać miejsce siedzące. To tam zestawia się pociąg.

Siedzący na swym bagażu podoficer roześmiał się szyderczo.

- Nie, trzeba zrobić coś dokładnie przeciwnego. Trzeba pójść na Schlesischer Bahnhof.

- Tego nie rozumiem - oświadczył kolejarz. - To ostatnia stacja w Berlinie. Gdy pociąg tam przyjeżdża, jest zawsze pełen po brzegi.

- Dokładnie z tego powodu - roześmiał się Gefreiter, rozwalony na całą długość na mokrym peronie, z puszką od maski gazowej pod głową. - Na Schlesischer Bahnhof nie sposób dostać się do pociągu. Wtedy idzie się do komendanta stacji, dostaje się pieczętkę na rozkazie urlopowym i zarobiło się jeden dzień.

Wjechał pociąg kolejki podziemnej, zapakowany żołnierzami.

Stary podoficer wskazał go ze śmiechem.

- Popatrz na tych wszystkich, którzy będą próbować. Jestem gotów założyć się o wszystko, co zechcesz, że ten pociąg opróżni się na Schlesischer Bahnhof. Ale my tak czy inaczej musimy odjechać. Zabawiliśmy się w to wczoraj. Jeśli znów spróbujemy dziś, łowcy głów nas capną, a potem trzeba mieć dużo szczęścia by uciec, gdy się jest przykutym do ściany za tchórzostwo.

Pół tuzina żołnierzy wbiegło do góry po schodach, szturmując w stronę pociągu kolejki podziemnej.

- Spiesz się - zaśmiał się podoficer. - Będą finiszować, jak dobrze naoliwiona błyskawica.

- On się nie zatrzymuje przed Schlesischer Bahnhof! - Wołał konduktor, biegnący wzdłuż pociągu.

Żołnierze wyszczerzyli zęby.

- Świetnie nam pasuje. Tym szybciej będziemy z powrotem w domu.

Kolejarz, który polecał Charlottenburg, spojrział w zdumieniu na przepełniony pociąg podziemny.

- Führer nigdy nie wygra wojny z taką bandą. - Odszedł wstrząśnięty.

Oberleutnant strzelców pancernych podszedł do Leutnanta Ohlsena i powitał go familiarnie.

- Czy próbowałaś wycieczki przez Schlesischer?

- Nie - odparł apatycznie Leutnant Ohlsen.
- Drogi przyjacielu, to oznacza dodatkowy dzień urlopu.
- Nie potrafię zadać sobie tyle trudu - rzekł z uśmiechem Ohlsen.
Oficer strzelców pancernych szybko się wycofał. Nazista albo osioł - pomyślał. Zapewne jedno i drugie. Podszedł do dwóch Leutnantów piechoty. Jeden z nich wkrótce znikł w pociągu podziemnym.
- Nie potrwa długo, nim będziemy jeździć kolejką podziemną na front - warknął stary Stabsgefreiter.
Plunął na plakat z okazałym napisem:
Rader rollen für den Sieg - „Koła toczą się do Zwycięstwa”.
Ostrzegawczy gwizdek Feldwebela artylerii.
- Uważaj, wróg podsłuchuje.
Błysnęły stalowe hełmy. Trzej łowcy głów poszli spacerem po peronie. Spod hełmów błyszcząły podejrzliwe, złośliwe oczy.
Hałaśliwie wtoczył się pociąg na front dla urlopowiczów. Zatrzymał się z piskiem kół.
Żołnierze zaczęli wlewać się do środka. Krzyki i wrzaski. Przekleństwa i połajanki.
- Zurücktreten. Zug farht abl - „Cofnąć się. Pociąg odjeżdża!”
Pociąg powoli toczył się przez Berlin. Można było dostrzec Alexander Platz z prezydium policji, gdzie setki więźniów siedziały w areszcie śledczym, oczekując na swe okrutne wyroki.
Na Schlesischer Bahnhof tłok był szalony. Niewielu dostało się do środka. Ogonek do biura komendanta stacji rósł nieustannie. Był to ogonek uradowanych twarzy. Niektórzy byli dość odważni, by umówić się z krewnymi tuż przed stacją.
Długi gwizdek. A potem przez głośniki rozległy się wołania ostrzegawcze.
Pociąg odjechał. Jechał na Wschód.
Każdy przedział napchany był ludźmi w drodze na rzeź.
Mieli jeszcze we krwi doświadczenie dwóch cudownych tygodni, ale teraz czekało ich coś innego.
Huraganowy ogień. Natarcie pancerne. Walka wręcz. Krew. Błoto. Okaleczenie. Śmierć. Słowa, słowa, słowa, ale czyż nie zawierały niewyobrażalnych okropności?
Leutnant Ohlsen siedział w kącie. Skulił się pod swym płaszczem. Próbował spać, ale inni pili, grali w karty i opowiadali brudne kawały.
Leutnant Ohlsen płakał. Cicho płakał. Płakał za chłopcem, którego utracił. Płakał, bo został zupełnie sam.
A przecież nie był naprawdę sam! Miał tam w oddali bandę, swoją bandę.
Ujrzał ich przed sobą. Starego, Legionistę, Josepha Portę, Małego i wszystkich innych z bandy.
Gdy pociąg toczył się przez Niemcy, Rosjanie kończyli koncentrację wojsk za swoimi liniami. Byli gotowi do największej ofensywy, jaką oglądał świat.
Porta, Mały i rosyjski piechur siedzieli w głębokim leju, grając w kości. Pistolety maszynowe odłożyli na bok. Cała ich trójka znalazła się za liniami na patrolu. Mały już przegrał do Rosjanina butelkę wódki, gdy front ożył i ku ich niezadowoleniu przerwał grę.
Dwieście sześćdziesiąt trzy dywizje piechoty i osiemdziesiąt pięć dywizji pancernych runęły przed siebie do natarcia.

KONIEC